

TAJEMNICA NAPADU STULECIA W GLASGOW
W NOWEJ POWIEŚCI
SZKOCKIEGO CHANDLERA

**Craig
Russell**

długi
kamieniczny
sen

lesiojot

W
ab
Two

CRAIG
RUSSELL

DŁUGI KAMIENNY SEN

przełożył Robert Nizmański

w
ydawnic
ab
two

Tytuł oryginału: The Deep Dark Sleep

Copyright © 2011 by Craig Russell

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal,
MMXIII

Copyright © for the Polish translation by Grupa Wydawnicza Foksal,
MMXIII

Wydanie I

Warszawa

Przekład: Robert Nieznalski

Redakcja: Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska
Korekta: Justyna Techmańska, Ilona Kuczmarz
Adiustacja: Maria Karpińska

Projekt okładki: Krzysztof Rychter

Zdjęcia wykorzystane na I stronie okładki: © Paul McGee / Flickr /
Getty Images / FPM © Historical Picture Archive / Corbis /
Fotochannels

Skład i łamanie: Tekst – Małgorzata Krzywicka, Piaseczno,
ul. Żółkiewskiego 7a

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54
biuro@gwfoksal.pl

ISBN 978-83-7881-198-5

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

lesiojot

Mojej matce Helenie

PROLOG

Wyglądało na to, że Dżentelmen Joe Strachan spał długim kamiennym snem od bardzo dawna.

Dżentelmen Joe spał długim kamiennym snem – podczas gdy ja we Włoszech taplałem się po kolana w błocie i krwi – wysoko nad nim bombowce Luftwaffe z warkotem leciały na misję zmiany zabudowy nabrzeża rzeki Clyde, a Stalin, Roosevelt i Churchill podzielili między siebie Europę, inspirując bosów glasgowskiego półświatka, Trzech Królów, do podzielenia w ten sam sposób drugiej metropolii imperium brytyjskiego. Fajerwerki nad Dreznem, Hiroszimą i Nagasaki także nie zakłóciły snu Joego.

Nie zbudził go nawet bezustanny rejwach nad jego głową – uporczywe młócenie śrub olbrzymich statków i natrętnych holowników, budowanych nad Clyde statków i natrętnych holowników.

A to dlatego, że tak niezakłócony spokój jak długi kamienny sen Dżentelmena Joego można znaleźć jedynie na dnie rzeki Clyde, gdy ktoś uśpi nas tępym narzędziem, wygodnie otuli zakoszonymi ze stoczni łańcuchami i o północy wyrzuci za burtę łódki na środku nurtu, w najgłębszym miejscu.

Ale jak wspominałem, lata wojny, podobnie jak wszyscy, spędziłem cudownie nieświadomy tego, że Joe udał się na spoczynek. Szkoda że tak nie zostało.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pomysł wywlekania przeszłości na światło dzienne mnie akurat nie pasuje jak mało co, należę bowiem do pokolenia, któremu balanga wydana na naszą cześć w Europie i na Dalekim Wschodzie zapewniła wyjątkowo barwne przeżycia. Moja historia jawiła się w szczególnie jarmarcznych kolorach i przyznaję, że z biegiem lat dodatkowo jeszcze ją ubarwiałem. Widziałem kiedyś film o facecie, który obudziwszy się nie wiadomo gdzie, nijak nie mógł sobie przypomnieć, kim i gdzie w ogóle jest; ten brak autobiografii bardzo go martwił. Wiele bym dał, żeby cierpieć na taki rodzaj amnezji.

Wywlekanie przeszłości Joego Strachana na światło dzienne odbyło się w sensie dosłownym, nie metaforycznym. Rzeka Clyde jest chyba najbardziej ruchliwym szlakiem wodnym na świecie głównie dlatego, że zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa właśnie nad nią zostały poczęte i przyszły na świat luksusowe statki pasażerskie, handlowe, okręty wojenne oraz wszelkie przerdzewiałe łajby, które widzujemy na morzach i oceanach. To zaś oznaczało, że dno rzeki wzdłuż szlaków nawigacyjnych należało nieustannie poszerzać i pogłębiać, co zapewniał przeczesujący je nieprzerwany kondukt obsłizgłych brudnozielonych pogłębiarek.

Tak więc kiedy z mętnej wody na powierzchnię Clyde wyciągnięto w czerpaku czaszkę, kupę kości, jakieś szmaty oraz złotą papierošnicę, było to dosłowne wywleczenie przeszłości na światło dzienne; przeszłości, której nie należało odgrzebywać.

Załogi pogłębiarek na Clyde składały się z flegmatyków, ale trudno, żeby było inaczej. Ich połów stanowił głównie tłusty, mulisty szlam z dna kanałów, którego smród powaliłby żuczka gnojarka. Trafiały im się jednak też inne rzeczy, począwszy od skamieniałych pni drzew i wielgachnych poroży łosi z zalanych przed wiekami pradawnych lasów, po stelaże łózek, części wy-

montowane z silników okrętowych, wyskrobane płody w obciążonych wiktoriańskich kufrach, porzucone narzędzia zbrodni i wszystko, co da się wyrzucić za burtę.

Doczesne szczątki świętej pamięci Joego Strachana bynajmniej nie były pierwsze, jakie wyłowiono z Clyde, i z całą pewnością nie ostatnie. Istniała jednak zasadnicza różnica między unoszącymi się na powierzchni zwłokami wyławianymi przez ratowników z organizacji charytatywnej Glasgow Humane Society oraz policję portową miasta Glasgow a tymi wyciąganymi z dna rzeki przez pogłębiarki – ta różnica sprowadzała się mianowicie do kwestii zamiaru. Bo żeby wrzucone do wody ciało pozostało zatopione, należało je obciążyć balastem, zazwyczaj przez nasypanie do kieszeni kamieni albo obwiązanie łańcuchami. Ciała wyławiane przez pogłębiarki miały w założeniu na zawsze pozostać nieodkryte.

Tak jak szczątki Dzentelmena Joego.

Wyobrażałem sobie, jak to się odbyło: załoga pogłębiarki zastanawia się, co z tym fantem począć, a tymczasem czaszka umarlaka radośnie szczyrzy do nich zęby z tłustego czarnego mułu w czerpaku. Prawdopodobnie rozważano wyrzucenie kości z powrotem do rzeki, a już na pewno pokłócono się o los złotej papierośnicy. Przypuszczalnie jednak ktoś na łajbie robił w tym fachu dostatecznie długo i miał dość zdrowego rozsądku, by wiedzieć, że inicjały J.S. na tej bryle złota mogą oznaczać poważne kłopoty. Tak czy owak, postanowiono zawiadomić policję miejską Glasgow.

Pierwsza wzmianka o odkryciu szczątków uszła mojej uwagi – mojej i znakomitej większości mieszkańców Glasgow. Zastużyła sobie ledwie na kilka linijek wydrukowanych czerwoną czcionką w dziale wiadomości z ostatniej chwili w „Glasgow Evening Citizen”. Widzicie – znaczenie to coś, co przeważnie przywiązuje się do rzeczy bądź zdarzeń dopiero po fakcie. Żeby zwiększyć zainteresowanie. Przez kilka dni nikt nie powiązał znaczenia kości, miejsca ich spoczynku oraz papierośnicy z monogramem. Ostatecznie wydobyte z Clyde ludzkich szczątków nie należało do rzadkości. Niejeden podchmielony rybak albo oślepiiony smogiem gliniarz z patrolu nieraz źle ocenił długość

krótkiego mola i zagalopował się za daleko; przewrócone holowniki oraz nieudane wodowania statków w stoczniach, do których czasami dochodziło, również przyczyniały się do zaludnienia dna rzeki. No i rzecz jasna przedsiębiorczy świat przestępczy Glasgow także upodobał sobie Clyde jako miejsce, gdzie można coś ukryć raz na zawsze.

Jeśli chodzi o mnie, owego września tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego roku zaprzętały mnie całkiem inne sprawy. Właśnie dobiegało końca najgorętsze lato w historii Glasgow, co nawiasem mówiąc, nie jest żadnym wielkim osiągnięciem – to coś w rodzaju najlepszego kochanka w Yorkshire, najweselszego człowieka w Edynburgu albo największego filantropa w Aberdeen – niemniej w pięćdziesiątym piątym lato na głowę pobilo poprzednie; według skonsternowanej lokalnej prasy temperatura skoczyła tak, że topił się asfalt. Ja zapamiętałem to lato w Glasgow jako lepkie i gryzące – parne, kleiste powietrze pachniało rozgrzany metal, a jasne niebo przecinały czarne smugi gęstego, ziarnistego dymu z fabryk i stoczn. Bez względu na pogodę żywołem Glasgow był węgiel, więc wychodząc na dwór, człowiek miał wrażenie, że spaceruje nie ulicą, tylko korytarzem w odlewni.

A teraz zmieniała się pora roku, lato ustępowało jesieni, co w Glasgow należało do rzadkości – golfsztrum tak znakomicie łagodził klimat zachodniej Szkocji, że pogoda zwykle oscylowała tu między nieco cieplejszym, mokrym latem a ciut chłodniejszą, mokrą zimą. Buchający dymem tutejszy przemysł ciężki także przydawał miastu unikalnego, wymykającego się porom roku klimatu, dlatego jesień zazwyczaj ograniczała się do kalendarza oraz mokrych, lepkich, szarobrazowych stert liści, zatykających studzienki odpływowe na ulicach. Ale w tym roku się ją wyczuwało, bo poprzedziło ją wyraźnie zauważalne lato.

Ojcowie założyciele Glasgow, łaskawcy co się zowie, postanowili ulżyć niedoli mieszkańców nędznych, przeludnionych czynszówek, na które skazali większość glasgowczyków, planując wielkie ogólnodostępne parki. Tego roku po raz pierwszy zauważyłem płomienistą czerwień i złoto w koronach drzew.

Ale jak już mówiłem, tego roku wiele rzeczy wyglądało cał-

kiem inaczej.

Po raz pierwszy, odkąd wynająłem biuro przy Gordon Street, korzystałem z niego jako z głównego miejsca prowadzenia interesów. Właśnie zakończyłem trzy sprawy rozwodowe, odnalazłem zaginioną osobę oraz załatwiłem ochronę cotygodniowych transportów gotówki na wypłaty w jednej ze stoczni. Ostatni kontrakt sprawił mi szczególną frajdę, bo poręczył za mnie Jock Ferguson, mój kontakt w policji miejskiej Glasgow – osiągnięcie jak się patrzy, skoro Jock miał pełną świadomość tego, że zadaję się z takimi typkami jak Przystojniak Jonny Cohen czy Młot Murphy, luminarzami ferajny paradującej w kominiarkach. Ale Jock Ferguson i ja należeliśmy do tej ponurej powojennej masonerii, której członkowie rozpoznawali się wzajemnie jako ci, co to na froncie nieźle dostali w kość. Nie znałem historii Jocka – nigdy bym go o nią nie zapytał, podobnie jak on nigdy nie spytałby mnie o moją – wiedziałem jednak, że przypominała raczej wczesne średniowiecze niż oświecenie.

Tak jak moja.

Poza tym wiedziałem, że w pojęciu Jocka Fergusona jestem uczciwy – no, powiedzmy, stosunkowo uczciwy. Swego czasu ja również ręczyłbym za niego z pełnym przekonaniem. Kiedyś miałem go za jednego z tych gliniarzy w Glasgow, którzy nie biorą w łapę ani nie kręcą nic na boku; niestety, coś koło roku temu moja wiara w niego została poważnie zachwiana, a zresztą nigdy nie byłem skłonny doszukiwać się dobra w bliźnich.

Najważniejsze w załatwieniu kontraktu na ochronę przewozów gotówki było to, że zrobiłem naprawdę wszystko, co w mojej mocy, byleby nie wejść w parady Trzem Królom: Cohenowi, Sneddonowi i Murphy'emu, triumwiratowi szefów gangów, którzy w tym mieście maczali palce w każdej wartej zachodu działalności, mimo że pokój między nimi był równie wątpliwy jak cnota tancerki na rurze. Wykonałem dla nich niejedną fuchę, często niezupełnie legalną. Dzięki temu po demobilizacji zaczępiłem się jednak w Glasgow, a zresztą wtedy ta praca odpowiadała mi dużo bardziej niż teraz – wciąż kryłem się w cieniu góry gówna, która narosła wokół mnie podczas wojny.

Teraz miałem nadzieję, że coś w końcu zacznie się zmieniać.

Bo sam też się zmieniałem.

Postarałem się jednak, żeby do wszystkich zainteresowanych dotarło, że ochraniam konkretne transporty gotówki na wypłaty dla konkretnej firmy oraz że mam wyjątkowo dobrą pamięć do twarzy – tak na wypadek, gdyby komuś przyszło do głowy nas obrobić. Przekaz był jasny: ręce precz od moich wozów. Bo inaczej...

Jestem pewien, że usłyszawszy moje ostrzeżenie, Trzej Królowie zbrodni w Glasgow, wzbudzający powszechny postrach, zadygotali w swoich półbutach marki Loake. Szczerze mówiąc, spodziewałem się – i jednocześnie obawiałem – propozycji w rodzaju „przymknij oko”, ale nikt mi jej nie złożył. Podobnie jak Jock Ferguson, każdy z Trzech Królów wiedział, że jestem uczciwy. Stosunkowo uczciwy.

Tak czy siak, jak już wspomniałem, odkrycie kupy kości w czerpaku pogłębiarki nie spowodowało choćby zmarszczki na zbiorowej świadomości Glasgow. Po tygodniu jednak wywołało wrzawę. I to jaką! W gazetach roilo się od takich oto nagłówków:

WYŁOWIONO ZWŁOKI CZŁOWIEKA POSZUKIWANEGO
ZA KRADZIEŻ NA WYSTAWIE IMPERIUM BRYTYJSKIEGO
TAJEMNICZE ZNIKNIĘCIE JOSEPHA STRACHANA
WYJAŚNIONE PO 18 LATACH
NIE ODZYSKANO ŁUPU Z ZUCHWAŁEGO NAPADU
NA WYSTAWĘ W 1938 ROKU

Dżentelmen Joe Strachan działał nie za moich czasów, podobnie jak Zeus i Odyn, a jednak słyszałem co nieco o wszystkich trzech. Półświatek Glasgow obrósł większą liczbą mitów i legend niż starożytna Grecja, Dżentelmen Joe zaś stał się czołową postacią folkloru wśród tych, którzy tylko patrzyli, jak by tu zakosić na lewo trochę grosza.

Czytając artykuł, przypominałem sobie, że przez całe lata słyszałem to nazwisko wymawiane z nabożnym szacunkiem. Ponieważ jednak znajomość z drugą metropolią imperium brytyjskiego zawarłem dopiero wtedy, gdy zdemobilizowano mnie po

wojnie, Strachan nigdy nie pojawił się w moim polu widzenia. Mimo to wiedziałem, że przed wojną dokonano serii kradzieży, której kulminacją był największy w historii Glasgow skok na Wystawę Imperium Brytyjskiego w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym. Wszystkie te rabunki przypisywano Dżentelmenowi Joemu. Przypisywano, ale nigdy nie udowodniono.

Słyszałem również, że gdyby Strachan wciąż kręcił się po okolicy i w końcu nie skończył na stryczku za zabójstwo policjanta, to najprawdopodobniej zostałby Czwartym Królem Glasgow. Albo wręcz Jedyńm Prawowitym Królem Glasgow, a wtedy Cohen, Murphy i Sneddon musieliby się zadowolić lennami. Doszło jednak do wyjątkowo zuchwałej kradzieży, w trakcie której zginął policjant, i nagle Dżentelmen Joe rozpląnął się w powietrzu. Wraz z nim znikło pięćdziesiąt tysięcy funtów.

Nikt wówczas nie wierzył w śmierć Strachana; uważano, że jak przystało na mitycznego herosa, trafił do glasgowskiej wersji gangsterskiej Walhalli, którą wielu uważało za luksusowy domek na wybrzeżu Bournemouth albo w innej równie wytwornej okolicy. Pewnie o nazwie Dunrobbin.

Wszystko to jednak nie miało ze mną nic wspólnego i wobec tego guzik mnie obchodziło.

Do czasu, aż odwiedziły mnie Isa i Violet.

ROZDZIAŁ DRUGI

Człowiek zwykle nie widzi zawczasu, że na coś się zanosi. W każdym razie ja nigdy tego nie dostrzegam. Miałem udany rok, dopóki do mojego biura nie zawitały bliźniaczo zgrabne Isa i Violet. Naprawdę bardzo udany.

Dysponowałem listą klientów oraz kompletnymi, zbilansowanymi księgami rachunkowymi. Mogłem pomachać przed nosem facetom ze skarbówki albo nawiedzającym mnie od czasu do czasu wścibskim gliniarzom na dowód, że prowadzę legalny interes. Bądź co bądź bez porównania bardziej legalny niż rok czy dwa lata wcześniej. W dodatku brałem teraz sprawy, w których zdecydowanie częściej musiałem polegać na rozumie – choć nie ma na to wielkiego popytu – a rzadziej na umiejętności radzenia sobie z mętami w jakimś ciemnym zaułku.

I dobrze. Ostatnio naprawdę robiłem wszystko, żeby nie dać się ponieść emocjom.

Na wojnie można się dorobić rozmaitych rzeczy. Wielu przywleka choroby weneryczne złapane od kurewek w Niemczech albo na Dalekim Wschodzie i bezinteresownie przekazuje je czekającym na nich żonom. Inni przywożą trofea zrabowane poległym. Ja wróciłem z wybuchowym charakterkiem i skłonnością do niezwykle elokwentnego wypowiedzania się za pomocą siły fizycznej. Bywało, przyznaję, że czasami ponosiło mnie bardziej, niż powinno. W czasach, kiedy służyłem w Europie w Pierwszej Armii Kanadyjskiej, było to mile widziane, za to po powrocie do cywila władze wyraźnie patrzyły krzywym okiem na stosowanie w życiu umiejętności, których same nas nauczyły. Tak naprawdę był to kolejny dobry powód do zakończenia związku z Trzema Królami. To oni wprowadzili mnie w świat, który rozumiałem w czasach, kiedy nie pojmowałem w zasadzie niczego innego. Świat, w którym wszyscy mówili jednym językiem: przemocy. A ja posługiwałem się nim płynnie.

Dlatego podczas gdy Sherlock Holmes rozwiązywał sprawy za pomocą intelektu oraz czapki z dwoma daszkami, ja posługiwałem się mięśniami i pałką. I jeśli mam być całkiem szczerzy, trochę za bardzo mi się to spodobało. Chciałem więc się wycofać. W trakcie wojny coś we mnie pękło. Wiedziałem, że jeśli chcę to naprawić, muszę się wydobyć z szamba, w jakim się taplałem. Sęk w tym, że jeśli ktoś taki jak Trzej Królowie dostanie kogoś w swoje łapy, nie chce go potem puścić.

Ja jednak radziłem sobie z tym całkiem nieźle... Do czasu, aż Isa i Violet zajrzały do mojego biura.

Isa i Violet były jednakowo drobne, jednakowo ładne i miały jednakowo wielkie niebieskie oczy. Nic dziwnego – były bliźniaczkami, podobnymi do siebie jak dwie krople wody. Tyle wynioskowałem już na pierwszy rzut oka. Od detektywa wymaga się, żeby zauważał takie szczegóły.

A teraz Isa i Violet siedziały naprzeciwko mnie, sztywno i skromnie.

Już raz w mojej karierze spotkałem się na gruncie zawodowym z parą bliźniąt, ale to całkiem inna historia. Ostatnimi bliźniakami, z którymi miałem przyjemność, byli McGahernowie, Tam i Frankie. Ponieważ ledwo uszedłem wtedy z życiem, nabrałem czegoś w rodzaju przesądnej awersji do jednojajowych bliźniąt. Ale kiedy Isa i Violet weszły i usiadły w moim gabinecie, ukradkiem rzuciłem okiem na ich identyczne, krągłe jak brzoskwinie tyłeczki i postanowiłem podejść do sprawy bardziej pragmatycznie.

Przedstawiły się, równocześnie, jako Isa i Violet, ale nosiły inne nazwiska, więc domyśliłem się, że pod szarymi rękawiczkami kryją się obrączki. Bliźniaczki miały takie same blade twarze w kształcie serca, małe noski, jasnoniebieskie oczy i pełne usta umalowane szminką o tym samym odcieniu. Ciemne, lekko pofalowane krótkie włosy opadały im do połowy uszu, z których zwisały wielkie kopuły ze sztucznych pereł. Nosiły nawet identyczne kostiumy: drogie, szare, z mocno wciętymi żakietami i wąskimi, prostymi spódnicami, otulającymi to, do

czego sam chętnie bym się przytulił.

Kiedy natomiast się odzywały, jedna kończyła zdanie drugiej, nie wypadając z rytmu i nie spoglądając na siebie nawzajem.

– Słyszaliśmy, że był pan... – zaczęła Isa. A może Violet.

– ...prywatnym detektywem – dokończyła gładko Violet.

A może Isa.

– Musi nam pan pomóc...

– ...w sprawie ojca.

– Przypuszczam, że czytał pan o nim...

– ...w gazetach...

Uśmiechnąłem się nieco zdezorientowany. Prawdę mówiąc, odkąd się zjawily, zrobiłem się ciut roztargniony. Obie były wyjątkowo ładne. To znaczy, każda z nich była dokładnie tak ładna jak druga. W dodatku bliźniaczki! Lubieżny scenariusz, który tradycyjnie przychodził mi mimowolnie do głowy na widok zestawu takich krągłości, uległ zdwojeniu. Musiałem więc wziąć się w garść i przestać zastanawiać, do czego można by nakłonić każdą z nich po kolei.

– Pań ojca? – spytałem, przybierając profesjonalny, surowy wyraz twarzy.

– Tak. Tatusia.

– Widzi pan, nasze panieńskie nazwisko...

– ...brzmi Strachan – dokończyły razem.

Dopiero po chwili załapałem znaczenie ich słów.

– Szczątki wydobyte z Clyde? – upewniłem się.

– Tak. – Znowu chórem.

– Dżentelmen Joe Strachan?

– Joseph Strachan był naszym ojcem. – Dwie śliczne buzie w kształcie serca przybrały identyczny surowy wyraz.

– Ale pewnie ledwo go panie znałyście – powiedziałem. – Z tego, co czytałem, Joe Strachan zniknął niemal osiemnaście lat temu.

– Miałyśmy osiem lat – odparła Isa. Albo Violet.

– Kiedy tatuś musiał odejść.

– Nigdy o nim nie zapomnialiśmy.

– Nie wątpię. – Mądrze pokiwałem głową.

Gdy ludzie nam płacą za znajdywanie czegoś, mądrość to

atrybut, który należy okazywać przy każdej nadarzającej się okazji. Na tej samej zasadzie, na jakiej podczas wizyty u lekarza oczekujemy, że popisze się absolutną maestrią w swoim fachu, mimo że na temat funkcjonowania organizmu człowieka ma tak samo blade pojęcie jak wszyscy. Pragnąłem zaimponować bliźniaczkom, mówiąc – jak to robią w najlepszych filmach – „Chcecie zatem, żebym ustalił...”, a potem czekać, o co mnie poproszą.

Tyle że w moim wypadku to by się nie sprawdziło – za cholewę nie wiedziałem, czego mogą ode mnie chcieć – poza tym, żebym ustalił, kto wrzucił ich tatusia do głębokiej wody. A przecież nie mogło im o to chodzić, bo policja latała wokół tego jak psy za suką. Było nie było, do wyjaśnienia wciąż pozostawała kwestia martwego gliniarza z patrolu, który osiemnaście lat temu znalazł się we właściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Ten, kto szturchnął Dzentelmena Joego tak, żeby wyleciał za burłę, powinien wiedzieć, kto stuknął glinę podczas obchodu. W policji miejskiej Glasgow mózgowców mieli jak na lekarstwo, więc skoro nie poradzili sobie z tym blisko dwadzieścia lat temu, nie widziałem szansy, żeby teraz cokolwiek z tym zrobili. A ja zrobiłbym jeszcze mniej.

– A zatem czym mogę paniom służyć? – Na chwilę zgasilem żarówkę mojej wszechwiedzącej mądrości.

Obie jednocześnie sięgnęły po torebki, postawiły je sobie na kolanach, otworzyły, wyjęły dwa identycznie owinięte pliki banknotów i położyły je na biurku. Te pliki, które przed chwilą wypychały ich torebki, teraz wywierały podobny wpływ na mnie, bo oczy wyszły mi z orbit. Wielkie banknoty Banku Anglii były szeleszczące, nowiutkie. Same dwudziestki. Takimi nominalami raczej nie płaci się na straganie za rybę z frytkami. Przez chwilę pomyślałem, że to zaliczka, więc sądząc z grubości plików, oczyma wyobraźni widziałem już, jak przez najbliższe trzy lata pracuję wyłącznie dla bliźniaczek.

– Dostajemy to co roku...

– Dwudziestego trzeciego lipca...

– Równiutko po tysiąc funtów, dla każdej z nas.

Nie mogłem się oprzeć, by nie wziąć po jednym pliku do każ-

dej ręki tylko po to, żeby je pomacać, instynktownie ulegając tej samej pokusie, która ogarnęła mnie w chwili, kiedy bliźniaczki weszły do mojego biura.

– Od jak dawna? – spytałem, podrzucając banknoty w rękę, jakbym je ważył.

– Od czasu odejścia tatusia. Mama dostawała te pieniądze dla nas rok w rok, a odkąd skończyłyśmy osiemnaście lat, przychodzą bezpośrednio do nas.

– Czy wasza mama dostaje też coś dla siebie?

– Mama zmarła dwa lata temu...

– ...ale przedtem dostawała tyle samo...

– ...tysiąc funtów rocznie.

– Współczuję z powodu śmierci mamy – bąknąłem.

Odczekawszy stosowną chwilę, gwizdnąłem przeciągle.

– Trzy tysiące funtów rocznie to niebagatelna kwota – powiedziałem. Niewątpliwie była niebagatelna, zwłaszcza w mieście, w którym przeciętna płaca wynosiła jakieś siedem funtów tygodniowo. – I zawsze przychodzi dwudziestego trzeciego lipca?

– Tak. Czasami dzień wcześniej albo później, jeżeli...

– ...ta data wypada w niedzielę...

– ...na przykład.

– Czy tego dnia macie panie urodziny? – spytałem.

– Nie – odparły jednym głosem, a na ich twarzach dojrzałem identyczną niechęć.

– Jakie znaczenie ma więc dwudziesty trzeci lipca?

Bliźniaczki najpierw spojrzały na siebie porozumiewawczo, a dopiero później odpowiedziały:

– Kradzież...

– ...w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym...

– ...na Wystawie Imperium Brytyjskiego...

– Tej kradzieży dokonano w sobotę dwudziestego trzeciego lipca.

– Rozumie pan...

– ...nasz dylemat? – zapytały bliźniaczki pospołu.

Oparłem się w fotelu z podłokietnikami i jak mędrzec, splołem dłonie przed sobą, zastanawiając się, czy rzeczywiście mam ochotę zrozumieć ich dylemat. Toczyłem ze sobą ciężką

walkę: rozpracowawszy na pierwszy rzut oka, że Isa i Violet są bliźniaczkami, uważałem, że wystarczy tej holmesowskiej dedukcji jak na jeden dzień. Widziałem, jak na ich twarzach maluje się identyczne rozczarowanie.

– Zdawałyśmy sobie sprawę, że tatuś musiał wyjechać...

– ...po całym tym zamieszaniu...

– ...ale wiedziałyśmy, że się nami opiekuje...

– ...przysyłając nam co roku pieniądze.

I wtedy mnie olśniło. Odkrycie w rzece szczątków Dżentelmena Joego Strachana oznaczało, że od osiemnastu lat spał snem wiecznym, a z tego, co wiem, na dzień Clyde nie ma skrzynki pocztowej.

– A więc chcecie panie się dowiedzieć, kto przysyłał wam pieniądze, skoro nie był to wasz ojciec?

– Otóż to – przytaknęły z naciskiem Isa i Violet, jednym głosem.

– Chyba że te odnalezione kości to nie są szczątki waszego ojca... – zasugerowałem.

Dwie identyczne główki zaprzeczyły z identycznie ponurą pewnością.

– Policja pokazała nam jego papierośnicę...

– ...którą od razu rozpoznałyśmy...

– ...bo pamiętałyśmy ją doskonale...

– ...a mama wciąż nam powtarzała, że tatuś nigdzie się nie ruszał bez swojej specjalnej papierośnicy.

– I to jest jedyny dowód? – upewniłem się.

– Nie...

– ...znaleźli ubranie...

– ...porwane na strzępy...

– ...ale zachowały się metki...

– ...od krawca tatusia...

– ...a tata był bardzo wybredny, jeśli chodzi o wybór krawców.

– Co z jego kartoteką dentystyczną? – spytałem. Odpowiedziały mi puste, zdezorientowane spojrzenia, i nic w tym dziwnego, w końcu byliśmy w Glasgow.

– Tata był wysoki...

– ...miał metr osiemdziesiąt wzrostu...

– ... a policja twierdzi, że kości nóg pasują do kogoś tego wzrostu.

Skinąłem głową. W Glasgow metr osiemdziesiąt oznacza wysoki wzrost. Sam mam dokładnie tyle i uchodzę w tym mieście za rosłego. Niechętnie oddałem im pliki banknotów. Isaac Newton sformułował pogląd, że każda masa, począwszy od filiżanki kawy, a skończywszy na górze, wytwarza własne pole grawitacyjne. Mnie gotówka zawsze przyciągała z nieodpartą siłą, nieproporcjonalnie wielką w stosunku do masy. A przecież nie byłem nieruchomością.

– Powinienem panie ostrzec, że chodzenie ulicami Glasgow z taką ilością gotówki to raczej kiepski pomysł – powiedziałem.

– Och, to żaden problem – odparła Isa. – Podwiózł nas Robert, mąż Violet. Jechaliśmy wpłacić pieniądze do banku Clydesdale, tuż za rogiem.

– Ale najpierw postanowiłyśmy zajrzeć do pana.

– No cóż, moim zdaniem punktem wyjścia są pieniądze – rzekłem. – Zdaje się, że chwilowo jest to jedyny dowód rzeczowy, jakim dysponujemy. Mówiłyście panie, że przychodzą poczta?

Kolejne równoczesne kiwnięcie głową, następnie skoordynowane grzebanie w torebkach i w rezultacie na moim biurku wyładowały dwie puste brązowe koperty. Zaadresowano je tą samą ręką, aczkolwiek każdą na inny adres. Na kopertach widniały londyńskie stemple pocztowe.

– To wasze aktualne adresy? – spytałem.

Znów harmonijna zgoda.

– I nie macie żadnego kontaktu z nadawcą? – dociekałem dalej.

– Oczywiście, że nie.

– Jak więc nadawca poznał wasze obecne miejsca zamieszkania? A co z matką? Ten, kto wysyła pieniądze, musiał się jakoś dowiedzieć, że wyszłyście panie za mąż. Czy to możliwe, że wasza matka jednak go знаła?

– Nie. Była tym równie zaskoczona jak my...

– ...obie pobrałyśmy się w tym samym roku i następne prze-

syłki przysły już na nasze nowe adresy...

– ...z dodatkowymi pięciuset funtami dla każdej z nas.

– Drogie panie, muszę wam powiedzieć, że zdecydowanie wygląda mi to na działanie waszego, niestety nieobecnego, ojca. Zwłaszcza w świetle znaczenia tej daty. Jesteście absolutnie pewne, że odnalezione szczątki to jego zwłoki?

– Całkowicie.

– Poza tym mama nigdy nie wierzyła, że te pieniądze przysłała nam tata.

– O? – zdziwiłem się. – A to dlaczego?

– Stale...

– ...powtarzała...

– ...że gdyby tata żył, to ściągnąłby nas do siebie bez względu na to, gdzie by przebywał. Żebyśmy znów tworzyli rodzinę.

– Może nie miał takiej możliwości? – podsunąłem.

Nie wspominałem, że doszły mnie słuchy, jakoby Dzentelmen Joe był mistrzem fechtunku w sypialni. Bliźniaczki raczej na pewno nie były jedynym jego potomstwem.

– Mówiąc, że nie miał takiej możliwości, nie chodziło mi o to, że nie żyje, tylko że jako poszukiwany przez policję, nie mógł wrócić do Glasgow. Trzy tysiące funtów rocznie to bardzo poważna kwota. Z całym szacunkiem, pozwałam sobie wątpić, że- byście miały tak szczodrego, anonimowego i tajemniczego darczyńcę.

Zmarszczyły czoła, więc uprościłem słownictwo, dostosowując je do poziomu Glasgow. Czasami używam słów mających stanowczo za dużo sylab.

– Czyli twierdzi pan, że to nie zwłoki naszego taty wyłowiono z rzeki? – Isa przemówiła w imieniu ich obu, z pewnością siebie, jakiej dotychczas u nich nie słyszałem. Może była tą starszą. Mówiono mi, że dla bliźniąt starszeństwo liczone w minutach i sekundach ma wielkie znaczenie. Ale równie możliwe, że powiedziała to Violet.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia – wyznałem. – Powiedzcie mi, czy któraś z was próbowała ustalić, skąd wysyłano te pieniądze?

– Do tej pory trzymałyśmy to w tajemnicy...

– ...bo sądziłyśmy, że to od taty...
– ...więc nie chciałyśmy wywoływać szumu...
– ...ani zrobić czegoś, co naprowadziłoby policję na jego ślad.
– To zrozumiałe – przytaknałem. Potem spytałem tonem, który jasno dawał do zrozumienia, że musimy coś sobie wyjaśnić raz na zawsze: – A więc chcecie, żebym się dowiedział, kto wam wysłał te pieniądze?

– Tak.

– Nawet gdyby miało mnie to doprowadzić do waszego ojca, który jest poszukiwany za najgorsze przestępstwa, jakie sobie można wyobrazić?

Ten sam mars na czołach. A potem stanowcze:

– Tak.

– Zanim przejdziemy dalej, ustalmy jedno – ciągnąłem. – Jeżeli to nie waszego ojca wyłowiono z dna Clyde, a moje śledztwo wykaże, że jest cały i zdrowy, będę musiał zawiadomić policję.

Porozumiały się wzrokiem, po czym spojrzały na mnie.

– Słyszałyśmy, że jest pan...

– ...dyskretny...

– ...i że nie jest pan w najlepszych stosunkach z policją.

– Naprawdę? – Pochyliłem się. – Od kogo to wiecie?

– Zasięgnęłyśmy języka...

Przyglądałem im się przez chwilę. Te urocze bliźniaczki może i robiły z siebie słodkie idiotki, ale przecież były córkami legendarnego glasgowskiego gangstera. Zacząłem pojmować, w jakich kręgach zasięgnęły informacji na mój temat.

– Drogie panie, przemykanie oka na sporadyczne formalne naruszenie prawa to jedno, ale utrudnianie śledztwa, tuszowanie poważnego przestępstwa czy współudział po fakcie w napadzie z bronią w rękę i morderstwie to całkiem inna para kaloszy. Zresztą łamanie prawa to nie moja branża – oświadczyłem z takim przekonaniem, że aż sam w to uwierzyłem.

– Panie Lennox, nasz tatuś nie żyje...

– ...a my chcemy się dowiedzieć, kto nam przysłał pieniądze.

Przemyślałem sobie to, co mi powiedziały. W końcu zaskoczyłem.

– Czyli mam się dowiedzieć, kto wam przysłała pieniądze, bo jeśli nie wasz ojciec, to ten ktoś musi mieć wyjątkowo silny motyw, żeby się rozstawać z taką gotówką. Myślicie więc, że robi to z poczucia winy. Skoro bowiem na dnie rzeki faktycznie spoczywał wasz ojciec, to ktoś musiał go tam wrzucić. Mam rację?

Powiedziałem to takim tonem, jakbym o tym wiedział od początku.

– My tylko chcemy się dowiedzieć, kto nam to przysłała.

– A co potem? – spytałem. – Zawiadomicie policję? Domyślam się, że nie zawracaliście głowy tymi wpłatami urzędowi skarbowemu. A w kwestii napadów z bronią w ręku policja jest przesadnie skrupulatna i biurokratyczna. Więc co sobie zaplanowaliście? Bo jeśli chodzi wam o zemstę z przyczyn osobistych, to uprzedzam, że nie jestem zainteresowany.

– Chciałyśmy tylko się dowiedzieć, kto nam to przysłała – powtórzyła Isa. Tym razem w jej głosie zabrzmiała stalowa nuta, a obie buzie w kształcie serca przybrały zaciętą minę.

– Stemple pocztowe na kopertach zawsze były londyńskie? – zapytałem i westchnąłem lekko, widząc, że chowają pieniądze z powrotem do kopert.

– Nie zawsze...

– ...czasami z Edynburga...

– ...a raz z Liverpoolu.

– Rozumiem... – Zmarszczyłem czoło, a potem przeszedłem do puenty: – Muszę was ostrzec, drogie panie, że to się może okazać zbyt kosztowne. Niewykluczone, że będę musiał sporo podróżować... oczywiście na wszystko przedstawię wam pokwitowania i rozliczenia. Poza tym to potrwa... Ktokolwiek wysłała te pieniądze, niewątpliwie bardzo sobie ceni anonimowość. Niestety, czas to też pieniądź.

– Czy to wystarczy...

Obie z powrotem wyjęły pliki banknotów, odliczyły szeleszczące dwudziestki i po kolei rozłożyły je na biurku. Kiedy skończyły, przed każdą leżało po sześć portretów królowej.

– ...na początek?

– Proszę nas zawiadomić, gdyby potrzebował pan więcej.

Spojrzałem na dwieście czterdzieści funtów. Nieodparta siła

przyciągania napotkała ruchomy obiekt.

– Zobaczmy, co uda mi się wygrzebać – oznajmiłem z najbardziej ujmującym uśmiechem. – Muszę powiedzieć, drogie panie, że moim zdaniem płacie mi za zagładanie darowanemu koniowi w zęby. Może lepiej nie ruszać tej sprawy. – Mówiąc to, zgarniałem już dwudziestki. Uznałem, że skoro Isa i Violet nie zawracały głowy urzędowi skarbowemu, postąpię właściwie, jeśli zrobię tak samo.

– My tylko chcemy wiedzieć, kto to jest... – powtórzyła Violet.

– ...ale nie chcemy, żeby się o tym dowiedział – dokończyła Isa. – Potem postanowimy, co dalej.

– To może być trudne – mruknąłem. Pomyślałem o tym, dokąd mnie to zaprowadzi, i doszedłem do wniosku, że może jednak powinienem bardziej się postarać i oprzeć się sile przyciągania pieniądza. – Jestem prywatnym detektywem. Czyli że zasięgam języka – ciągnąłem. – Ludzie przeważnie dowiadują się, że ktoś się o nich dopytuje. Proponuję zabrać się do tego krok po kroku. Mogę obejrzeć opakowanie, w którym przychodzą pieniądze?

Isa spełniła moją prośbę. Podała mi papierową opaskę: zwykłą, bez oznakowań, z posmarowaną klejem końcówką do zalepiania.

– To nie jest bankowa banderola – powiedziałem. – Jedyne sposoby na wytropienie pochodzenia tych banknotów to przekazanie numerów seryjnych do sprawdzenia policjantom, ale domyślam się, że nic z tego. – Złagodziłem westchnienie uprzejmym uśmiechem. – Zobaczmy, co uda mi się zdziałać. Popytam tu i tam.

– Dziękujemy, panie Lennox – rzuciły jednocześnie.

– Czy możecie mi panie dać jakąś fotografię ojca? Nie chcę jej zatrzymać, tylko skopiować. Potem wam ją oddam.

Isa, a może Violet, pokręciła głową.

– Nie mamy żadnych zdjęć tatusia...

– Nie lubił się fotografować...

– A kiedy zniknął, te kilka zdjęć, które mu zrobiono, również przypadło.

– Rozumiem – powiedziałem. Duchy nie kradną fotografii. – A możecie mi dać listę ludzi, z którymi wasz ojciec miał kontakt przed zniknięciem?

– Nie znałyśmy nikogo, z kim tatuś robił interesy...

– Ale znalazłyśmy nazwiska...

– ...za komodą...

– Jakie nazwiska? – spytałem.

– Listę nazwisk, którą tatuś spisał...

– ...wiele lat temu...

– ...wpadła za komodę...

– ...i mama znalazła ją podczas sprząwania...

– ...są na niej nazwiska...

– Czy to panu pomoże?

– Pomoże mi wszystko, co da mi jakikolwiek punkt zaczepienia – odparłem, chociaż nie wyobrażałem sobie, żeby Dżentelmen Joe Strachan przelał na papier listę współników, którzy pomagali mu w kradzieży podczas Wystawy Imperium Brytyjskiego.

Kiedy one wciąż stukały obcasami na schodach w drodze na dół, podszedłem do okna mojego biura. Gordon Street pod mną i wejście na Dworzec Centralny naprzeciw były pełne ludzi. Na ulicy, jak to przed południem, nie obowiązywały jeszcze ograniczenia parkowania, więc przed samym wejściem do mojego budynku stał samochód. Ford zephyr, prościutko z fabryki, czarny, błyszczący i kupiony na raty. Elegancko ubrany mężczyzna stał oparty o błotnik i palił papierosa. Był bez kapelusza, więc widziałem jego gęste ciemne włosy. Na oko drogi garnitur musiał być szyty na miarę, żeby pomieścić nabite mięśniami bary. Gdy na ulicę wyszły Isa i Violet, facet pstryknął papierosa na chodnik i uprzejmie przytrzymał im drzwi samochodu. A więc to Robert, mąż Violet. Nawet z wysokości trzeciego piętra widziałem, że gość jest z tych, co to „warto mieć ich na podorędziu”, jak by to powiedzieli moi szemrani kumple od interesów.

Przylapałem się na tym, że zastanawiam się, jaką część stroju

Roberta pokryła hojność anonimowego darczyńcy jego żony, a ile zapłacił z dochodów, którymi nie zaprzętał głów urzędników skarbowki. Nie widziałem jego twarzy, więc nie mogłem się zorientować, czy przypadkiem nie natknąłem się na niego przy okazji kontaktów z mniej szacowną częścią śmietanki towarzyskiej Glasgow.

Gdy odjechali, usiadłem skwaszony przy biurku, nie bardzo wiedząc, na co właściwie się krzywię. A może wiedziałem, poświęciłem sporo czasu na to, żeby zwiększyć dystans między mną a Trzema Królami. Czasami wciąż wykonywałem dla nich jakieś zlecenia, bo nie jest łatwo odmówić takim jak Willie Sneddon, Przystojniak Jonny Cohen czy Młot Murphy. Zwłaszcza Murphy źle reagował na tych, którzy mu odmawiali, a jego charakterek nawet psychopata uznałby za wyjątkowo trudny. Było jasne jak słońce, że ta sprawa znów wciągnie mnie w ich świat, skoro dotyczy sławnego – albo niesławnego, zależy, z której strony lufy obrzyna się na to patrzyło – Dzentelmena Joego Strachana.

Ale na tym nie koniec, coś jeszcze nie dawało mi spokoju. Krzywiłem się więc dalej.

Potem wyjąłem z szuflady pieniądze, które dostałem od bliźniaczek, i przeliczyłem. Po chwili przeliczyłem je ponownie i przestałem się krzywić.

ROZDZIAŁ TRZECI

O trzy tysiące mil dalej i o jedną wojnę wcześniej, mniej więcej w tym samym czasie, gdy przestępcza kariera Dzentelmena Joego Strachana kwitła w najlepsze, byłem gorliwym uczniem renomowanej Szkoły Kolegialnej dla chłopców w Rothesay w Nowym Brunszwiku, na atlantyckim wybrzeżu Kanady, bardzo, bardzo daleko od Glasgow, aczkolwiek nie tak daleko jak od Vancouver. Do przedmiotów, w których się wyróżniałem, należała historia. A potem bez chwili wahania odpowiedziałem na wezwanie króla i pośpieszyłem bronić przed małym austriackim kapralem imperium oraz ojczyzny, którą opuściłem, zanim jeszcze nauczyłem się siadać na nocniku.

Jak na ironię realia wojny powodują, że nagle traci się zapał do historii. Patrząc, jak ludzie konają w błocie, krzyczą, płaczą albo wzywają matki, traci się apetyt na wkuwanie dat bitew i zgłębianie chwały dawnych konfliktów. Jeśli wojna nauczyła mnie czegoś na temat historii, to tego, że nie ma w niej przyszłości.

Zapewne dlatego, mimo że na moim biurku leżał imponujący zwitek banknotów, odłożyłem na potem wnikanie w historię najbardziej zuchwałej kradzieży w dziejach Glasgow oraz barwnych, lecz niebezpiecznych typków, którzy za nią stali. Oczywiście, żeby moje rozważania mogły podążyć we właściwym kierunku, potrzebowałem listy nazwisk obiecanej mi przez Isę i Violet. Chociaż w gruncie rzeczy wiedziałem, od czego zacząć, tylko odkładałem to na za parę dni.

Dzień przed wizytą bliźniaczek ktoś zadzwonił do mnie z prośbą o spotkanie. Mężczyzna na linii mówił z afektowanym akcentem, który zwykle kojarzy się z Kelvinside: nosowym i ciut pedziowatym, z dziwacznie wymawianymi samogłoskami, byleby za wszelką cenę ukryć glasgowski akcent. Mieszkałem w tym mieście dobre dwa lata, zanim wykombinowałem, że

„kaj–waj–lei–rija” to nie szansonistka z jakiegoś podejrzanego klubu nocnego, tylko rodzaj wojsk walczących na koniach.

Mężczyzna, w zawiłych zdaniach złożonych z wielosylabowych słów, przedstawił się jako Donald Fraser, adwokat, i oznajmił, że byłby niezmiernie wdzięczny, gdybym zechciał się z nim spotkać w jego biurze przy St Vincent, w „niezmiernie delikatnej sprawie”. Mało tego, „nie jest skłonny do omawiania tej kwestii telefonicznie”. Przełknąłem to i zgodziłem się na spotkanie. Jako prywatny detektyw wiedziałem, że niektórzy muszą nagle wyjawiać komuś swoje problemy – i kontaktują się wyłącznie po to, żeby opowiedzieć własną historię – a mimo to potrzebują czasu, żeby się otworzyć, ba, wręcz mają nadzieję, że ktoś to z nich wyciągnie. Byłem w tym całkiem dobry; często przychodziło mi na myśl, że swoje talenty równie dobrze mógłbym spożytkować jako wenerolog. Wtedy przynajmniej wysłuchiwałbym mniej obrzydliwych historii.

Tak czy owak, nie naciskałem Frasera, żeby mi podał więcej informacji. Już choćby dlatego, że pracował jako prawnik w firmie, o której słyszałem. Dla prywatnego detektywa prawnicy stanowią główne źródło legalnych zleceń, zwłaszcza w sprawach rozwodowych, w których zgodnie ze szkockim prawem jakiś uczciwy obywatel, na przykład ja, musi zeznać, kiedy, gdzie i z kim zadawał się inny obywatel, mimo że absolutnie nie powinien był tego robić.

Po wyjściu Isy i Violet do spotkania z Fraserem zostały mi dwie godziny. Podniosłem słuchawkę, poprosiłem telefonistkę o połączenie z Bell 3500, numerem komendy głównej policji przy Saint Andrew’s Square, a następnie kazałem przełączyć do inspektora Jocka Ferguson’a.

– Co powiesz na pieroga i browarek? – spytałem go.

– Co ty znów kombinujesz, Lennox? – W tle słyszałem stukot maszyny do pisania. Wyobraziłem sobie krzepkiego, rumianego górala w mundurze, jak wysuwając język i w skupieniu marszcząc czoło, dwoma palcami wali w klawiaturę.

– O co mi chodzi? O przyjemność przebywania w twoim towarzystwie, rzecz jasna. I o pieroga z browarkiem. Nie potępiaj mnie z góry w czambuł, najpierw sprawdzę, co mają dziś w kar-

cie w Pod Końskim Łbem.

– Pod Końskim Łbem? – prychnął Ferguson.

– Z jakiegoś powodu nie lubię swojego układu trawiennego.

– Aha... zdaje się, że mojego też. Więc może zamiast narażać nas obu na niestrawność, powiedz, czego ode mnie chcesz?

– Tylko pogadać. To jak, za pół godziny?

Ferguson burknięciem wyraził zgodę i odłożył słuchawkę. Pogaduszki o dupie Maryni nie należały do jego mocnych stron.

Szkoci mają dwie narodowe rozrywki – jedyne, które wzbudzają żarliwe uczucia w szkockich piersiach: piłkę nożną oraz konsumpcję alkoholu. Jak na ironię, w pierwszej z tych dyscyplin są beznadziejni, w drugiej zaś, bezkonkurencyjni. Podobnie jak Irlandczycy, Szkoci mają wszczepione w istotę swojego jestestwa dokuczliwe pragnienie. Ale jako prezbiterianie uważają, że wszystko, co może sprawiać frajdę, należy studiować, ograniczać i regulować, a także wcisnąć w sztywne ramy czasowe. Tak więc w świetle prawa picie w środku dnia było dozwolone od jedenastej do czternastej trzydzieści. Bary mogły otwierać podwoje między piątą a wpół do dziesiątej wieczorem. A w niedzielę alkoholu nie podawano w ogóle.

Różne kluby towarzyskie znalazły oczywiście sposoby na omijanie praw regulujących wyszynk, lecz ogólnie rzecz biorąc, Szkoci opanowali sztukę spożywania imponujących ilości alkoholu z zapierającą dech w piersiach szybkością. Kiedy więc o trzynastej wszedłem do baru Pod Końskim Łbem, panował w nim nieopisany ścisk, a powietrze było gęste od gryzącego w oczy dymu papierosów. Typowa menażeria w porze lunchu w pubie w centrum Glasgow: głównie robole w czapkach z daszkiem, ale i sporo urzędasów w garniturach. Dostrzegłszy Jocka Fergusona przy barze, przecisnąłem się do niego przez morze pijaków. Dobiłem do brzegu i oparłem łokcie na kontuarze.

– Jak leci, Jock? – rzuciłem pogodnie. I głośno, by przekrzyć harmider reszty ochlapusów. Nie podaliśmy sobie rąk. Nigdy tego nie robiliśmy. – Długo czekasz? – Zwróciłem uwa-

gę, że nie ma przed sobą kufła. Czekał, aż postawię pierwszą kolejkę. Domyśliłem się, że będę musiał stawiać też drugą i trzecią.

– Parę minut – odparł, wyczerpując tym samym swój repertuar gadania o niczym.

Duży Bob, barman, stał za ladą, spowity dymem papierosów; lał piwo z kija, obsługując nalewaki tak, jak kolejarz pociąga za dźwignie nastawni. Jak zwykle miał podwinięte rękawy koszuli, prezentując na przedramionach tatuaże, których nie powstydziliby się sam Popeye. Podchwyciłem jego spojrzenie, na co nał nam dwa duże mocne piwa.

– Dorzuc do tego dwa pierogi, Bob! – ryknąłem zza kontuaru, kiedy postawił przed nami kufle.

– No dobra – zagaił Ferguson, upijając łyk piwa i przez chwilę obracając je w ustach. – O co ci chodzi?

– Czy zawsze musi być jakiś powód? To spotkanie czysto towarzyskie. No i trochę dlatego, że chciałem ci podziękować za pomoc w załatwieniu ochrony tych transportów gotówki.

– Już mi za to dziękowałeś. – Ferguson przyjrzał mi się podejrzliwie, czyli tak jak patrzył na wszystkich; ostatecznie był inspektorem śledczym w policji miejskiej Glasgow.

– Włączyli cię do tej sprawy Joego Strachana, Jock? – spytałem tak obojętnie, jak to możliwe. – Wiesz, chodzi o te kości wyłowione z Clyde.

Odstawił kufel.

– A czemuż to interesuje cię Dżentelmen Joe Strachan, Lennox? Działał na długo przed tym, zanim tu nastałeś.

– Ale wygląda na to, że wypłynął na powierzchnię. Dosłownie. A może się mylę? Jesteście pewni, że to szczątki Dżentelmena Joego?

Ferguson obrócił głowę i spojrzał mi prosto w oczy. Podkreślił poziom swojej podejrzliwości do tego stopnia, że nadgarstki zaswędziały mnie w oczekiwaniu na kajdanki.

– Dobra, Lennox, teraz już wiem, że nie kieruje tobą czysta ciekawość. Bez względu na to, dlaczego interesujesz się Strachanem, na twoim miejscu odczepiłbym się od tego raz na zawsze. Ta sprawa leży na sercu większości gliniarzy w Glasgow.

– W porządku, Jock, rozumiem – odparłem, zgrywając naiwniaka. – Ale zadałem ci z gruntu niewinne i rozsądne pytanie: czy to jest Strachan, czy nie?

Ferguson westchnął.

– Tak, to ciało Strachana – przyznał.

– Po blisko dwudziestu latach na dnie Clyde raczej niewiele z tego ciała zostało – zauważyłem równie obojętnie jak poprzednio. Laurence Olivier raczej nie poczułby się zagrożony.

– Dostatecznie dużo, żeby go zidentyfikować. Mam ci powtórzyć, co już powiedziałem? Oficjalnie?

– Wyluzuj, Jock. Po prostu ktoś prosił mnie o potwierdzenie, czy to, co trzymacie w kostnicy miejskiej, to naprawdę szczątki Dżentelmena Joego.

– A kogo to tak ciekawi? Myślałem, że już się odczepiłeś od tego gówna. Znowu pracujesz dla Trzech Królów? Posłuchaj, Lennox, poręczyłem za ciebie, żebyś dostał tę robotę. Jeżeli...

Przerwałem mu, stanowczo unosząc rękę i z oburzeniem kręcąc głową.

– Nie, Jock, nic z tych rzeczy. Nie mogę ci zdradzić, kim jest mój klient, w każdym razie to żaden z Trzech Królów ani inna równie barwna postać.

– Tajemnica zawodowa, co? – prychnął. – Zapewnij mnie, że ktokolwiek to jest, nie pozostaje w kręgu naszych zainteresowań.

– Uwierz mi – powiedziałem rozbijając. – Moi klienci mają z aktami tylko tyle wspólnego, że ich akty ucieszyłyby zbieraczy gołych fotek.

– Bliźniaczki... – Ferguson przez chwilę marszczył czoło, starając się przywołać w pamięci ich imiona. – Isa i Violet?

Patrzyłem na niego pustym wzrokiem.

– Muszę się nauczyć sypać dowcipami w bardziej zawoalowany sposób – powiedziałem w końcu. – Naprawdę tak łatwo mnie przejrzeć?

– Skoro nie pracujesz dla łajdaków, to w grę wchodzi wyłącznie rodzina. A z rodziny Joego Strachana tylko jego córki zwracałyby sobie tym głowę. Miały ten komfort, że nie musiały dorastać blisko ojca. Ostrzegam cię, Lennox, posłuchaj dobrej

rady: rzuć to, i to migiem. Bez względu na to, ile ci płacą Strachanówny, nie warto.

– Dlaczego to takie wielkie halo?

– Dlatego że zginął gliniarz, jakbyś nie wiedział. Martwy glina plus to, że za nazwiskiem Joego Strachana wlecze się kawał historii. Paskudnej historii. Nadinspektor McNab nie jest ci obcy, miewałeś już z nim do czynienia...

– Willie McNab? Wiesz, że się znamy. Jest prezesem mojego klubu wielbicieli, chociaż ostatnio nie przekazuje mi ich listów.

– Ehe... Bardzo śmieszne. Powiem ci tyle, Lennox: jeżeli nadinspektor McNab się zorientuje, że węszysz koło sprawy Strachana, przerobi ci jaja na kolczyki.

– Dlaczego? Co go w tym tak interesuje?

– Nie co, tylko kto. Posterunkowy Charles Gourlay. Młody policjant zabity przez złodziei, którzy obrobili Wystawę Imperium Brytyjskiego. Znasz McNaba, więc wiesz, że w wypadku napaści i zabójstw policjantów wyznaje zasadę oko za oko.

– Nasuwa mi się określenie „sprawiedliwość biblijna”. Wychodzi na to, że w porównaniu z jego żądzą zemsty Mojżesz obszedł się z faraonem jak z jajkiem – odparłem.

– Otóż to. Widzisz, Gourlay nie był pierwszym lepszym krawęznikiem. To się działo w trzydziestym ósmym, Willie McNab też był wtedy młodym posterunkowym. Przyjaźnił się z Gourlayem. Popijali razem w Masonic Lodge, w Orange Hall i Bóg wie gdzie jeszcze. Willie McNab wziął sobie zabójstwo Gourlaya do serca, więc złapanie Strachana i doprowadzenie do tego, żeby zawisł na stryczku przy Duke albo w Barlinnie, stało się dla niego kwestią honoru. A teraz, odkąd Strachana wyłowiono z dna Clyde, nadinspektor McNab uważa, że i jemu, i katu odebrano szansę naprawienia krzywdy.

– Ale może to wcale nie Strachan zabił policjanta. Może ten, kto stuknął gliniarza, załatwił też Strachana?

Ferguson spochmurniał.

– Słuchaj, Lennox, podczas wojny obaj tarzaliśmy się w niezłym gównie. Wiemy, jak to jest trafić tam, gdzie życie ma się za nic. Ale nigdy więcej nie waż się mówić do mnie w ten sposób o zabójstwie policjanta. Posterunkowego Gourlaya nikt nie

„stuknął”. W trakcie wykonywania obowiązków służbowych został zamordowany z zimną krwią przez oprycha, który wiedział, że Gourlay nie ma pistoletu, więc nie może się bronić. Nie jestem Williem McNabem, ale też jestem lojalny wobec kolegów z policji.

– W porządku, Jock... Nie chciałem nikogo obrazić. – Podniosłem rękę. Takie sformułowanie z mojej strony było głupotą. Policja miejska w Glasgow tworzyła zgraną paczkę, w dodatku przewrażliwioną na swoim punkcie. Nie miało znaczenia, czy któryś brał w łapę, zaglądał do butelki, czy był uczciwy: jako gliniarz z Glasgow, przede wszystkim krył swoich i w zamian oczekiwał tego samego. – Ale dostrzegasz taką możliwość, Jock? Że to nie Strachan był mordercą?

– Wystarczy, że stał za tą imprezą. Zaplanował ją, zorganizował ekipę, poprowadził napad. Był szefem. Winnym przed faktem i po nim. W chwili gdy ten posterunkowy umarł, na szyi Strachana zacisnął się stryczek bez względu na to, kto pociągnął za spust. A zresztą świadek zeznał, że strzelał najwyższy z całej bandy.

– To był jakiś świadek?

Ferguson skrzywił się, gdy potrąciło go dwóch przechodzących pijaków. Żeby cokolwiek usłyszeć w tym hałasie, musieliśmy niemal krzyżeć. Ferguson przybrał przesadnie znudzoną minę, ale podejrzewałem, że korzystając z tej przerwy w rozmowie, kombinuje, jak się wykręcić od mojego pytania.

– Kierowca furgonetki – odparł w końcu. – Twierdził, że złodziei było pięciu. Wszyscy w pończochach na głowach, ale jeden był wysoki, a reszta nie miała więcej niż metr sześćdziesiąt osiem, metr siedemdziesiąt. Po mojemu to oznacza, że strzelał Strachan. A jeśli tak, to nic dziwnego, że Dżentelmen Joe zasnął długim kamiennym snem... To on założył stryczek na szyję wszystkim członkom gangu. Może uznali, że musi za to zapłacić.

– Ale skąd wiecie, że Strachan w ogóle maczał w tym palce? Myślałem, że tożsamość wszystkich członków gangu z Wystawy Imperium jest nieznana.

– Strachan... – Ferguson znów przerwał, tym razem dlatego,

że Duży Bob postawił przed każdym z nas talerz z niewielkim, okrągłym, nadzianym mięsem pierogiem, umieszczonym pośrodku kałuży kleistego tłuszczu. – Joe Strachan zniknął zaraz po kradzieży. Rozpłynął się w powietrzu. A nie należał do tych, co to wolą się nie wychylać.

– To wszystko? Chryste, Jock, teraz już wiemy, że to Strachan leżał na dnie Clyde. Stamtąd faktycznie trudno się wychylić. Ale może to czysty przypadek, że został utrupiony mniej więcej w tym samym czasie, kiedy dokonano kradzieży.

– Masz rację, nie znamy pozostałych członków gangu. Jednak już samo to wskazuje na Joego Strachana. Miał fioła na punkcie bezpieczeństwa. Nigdy nie udało nam się drania przyszpilić, bo nikt nie gadał o robocie, jeżeli szedł na nią ze Strachanem. Nikt nie wiedział zawczasu, co ukradną, kiedy ani kto jeszcze jest w ekipie. Jeżeli mogę powiedzieć o nim coś dobrego, to tyle, że w kwestii planowania i przeprowadzania wielkich skoków nie miał sobie równych. Bił wszystkich na głowę. Nawet gdyby nie zniknął, byłby na szczycie listy złodziei, którzy obrobili Wystawę Imperium Brytyjskiego. Jednoosobowej listy. Tak czy siak, ta kradzież na wystawie to jedynie fragment większej całości. Hat-trick.

– Hat-trick? – Znałem tę historię, ale w Glasgow bycie obcym czasem się przydaje: można udawać ignoranta i wyciągnąć z ludzi więcej, niż zamierzają powiedzieć.

– Tak mówią na to u nas dziadkowie. Ci, którzy służą od tak dawna, że mogą to pamiętać. Trzy wielkie kradzieże, popołniane jedna po drugiej, zaplanowane co do pensa i co do sekundy. Bardzo możliwe, że miały związek z mniejszymi kradzieżami dokonanymi kilka miesięcy wcześniej. Dziadkowie uważają, że to były tylko próby generalne przed wielkimi skokami.

– A najokazalszym z tych wielkich skoków była kradzież na Wystawie Imperium Brytyjskiego?

– Trzy skoki na całkiem różne cele, ale przeprowadzone z tą samą wojskową precyzją. Na pierwszy ogień poszedł Narodowy Bank Szkocji przy St Vincent. Dwadzieścia tysięcy funtów na wypłaty i Bóg jeden wie ile ze skrytek depozytowych. Później furgonetka z gotówką na wypłaty w drodze do stoczni Connell

w Scotstoun... coś takiego, czym teraz sam się zajmujesz. Do tej roboty dranie przebrali się za policjantów. Trzydzieści dwa tysiące. A potem poszli na całego: Wystawa Imperium Brytyjskiego. Pięćdziesiąt tysięcy.

Gwizdnąłem przeciągle, chociaż pewnie nie powinienem był okazywać Fergusonowi, że jestem pod wrażeniem. W sumie sto dwa tysiące funtów: kupa forsy, zwłaszcza w przedwojennym Glasgow. Nic dziwnego, że wszyscy uznali, że Dzentelmen Joe musiał zniknąć. W końcu za takie pieniądze można było sobie zapewnić luksusowe życie wszędzie na świecie, a i tak zostałyby dość na kupienie milczenia pozostałych. Uświadomiłem też sobie, że takie fundusze to aż nadto, by móc wysyłać trzy tysiące rocznie na drobne wydatki.

– I jesteś przekonany, że to robota tej samej ekipy?

– Absolutnie. Nie chcę szkalować twojego kręgu towarzyskiego, ale ani Młot Murphy, ani Jonny Cohen nie mają dość rozumu i klasy, żeby się porwać na taki numer.

– Tłumaczyłem ci, że prawie nie mam już z nimi do czynienia. Z każdym dniem coraz mniej. Ale rozumiem, co chcesz powiedzieć.

Rzeczywiście rozumiałem. Jeśli chodzi o napady, największe sukcesy odniósł gang Jonny'ego Cohena, ale to była drobnica w porównaniu z tym, co mi opisał Ferguson. Zwróciłem uwagę na to, że nie wymienił Williego Sneddon. Sneddon miał największe ambicje ze wszystkich Trzech Królów. I największe możliwości. Nigdy nie udało się go skazać za żadne przestępstwo, a teraz jego imperium obejmowało równie dużo legalnych przedsięwzięć co szemranych interesów.

– Mówię ci, Lennox, za nazwiskiem Joego Strachana wlecze się bogata historia. A do tego urazy i dużo rachunków do wyrównania. Więc dla własnego dobra trzymaj się od tego z daleka. Powiedz Isie i Violet, że to faktycznie ich tata spał długim kamiennym snem na dnie rzeki, zgarnij forszę i się z tego wypisz.

– A jeśli to jednak nie on? – naciskałem. – Jeżeli macie kości kogoś innego?

– To Strachan, bez dwóch zdań. A nawet jeśli nie, to tym bar-

dziej się do tego nie mieszaj. Jeżeli Strachan rzeczywiście żyje, lepiej go nie szukaj, a już nie daj Boże, żebyś go znalazł. Wśród miejscowych mętów Joe Strachan jest legendą. „Dżentelmen Joe”? Nie rozśmieszaj mnie. Słyszałem o nim wszystko, czytałem jego akta i mówię ci, to był bezlitosny sukinsyn czystej krwi. Uwierz mi na słowo, Lennox. Powtarzam: dla własnego dobra trzymaj się od tego z daleka. Niektórych trupów lepiej nie wyciągać z szafy... ani z dna Clyde, skoro o tym mowa.

– Słuchaj, Jock, ja wcale nie zamierzam ciągnąć tej sprawy dalej, niż to konieczne. Chcę jedynie ustalić na zlecenie jego rodziny, czy ten, którego wyłowili, to rzeczywiście Joe Strachan. I tyle. – Nie wspomniałem o tym, że poszukuję też kogoś, kto wysłała bliźniaczkom poważne kwoty. – Daj mi tylko coś, od czego mógłbym zacząć. Kogoś, kto wskaże mi właściwy kierunek.

Ferguson przyglądał mi się długo. To jego zimne, puste spojrzenie! Nie sposób było się zorientować, czy taksuje człowieka, zaglądając mu w głąb duszy tym swoim policyjnym wzrokiem i wydobywając jego najmroczniejsze tajemnice, czy zwyczajnie zastanawia się, co wziąć na obiad: kotlet, a może rybę?

– Zgoda, dam ci nazwisko – powiedział w końcu ze znużeniem. – Ale nie mieszaj mnie do tego, Lennox. – Wyjął notes i nabazgrał w nim coś ogryzkiem ołówka. – Billy Dunbar. – Podał mi wydartą z notesu kartkę. – To jego ostatni adres, jaki znam. Dunbar obrabiał furgonetki, a czasami porywał się na napady z bronią w rękę. Kręcił się koło Williego Sneddona w dawnych czasach, kiedy Sneddon znaczył tyle co nic. Na początku kariery odsiedział dziesięć lat, ale później już nigdy nie wpadł. Po kradzieży na Wystawie Imperium wzięli go na przesłuchanie.

– Myślisz, że należał do ekipy?

– Nie. Miał niepodważalne alibi. I nie mówię tu o czymś w rodzaju: „Byłem u cioci i wujka, spytajcie ich”. To było naprawdę żelazne alibi. No i nic go nie wiązało ze Strachanem, chociaż z drugiej strony, nigdy nie udało nam się udowodnić, że Joe Strachan miał w ogóle powiązania z kimkolwiek. Mimo to kilku śledczym z kryminalnego chodziły po głowie różne po-

mysły. O Dunbarze wiadomo jeszcze tyle, że bardzo się starał wyjść na prostą. Ale mieliśmy twarz i nazwisko... więc dostał niezły wycisk, maglowali go ładne kilka godzin.

– Potrafię to sobie wyobrazić – mruknąłem. Skoro zginął gliniarz, to nawet dowód niewinności nie przeszkadza w spuszczeniu człowiekowi łomotu, jeżeli policja podejrzewa, że może wyciągnąć z niego jakiś nędzny ochłap informacji.

– Powiedziałaś, że kręcił się koło Williego Snedдона, zanim ten został szychą. A co z Młotem Murphym? Czy tu też istniało jakieś powiązanie?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Moim zdaniem to zupełnie nieprawdopodobne. Billy Dunbar, tak jak Sneddon, jest zaprzysięgłym, skrajnie lojalistycznym protestantem. Gdyby miał wejść w kontakt z katolikiem, to chyba tylko z brzytwą w garści.

– I mówisz, że teraz jest czysty? – spytałem.

– Był już przed wojną. Przynajmniej jeśli chodzi o odsiadki. Ale z tego, co słyszałem, dziś Billy Dunbar nie obrobiłby nawet kawiarni.

Pokiwałem głową, wyrzucając z niej obraz zamaskowanych zbirów uciekających z dwudziestoma tysiącami funtów w półkoronówkach i pudłem herbaty darjeeling. Z drugiej strony przeszło mi przez myśl, że herbaciarnie w Glasgow również są celem napadów. Jak wszystko. Każdy interes, w którym obraca się gotówką, padał ofiarą tutejszych speców od napadów z bronią w rękę. Poznałem kiedyś kasjera w banku, który przekwalifikował się na policjanta. Powiedział mi, że zmienił fach, bo jako gliniarz ma większe szanse na to, że nie będzie musiał zagłądać w lufę pistoletu.

– Możliwe, że Dunbar w ogóle wyjechał z Glasgow – ciągnął Ferguson. – Ktoś mi mówił, że został naganiaczem w jakiejś posiadłości gdzieś na południu. A może leśniczym.

– Pewnie odstaje od innych – zauważyłem. – No wiesz, jako jedyny leśniczy posługujący się obrzynem. Przychodzi ci na myśl ktoś jeszcze, kto by mnie skierował na właściwe tory, Jock? A co z tym świadkiem?

Ponad ogólny harmider wzbił się ryk śmiechu grupki robotli siedzących za naszymi plecami, więc Jock udał, że mnie nie do-

słyszał.

– Co z tym świadkiem, o którym wspomniałeś? Kierowcą furgonetki? – naciskałem.

– Nie wygrzebię ci jego nazwiska tak na poczekaniu – odburknął, wzdychając. – Odezwę się do ciebie w tej sprawie. Ale wiesz co, powinieneś spytać o to Archiego McClellanda. – Miał na myśli emerytowanego policjanta, którego zatrudniłem do ochrony konwojów pieniędzy. – Archie był wtedy na służbie. Na pewno będzie mógł powiedzieć ci coś na ten temat. To co... zdaje się, że jesteś mi winien następny browarek...

Uśmiechnąłem się z rezygnacją i potrząsając pustym kuflem, odwróciłem się do Dużego Boba, który uwijał się na drugim końcu baru.

Na spotkanie z Donaldem Fraserem, adwokatem, stawilem się punktualnie. Ku swojemu rozczarowaniu przekonałem się, że wyglądał z grubsza tak, jak go sobie wyobrażałem, słysząc jego głos: nijako i ponuro. Wysoki i bezbarwny w sposób zarezerwowany dla prawników oraz dyrektorów banków, miał na sobie drogi garnitur z granatowej serży, o fasonie, który dopiero co wyszedł z mody. Materiał był nieco za gruby jak na tę porę roku, a rękawy marynarki świeciły się na łokciach od zbyt częstego opierania się o blat biurka. Równie wytarty jak łokcie mecenasu był czubek jego głowy, z przeświecającą przez rzędzące włosy łysiną. Wyraz świdrujących małych oczu, którymi obserwował mnie zza okularów w drucianej oprawie, zapewne miał świadczyć o jego wyższości albo mnie zastraszyć. Ale nie przyniósł zamierzonego rezultatu. Zapraszając mnie, żebym zajął miejsce, prawnik zużył na to połowę słownika. Usiadłem, zdjąłem kapelusz i zawiesiłem go sobie na kolanie.

– Tak się przypadkiem złożyło, że napomknął mi o panu mój kolega po fachu, George Meldrum – zagaił Fraser.

– Znam pana Meldruma – przyznałem, nie okazując zaskoczenia, że Fraser spotkał go na gruncie zawodowym. Bo ze słyszenia George'a Meldruma znali wszyscy. Ten najbardziej ekstrawagancki obrońca w Glasgow reprezentował co barwniej-

szych przedstawicieli tutejszego półświatka, a jego głównym klientem był Willie Sneddon, jeden z Trzech Królów. Meldrum należał do tych śliskich łajdaków, którzy traktują jak gówno każdego, kto im nie może podskoczyć, ale w obecności Snedдона przejawiał służalczość, która okryłaby wstydem nawet szanującego się wazeliniarza. – Jego rekomendacja mi pochlebia – dorzuciłem takim tonem, jakbym sam w to wierzył.

– Ja myślę... – Ton Frasera sugerował, że była to nie tyle rekomendacja, ile mus z braku laku. – Mecenasa Meldrum zapewnił, że jest pan człowiekiem dyskretnym. Zwłaszcza w kwestii mniej przyjemnych aspektów niektórych śledstw.

– Rozumiem – mruknąłem, domyślając się, że Fraser oczekuje, że wyczyszczę na błysk moją pałkę z obciążonego skórą ołowiu. – Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę z tego, że zawsze poruszam się tylko i wyłącznie w granicach prawa?

– Oczywiście – przytaknął Fraser stanowczo, acz z nutką urazy, jakbym kwestionował jego prawość. – Niczego innego się nie spodziewałem. W przeciwnym razie nie prowadzilibyśmy tej rozmowy.

– Więc może mi pan powie, czego pan ode mnie chce? – wygarnąłem prosto z mostu. – To, czego nie był pan skłonny omawiać telefonicznie. – Zrewanżowałem mu się jego zwrotem za dwadzieścia gwinei.

– Jest pan Amerykaninem, panie Lennox? Pański akcent...

– Nie, Kanadyjczykiem. Rodzice są Szkotami, ale wychowałem się w Kanadzie.

– Aha – rzucił z aprobatą, jak gdyby szerokość geograficzna, pod którą się wychowałem, w jego pojęciu była godna pochwały. Kanadyjczyków łączyły ze Szkotami silne braterskie więzy, o czym najlepiej świadczyła ciągnąca się na odcinku trzech przecznic kolejka przed konsulem kanadyjskim w Woodlands Terrace, złożona z tych, którzy mieli nadzieję, że wkrótce na zawsze pożegnają się z Glasgow. Dla odmiany prostactwo parweniuszy ze Stanów Zjednoczonych u znakomitej większości Brytyjczyków budzi głęboki niesmak, głównie z powodu bezczelności, z jaką Amerykanie uchronili Wielką Brytanię od porażki podczas wojny, a później od bankructwa. – Tak jak ten aktor,

Robert Beatty? – ciągnął Fraser z przejęciem. – Moja żona jest jego zapaloną wielbicielką.

– Niezupełnie. Beatty pochodzi z Ontario. Ja się wychowałem w Nowym Brunzwicku, na atlantyckim wybrzeżu Kanady.

– Ach tak – mruknął Fraser, nieco rozczarowany. Przemawiała za mną właściwa szerokość geograficzna, ale długość już nie. Prawnik otworzył pękatą teczkę w formacie papieru kancelaryjnego i pchnął do mnie po blacie wielkie czarno-białe zdjęcie portretowe. Nieprzyzwoicie atrakcyjna twarz błysnęła do mnie stuwatowym uśmiechem. Rozpoznałem ją natychmiast.

– To nie jest Robert Beatty – zauważyłem.

– Nie... To amerykański aktor John Macready. – Fraser powiedział mi coś, co i tak już wiedziałem. – Pan Macready obecnie przebywa w Glasgow. Gra w produkcji realizowanej na terenie Szkocji. Zdjęcia kręcone są głównie w górach... o ile mi wiadomo, to film przygodowy. Pod koniec miesiąca, czy jakoś tak, pan Macready wraca do Stanów Zjednoczonych, odleci z nowego lotniska w Prestwick. Tymczasem zamieszkuje w hotelu Centralnym, który jak mi się zdaje, jest położony dokładnie naprzeciw pańskiego biura.

– Na czym miałyby polegać moja rola? – spytałem.

– Moja kancelaria współpracuje z Hobson, Field i Chase, najbardziej renomowaną kancelarią prawną w Londynie. Oni z kolei reprezentują na terenie Wielkiej Brytanii interesy wytwórni produkującej kręcony w Szkocji film, w którym gra pan Macready. Zdaje się, że to coś o tematyce historycznej.

– Rozumiem – przerwałem mu. – Co go kręci?

Fraser zmarszczył czoło.

– Nie bardzo rozumiem...

– Czyżby? Domyślam się, że szuka pan przyzwoitki dla Macready'ego. Z doświadczenia wiem, że w tej branży ludzie bardziej potrzebują guwernantki niż ochroniarza. Jakie są jego upodobania? Gorzała, prostytutki, ładni chłopcy czy narkotyki? A może wszystko naraz?

Fraser spojrział na mnie z głębokim niesmakiem, co spodobało mi się na tyle, że zrewanżowałem się maksymalnie bezczelnym uśmiechem. Doszedłem do wniosku, że adwokat o świdru-

jącym spojrzeniu potrzebuje mnie bardziej niż ja jego. Ktoś, komu nie mógł odmówić, poprosił go, żeby się unurzał w rynsztoku. Najwyraźniej uznał, że jest to robota w sam raz dla mnie.

– Nie musi pan określać tego tak ordynarnie, panie Lennox, nie ma po temu najmniejszego powodu.

– Jasne, wiem, że nie muszę... ale mam rację, prawda? Chce pan, żebym go niańczył, dopóki nie znajdzie się na pokładzie samolotu?

Niesmak w oczach Frasera nie osłabł.

– Otóż nie. Wytwórnia przysłała w tym celu swoich dwóch ochroniarzy.

– Takie buty. To czemu mam wrażenie, że mam pozamiatać coś, co już zostało pozamiatane? Ktoś jest mądry po szkodzie?

– Pański tok rozumowania przy tego typu sprawach dowodzi znajomości rzeczy, panie Lennox.

– Cóż na to poradzę? Prowadzę ciekawe i urozmaicone życie. Zakładam, że mam rację. John Macready zrobił coś niestosownego, więc trzymają go w pięciogwiazdkowym areszcie domowym, dopóki nie uda się go wywieźć z kraju. A tymczasem szuka pan kogoś, kto pozapina wszystko na ostatni guzik. Dużo jest tych guzików?

– Obawiam się, że bardzo dużo. Pan Macready jest, jak to mówią nasi amerykańscy przyjaciele, obiektem kobiecych westchnień. Ma seksapil, co dobrze się przekłada na wpływy kasowe. A ciesząc się opinią niepoprawnego bawidamka, regularnie pokazuje się z najpiękniejszymi aktorkami Hollywood uwieszonymi na jego ramieniu.

– Zdaję sobie z tego sprawę – powiedziałem. – Ale skoro pan o tym wspomina, to znaczy że obecne kłopoty pana Macready'ego wynikają z tego, że jego reputacja jest albo prawdziwa, albo wręcz przeciwnie.

Fraser podszedł do solidnej szafki na akta. Otworzył ją wyjętym z kieszeni kluczem, wyciągnął brązową kopertę i podał mi ją, po czym z powrotem usadowił się za olbrzymim biurkiem.

– Jak sam pan zobaczy, mamy do czynienia z problemem wyjątkowo delikatnej i bardzo poważnej natury...

Wziąłem kopertę, nastawiłem się na najgorsze, po czym wy-

sunąłem plik fotografii.

– Rany boskie! – mruknąłem, jak się okazało wystarczająco głośno, by Fraser to usłyszał.

– No właśnie... – W głosie prawnika zabrzmiała złośliwa satysfakcja. – Przyznaję, panie Lennox, że zaimponował mi pan swoją cyniczną postawą człowieka, który widział wszystko, ale jak wnoszę z pańskiej reakcji, nawet pan ma swoje granice. Zakładam, że rozpoznaje pan osobę uwiecznioną z panem Macreadym?

Gapilem się na zdjęcia. Przez chwilę nie mieściło mi się to w głowie. Za to młodemu, zgiętemu w pół pod Macreadym mężczyźnie na fotografii wyraźnie mieściło się wszystko.

– Nie śledzę rubryk towarzyskich w prasie, ale oczywiście, że go poznaję. To jedyny syn i spadkobierca księcia Strathlorne, dobrze mówię? Domyślam się, że w tak szlacheckich rodach to naturalna kolej rzeczy... – Jak najszybciej przejrzałem pozostałe zdjęcia, acz nie dość szybko, bo zrobiło mi się niedobrze. – Szantaż? – spytałem w końcu.

– Tak. Praktycznie tak. Osoba występująca z żądaniami nie ukrywa swej tożsamości i doбира słowa z najwyższą starannością, żeby niczego nie można było poczytać za groźbę. Ów człowiek twierdzi, że ujawnienie tych zdjęć leży w interesie publicznym.

– Chyba że ktoś je od niego odkupi?

– Otóż to.

– Jakoś nie wyobrażam sobie, żeby „Picturegoer” albo „Everybody’s” zamieściły taki obrazek z podpisem: „Gwiazdor z Hollywood penetruje wąski krąg wyższych sfer”. Ta, hm, druga strona na zdjęciach niewątpliwie ma więcej do stracenia. Dlaczego to nie jego szantażują?

– Ta druga strona, jak pan to ujął, oraz jego bliscy nie mają pojęcia o istnieniu tych fotografii. Na razie. Rozumie pan, jak sądzę, że reperkusje byłyby bardzo poważne. Poza tym oni mają dość władzy, by zagwarantować, że w brytyjskiej prasie nie ukaże się na ten temat najmniejsza wzmianka. Ale dla amerykańskich środków przekazu byłyby to niebywała gratka. Z pewnością nie muszę panu tłumaczyć, że pederastia i obraza

moralności to w tym kraju poważne przestępstwa. Szantażowanie członka rodziny królewskiej, nawet dalekiego, wymaga nie lada zimnej krwi.

Fraser zgarnął fotografie z biurka i schował je z powrotem do koperty.

– Rozumie pan, panie Lennox, że dysponuje pan teraz wiedzą, do której niewielu ludzi kiedykolwiek uzyska dostęp. Jeśli komukolwiek opowie pan o tym, co tu widział, kategorycznie zaprzeczę, że takie fotografie istnieją... może pan być pewny, że do tej pory znikną z tego biura, a zważywszy na pozycję tej drugiej osoby na zdjęciach, stanie się pan obiektem zainteresowania osób oraz organizacji nieporównywalnie groźniejszych niż pańskie obecne towarzystwo.

W życiu nie słyszałem równie zawilej groźby. Ale odniosła skutek.

– A może ja nie chcę się w to mieszać – odparłem, choć prawdę mówiąc, wcale nie byłem tego taki pewny. – Ta sprawa zdecydowanie mnie przerasta.

– Doskonale pana rozumiem. Upoważniono mnie, abym wypłacił panu pięćdziesiąt funtów, jeżeli nie przyjmie pan tego zlecenia. W zamian poproszę o podpisanie zobowiązania, zgodnie z którym z nikim nie będzie pan rozmawiał na temat naszego dzisiejszego spotkania.

– Pięćdziesiąt funtów? – Uśmiechnąłem się pełną gębą. – Proszę śmiało dzwonić do mnie zawsze, kiedy będzie pan miał dla mnie robotę, której się nie podejmę.

– Jeśli jednak przyjmie pan to zlecenie, upoważniono mnie do wypłaty tysiąca funtów w gotówce teraz oraz kolejnych czterech tysięcy po odzyskaniu negatywów. Naprawdę będziemy wdzięczni za pańską profesjonalną pomoc, panie Lennox.

Znowu popisałem się tym cichym przeciągłym gwizdem, który wywołują we mnie duże pieniądze.

– Pięć tysięcy? Nic z tego nie rozumiem. Czy nie taniej byłoby zapłacić szantażyście?

– Pan naprawdę sądzi, że za wykupienie tych zdjęć żąda się kwoty porównywalnej z pięcioma tysiącami funtów? Na wolnym rynku można by za nie zażądać Bóg wie ile, a poza tym

szantażysta jest szantażystą, choćby się stroił w nie wiadomo jak ładne piórka. Nie wyobrażam sobie, że by się odczepił, gdybyśmy spełnili jego wstępne żądania. Nawet gdyby nie wysuwał już dalszych roszczeń, nie mielibyśmy żadnej gwarancji, że zniszczył wszystkie istniejące odbitki i negatywy. Panie Lennox, my panu płacimy za przekazanie pieniędzy, odzyskanie negatywów i upewnienie się, że wszystkie odbitki poza tymi, które mam tutaj, zostały zniszczone.

– A co z szantażystą?

– Szczerze mówiąc, chcielibyśmy, żeby ten, kto wykonał te zdjęcia, jasno zrozumiał, że my nie żartujemy.

– Oczywiście. – Nimb prawości Frasera nieco przyblakł; wyglądało na to, że jednak będę musiał wyczyścić swoją skórzaną pałkę na glans. – Nie wiem, co panu powiedział George Meldrum, mecenasie, ale nie jestem zbirem do wynajęcia. Jednak zważywszy na jego kontakty, z pewnością zna mnóstwo ludzi, którzy bardziej się nadają do takiej roboty...

Fraser przerwał mi, unosząc dłoń.

– To nie jest zadanie dla zabijaki, panie Lennox. Zapewniono mnie, że jest pan byłym oficerem, człowiekiem inteligentnym oraz że podchodzi pan do swojej pracy w sposób... hm... zdecydowany. Widział pan fotografie i rozumie pan powagę sytuacji. Potrzebny nam ktoś stanowczy, a jednocześnie dyskretny. A zatem, panie Lennox, mam wypłacić pięćdziesiąt funtów czy tysięcy?

Przez chwilę obserwowałem jego niezapadającą w pamięć twarz.

– Oczekuję, że do czasu odzyskania kompletu oryginałów fotografii zapomni pan o wszystkich innych sprawach – dodał.

– Nie da rady – odparłem. – W piątki konwojuję transporty gotówki.

– Z pewnością znajdzie pan kogoś, kto pana zastąpi.

– Nie. Transportów pilnuję osobiście. Mam też inną sprawę, którą muszę prowadzić dalej. Wziąłem już za nią zaliczkę. Nie zajmie mi wiele czasu, ale nie mogę jej rzucić. Byłbym gotów podjąć się pracy dla pana, w zależności od tego, jakich wskazówek mi pan udzieli, ale nie mogę zawieść swoich zleceniodaw-

ców.

Ostatnio najczęściej używałem określenia „zleceniodawcy” zamiast „klienci”, bo brzmiało profesjonalnie. W ten sposób prezentowałem się bardziej jak prawnik niż hydraulik.

– A zresztą te inne sprawy to już mój problem, nie wasz – zakończyłem.

– Obawiam się, że my widzimy to inaczej – odrzekł Fraser.

– My?

– Wytwórnia, moi koledzy z Londynu i oczywiście ja – spreyczował. – Będzie się pan kontaktował bezpośrednio ze mną, panie Lennox. – Nachylił się i podał mi nad biurkiem wizytówkę. – Złapie mnie pan pod każdym z tych numerów, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jeśli będzie miał pan jakieś wiadomości, chcę je usłyszeć natychmiast.

– Oczywiście. Proszę posłuchać, mecenasie, bardzo chętnie podejmę się tego zlecenia dla pana, ale powtarzam: nie mogę obiecać, że będę się zajmował tylko i wyłącznie tą sprawą.

Fraser przez chwilę przyglądał mi się tym swoim świdrującym prawniczym wzrokiem.

– Niech będzie – powiedział takim tonem, jakby spełniał zachciankę dziecka, lecz ja w tej samej chwili uświadomiłem sobie, że nie miał wyboru. Kimkolwiek byli ci „my”, znaleźli się w rozpaczliwej sytuacji.

– Mówił pan, że zna pan nazwisko szantażysty.

– Paul Downey, fotograf od siedmiu boleści. Poza tym początkujący aktor, a przynajmniej tak się wydaje. Przepadł gdzieś, zostawiając instrukcje, żeby wszystkie „oferty na jego sensacyjny materiał”, jak to ujął, przysyłać do skrytki pocztowej w urzędzie pocztowym przy Wellington. – Fraser znów się zagłębił w aktach. – Mam tu jego ostatni znany adres oraz zdjęcie. O ile mi wiadomo, stosunkowo świeże.

Spojrzałem na fotografię. Downey był młody, niewiele po dwudziestce, i miał typowy hiszpańsko-celtycki wygląd katolika z Glasgow: ciemne włosy, blada cera. Trochę przydługie czarne loki nadawały mu nieco dziewczęcą urodę, ale nie tę w stylu *teddy boys*, podkreśloną wielkimi łagodnymi oczami oraz delikatnym wykrojem ust i kształtem brody.

– Pan Downey także jest... – Fraser zawiesił ostatnie słowo w powietrzu. – On również należy do tego środowiska.

– Rozumiem. – Przemyślałem to sobie. – I twierdzi pan, że ta druga sfotografowana osoba nie ma pojęcia o istnieniu tych zdjęć?

– Zgadza się.

– A konkretnie jak długo pan Macready pozostanie w Glasgow?

– Na planie filmowym ma już niewiele do roboty, ale przed powrotem musi wypełnić jeszcze pewne zobowiązania natury technicznej oraz związane z promocją. Planuje powrót na początku przyszłego miesiąca. Ma rezerwację na lot liniami BOAC z Prestwick.

– Jeżeli mam się w to zaangażować, muszę z nim porozmawiać. Chyba mnie pan rozumie, mecenasie?

– Spodziewałem się tego, panie Lennox. Dlatego też sporządziłem plan ostatnich dni jego pobytu w Szkocji. Jego asystentką jest panna Bryson. Proszę. – Podał mi kartkę. – Przypuszczam, że nie da się uniknąć omawiania tej sprawy bezpośrednio z panem Macreadym?

– Niestety nie. Zdjęć, które mi pan pokazał, nie wykonano w pośpiechu. To mi śmierdzi z góry zastawioną pułapką. Autorzy fotografii doskonale wiedzieli, jak tamci dwaj się zabawiają. A domyślam się, że orientują się, z kim Macready to robi, w pełni zdawali sobie sprawę, o jaką stawkę grają. Będę musiał zadać panu Macready’emu kilka trudnych pytań.

– Wiem, że to pana nie interesuje ani niewiele obchodzi, ale moim zdaniem John Macready to porządny człowiek, chociaż każdemu prawomyślnemu obywatelowi ten aspekt jego życia wydaje się odrażający.

– Nie wątpię, że jest pełnym wiary pielgrzymem – odparłem. – Z tego, co zobaczyłem na zdjęciach, niewątpliwie wyznaje przynajmniej jedną chrześcijańską zasadę.

Fraser pytająco uniósł brwi, więc wyjaśniłem:

– Odniosłem wrażenie, że on naprawdę wierzy, że „więcej szczęścia jest w dawaniu aniżeli w braniu”¹.

¹ Dzieje Apostolskie 20, 35, przekład za Biblią Tysiąclecia (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

ROZDZIAŁ CZWARTY

Chciałem się dowiedzieć czegoś więcej na temat Donalda Fräsera, więc przed powrotem do biura postanowiłem zadzwonić z budki telefonicznej na rogu Blythswood Square do Jocka Fergusona. Była to typowa w Glasgow budka telefoniczna: z zewnątrz niefachowo ochlapana grubą warstwą czerwonej farby, która odłaziła na purchlach, w środku trąca obowiązkowym w glosgowskich budkach telefonicznych odorem starego mocz, co zmusiło mnie do przytrzymywania nogą ciężkich drzwi, zamykających się samoczynnie na sprężynach. Z niewiadomego powodu glosgowczycy nigdy nie zdołali pojąć, że słowo „pisuar” różni się leksykalnie od „budki telefonicznej”, „wejścia do banku”, „basenu” czy „tyłu płaszcza stojącego przed tobą kibica na meczu piłki nożnej”.

Miałem szczęście – złapałem Jocka Fergusona przy biurku. Zapytałem, co wie o Donaldzie Fraserze, i choć nie wiedział nic, to z lekkim westchnieniem obiecał, że zasięgnie języka. A potem zapytał mnie, do czego potrzebna mi ta informacja, na co powiedziałem mu prawdę: że Fraser to tutejszy adwokat, który chce mnie wynająć, więc zanim się podejmę zadania, wolę sprawdzić jego wiarygodność. Ferguson odparł, że oddzwoni później do mojego biura i powie, czego się dowiedział. Poza tym jasno dał do zrozumienia, że na kolejny lunch mam go zaprosić do bardziej ekskluzywnego lokalu niż bar Pod Końskim Łbem.

Wróciłem spacerkiem do biura. Wciąż było gorąco oraz parno, bo w Glasgow wysoka temperatura zawsze wiąże się z duchotą. Tego roku nawet w środku letnich upałów odnosiło się wrażenie, że miasto otworzyło pory i ocieka potem. Jednak ta duchota, zalegająca mi w nosie i w piersi, jak zawsze ostrzegęła, że nadciąga smog.

Po powrocie stwierdziłem, że dostarczono już popołudniową

pocztę. W jednej kopercie znalazłem pojedynczy arkusz zwyczajnego papieru zawierający listę nazwisk. Nie było podpisu ani żadnych danych nadawcy. Chyba jednak Isa i Violet nie były tak prostolinijne, jak na to wyglądały.

Rozpoznałem tylko trzy nazwiska, a jedno z nich przypadkiem widniało na szczycie listy. Przez chwilę miałem nadzieję, że zajmujący pierwsze miejsce Michael Murphy nie jest tym człowiekiem, który natychmiast przyszedł mi do głowy. Przepisałem je wszystkie do swojego notesu:

MICHAEL MURPHY
HENRY WILLIAMSON
JOHN BENTLEY
STEWART PROVAN
RONALD MCCOY

Pięć nazwisk. Pięciu złodziei obrobiło Wystawę Imperium Brytyjskiego. Ale skoro jednym z nich był Strachan, to nie wyobrażałem sobie, żeby w ekipie znalazł się ten Michael Murphy, o którym od razu pomyślałem, gdy ujrzałem jego nazwisko na liście.

Podczas wizyty w moim biurze Isa – a może Violet – zostawiła numer telefonu, pod który teraz zadzwoniłem. Okazało się, że była to Isa. Spytałem, czy Michael Murphy na liście to Młot Murphy, na co odparła, że wprawdzie nie jest pewna, ale niewykluczone. Jej ojciec i Murphy się znali.

– Jaki charakter miała ta znajomość? – spytałem.

– Tata znał wszystkich braci Murphych. Sądzę, że czasami dla niego pracowali. Dorywczos. Mama mówiła, że to było w czasach, zanim Michael Murphy odniósł sukces i stał się, nazwijmy to, wielką figurą. Ale on wciąż się pojawiał. Nie pamiętam, czy bywał w naszym domu, no ale wtedy byłam jeszcze malutka.

– A Henry Williamson? – zapytałem. Uderzyło mnie, że to nazwisko nie pasuje do glasgowczyka.

– Był bliskim przyjacielem taty. Ale jego też nigdy nie widziałam. Z tego, co mówiła mama, wynika, że tata znał go od lat. Od

wojny. To znaczy od czasu pierwszej wojny światowej.

– Pani ojciec walczył podczas pierwszej wojny światowej?

– Tak. Był bohaterem. Nie wiedział pan?

– Sądziłem, że pani ojciec był za młody, żeby walczyć.

– To było pod koniec wojny.

– I wtedy poznał Williamsona?

– Tak mi się wydaje.

– Czy Williamson też zajmował się działalnością przestępczą?

Po drugiej stronie zapadła chwila ciszy; zastanawiałem się, czy nie obraziłem Isy przypomnieniem, skąd wzięło się bogactwo jej ojca.

– Nie wiem. Naprawdę – odparła w końcu. – Sądzę, że pan Williamson nigdy nie trafił do więzienia ani nie był aresztowany, ale to tylko moje domysły. Po odejściu taty już do nas nie zaglądał. Jednak wcześniej widywali się bez przerwy.

– Wie pani, gdzie mogę go znaleźć? Gdzie mieszka?

– Niestety nie. Wiem tylko, że tata poznał go podczas wojny.

Ale moim zdaniem on nie był z Glasgow.

– Rozumiem... – mruknąłem.

Podpytałem Isę o pozostałe nazwiska z listy. Dwa z nich znałem, a raczej uświadomiłem sobie, że je znam, kiedy dostarczyła mi o nich nieco informacji. Sztuka w sztukę złodzieje i oprychy. Uznałem, że to całkiem możliwe, że mam w rękę listę nazwisk członków bandy, która dokonała skoku na Wystawę Imperium Brytyjskiego. Tylko czy to mogło być aż tak proste? W tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym policja z pewnością dysponowała tym samym spisem nazwisk, a jednak nie udało jej się przygwoździć choćby jednego ze złodziei.

Pozostało jeszcze jedno imię i nazwisko, o które musiałem zapytać: John Bentley.

– Jego też nie poznałam. Mama mówiła, że tylko słyszała, jak tata rozmawiał o nim z pozostałymi.

Przed wizytą u Williego Sneddon'a zadzwoniłem i umówiłem się na spotkanie. Za pośrednictwem sekretarki.

Tak obecnie wyglądały kontakty ze Sneddonem. Sekretar-

ki, Andrzej Drzewiński ustalanie terminu, spotkanie w biurze.

Willie Sneddon był bez dwóch zdań najbardziej podstępny i najgroźniejszy z Trzech Królów. O czymś to świadczyło, zważywszy, że Młot Murphy nie dorobił się swojej ksywki dzięki zdolnościom stolarskim. Willie Sneddon był najbardziej niebezpieczny z całej trójki głównie dlatego, że miał łeb nie od parady. W glasgowskich slumsach rodziło się wielu takich Sneddonów: ludzi, którzy nie mając życiowych szans ani motywacji, dzięki wrodzonej inteligencji potrafili się wyrwać z rynsztoka. Ponad połowie z nich się nie udawało – obsesyjna świadomość klasowa Brytyjczyków na każdym kroku rzucała im kłody pod nogi. Pozostali wbrew wszelkim przeszkodom osiągnęli sukces: zostawali chirurgami, inżynierami, potentatami biznesu, którzy osiągnęli wszystko własnymi rękami.

A nieliczni, jak Willie Sneddon czy Dzentelmen Joe Strachan, użyli szarych komórek, żeby sterroryzować i podporządkować sobie półświatek. Sneddon był zbyt małą płótką, by zwrócić na siebie uwagę Strachana, ale gdyby Strachan nie zniknął, ich ścieżki prędzej czy później musiałyby się skrzyżować. I doszłoby do konfrontacji w stylu: to miasto jest za małe dla nas dwóch.

Ich ścieżki się jednak nie przecięły, więc Willie Sneddon miał wolną drogę do zdominowania półświatka Glasgow, co zresztą zrobił, ku irytacji dwóch pozostałych Królów, Murphy'ego i Cohena. Podzielili miasto między siebie na trzy równe części, z tym że część Sneddona była równiejsza. Mimo że był najmłodszym z Trzech Królów, zaszedł dalej i o wiele szybciej niż pozostali dwaj. I wszyscy wiedzieli, że jeszcze nie skończył wspinać się na szczyt.

Podobnie jak Strachan, Sneddon bardzo się pilnował, żeby więzienie Barlinnie oglądać wyłącznie z daleka, najlepiej mijając je swoim jaguarem, gdy jechał autostradą A8. Fakt, miał kilka utarczek z miejscową policją, ale nie zaliczył żadnej większej wpadki. Układy ze śliskim adwokatem George'em Meldrumem oraz hojność, z jaką rozdawał wypchane gotówką brązowe koperty, gwarantowały, że świat zza krat oglądał jedynie przez okna barów – albo należących do niego, albo tych, z których

ściągał haracz. Chodziły też słuchy, że trzymał sztamę z nadinspektorem McNabem, bo obaj należeli do oranżystów, masonów i Bóg wie jakiej jeszcze tajnej organizacji, której członkowie sekretnym uściskiem ręki dają dowód wtajemniczonym, że nienawidzą fenian.

Poza tym Sneddon był bogaty. Niewyobrażalnie bogaty. Miał więcej pieniędzy niż pozostali dwaj Królowie razem wzięci, tak dużo, że nikomu nie udałooby się ich policzyć co do grosza. Jeśli o mnie chodzi, to nigdy nie widziałem wielkiej różnicy między biznesmenami a gangsterami, może poza tą, że gangsterowi pewnie prędzej uwierzyłbym na słowo. Sneddon łączył w sobie bezduszną szefa gangu z chciwością i rzutkością rekina finansowego, co jak się domyślałem, stawiało go ponad wszystkimi innymi zwierzętami w dżungli. Jak to mówią zoolodzy, stał na szczycie łańcucha pokarmowego.

W jego życiu zachodziły szybkie zmiany. Większość nieuczciwie zdobytych środków inwestował w legalne przedsięwzięcia. Początkowo robił to w ramach przykrywki, później jednak zorientował się, że wprawdzie ma z tego mniej korzyści, a zyski są skromniejsze niż z działalności przestępczej, za to ryzyko maleje niemal do zera. Dlatego obecnie z powodzeniem prowadził absolutnie czystą firmę importową, agencję nieruchomości oraz trzy salony samochodowe – a do tego miał udziały w jednej z największych stoczni remontowych nad Clyde.

I od wszystkiego płacił podatki, niczego nie ukrywając i zawsze na czas. Skrupulatnie.

Tak więc teraz Willie Sneddon – który podobno kiedyś, w przypływie dobrego humoru, wygotował ciało ze stóp konkurującego z nim gangstera tylko dlatego, że ów łajdak bąknął coś w rodzaju, że ugotuje Snedдона przy okazji jakiegoś interesu – obracał się w kręgach obszarników, właścicieli stoczni, radców miejskich oraz rekinów biznesu.

Powiadano jednak, że nadal korzysta z usług Pedikiurka MacBride'a, swojego nadwornego specja od tortur, i przebranych za *teddy boys* zakapiorów, w tym niemowy o ironicznej ksywce Śpiewak. Często zastanawiałem się, jak Pedikiurek MacBride, bezwzględny mięśniak bez krzty rozumu i subtelności, zaadapt-

tował się w tym nowym środowisku. Nie wiem czemu, wyobrażałem go sobie teraz paradyżującego w meloniku, garniturze w prążki i z dyplomatką obciążoną cęgami do metalu, którymi usuwał palce u nóg niezbyt skłonny do zwierzeń ofiarom.

Sekretarka Sneddon chciała mnie zvekslować na następny dzień, ale przywołałem cały swój urok i nadstawiając karku, powiedziałem, że chociaż sprawa jest ważna i niecierpiąca zwłoki, to zajmę mu najwyżej dziesięć minut. Kazała mi zacząć, poszła skonsultować się z szefem, a po chwili wróciła i oznajmiła, że Sneddon może mnie przyjąć za kwadrans.

Zaledwie odłożyłem słuchawkę, zabrzączał telefon. Dzwonił Jock Ferguson.

– Popytałem tu i tam o Donalda Frasera – powiedział. – Jest koszerny jak rzeźnik z Tel Awiwu. Zajmuje się głównie prawem zobowiązań. W życiu bym nie przypuszczał, że weźmie sprawę rozwodową. – Ferguson wyciągnął oczywisty wniosek, a ja postanowiłem nie wyprowadzać go z błędu.

– Myślę, że podjął się tego, bo chciał się odwdzińczyć. Pewnie jakiś klient poprosił go o przysługę. Wygrzebałeś coś jeszcze na jego temat?

– Nie było w czym grzebać. Studiował w Fettes w Edynburgu. Podczas wojny służył w formacjach obrony terytorialnej. Zdaje się, że nie wcielili go do wojska z powodu kiepskiego wzroku. Jego ojciec brał udział w pierwszej wojnie światowej, był oficerem.

– Szacunek, Jock, twoje zdolności wywiadowcze są o wiele większe, niż myślałem.

– Niezupełnie. Jeden ze starej gwardii, nadinspektor Harrison, poznał Frasera podczas wojny. Zdaje się, że są kumplami. Dlatego sądzę, że jest w porządku.

– Świetnie – odrzekłem. – Dzięki, Jock. Tylko tyle chciałem wiedzieć.

– A jak ci idzie węszenie w sprawie napadu na wystawę? Czy ktoś już ci wybił zęby kopniakiem z wysokości?

– Jeszcze nie. Ale skoro już o tym mowa...

– Zaczyna się... – Ferguson westchnął.

– Skro już o tym mowa – ciągnąłem – co wiesz o Henrym Williamsonie i Johnie Bentleyu?

– To akurat łatwe – odparł. – Nic. Nie słyszałem ani o jednym, ani o drugim. Niby znam paru Williamsonów, w końcu to pospolite nazwisko, ale żaden z nich nie ma związku z półświatkiem i z całą pewnością nie mógł znać Joego Strachana. Zresztą nie ma wśród nich żadnego Henry’ego. Pewnie mógłbym zasięgnąć języka, tyle że wtedy pewnie znów chciałbyś mi postawić pieroga Pod Końskim Łbem, a podejrzewam, że nazwa baru wzięła się od nadzienia tego ich specjału.

– Dobra, następnym razem wybiorę włoską knajpę. – Kiedyś zaprosiłem Jocka do restauracji Rosello. W Glasgow trudno wymyślić coś bardziej egzotycznego, więc przez pierwsze pięć minut podejrzliwie gmerał widelcem w talerzu spaghetti. Po czterdziestu minutach i dwóch butelkach taniego chianti wyraźnie nabral zapału do włoskiej kuchni. W każdym razie na tyle, na ile był zdolny go okazać; nie wyobrażałem sobie, żeby potrafił objąć kelnera i ryknąć na cały głos *O sole mio*...

– Wiesz coś o którymś z nich? – zapytał. – Żebym miał jakiś punkt zaczepienia.

– Zdaje się, że Williamson był kumplem Joego Strachana z czasów wojny. Znaczą się, z pierwszej.

Zaledwie to powiedziałem, po drugiej stronie linii usłyszałem coś równie rzadkiego jak kibel w mieszkaniu w Dennistoun: śmiech Fergusona.

– Co cię tak ubawiło? – spytałem.

– Kumpel z czasów wojny? – odparł. – Czy to jakieś grzeczne określenie kumpla dezertera?

– Myślałem, że Strachan miał świetlaną przeszłość wojenną. Jego córka mówiła, że był bohaterem.

Kolejny wybuch śmiechu.

– Zmiłuj się, Lennox, Strachan każdemu potrafił wcisnąć dowolny kit. Wiesz, dlaczego wszyscy mówili o nim Dzentelmen Joe?

– Słyszałem, że podobno krzykliwie się ubierał i ogólnie brał z życia to, co najlepsze. No ale dla kogoś wychowanego w Gor-

bals papier toaletowy, który się nie przykleja do tyłka, to już pewnie luksus.

– Joe Strachan nie ubierał się krzykliwie, Lennox. Ubierał się elegancko. Wiedział, co i jak nosić, kiedy i gdzie. Masz rację, był stuprocentowym facetem ze slumsów Gorbals, ale potrafił się znaleźć w każdym towarzystwie. Możesz mi wierzyć albo nie, ale przede wszystkim właśnie dlatego wydział kryminalny podejrzewał go o skok na Wystawę Imperium i inne największe kradzieże.

– O? Niby czemu?

– Czystym przypadkiem urzędniczka bankowa wspomniała, że kilka tygodni przed napadem na bank obsługiwała wysokiego, dobrze ubranego i elokwentnego dżentelmena. Przyszedł zrealizować przekaz pocztowy, ale zapamiętała, że zadawał mnóstwo pytań. Potem świadkowie innych skoków, kiedy już chłopcy odświeżyli im pamięć, też mówili o wysokim, elegancko ubranym i kulturalnie wysławiającym się mężczyźnie, który zaglądnął do nich kilka tygodni przed napadem.

– I Strachan pasował do rysopisu?

– Za każdym razem opisy nieco się różniły, jednak podobieństw było aż nadto. To wyszło zupełnie przypadkowo, bo z początku nikt nie przywiązywał do tego wagi. Przecież dżentelmeni nie popełniają zbrodni. A wiesz, gdzie Strachan się tego nauczył? W wojsku, pod koniec pierwszej wojny światowej.

– Był w służbie czynnej? – spytałem. – Mnie mówiono, że zgłosił się na ochotnika jako piętnastolatek...

Ferguson prychnął.

– Joseph Strachan nie był z tych, którzy do czegokolwiek zgłaszają się na ochotnika. Przez prawie całą wojnę był za młody, powołano go dopiero pod sam koniec. A że piekło się nie rozpętało, mimo młodego wieku wykazał się nie lada inicjatywą i wziął sobie urlop, nie fatygując przełożonych wystawianiem mu przepustki.

– Czyli zdezerterował?

– Zrobił coś więcej. Miał szczególną umiejętność... potrafił naśladować głosy, akcent, gesty, tego typu rzeczy.

– Co sugerujesz... że kabaret stracił fachowca na rzecz branży napadów z bronią w rękę?

Na chwilę zapadła cisza. Wyobrażałem sobie, jak Ferguson krzywi się z niecierpliwością. Nie przywykł, żeby mu przerywano.

– No w każdym razie potrafił się wcielać w dowolną postać. Udawać gościa z każdej klasy społecznej, każdej narodowości... Szkota, Anglika, Walijszyka. Więc kiedy zdezerterował, nie ulotnił się po prostu i nie zamelinował w jakiejś dziurze, jak by to zrobiła większość ludzi. Nie, młody panicz Strachan zwędził parę mundurów młodszych oficerów, dzięki czemu udawał oficera na przepustce. Wszystkich zrobił w bambuko. Przez sześć tygodni szastał forszą w kasynach oficerskich i burdelach.

– Sześć tygodni? Nie mogę uwierzyć, że udawało mu się tak długo. Odstawiać oficera z lipnym akcentem to żadna sztuka, nie chodzi o to, jak się mówi. Sęk w tym, co się sobą reprezentuje.

– Jasne... na tym akurat się znasz jak mało kto, Lennox. – Ferguson nawet nie próbował ukryć pogardy w głosie. – Przecież sam byłeś oficerem i chodziłeś do elitarnej szkoły... Co chciałeś przez to powiedzieć? Że Strachan musiał się zdradzić jakimiś bzdetami, na przykład jedząc nie tą łyżką, co trzeba, albo źle trzymając filiżankę?

– Po prostu nie rozumiem, jak zwyczajny oprych z Gorbals mógł aż tak przekonująco udawać oficera kształconego w prywatnej szkole.

– I tu się mylisz. Jak mówiłem, właśnie dlatego wszyscy nazywali Joego „Dzentelmenem”... potrafił się w niego zmienić w mgnieniu oka. Może i był łachudrą z Gorbals, ale za to niegłupim. Nie tylko zmieniał akcent, on miał obycie. W wieku trzynastu lat rzucił szkołę, a i tak wszyscy wiedzieli, że to cwana bestia. Jeżeli nie podtykał lufy pistoletu pod nos kasjerowi, to siedział zagłębiany w książkach. Obsesyjnie gromadził wiedzę na rozmaite tematy. Podobno dlatego odstawianie oficera uszło mu na sucho. Zawsze potrafił mówić to, co trzeba, w stosownej chwili. Krążą plotki, że poznał buntownika Percy’ego Toplisa²,

2 Percy Toplis – słynny brytyjski przestępca i oszust, dezterter, rzekomy

od którego przejął pomysł wcielania się w oficera.

– Wygląda na to, że znasz historię życia Strachana od podszewki, Jock.

– Wśród naszej starej gwardii był kimś w rodzaju legendy. Myślę, że w skrytości ducha niechętnie, ale darzyli go szacunkiem, wiesz, jak to jest. Wszystko to jednak znikło jak sen złoty, kiedy tamten posterunkowy zarobił kulkę. Więc owszem, gli-niarzowi z Glasgow łatwo jest znać Strachana od podszewki. W dodatku od czasu wyłowienia tych kości nadinspektor McNab bezustannie suszy mi głowę na jego temat.

Zadumałem się nad osobistym zainteresowaniem McNaba Strachanem. Węsząc wokół tej sprawy, będę się musiał nieźle napocić, podobnie jak ryba pilot krążąca wokół rekina.

– Jeżeli zdezerterował podczas pierwszej wojny światowej, jakim cudem nie stanął przed plutonem egzekucyjnym? – spy-tałem.

– Niewiele wiem na ten temat. Podejrzewam, że jakoś się wy-głgał. Z tego, co mówią, był w tym dobry. Zresztą statystyka przemawiała na jego korzyść... Z ponad trzech tysięcy dezerte-rów skazanych na śmierć jedynie trzystu czy coś koło tego sta-nęło przed plutonem egzekucyjnym.

Wolno pokiwałem głową, przetrawiając informacje. Podczas pierwszej wojny światowej Brytyjczycy rozstrzelali swoich niemal równie chętnie, jak zabijali wrogów. Większość przy-wiązanych do pala i rozstrzelanych żołnierzy miała skądinąd nienaganny przebieg służby, ale ich nerwy były w strzępach, czego nie rozumiało bezduszne dowództwo, które nie potrafiło zdiagnozować nerwicy frontowej. Wśród nich znalazło się wiele przerażonych dzieciaków, zawyżających swój wiek, by móc słu-żyć królowi i ojczyźnie. Do najpiękniejszych kart historii impe-rium brytyjskiego należało rozstrzelanie „tchórza”, który ledwo skończył szesnaście lat.

– Chodziły słuchy, że Strachan wymigał się od sądu polowego i plutonu egzekucyjnego, bo zgłosił się do pracy w zwiadzie – ciągnął Ferguson. – Wiesz, samotne przechodzenie nocą za li-

uczestnik buntu angielskich wojsk w obozie szkoleniowym Étapes we Fran-cji podczas pierwszej wojny światowej.

nię wroga i czołganie się w błocie, żeby jak najwięcej dowiedzieć się o rozmieszczeniu sił przeciwnika: gdzie są druty kolczaste, stanowiska cekaemów i tak dalej. Może dlatego jego córki wpadły na szalony pomysł, że był bohaterem wojennym. Zgoda, taka robota prawdopodobnie była niebezpieczna, ale trudniej zarobić kulkę w brzuch w nocy, niż kiedy się jest przywiązany do słupa przed plutonem egzekucyjnym. A swoją drogą, widziałeś się już z Billym Dunbarem, facetem, którego adres ci dałem?

– Jeszcze nie.

– Mam nazwisko świadka, o którym rozmawialiśmy. Kierowcy furgonu. Ale wiele z niego nie wyciągniesz.

– O? A to dlaczego?

– Rommel dopadł go pierwszy. Żeby znaleźć tego świadka, musiałbyś się wybrać na pustynię w północnej Afryce i pobawić w ciepło-zimno. Niemiecka mina lądowa wystrzeliła jego głowę w kierunku Tobruku, a dupę w stronę równika.

– Pięknie. Ale dzięki, że sprawdziłeś. Jeszcze jedno, Jock...

– No nie, znów czegoś ode mnie chcesz? Dlaczego mnie to, cholera, nie dziwi?

– Zostało mi jeszcze jedno nazwisko. Mógłbyś sprawdzić, czy macie coś na gościa, który się nazywa Paul Downey? Chyba jest aktorem. I fotografem pracującym jako wolny strzelec.

– A co mi tam, czemu nie? Nie mam nic lepszego do roboty, niż spełniać twoje zachcianki. Czy to ma coś wspólnego ze Strachanem?

– Nie, nic z tych rzeczy – zapewniłem go. – To całkiem inna sprawa. Czyjś syn zadał się z nieodpowiednim towarzystwem.

– Więc powiadasz, że to aktor?

Wzruszyłem ramionami.

– Tak mi powiedziano. Albo fotograf, ewentualnie jedno i drugie.

– W porządku, sprawdzę go. Ale ostrzegam cię, Lennox, będziesz mi za to wisiał niejedną przysługę. Kiedy następnym razem poproszę cię o prawdziwe informacje, to oczekuję, że mi je podasz. Prawdziwe.

– Stoi – skłamałem przekonująco.

– Aha, Lennox?

– No?

– Ostatnio całkiem nieźle udawało ci się trzymać z dala od kłopotów. Więc nie pakuj się w żadne szambo, bo to wydobywa z ciebie najgorsze instynkty. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Rozumiem, Jock – przytaknąłem. Bo rzeczywiście rozumiałem.

Moje ostatnie spotkanie w interesach z Williem Sneddonem odbyło się w przejętym przez niego burdelu połączonym z areną walk na gołe pięści. Włączeniu rozmaitych przedsięwzięć wykazywał daleko posuniętą kreatywność. Ale lokal, w którym się tym razem umówiliśmy, to była całkiem inna para kaloszy.

Biura firmy Paragon Importing and Distribution mieściły się w pobliżu Queen's Dock, w olbrzymim domu handlowym z czerwonej matowej cegły, usmolonej sadzą na rdzawoczarny odcień. W czasach wiktoriańskich budowano takie obiekty jako świątynie handlu; mnie przypominały wielgachne, ozdobne magazyny, które widziałem w Hamburgu pod koniec wojny.

Przestronny gabinet, wyłożony wypolerowaną boazerią z egzotycznego drewna, nasuwał myśl, że taniej wyszłoby wytapetowanie go banknotami o nominale pięciu funtów. Sneddon siedział za masywnym inkrustowanym biurkiem, które można by zwodować na Clyde jako lotniskowiec. Na blacie stały trzy telefony: czarny, w kolorze kości słoniowej i czerwony. Reszta sprzętów na biurku wyglądała na antyki. Jeden róg zajmował mały stos książek, a na suszce przed Sneddonem leżała sterta teczek.

On sam miał na sobie drogi szary garnitur z materiału w jodełkę, a do tego jedwabną koszulę oraz bordowy krawat. Nigdy nie widziałem go w czymś, co nie wyglądałoby na dzieło krawców z Savile Row. Willie Sneddon już swoim wyglądem powodował, że ludzie mieli się na baczności. Wysoki, acz bez przesady, mocno zbudowany, ale nie zwalisty, składał się z samych mięśni i ścięgien; zawsze odnosiłem wrażenie, że spleciono go z liny okrętowej. W połączeniu z paskudną blizną po brzytwie

na prawym policzku zdradzało to kogoś, komu przemoc przychodzi naturalnie i bez trudu.

Ciekaw byłem, jak sobie tłumaczą tę bliznę jego nowi kumple z klasą.

– Czego, kurwa, chcesz, Lennox? – rzucił tytułem powitania. Domyśliłem się, że wśród książek na jego biurku nie ma *Jak zdobyć przyjaciół i zjednać sobie ludzi* Dale’a Carnegiego.

– Kopę lat – odparłem, siadając bez zaproszenia. – Widzę, że nieźle się panu powodzi, panie Sneddon.

Gapił się na mnie bez słowa. Jeśli chodzi o gadanie o dupie Maryni, w porównaniu z nim Jock Ferguson wychodził na pleciugę.

– Pomyślałem, że może mi pan pomóc – niezrażony ciągnąłem wesoło. – Kiedyś przyjaźnił się pan z Billym Dunbarem. Czy nie wie pan, gdzie mógłbym go znaleźć? Wygląda na to, że się zapadł pod ziemię.

– Billy Dunbar? – Sneddon łypnął na mnie spode łba. – Niby skąd miałbym, kurwa, wiedzieć? Od ponad dziesięciu lat nie daje znaku życia. Billy Dunbar... – Urwał i się zamyślił. – A po kiego chuja potrzebny ci Billy Dunbar?

– Strzelałem w ciemno. W trzydziestym ósmym policja zgarnęła go i dała mu niezły wycisk. W związku ze skokiem na Wystawę Imperium Brytyjskiego. Chciałem z nim o tym pogadać.

Zanim Sneddon odpowiedział, przez jego twarz przemknął dziwny grymas, tak szybko, że nie zdążyłem go rozszyfrować.

– Po co? – zapytał. – Czy to ma coś wspólnego z tym, że Dżentelmen Joe Strachan odnalazł się na dnie Clyde?

– No... prawdę mówiąc, tak.

– A co mnie, kurwa, do tego?

– Wynajęto mnie, żebym się temu przyjrzał. I sprawdził, czy ten, co go znaleźli, to na pewno Joe Strachan.

– A niby czemu miały to być ktoś inny, do kurwy nędzy? To ma sens, biorąc pod uwagę, kiedy zniknął.

– Znał pan Strachana? – zapytałem.

– E tam. Znaczący się, wiedziałem, kto to taki, wtedy to był duży kaliber... ale nigdy się nie spotkaliśmy. Skąd pomysł, że ten, co go wyłowili, to nie Strachan?

– Nie powiedziałem, że tak uważam. Poproszono mnie tylko, żebym się upewnił. Dlatego chcę pogadać z Billym Dunbarem, i pomyślałem, że może pan ma jego aktualny adres.

– Odczep się od Billy’ego – rzucił Sneddon. – To był równy gość. Można było na nim polegać. Ale chuj wie, ile lat temu nawrócił się na prostą drogę i chciał, żeby się od niego odwalić. Gliniarze spuścili mu łomot, że aż miło, a i tak nic im nie powiedział. Dobrze wiesz, że ich stale świerzbi ręka i rwą się do bicia, ale tym razem to było coś więcej. To, jak potraktowali Billy’ego i kilku innych, to były normalne pieprzone tortury. Tyle że on nic nie wiedział, więc nic nie mogli z niego wyciągnąć.

– Rozumiem. Czyli nie wie pan, gdzie mógłbym go znaleźć?

– Ile razy mam ci powtarzać, do kurwy nędzy?

Wstałem.

– Przepraszam, że zabrałem panu czas.

Sneddon nie odpowiedział, nie wstał zza biurka. Ruszyłem do drzwi.

– Chcesz znać moje zdanie?! – zawołał, kiedy już dzieliło mnie od niego pół hektara dywanu Axminster. Odwróciłem się.

– Na jaki temat?

– Tego, jak rząd może rozwiązać kryzys cypryjski! A jak ci się, kurwa, zdaje? Na temat Joego Strachana.

– Słucham – odparłem z wahaniem.

– Szczątki, które wyłowili z dna rzeki nie są ciałem Dżentelmena Joego Strachana.

– Dlaczego tak pan sądzi? Dopiero co mówił pan, że go pan nie znał, więc skąd pomysł, że to nie jego znaleźli?

– Bo zająłem jego miejsce, Lennox. Gdyby Joe Strachan nie znikł, to on by tu teraz siedział, nie ja. W tym mieście był, kurwa, legendą. A skok na Wystawę Imperium to coś, o czym marzy każdy jełop. Robota wypisz wymaluj jak z podręcznika.

– Poza tym, że rąbnięto gliniarza – wtrąciłem, próbując sobie wyobrazić, jakie podręczniki czytają przestępcy w Glasgow.

– Tak... i wtedy sprawa się ryła. Słuchaj, Lennox, po wojnie przejąłem wszystkie interesy Strachana, przynajmniej te, o których wiedzieliśmy. Ten gość nic, tylko planował. I miał łeb na

karku. Więc potrafię się postawić na jego miejscu... bo przecież zająłem jego miejsce, no nie? Czyli powiedzmy, że ja jestem Dzentelmen Joe. Właśnie odpierdoliłem trzy największe kradzieże w historii, ale jak sam mówisz, w trakcie ostatniej zginął glina. A nawet gdyby nie zginął, gliniarze przyczepiliby się do mnie jak gówno do podeszwy. Wiesz, kwestia dumy, żaden glina nie chce, żeby jego rewir zapisał się w historii jako największy udany skok.

No więc, jak powiedziałem, odwaliłem tę robotę i siedzę na kupie szmalu, którego nie trzeba nawet prać, a do tego ma chuj wie ile ze skoku na furgon z forszą. Ale załatwiłem gliniarza, więc w Glasgow mam przejebane. Do roboty wziąłem trzech ludzi. Może to któryś z nich stuknął gliniarza, a może ja. Co z tego? Oni pewnie mają tylko moje nazwisko, więc dzielę łup, zatrzymując dla siebie największą działkę, bo muszę gdzieś zacząć nowe życie. Może któremuś z tamtych to się nie podoba i podskakuje, no to daję mu w łeb, przebieram go w swoje ciuchy, wkładam mu do kieszeni złotą papierośnicę z monogramem, bez której nikt nigdy mnie nie widział, a potem wrzucam go do rzeki. Nie odkryją go, to git. A jak go znajdują, gliniarze pomyślą, że dłużej nie ma sensu mnie szukać.

– Starannie pan to sobie przemyślał, bez dwóch zdań – powiedziałem.

– A jak. Dzięki temu, że Strachan zniknął, dostałem swoją szansę. Więc owszem, przemyślałem to sobie. Głównie dlatego, że stale czekałem, aż ten drań znów wypłynie na powierzchnię, chociaż nie w takim sensie jak te kości. Ale teraz... – Rozpostarł szeroko ręce, wskazując na otoczenie. – Zostawiłem to wszystko za sobą. Zostałem biznesmenem, Lennox. Mam dzieci, które kiedyś przejmą moje interesy, ale nie będą musiały znosić tego, co policja próbowała mi robić przez długie lata. Dlatego jeżeli Dzentelmen Joe Strachan powstanie z grobu, to będzie zmarwienie Murphy’ego i Cohena, nie moje.

– Jest pan aż tak pewny, że on nie zginął?

Sneddon wzruszył ramionami.

– Jak mówiłem, nigdy go nie spotkałem. Nie znałem go. Ale z tego, co o nim wiem, wynika, że był za szczywany, żeby dać się

załatwić jednemu ze swoich. Zbyt szczywany i zbyt niebezpieczny. Swoją drogą, nie sądzę, żeby Billy Dunbar miał z nim do czynienia. Więc źle kombinujesz.

– No cóż, dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas – odparłem.

– Po prostu liczyłem na to, że da mi pan namiary na Dunbara.

– Ale nie mogę, więc wypierdalaj.

Zostawiłem Sneddona w jego domu handlowym, zastanawiając się, czy posiedzenia Klubu Rotariańskiego prowadzi w ten sam sposób.

Glasgow ma trzy dworce kolejowe, mieszczące się w gargantuicznych wiktoriańskich budowlach: przy Queen, przy placu St Enoch oraz Dworzec Centralny. Oddalone od siebie o kilka minut drogi piechotą, podzieliły między siebie trasy krajowe. Jeżeli wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, to wszystkie tory kolejowe prowadzą do centrum Glasgow. Każdy z tych dworców miał połączenie ze swoim odpowiednikiem w Londynie, wiążąc dwa najważniejsze miasta imperium brytyjskiego: ten z Queen obsługiwał trasę do King's Cross, z St Enoch jechało się na St Pancras, a z Centralnego – na Euston. I przy każdym z nich stał okazały, wytworny hotel.

Moje biuro mieściło się po drugiej stronie Gordon Street, naprzeciwko Dworca Centralnego i stopionego z nim hotelu. Hotel Centralny należał do kategorii miejsc, w których łatwiej można się było nadziać na gwiazdę filmową albo pomniejszego członka rodziny królewskiej niż na szarego mieszkańca Glasgow. Jak na ironię, właśnie tam zamierzałem wypytać gwiazdora filmowego na okoliczność tego, jak nadział się na pomniejszego członka rodziny królewskiej. Hotel Centralny gościł pod swoim dachem takie sławy, jak Winston Churchill, Frank Sinatra i Gene Kelly. Nie wspominając o Royu Rogersie – ten mieszkał tam wraz ze swoim koniem Triggerem, który podobno dostał osobny apartament.

Recepcjonistka zadzwoniła do apartamentu Macready'ego i poprosiła, żebym zaczekał, aż ktoś po mnie przyjdzie. Wobec tego grzałem ławę w holu. Dobrze chociaż, że grzałem ją na

kosztownym marmurze.

Gdy zadzwoniłem z biura, żeby umówić się na spotkanie, odebrała młoda kobieta mówiąca z amerykańskim akcentem i głosem zimniejszym niż epoka lodowcowa. Spodziewała się telefonu ode mnie, najwyraźniej Fraser ją na to przygotował.

Ledwo zatopiłem się po pachy w czerwonej skórce i zabrałem do lektury gazety, usłyszałem ten sam lodowaty głos. Zadarłem głowę i stwierdziłem, że mrozi mnie wzrokiem mniej więcej dwudziestopięcioletnia nordycka bogini o wymiarach dziewięćdziesiąt–sześćdziesiąt–osiemdziesiąt osiem. Jasnoblond włosy wyglądały bardziej naturalnie niż trwała ondulacja, a pełne, pomalowane ciemnoczerwoną szminką usta podkreślały pruski błękit jej oczu. Miała na sobie szary kostium, białą bluzkę i składała się z samych krągłości oraz nóg aż po szyję. Przyłapałem się na tym, że gapię się na jej figurę. Ona też mnie na tym przyłapała i temperatura jej lodowatych, jasnoniebieskich oczu spadła jeszcze o kilka stopni.

– Pan Lennox? – spytała z niesmakiem mniej więcej takim, jakby właśnie wdepnęła obcasem w psie gówno.

– To ja – odparłem, powstrzymując się, by nie dodać: „twój niewolnik na wieki wieków”.

– Leonora Bryson, asystentka pana Macready’ego.

– Ten to ma szczęście... – Z uśmiechem, który nawet wilk uznałby za prostacki, wygramoliłem się z fotela z czerwonej skóry.

– Pan pozwoli za mną – rzuciła, odwracając się na pięcie.

Zabrzmiało to jak rozkaz, ale prawdę mówiąc, chodzenie za nią mogłoby mi wejść w krew i stać się moją drugą ulubioną rozrywką. Jej wąska talia podkreślała kołyszące się krągłości ud i dupci, a znam się na rzeczy. Poczulem zawód, gdy dotarliśmy do windy i windziarz rozsunał przed nami składane w harmonijkę drzwi. Ten mały jak karzeł glasgowczyk o ponurej, wymizerowanej twarzy przez ułamek sekundy patrzył mi prosto w oczy, kiedy panna Bryson wsiadała do kabiny. Wiem, wędrowcze, pomyślałem, wymieniając z nim znaczące spojrzenie. Oj, wiem.

Gdy wysiedliśmy, Leonora Bryce poprowadziła mnie labiry-

tem korytarzy wyłożonych kosztowną boazerią. Nie martwiłem się o to, jak znajdę drogę powrotną. Wystarczy, że pójde śladem śliny, którą toczyłem z pyska. Znaczne odstępstwa między mianymi drzwiami świadczyły o tym, że owe drzwi prowadzą do apartamentów. Panna Bryce zatrzymała się przed jednymi, bez pukania pchnęła sto funtów dębu i weszliśmy do tak wielkiego pokoju, że zaledwie półtorej mili dalej na takiej samej powierzchni gnieździły się nawet trzy rodziny. To właśnie najbardziej uderzało mnie w tym mieście – nawet nie kolosalna przepaść między biednymi a bogatymi, bo ta istniała prawie w całej Wielkiej Brytanii, lecz fakt, że w Glasgow skala tego zjawiska była większa, bardziej krzykliwa i okrutna. Tutaj z bogactwem obnoszono się ostentacyjnie, w zgoła niebrytyjski sposób, jakby chcąc zakrzyczeć ogłuszającą nędzę dookoła. Chociaż nie byłem komuchem, to pomimo jakże brytyjskiej powojennej rewolucji systemu opieki społecznej Wujka Clema³, czasami nie mogłem znieść panoszącej się dookoła niesprawiedliwości.

W salonie apartamentu siedzieli dwaj faceci o wyglądzie oprychów: ogromni, w krzykliwych garniturach i jeszcze bardziej krzykliwych koszulach, ostrzyżeni na typowego dla marines jeża. Jak nic ochroniarze przysłani przez wytwórnię. Tak bardzo nie pasowali do Glasgow, jak to tylko możliwe. Mógłbym przysiąc, że widzę, jak na moich oczach blednie ich kalifornijska opalenizna. Gdy weszliśmy, na powitanie wstał mężczyzna co najmniej równie wysoki i barczysty jak tamci dwaj. Cicho i przyjaźnie, acz niedopuszczającym dyskusji tonem zaczął zbirom zostawić nas samych. Moja nordycka lodowa pani wprowadziła ich z pokoju.

– Pan Lennox? – John Macready włączył swój stuwatowy uśmiech, którym błyskał ze zdjęć promocyjnych. Ucisnąłem mu rękę. – Proszę usiąść. Czego pan się napije?

Odparłem, że nie pogardzę szkocką, chociaż wolałbym bourbona.

– Nie wiedziałem, że jest pan Amerykaninem – skomentował aktor.

³ Chodzi o Clementa Richarda Attlee – premiera Wielkiej Brytanii w latach 1945–1951.

– Bo nie jestem. Pochodzę z Kanady. Ale wolę żytnią whisky. Podał mi trudny do udźwignięcia kawał kryształu, pełen borbona i lodu.

– Kanadyjczyk? Ach tak... nie mogłem rozpoznać pańskiego akcentu. – Macready usiadł naprzeciwko mnie. Jego opalenizna, strój, fryzura i manicure były tak staranne, że wręcz raziły sztucznością; ich nierzeczywistość jeszcze bardziej podkreślał fakt, że aktor był wprost nieprzyzwoicie przystojny. Stłumił nieco uśmiech. – O ile wiem, zatrudnił pana mecenas Fraser. Rozumiem, że niczego przed panem nie ukrywał.

– Powiedział mi tyle, ile powinienem wiedzieć w związku z szantażem, jeśli o to panu chodzi.

– A zdjęcia? Pokazał je panu?

– Niestety, nie miał wyboru.

Macready otwarcie patrzył mi w oczy, bez śladu zakłopotania.

– Domyślam się, że zdaje pan sobie sprawę z konsekwencji dla mojej kariery, gdyby te fotografie zostały ujawnione?

– Charakter tych zdjęć wyklucza ich publikację. Gazety czy czasopisma, które by je zamieściły, nawet zasłaniając paskami drażliwe miejsca, byłyby oskarżone o pogwałcenie ustawy o nieprzyzwoitych publikacjach. Ale nie w tym tkwi niebezpieczeństwo. Gazeta może podać, że jest w posiadaniu owych zdjęć, i drobiazgowo opisać ich zawartość. Wówczas zarzutom spadłoby na pana, ale nie mógłby pan się wyprzeć, bo chociaż tych fotografii nie da się wykorzystać w druku, to można je przedstawić w sądzie jako dowód w sprawie cywilnej o zniesławienie. A także muszę pana uprzedzić, w sprawie karnej. Jak panu pewnie wiadomo, w świetle szkockiego prawa czynności uwiecznione na zdjęciach są nielegalne.

– Tak samo jak według prawa amerykańskiego, panie Lennox.

– Owszem, tyle że w tego rodzaju sprawach Szkoci z zapalem wydają wyroki skazujące. Prezbiteriańska nadgorliwość.

– Niech mi pan wierzy, znam to od podszewki. Macready to nie jest mój pseudonim sceniczny, mam szkockie korzenie. Zarówno ojciec, jak i dziadek wchodzili w skład rady starszych Kościoła prezbiteriańskiego w Wirginii Zachodniej.

– Czy pański ojciec wie o... – Szukałem w pamięci stosownego słowa, ale wciąż mi się wymykało, krążyłem więc ciągle między „skłonnościami” a „problemem”. Macready, dostrzegłszy moje zakłopotanie, roześmiał się gorzko.

– Ojciec nigdy nie rozmawiał ze mną na ten temat, ja z nim również nie, ale jestem świadom, że on wie. Pomimo moich dokonań podczas wojny, osiągnięć aktorskich i majątku, jaki zdobyłem, w oczach ojca wciąż widzę jedynie rozczarowanie. I wstyd. W dodatku jak pan zauważył, moje preferencje seksualne, nie wiedzieć czemu, czynią ze mnie przestępcę. Ale będę z panem całkowicie szczerzy: ani trochę nie wstydzę się tego, kim i czym jestem. To leży w mojej naturze i nie jest przejawem żadnych przestępczych dewiacji seksualnych. Nie stałem się taki, bo ktoś mnie molestował w dzieciństwie, ani też z powodu rozpasanego libido, którego jedna płeć nie może w pełni zaspokoić. Nawiasem mówiąc, ta druga sytuacja odnosi się do jednego z waszych bohaterów filmów z gatunku płaszcza i szpady.

– Ale wytwórnia...

– Wytwórnia o tym wie, wiedziała od lat. Przejmują się, a jakże, ale bynajmniej nie z powodu wypaczonego poczucia seksualnej moralności. Ich niepokoi wyłącznie to, w jaki sposób skandal mógłby się odbić na sukcesie kasowym. Konkretnie na wpływach. Niech mi pan wierzy, w Hollywood panują dużo bardziej liberalne poglądy na świat niż w hrabstwie Fayette w Wirginii Zachodniej albo w Szkocji. W tamtejszym środowisku mój homoseksualizm stanowi tajemnicę poliszyneła. Tyle że starannie ukrywana przed widzami stojącymi w kolejkach do kin w Poughkeepsie, Pottsville czy Peorii. Obraz Johna Macready’ego, jaki widać na ekranie, jest kłamliwy... ale widzowie mają przecież wierzyć w kłamstwo.

Przemyślałem sobie to, co usłyszałem.

– Nie mnie pana oceniać – odparłem. – Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie, co inni robią za zamkniętymi drzwiami, dopóki nikomu to nie szkodzi. I zgadzam się, że policja powinna się zajmować bez porównania ważniejszymi sprawami. Jednak pan jest gwiazdą Hollywood, natomiast druga strona to syn jednego z najbardziej prominentnych szkockich arystokratów.

A to już poważny problem.

Przerwałem i pociągnąłem łyk whisky. Bourbon był tak stary i miał tak bogaty bukiet, że z pewnością nie pochodził z hotelowej piwniczki. Od baru Pod Końskim Łbem dzieliły mnie cztery przecznice i miliony mil.

– Ta druga strona na zdjęciach... nie wspominał mu pan o tym? – spytałem.

– Nie, jeszcze nie. Radzono mi, żebym tego nie robił, ale uważam, że on też ma prawo wiedzieć.

– Na pańskim miejscu trzymałbym się tej rady. Na naszą korzyść może zadziałać, hm... znacząca pozycja rzeczonogo dżentelmena. Nie wyobrażam sobie, żeby władze popuściły prasie cugli w takiej sprawie. Całkiem możliwe, że założą pismakom knebel.

Aktor tylko wzruszył ramionami.

– To znaczy że rząd wyda oficjalny zakaz publikacji ze względu na zagrożenie bezpieczeństwa państwa – wyjaśniłem.

– Nie ma to jak wolna prasa – rzucił Macready z przesadną ironią, popijając bourbona.

– No cóż, może w rezultacie będzie pan za to wdzięczny.

– Skoro tak, to czy tym bardziej nie powinniśmy poinformować drugiej strony? W ten sposób może powstrzymalibyśmy tę cholerną aferę, jeszcze zanim wybuchnie.

– Moim zdaniem należy to zostawić na czarną godzinę. Nie-wykluczone, że będziemy musieli się do tego uciec. Tyle że byłby to czysty hazard... władze mogą dojść do wniosku, że ten człowiek nie jest dla nich na tyle ważny, żeby wydać oficjalny zakaz publikacji. A wtedy wyruchaliby go w dupę, tak samo jak i nas.

Słowa te wyrwały mi się, zanim zdążyłem pomyśleć, na szczęście aktor nie zwrócił na nie uwagi. Łyknąłem więc bourbona i poczułem, jak rozpala płomień w mojej piersi.

– A w ogóle skąd to wielkie halo z powodu Iaina? – zapytał Macready, po raz pierwszy zdradzając imię „drugiej strony”. – Wiedziałem, że to jakiś arystokrata, ale nie sądziłem, że jest aż tak ustosunkowany.

– Jego ojciec to jeden z tutejszych książąt. I kuzyn, Bóg jeden

wie jak daleki, królowej. Wie pan, królowa matka jest Szkotką. Co czyni z niego członka rodziny królewskiej, nawet jeśli zajmuje miejsce na samym końcu łańcucha pokarmowego. Tutaj rodzina królewska to niemal świętość, panie Macready. Stanowi symbol. I jest zabawna. Prowadzę też inną sprawę, której korzenie sięgają tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku, kiedy to tutaj, w Glasgow, odbyła się wielka wystawa na cześć imperium. No cóż, z imperium wiele już nie zostało, ale dlatego rodzina królewska tym bardziej zyskała na znaczeniu. My, Kanadyjczycy, trzymamy się jej jako dowodu, że nie jesteśmy Amerykanami. Brytyjczycy trzymają jej się dlatego, że to wszystko, co im zostało z przeszłości. Jeśli stracą monarchię, będą musieli się zmierzyć z tym, czego się boją najbardziej.

– Czyli z czym?

– Z przeszłością. A może po prostu z realiami teraźniejszości. Dlatego monarchia szybko staje się skarbem narodowym, jak Stonehenge. I tak samo jak Stonehenge, niczemu nie służy, poza tym że przyjemnie się ją ogląda, no i pozwala się pławić w przeszłości. A pan, panie Macready, właśnie się odlał na Stonehenge, bo tak to odbierze publika. Więc jak wspomniałem, dopóki się da, trzymajmy tę „drugą stronę” z daleka. Bo tamci mogliby rzucić pana wilkom na pożarcie.

– Zgoda. A zatem co dalej?

– Spróbuję odnaleźć gościa, który ma te zdjęcia, a potem użyć swojego nieodpartego uroku, żeby odzyskać negatywy. Najpierw jednak muszę zadać panu kilka pytań...

I je zadałem.

Kiedy skończyliśmy, Leonora Bryson odprowadziła mnie do windy. Wykonałem ruch, którego oboje się spodziewaliśmy, lecz od razu oświadczyła, że jest zajęta, i powiedziała to tonem sugerującym, że będzie zajęta do końca stulecia. Niezrażony, odparłem, że może innym razem i postanowiłem się nie poddawać. Niektórym kobietom warto poświęcić więcej czasu niż innym. A ja miałem na to trzy tygodnie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Na godzinę czy dwie wróciłem do biura, by zapiąć na ostatni guzik dwie sprawy rozwodowe, które miałem na tapecie. Została mi już tylko robota papierkowa: smutny, wstrętny biurokratyczny zapis rozkładu małżeństwa. Albo związków pozamałżeńskich. Albo i jednego, i drugiego. Przedzierałem się przez tradycyjne zeznania kierownika hotelu, pokojówki czy kogokolwiek, kto mógłby potwierdzić, że widział pana X w łóżku z panią Y. Oczywiście było to z góry ukartowane – przeze mnie w porozumieniu z jakimś prawnikiem od spraw rozwodowych – a świadkom po podpisaniu zeznań zawsze wpadało do kieszeni dwadzieścia funtów. W Wielkiej Brytanii rozwody były skomplikowane i wyjątkowo brudne, ale w Szkocji mającej własne ustawodawstwo regulujące rozwody, przykręcano jeszcze tę samą prezbiteriańską śrubę, o której rozmawiałem z Macreadym.

Kiedy się nad tym zastanowić, na ironię zakrawał fakt, że badałem, w jaki sposób komuś udało się zastawić pułapkę z rodzaju tych, które ja sam zastawiałem na co dzień. Tyle że tym razem chodziło o pana X i pana – a nie panią – Y i przynajmniej jeden z nich nie zamierzał zrobić tego drugiego.

Do wieczora skompletowałem wszystko, żeby zakończyć zaległe sprawy. Zostały mi więc trzy rzeczy: ochrona transportu gotówki następnego dnia, zlecenie Isy i Violet oraz praca dla Johna Macready'ego. Musiałem poświęcić im cały swój czas.

Zadzwoiłem do kilku dobrze poinformowanych osób z półświatka i zapytałem, czy nie znają przypadkiem Henry'ego Williamsona. Nikt go nie znał. Nie wiem, dlaczego akurat ten człowiek utkwiał mi w głowie bardziej niż pozostali z listy. Może z powodu związków z Dzentelmenem Joe Strachanem w czasach pierwszej wojny światowej, które pozostawały zagadką: dlaczego córki Strachana uważały ojca za bohatera wojennego, skoro według Jocka Fergusona było wręcz odwrotnie?

Gdy wróciłem do swojego wynajętego mieszkania, dochodziła siódma. Po drodze, co mi się często zdarzało, zjadłem u Rosellego. Zajmowałem piętro okazałej willi przy Great Western Road. Ten w zasadzie jednorodzinny dom został podzielony i na parterze mieszkała teraz moja gospodyni, pani White, z dwiema córkami – Elspeth i Margaret.

Pani White – Fiona White – była niezwykle atrakcyjna. Nie w tak bijący w oczy sposób jak imponująco zbudowana Leonora Bryson, ale równie piękna na swój znępany i umęczony sposób. Miała olbrzymie zielone oczy, które nigdy nie błyszcząły, choć powinny, a do tego kości policzkowe Kate Hepburn i klasycznie ostrzyżone ciemne włosy. Ubierała się ze smakiem, choć bez polotu. Powód, dla którego zawsze wyglądała na znękaną i umęczoną, wywodził się z czasów wojny, kiedy to niemiecka torpeda weszła w krótki pechowy kontakt z ochraniającym konwój brytyjskim niszczycielem. W rezultacie w ciągu kilku minut niszczyciel, przełamany na pół, spoczął na dnie Atlantyku, zabierając ze sobą prawie wszystkich oficerów i marynarzy.

Kiedy się wprowadziłem, odniosłem wrażenie, że rodzina White'ów wciąż czeka na powrót męża i ojca ze służby, podchodząc do zwłoki w ten sam filozoficzny sposób, w jaki Brytyjczycy podchodzą do wszelkich opóźnień czy braków. Ale porucznik George White spał jeszcze dłuższym kamiennym snem niż Dżentelmen Joe Strachan; on już się nie wybierał do domu.

Mieszkało mi się tu wygodnie, pomijając tę niedogodność, że nigdy nie przyjmowałem u siebie kobiet. Cena była zapewne wygórowana, przywiązałem się jednak do rodziny White'ów. A przede wszystkim od dawna pragnąłem nie tyle przywiązać się, co złączyć w sensie biblijnym z Fioną White.

Wiedziałem, że ten pociąg jest wzajemny, aczkolwiek podszyty z jej strony niechęcią. Może i jestem wybredny, ale jeżeli kobieta nienawidzi samą siebie za to, że ma na mnie ochotę, rani to moje ego. A tak naprawdę, co peszyło mnie jak jasna cholera, Fiona White miała w sobie coś takiego, że robiłem się przy niej szarmancki. Rzecz o tyle niezwykła, że normalnie przejawem najwyższej galanterii w moim wydaniu była skierowana

do dziewczyny prośba, żeby mi przypomniała, jak ma na imię, zanim pójdziemy świntuszyć na tylnym siedzeniu mojego austina atlantica.

Potrafiłem sobie komplikować życie, ale na pewno nie w relacjach z kobietami. A może jednak?

Stwierdziłem, że patrząc na Fionę White, odczuwam coś, czego nie doznaję w obecności innych kobiet. Pragnąłem ją chronić, rozmawiać z nią. Po prostu przebywać w jej towarzystwie. Patrząc, jak się śmieje. Ot, takie dziwne uczucia, które niekoniecznie wiązały się z rozpinaniem rozporoka.

Zapewne głupio postąpiłem, ale kiedyś wyznałem jej co czuję. Byłem w wyjątkowo sentymentalnym nastroju, bo właśnie przekazałem komuś kupę forsy – co wzruszało mnie nawet wtedy, gdy byłem w szczytowej formie – tylko dlatego że ten ktoś według mnie bardziej na nią zasługiwał. Doprowadziwszy więc swoją błyszczącą zbroję do połysku, zdecydowanym ruchem zapukałem do drzwi pani White i poprosiłem o chwilę rozmowy. Siedząc z nią w małej kuchni, wziąłem gadanie na siebie... o tym, co wyrządziła nam wojna, o tym, co do niej czuję, i że chcę zostawić przeszłość za sobą – za nami – a także o tym, że może moglibyśmy naprawić krzywdy, jakie nam wyrządzono. Pomóc sobie wzajemnie, by wrócić do zdrowia.

Siedziała w milczeniu, słuchała mnie z lekkim błyskiem w oczach, który stale powinien w nich gościć, kiedy zaś zakończyłem tę deklarację uczuć, spojrzała mi prosto w twarz i bez wahania wypowiedziała wynajem mieszkania.

Uznałem, że raczej nie zostawiła mi nadziei. Oczywiście próbowałem ją przekonywać, ona jednak uparcie milczała, powtarzając tylko, że byłaby wdzięczna, gdybym się wyprowadził w ciągu dwóch tygodni. Przyznaję, że byłem mocno przygnębiony, co powiedziało mi wiele na temat moich uczuć do Fiony White. Bo choć trudno w to uwierzyć, z rzadka zdarzało mi się spotykać kobiety, które jakimś cudem okazywały się zupełnie nieczule na moje wdzięki. I to bolało.

Następnego dnia usłyszałem ciche pukanie do drzwi. Pani White weszła i stojąc niepewnie w progu, zaczęła tłumaczyć, że nie muszę szukać nowego mieszkania, no chyba że już sobie coś

znalazłem, i w ogóle przeprosza mnie za swoje szorstkie zachowanie. Przyjąłem te słowa z ulgą, choć wygłosiła je tak beznamiętnie, że odniosłem wrażenie, iż powinienem je zaprotokołować. Następnie wyjaśniła, że docenia to, co powiedziałem, i uznaje to jako przejaw najlepszych intencji, ale w żadnym wypadku nie bierze pod uwagę związku z adoratorem.

Wyrzuciła to z siebie tak szybko, że zabrakło jej tchu, a ja zauważyłem, że szyja nad białym kołnierzykiem bluzki przybrała głębokoczerwoną barwę. Korciło mnie, żeby podbiec do niej i ucałować ten rumieniec na jej szyi, postanowiłem jednak trzymać się kwestii wynajmu. Na koniec przemowy zapytała, czy się zgadzam, a kiedy potwierdziłem, uściśniła mi dłoń z czułością dyrektora banku, w wolnych chwilach grającego w rugby.

Było to znaczące wydarzenie. Wiedziałem, że tak naprawdę próbowała mi powiedzieć, żebym nie odchodził, a jej protesty, że między nami do niczego nie dojdzie, brzmiały niezbyt przekonująco.

Od tej pory z miesiąca na miesiąc stopniowo doprowadziliśmy do tego, że niekiedy oglądałem telewizję z Fioną White i jej córkami; wprawdzie to ja kupiłem telewizor, ale zaproponowałem, żeby stał na parterze. Od czasu do czasu organizowałem też wypady do edynburskiego zoo albo do Kelvingrove Art Galleries; oczywiście obie córki Fiony zawsze robiły za przyzwoitki.

Działalem długofalowo.

Po drodze jednak nachodziła mnie wiadoma chęćka, z którą trzeba było coś począć, więc robiłem to, co zawsze, tyle że zachowując większą dyskrecję niż wcześniej. Od początku czułem, że Fiona White bierze mnie za nieponia, i to na podstawie wyjątkowo lichych dowodów: na przykład takich, że kiedyś policja dobijała się do niej w środku nocy i wywlekła mnie skutego kajdankami albo że pewna młoda dama, z którą właśnie zerwałem, pojawiła się w jej domu i urządziła mi scenę. Dlatego za wszelką cenę starałem się nie afiszować z moimi romansami.

Największą trudnością było to, że jak się domyślałem, Fiona White notowała w pamięci każdy przypadek, kiedy nie wracałem na noc. Dlatego po naszej rozmowie od serca pilnowałem się, żeby zawsze spędzać noce w domu, ewentualnie uprzedza-

łem moją gospodynię zawczasu, tłumacząc, że wyjeżdżam w interesach. Co akurat rzadko kiedy odpowiadało prawdzie.

Wyznam szczerze, że nie miałem problemów z powrotami do domu po randkach z innymi paniami. Podejrzewałem, że na tym polega różnica między mężczyznami a kobietami: kobiety chcą od nas, żebyśmy po wszystkim zostali. Dla przeciętnego Szkota to mniej więcej coś takiego, jakby kazać mu siedzieć na stadionie przez trzy godziny po zakończeniu meczu, podczas gdy on marzy tylko o tym, żeby zwiać jak najszybciej i ubzdryngolić się z kumplami, relacjonując im najważniejsze momenty rozgrywki.

Szczyciłem się tym, że jestem bardziej taktowny i wrażliwy, a już na pewno bardziej dyskretny, choć tak naprawdę zawsze potrzebowałem powodu, żeby wrócić do domu. Dlatego samo to, że zostawałem z kobietą tak długo, ile trwało wypalenie dwóch playersów, wynosiło mnie do kategorii nieuleczalnych romantyków i kochanków rodem z kontynentu.

Skoro to już ustaliliśmy, stwierdziłem, że perspektywa budzenia się co rano obok Fiony White to coś z zupełnie innej parafii. Sytuacja na swój sposób kłopotliwa.

Kiedy tego wieczoru wróciłem o dziewiętnastej, nie poszedłem prosto do siebie, tylko zapukałem do White'ów i posiedziałem z nimi przy telewizji. Otwierając mi drzwi, Fiona White uśmiechnęła się – mały porcelanowy błysk pośród świeżo nałożonej szminki. Ostatnio częściej się uśmiechała. Zaprosiła mnie, więc usiadłem i oglądałem z nią oraz z Elspeth i Margaret serial *The Grove Family*, balansując filiżanką herbaty na oparciu kanapy. Wokół siebie widziałem oznaki tego, że coraz bardziej wdzieram się w ich życie – telewizor, nową lampę stojącą, a w rogu radiolę marki Regentone, na którą wydałem pięćdziesiąt dziewięć gwinei, ale wstawiłem ją tutaj, twierdząc, że u mnie się nie mieści. Dzięki temu czułem się tu spokojnie, choć jednocześnie mnie nosiło. Gdyby ktoś wszedł do tego salonu, zobaczyłby typowo domową scenkę ze wszystkimi niezbędnymi elementami składającymi się na normalną rodzinę.

Z rozmysłem, cal po calu, wciskałem się na miejsce zwolnione przez poległego oficera marynarki. Nie miałem pojęcia, dlacze-

go to robię: to prawda, że lubiłem te dzieci, lubiłem je naprawdę, a do Fiony White czułem coś dużo głębszego niż do jakiegokolwiek innej kobiety, no, może z wyjątkiem jednej. Ale skoro uświadomiłem sobie, że uporządkowałem swoje życie, poukładałem je i nad nim panuję, to czemu nie wyniosłem się jeszcze z Glasgow, nie zostawiłem za sobą całego tego strachu, w którym się nurzałem, i nie wsiadłem wreszcie na pokład statku do Halifaxu w Nowej Szkocji?

Domową idyllę przerwał mi terkot naszego wspólnego telefonu, który stał w korytarzyku u stóp schodów prowadzących do mojego mieszkania. Fiona White odebrała i przywołała mnie z pełną dezaprobaty miną.

– Halo – powiedziałem, odczekawszy, aż Fiona wróci do salonu i zamknie za sobą drzwi.

– Lennox? – Nie rozpoznałem tego głosu. Pobrmiewał w nim akcent z Glasgow, ale niezbyt silny i zmieszany z czymś jeszcze.

– Kto mówi?

Tylko Jock Ferguson i kilka innych osób znało mój numer domowy. Ci, którzy mieli do mnie interes, musieli dzwonić do biura albo szukać mnie Pod Końskim Łbem.

– Nieważne. Szuka pan informacji o Dzentelmenie Joe, zgadza się?

– Jest pan bardzo dobrze zorientowany. I szybko pan działa. Kto panu powiedział, że interesuję się Strachanem?

– Szuka pan tych informacji czy nie?

– Tylko jeśli są coś warte.

– Jest taki bar w Gorbals. Ziemiańska Oberża. Spotkajmy się tam za pół godziny.

– Nie spotkam się z panem ot tak na zawołanie ani w Ziemiańskiej Oberży, ani w Odbycie Górala, ani w Zasadzce na Wrzosowisku. Słucham, co ma mi pan do powiedzenia?

– Nic panu teraz nie powiem. Chcę zapłaty.

– Wyślę panu przekaz pocztowy.

– Musi pan się ze mną spotkać.

– Zgoda. Jutro, punkt dziewiąta rano w moim biurze. – Odłożyłem słuchawkę, zanim zdążył zaprotestować, po czym wybrałem numer domowy Jocka Fergusona.

– Czego znów chcesz, Lennox, do ciężkiej cholery? Zaraz się zaczyna mecz. Międzynarodowy.

– Ty i Kenneth Wolstenholme⁴ możecie mi podziękować, oszczędzę wam fatygi, Jock. Szkocja będzie prowadziła jedną bramką do ostatniego kwadransu meczu, potem zaprzepaści swoje zwycięstwo, tracąc jeden po drugim trzy gole, a wy jak wszyscy inni, przez kolejne dwa tygodnie będziecie powtarzać: „okradziono nas”. Skup się. Komu mówiłeś, że interesuję się Joe Strachanem?

– Nikomu. Znaczący się, podobnie jak paru innych gliniarzy musiałem zasięgnąć języka, ale już ci o tym mówiłem. A bo co?

– Przed chwilą ktoś próbował mnie zwabić przez telefon do Gorbals, jeżeli słów „zwabić” i „Gorbals” można użyć w jednym zdaniu. Wiedział, że szukam informacji o Strachanie, i chciał mi je sprzedać.

– Rozumiem, że się tam nie wybierasz?

– Jak to mówicie w Glasgow, nie przepłynąłem Clyde na statku z bananami. Kazałem mu wpaść do mnie do biura jutro o dziewiątej. Wątpię, żeby się pojawił. Chciałem tylko wiedzieć, czy mógł to być ktoś, z kim gadałeś.

– Może twoi klienci mają długie języki.

– Nie. Wziąłem to pod uwagę, ale jakoś tego nie widzę. Dzięki, Jock.

Odłożyłem słuchawkę i wróciłem do salonu.

– A więc pan nie wychodzi, panie Lennox? – spytała Fiona White, kiedy siadałem obok dziewczynynek.

– A... ma pani na myśli ten telefon? Nie. Bardzo przepraszam. Ktoś dzwonił w interesach, nie wiem, skąd zdobył ten numer. Jutro się tym zajmę.

– Rozumiem – bąknęła, odwracając się do telewizora. Mógłbym przysiąc, że na jej ustach zaigrał uśmiezek.

Miałem rację, podejrzewając, że to była zasadzka. Wstałem wcześniej i wyszedłem do biura, lecz gdy tylko znalazłem się na

⁴ Kenneth Wolstenholme – komentator piłkarski BBC w latach 50. i 60. XX wieku.

ulicy, poczułem, że coś mnie dusi. Nie zaczął się na mnie jednak żaden oprych, tylko glasgowski klimat. Był przełom września i października, nad miasto napłynął ziąb znad Syberii, albo co gorsza z Aberdeen, zderzając się z ciepłym powietrzem. I z mgłą. A w Glasgow mgła nigdy nie utrzymuje się długo, bo zaraz zmienia się w gęsty, duszący, żółtawozielonoszary smog.

Glasgow od stu lat było przemysłowym sercem imperium brytyjskiego. Fabryki bluzgały w niebo gęstym dymem, tłuste opary z kominów stu tysięcy czynszówek zlewały się w rozprzestrzeniającą się ponurą masę zalegającą nad miastem. A kiedy łączyła się z mgłą, dzień zamieniał się w noc, człowieka zaś pozabawiała tchu. Dosłownie.

Nie zastanawiałem się długo nad tym, czy jechać do biura samochodem. Przyjąłem zasadę, że jeżeli nie widzę auta sprzed drzwi mieszkania, to siadanie za kierownicą nie jest najlepszym pomysłem. To samo dotyczyło autobusów, pozostawało mi więc metro, trolejbus albo tramwaj. Podczas smogu tramwaje zawsze są najbardziej niezawodne. Ciągnęły się za nimi sznury aut, bo była to najlepsza metoda, żeby nie zgubić się w miazmatach. Inna sprawa, że w ten sposób kierowcy często łądowali w zajezdni, a nie tam, dokąd się wybierali.

Ruszyłem Great Western Road, trzymając się krawężnika, żeby nie zjechać na środek jezdni, i w końcu znalazłem przystanek tramwajowy. Zobaczyłem niewyraźny zarys ludzi cierpliwie stojących w zdyscyplinowanej kolejce; jak to w Glasgow, ci przypadkowi, obcy sobie ludzie rozmawiali ze sobą tak, jakby się znali od lat.

Byłem już cztery stopy od kolejki, czyli tyle, ile wynosiła widoczność we mgle, kiedy poczułem bolesne dźgnięcie w krzyż. Już miałem się obrócić na pięcie, gdy czyjaś dłoń zacisnęła się na moim ramieniu. A jednak mgła najwyraźniej miała współnika.

– Nie odwracaj się! – Rozpoznałem ten sam głos, który słyszałem przez telefon. Ta sama dziwna mieszanka akcentów, ale tym razem facet mówił zimno i zdecydowanie. – Jeśli zobaczysz moją twarz, będę musiał cię zabić. Rozumiemy się?

– To nie było aż tak skomplikowane – odparłem. We mgle,

kiedy wzrok traci na znaczeniu, teoretycznie wyostrzają się pozostałe zmysły. Ciekawe, dlaczego nie usłyszałem, jak podchodził do mnie od tyłu.

– Trzeba było przyjść na spotkanie wczoraj wieczorem, Lennox. Cofniemy się teraz do zaułka za moimi plecami. Zachowuj się, bądź cicho, a nie spotka cię nic niefortunnego.

Niefortunnego... Słownictwo i akcent zupełnie do siebie nie pasowały.

– Chcę tylko z tobą pogadać. Nie ma się co denerwować, nikomu nie musi się stać krzywda.

– Zakładam, że dźgasz mnie w plecy lufą pistoletu, a nie zwinętym egzemplarzem „Reveille” – odparłem. – Pokaż spluwę albo się stąd nie ruszę.

– Cwany numer, Lennox. Ja odsunę gnata, a wtedy ty spróbujesz mi go wyrwać. Wiesz co, a może pociągnę za spust? Popatrzysz sobie, jak kawałek kręgosłupa i może fragment wątroby fruną we mgle. Czy to cię przekona?

– Pewnie by mnie przekonało... ale po namyśle chyba uwierzę ci na słowo.

Od zakończenia wojny minęło ponad dziesięć lat, lecz w obiegu wciąż było mnóstwo broni palnej, zwłaszcza w Glasgow. Twardy przedmiot, który czułem na krzyżu, raczej nie wyglądał na bluff, a mojego nowego przyjaciela cechowała wynikająca z doświadczenia spokojna pewność siebie, toteż postanowiłem zachowywać się nad wyraz grzecznie, przynajmniej dopóty, dopóki będzie wyglądało na to, że po naszym spotkaniu odejdę o własnych siłach.

Facet szarpnął mnie do tyłu, niewyraźny zarys kolejki do tramwaju znów rozplynął się we mgle. Znaleźliśmy się w bocznej uliczce, niemal zaułku. Gość wciągnął mnie ze dwadzieścia jardów w głąb, a potem odwrócił tak, że pocałowałem cegłę. Pod nogami mieliśmy kocie łby, jak to w Glasgow – czarne i śliskie, ale przecież wydające jakieś dźwięki w zetknięciu z moimi obcasami. A jego kroków nie słyszałem. Tak jak wtedy, kiedy mnie zaszedł od tyłu, poruszał się bezszelestnie.

– Oprzyj dłonie na płask o mur, na wysokości głowy – polecił. Zrobiłem, co kazał, próbując ocenić po jego głosie, w jakiej

odległości ode mnie stoi. Jeśli zamierzał wpakować mi kulkę w tył głowy, to mógł to zrobić teraz.

– Wczoraj wieczorem powiedziałaś mi przez telefon, że masz informacje, za które warto zapłacić – odezwałem się. – Jak widzę, hołdujesz dość nachalnym metodom sprzedaży.

– Żartuj tak dalej, Lennox, a nasze interesy zakończą się tu i teraz.

– Nachalne, ale przekonujące – odparłem, wciąż próbując ocenić odległość. Doszedłem do wniosku, że lepiej jednak nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. – No dobra, przyjacielu, o co ci chodzi?

– Pakujesz nos w sprawę Strachana. Chcę wiedzieć dlaczego.

– Bo urodziłem się ciekawy – zażartowałem, a on, również w ramach żartów, wyrzucił mnie pięścią w nerki. Siła ciosu wciśnęła mi policzek w ścianę oraz wydusiła z płuc resztki powietrza. Wbiłem palce w cegły i dysząc, z trudem łapałem smoliste, wilgotne opary. Tamten dał mi czas, żebym doszedł do siebie.

– Zapytam cię jeszcze raz, Lennox, ale spróbuj znów pyskować, a przez miesiąc będziesz szczał krwią. Dotarło?

Pokiwałem głową; wciąż nie mogłem mówić ani nabrać powietrza do udreżonych płuc.

– Odwal się od tej historii ze Strachanem. Jasne? Odczepisz się od niej raz na zawsze. Bo jeśli nie, to sam skończysz na dnie Clyde. A teraz gadaj, dlaczego dopytywałeś się o Joego Strachana. Masz coś do niego?

– Zwyczajna robota – odparłem przez zaciśnięte zęby. – Wynajęto mnie.

Dotkliwy ból w boku przyprawiał mnie o mdłości. Krew dudniła mi w uszach. Facet znał się na rzeczy, ale wiedziałem, że jeśli nie będę się stawiał i nie zrobię nic głupiego, zapewne wyjdę z tego żywy.

Grał mi jednak na nerwach. Wkurzał mnie. Wkurzał mnie tak, że coraz bardziej traciłem ochotę na słuchanie jego poleceń. I robił to w sposób, który odzierał mnie z dziesięciu lat życia w cywilu i cofał tam, gdzie nikt nie chciał mnie widzieć.

– Kto cię wynajął? – spytał, zapominając nadać swoim słowom typowo celtycką wymowę. Kimkolwiek był, usilnie starał

się to ukryć.

Jęknąłem przeciągle, łapiąc się za bok w miejscu, w które mi przyłożył, i zgiąłem się wpół, skręcając ciało.

– Chyba się porzygam... – Odepchnąłem się i schyliłem, przytrzymując się ręką muru. Usłyszałem stłumiony krok w tył. Ani chybi kombinował, czy naprawdę mnie zemdliło, czy chcę mu wywinąć jakiś numer. Zgiąwszy się jeszcze bardziej, zacząłem wymiotować. Widziałem jego buty, z brązowego zamszu, na gumowej podeszwie: to dlatego nie usłyszałem, jak się skradał. Stał zdecydowanie; każdym ruchem zdradzał całkowitą pewność siebie. Gotowy natychmiast zareagować na każde moje drgnięcie.

Mimo to postanowiłem działać.

Odepchnąwszy się ręką od ściany, rzuciłem się na niego, wrzeszcząc wniebogłosy. To on wołał nie zwracać na nas uwagi, nie ja. Zobaczyłem, że jest mniej więcej w moim wieku, silnie zbudowany, ale z pewnością nie był to Dżentelmen Joe, żywy czy w postaci ducha. Skupiłem się na pistolecie, więc nie miałem okazji dokładnie przyjrzeć się jego twarzy. Przewidując mój ruch, zgrabnie usunął się w bok, mimo to moja pięść otarła się o jego szczękę. On z kolei kopniakiem podciął mi nogi i runąłem na bruk.

Natychmiast przeturlałem się kawałek dalej, utrudniając mu celowanie, on jednak nie strzelił. Gramoląc się na nogi, ujrzałem w smogu, że pistolet ze straszliwym impetem opada na moją skroń. Blokiem lewego przedramienia sparowałem cios, drugą ręką bezskutecznie usiłując wyrwać facetowi broń, a jednocześnie kolaniem wałnąć go w krocze. Nie trafiłem – wyrznąłem go w brzuch. Zgiął się wpół. Walcząc z uzbrojonym w broń palną napastnikiem, ponad dziewięćdziesiąt procent sukcesu zależy od tego, czy mu się ją odbierze, dlatego spróbowałem ponownie. Tymczasem on się nie cofnął, jak odruchowo zrobiłaby większość ludzi, tylko napał na mnie i wbił mi rękojeść pistoletu w policzek, obracając mój impet na swoją korzyść. Najwyraźniej kończyliśmy tę samą szkołę. Poczułem na policzku coś mokrego, świat na chwilę zawirował.

Facet pozbierał się, stanął, uniósł broń i wycelował. Ja rów-

nież właśnie wstawałem, więc dałem nura w bok i przeturlawszy się kilkakrotnie, zerwałem się i wzięłem nogi za pas. W smogu straciłem poczucie orientacji, ale lekkie wzniesienie bruku pod nogami podpowiedziało mi, że biegnę w głąb bocznej uliczki, z dala od głównej arterii. W smogu byłem niewidoczny, lecz tamtego też nie było widać, a w przeciwieństwie do mnie, w butach na gumowej podeszwie poruszał się bezszelestnie.

Na oślepie przebiegłem kilka jardów, stanąłem i przywarłem do ściany. Powoli ruszyłem dalej, najciszej, jak to możliwe. Trafiałem na zamurowane, cofnięte w głąb wejście, wcisnąłem się w nie i czekałem na strzał, licząc na to, że padnie w kierunku, gdzie byłem przed chwilą, a nie tam, gdzie stałem teraz. Ale napastnik nie strzelił.

Tylko przelotnie zdążyłem rzucić okiem na jego twarz, poza tym wtedy wykrzywił ją wściekły grymas. Zauważyłem jedynie ciemne włosy i zacięte, kanciaste rysy. Byłem też prawie pewny, że dostrzegłem paskudną bliznę na jego czole. Zdecydowanie nigdy wcześniej go nie widziałem.

Przywierając do zamurowanego wejścia, wyteżąłem słuch. Nawet będąc w szczytowej formie, w smogu człowiek czuje się samotny, opuszczony, jakby ktoś wyłączył świat i nie istniało nic poza tym, co dostrzega się na odległość kilku stóp. Ale ja nie byłem sam, gdzieś tam czaił się inny wędrowiec, polujący na mnie z pistoletem w garści. W każdej chwili mógł się pojawić w moim małym polu widzenia, a wtedy wszystko będzie zależało od tego, kto zareaguje szybciej. Lecz równie dobrze facet mógł być już w pół drogi do Paisley.

Czekałem bez ruchu, wszystkimi zmysłami usiłując przebić smog, gotów rzucić się na cokolwiek, co wychynie z mgły. Nic się nie wydarzyło. Wierzchem dłoni otarłem policzek i zobaczyłem, że rękę mam umazaną krwią. Zacząłem zastanawiać się nad facetem z pistoletem. Nad jego fałszywym akcentem oraz wprawą, z jaką posługiwał się bronią i pięściami. Jeżeli był gangsterem, to takim, który ma za sobą trening wojskowy, jaki przechodzą komandosi albo członkowie innych sił specjalnych. Z trzech minut zrobiły się cztery, potem pięć. Uznałem, że daw-

no się zmył, wiedząc, że polowanie na mnie w tak nieprzeniknionym mleku jest równie niebezpieczne dla myśliwego co dla ofiary. Odczekałem jednak jeszcze minutę. Facet zachował zimną krew, bez dwóch zdań; był z tych, których stać na bezgraniczną cierpliwość.

Już miałem wrócić na główną ulicę, gdy naraz go ujrzałem. Wyłonił się przede mną tak, jakby nagle oddzielił się od smogu – niewyraźna postać, która nie dostrzegła mnie w wejściu.

Posuwał się powoli, omiatając pistoletem samopowtarzalnym spowitą smogiem uliczkę tak, jakby trzymał latarkę. Moja kryjówka znajdowała się tuż poza jego polem widzenia. Sięgnąłem do kieszeni marynarki, zapomniawszy, że już od miesięcy nie chodziłem do pracy ze skórzaną pałką o sprężynowej rękojeści. A na takiego przeciwnika lepiej nie rzucać się z gołymi rękami. W ułamku sekundy rozważyłem dostępne opcje, tymczasem jednak jego znów wchłonął smog, gdy brnął dalej uliczką.

Kiedy mnie minął, odczekałem kilka sekund, kucnąłem, rozwiązałem sznurówki i ściągnąłem buty. A potem, z butami w rękach, tak szybko i cicho, jak to było możliwe w tych warunkach, wróciłem uliczką w kierunku Great Western Road, podczas gdy mój partner do tańca nadal szedł w głąb zaułka. Obiecałem sobie, że kiedyś jeszcze zatańczymy.

Tylko że wtedy to ja będę prowadził.

Do domu wróciłem już jak człowiek, w butach. W panującym mroku pani White nie mogła mnie zauważyć na ścieżce z okna salonu, więc miałem nadzieję, że uda mi się przemknąć do siebie niepostrzeżenie i doprowadzić się do porządku. Traf chciał, że otworzyła drzwi frontowe w tej samej chwili, gdy do nich podszedłem.

– Pan Lennox... – bąknęła, zaszokowana moim wyglądem. – A cóż się panu stało, na miłość boską?

– To przez ten cholerny smog – odburknąłem. – Przepraszam za język... Potknąłem się o krawężnik i wpadłem prosto na latarnię. – Trudno o bardziej wiarygodną wymówkę, tego dnia dziesiątkom ludzi przytrafiły się podobne wypadki.

– Pan pozwoli do kuchni – zarządziła i poprowadziła mnie, trzymając mocno pod łokieć. – Muszę się temu przyjrzeć.

Kręciło mi się w głowie, więc się nie opierałem. Fiona White odsunęła krzesło od kuchennego stołu. Skrzywiłem się, kiedy mnie na nim sadzała.

– Coś jeszcze pana boli? – zapytała.

– Upadając, uderzyłem się w głowę... a krawężnik wbił mi się w bok. Ale najgorzej wyszedł na tym mój policzek... – Miałem nadzieję, że to kupiła. Już nieraz widywała moje rozmaite trofea wojenne, w tym przyznane mi nawet przez policję miejską Glasgow. Wiedziałem, że głównie z tego powodu wołała trzymać mnie na dystans: te ślady niedwuznacznie lokowały mnie w kategorii podejrzaných osobników.

Przyrzędziła słaby roztwór środka dezynfekującego, zagotowała wodę i przemyła mi ranę. Zauważyłem, że kiedy znów zamoczyła wacik, roztwór zabarwił się na różowo.

– Być może trzeba to będzie zaszyć – oceniła z marsową miną. Stanęła przede mną i pochyliła się, żeby obejrzeć mnie z przodu. Kiedy zbliżyła twarz, poczułem lekki zapach lawendy, jej oddech owiał moje usta. Nagle jakby się zakłopotowała i wyprostowała sztywno; a jednak spojrzenia, które wymieniliśmy, były znaczące. A może wcale nie. Byłem obolały, przymulony i miałem mętlik w głowie, czego jednym z powodów była Fiona White.

– Nic mi nie będzie – odparłem. – Wystarczy zwykły plaster, jeśli ma pani jakiś na zbyciu.

– Naprawdę uważam, że ktoś to powinien obejrzeć. Jest w tym samym miejscu co...

– Moje blizny? Wiem. Ale one już dawno się zagoiły, proszę pani. Drobne zadrapanie mi nie zaszkodzi. – Uśmiechnąłem się do niej i w nagrodę poczułem kłujący ból w policzku, a po szczęście spłynęła mi strużka świeżej krwi. Fiona White zacmokała, na nowo przykładając mi wacik. Uniosła moją rękę, kazała mi trzymać opatrunek, a potem wyjęła z szuflady rolkę przylepca i odcięła trzy kawałki.

– Skąd pan je ma? Te blizny? – spytała z zakłopotaniem, przyklejając mi nowy wacik do twarzy. Obróciłem nieco głowę,

na co znów zacmokała i ustawiła ją w dawnej pozycji, dotykając dwoma palcami. Po raz pierwszy zadała mi tak osobiste pytanie.

– Źle wybrałem chirurga plastycznego – odparłem. – Twierdził, że robił nos Hedy Lamarr i podbródek Cary’ego Granta, a tak naprawdę jego dziełem były tylko uszy Clarka Gable’a.

– Pytam poważnie...

– To naprawę blizny po operacji plastycznej – powiedziałem. – Musieli mnie połatać, kiedy znalazłem się po złej stronie niemieckiego granatu. – Nie dodałem, że byłoby znacznie gorzej, gdyby jeden z moich żołnierzy nie wziął na siebie głównego impetu wybuchu. Miałem rozerwaną całą twarz, chirurgom udało się jednak pozszywać ją do kupy. Natomiast żaden z nich nie był w stanie pocerować walających się w błocie wnętrzności żołnierza z mojego oddziału.

Chirurg plastyczny, który zajął się moją twarzą, wykonał kawał dobrej roboty, na pamiątkę została mi tylko pajęczyna ledwo widocznych, białych blizn na prawym policzku. No i z powodu uszkodzenia nerwu uśmiechałem się nieco krzywo, wręcz drapieżnie, o czym najlepiej mogła zaświadczyć Leonora Bryson.

Kiedy herbata się zaparzyła, Fiona White przyniosła mi dwie aspiryny i kubek wody. Rozmowa zesłała na drobiazgi, głównie na smog i kłopoty, jakie zawsze sprawia; a jednak siedząc tam, czułem, że coś mi leży na żołądku. Ze szlachetnych pobudek okłamałem Fionę White na temat tego, co zaszło, a Bóg jeden wie, że zazwyczaj nie potrzebowałem ich, by posłużyć się kłamstwem. Ale jej nie chciałem okłamywać.

Nie to jednak przyprawiało mnie o skurcz żołądka. Właśnie wymknąłem się bardzo groźnemu facetowi z bronią w rękę – temu samemu, który wczoraj dzwonił do mnie do domu. I który niewątpliwie czekał na mnie dzisiaj przed domem, wiedząc, że pójde sprawdzic, czy stawi się na nasze jednostronnie ustalone spotkanie.

A to znaczyło, że znał moje miejsce zamieszkania. Co z kolei narażało na niebezpieczeństwo Fionę White i jej córki.

– Czy coś się stało, panie Lennox? – spytała. – Gorzej się pan

czuje? Naprawdę uważam, że powinniśmy zawieźć pana do lekarza.

Pokręciłem głową. Przez chwilę białem się z myślami, czy powinienem być z nią szczerzy. Będzie przerażona i niewątpliwie wymówi mi mieszkanie, ale ma prawo wiedzieć.

– Muszę zadzwonić – odparłem.

Wstałem i poszedłem po telefon w korytarzu.

Czekając na przyjazd Jocka Fergusona, usiadłem z Fioną White i zrelacjonowałem jej dokładnie, co mi się przydarzyło i z jakiego powodu. Sam nie wiem, dlaczego w swojej szczerości posunąłem się do tego, że opowiedziałem też o pieniądzach przysyłanych co roku Isie i Violet w rocznicę skoku na Wystawę Imperium Brytyjskiego, podkreśliwszy, że zasłaniając się tajemnicą zawodową, nie wyjawilem tego policji. Przyznałem również, że prowadzę inną, bardzo głośną sprawę, która może przysporzyć mi rozmaitych problemów, ale zapewniłem, że moja samba w smogu nie miała z nią nic wspólnego.

Siedziała, słuchając mnie w milczeniu, ze splecionymi na kolanach drobnymi, ładnymi dłońmi; minę miała poważną i spokojną, ale poza tym niezdradzającą żadnych uczuć. Słuchając własnych słów, nie posiadałem się ze zdumienia. Byłem najbardziej skrytym ze wszystkich znanych mi ludzi – nawet przed samym sobą miałem tajemnice – i nigdy z nikim nie rozmawiałem na temat mojej pracy, a tu proszę: wywnętrzałem się przed moją gospodynią.

Wiedziałem, że powinienem się zamknąć. I gdzieś głęboko w duszy krzyczałem na siebie, żebym stulił pysk, a jednak nie mogłem przestać mówić. Szybko wyrzucałem z siebie słowa, nie pomijając żadnych szczegółów. A kiedy już wiedziała dokładnie, co i dlaczego się stało, wyznałem, co mnie martwi najbardziej: że ten człowiek i jego ewentualni współnicy wiedzą, gdzie mieszkam. Powiedziałem, że spakuję trochę rzeczy i się wyniosę, przynajmniej na jakiś czas, ale wciąż będę płacił za wynajem. Rozumiejąc, że zapewne zechce się mnie pozbyć na dobre z powodu niedogodności, na jakie ją naraziłem, obiecałem, że

postąpię zgodnie z jej życzeniem, przedtem jednak chcę poinformować inspektora Fergusona o tym, co się stało – może postawi przed domem policyjną ochronę... W końcu zabrakło mi tematów, tchu, albo jednego i drugiego, więc zakończyłem perorę zwykłym „prze-praszam”.

– Dokąd się pan uda? – spytała tonem, którego nie potrafiłem rozszyfrować.

– Nie wiem... Pewnie do jakiegoś hotelu.

– Rozumiem... – Jej głos i mina wciąż niczego nie zdradzały.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Kazałem jej zostać na miejscu, a sam poszedłem otworzyć.

Zaskoczyło mnie, że Ferguson zjawił się sam. Przedstawiłem go Fionie White, chociaż spotkali się już przelotnie raz czy dwa, kiedy otwierała mu podczas jego rzadkich odwiedzin w moim mieszkaniu.

Streściłem mu przebieg wypadków.

– Więc to był ten gość, który dzwonił do ciebie wczoraj wieczorem?

– Na to wygląda, Jock.

– I co, złożysz doniesienie o napadzie?

– Nie. To by tylko skomplikowało sytuację. Chcę jedynie mieć pewność, że pani White nie spotkają z tego powodu żadne kłopoty.

– Więc mam postawić przed drzwiami wartownika, chociaż nie wpłynęła żadna skarga, która dawałaby mi podstawy do takiego kroku?

– Na pewno coś wymyślisz, Jock. Wiesz, podejrzany osobnik kręcący się koło domu, coś w tym guście.

– Lennox, mówiłeś, że facet był uzbrojony. Nie możemy pozwolić, żeby po Glasgow latali wymachujący gnatami bandyci.

– Faktycznie, wyobrażam sobie, jak by to podkopało reputację miasta...

Ferguson łypnął na mnie spode łba.

– No dobra – rzuciłem. – Rozumiem cię. Ale zanim zaczniemy obławę, wyjaśnij mi, dlaczego jesteś sam.

– O co ci chodzi?

– Doskonale wiesz o co. Nie wzięłeś ze sobą nawet krawężnika.

Z uśmiechem odwrócił się do Fiony White.

– Pozwoli pani, że ją zostawimy na chwilkę? – powiedział i zwrócił się do mnie: – Chodźmy na górę, pomogę ci się spakować...

Najbardziej ucierpiał mój deszczowiec: jeden rękaw był paskudnie rozdarty, a poza tym, podobnie jak tył płaszcza, utyłłany smolistymi, czarnymi plamami – rezultat turlania się po bruku uliczki. Mój borsalino, jeden z najlepszych kapeluszy, jakimi dysponowałem, wciąż leżał gdzieś w zaułku. Garnitur nie nosił żadnych śladów napaści, ale i tak chciałem go zmienić wraz z koszulą, jak zawsze po walce.

Podczas gdy ja się myłem, przebierałem i pakowałem, Jock Ferguson siedział w salonie i palił papierosa. Przejrzałem się w lustrze nad umywalką. Plaster na policzku otaczało lekkie przebarwienie skóry, obyło się jednak bez opuchlizny. Wyglądałem całkiem znośnie. Podejrzewałem, że od większych siniaków uchroniło mnie silne krwawienie.

Jedną z osobliwości mojego charakteru było upodobanie do eleganckich strojów – zawsze kupowałem najlepsze ubrania, na jakie akurat mogłem sobie pozwolić. A również takie, na które nie było mnie stać. Spakowałem tuzin koszul, by nie musieć wracać po więcej, a do tego dwa garnitury na zmianę, cztery jedwabne krawaty oraz kilka chusteczek. Dorzuciłem jeszcze parę nienoszonych, brązowych zamszowych półbutów na grubej gumowej podeszwie, stanowiącej ostatni krzyk mody – postanowiłem wziąć przykład z mojego partnera do tańca.

Gdy już się spakowałem, krzyknąłem do Fergusona, czy jeszcze żyje, i przeprosiłem go za zwłokę. Odpowiedział chrząknięciem. Tak naprawdę sprawdzałem, gdzie jest i czy przypadkiem nie stanie w progu sypialni, kiedy będę zdejmował z półki i wrzucał do torby egzemplarz *The Shape of Things to Come* H.G. Wellsa. Następnie na czworakach wsunąłem rękę pod łóżko, podniosłem dwie obluzowane deski podłogowe i sięgnąłem do skrytki, z której wyjąłem owinięty w impregnowany brezent przedmiot. Zawinąłem go dodatkowo w starą koszulę, po czym

wrzuciłem do torby obok książki.

– No dobra, Jock – powiedziałem, wróciwszy do salonu. – Pogadajmy. Dlaczego latasz po mieście solo?

Po raz pierwszy, odkąd go poznałem, Jock Ferguson był wyraźnie nieswój.

– Muszę cię o coś zapytać, Lennox – oświadczył stanowczo. – Czy oprócz mnie mówiłeś jeszcze komuś, że interesujesz się sprawą Dzentelmena Joego Strachana?

– Aha! – rzuciłem. – Widzę, że poszedłeś moim tokiem rozumowania. Odpowiedź brzmi: nie. Trafiła mi się inna sprawa i to nią się zajmowałem od czasu naszej ostatniej rozmowy. O sprawie Strachana mówiłem wyłącznie z tobą. – To było, oczywiście, kłamstwo. Rozmawiałem o niej ze Sneddonem, wiedziałem jednak, że gdyby Sneddon chciał mnie nastraszyć, zrobiłby to dyskretniej, a zresztą miał zwyczaj trzymać karty przy orderach. Tak czy siak czułem, że lepiej nie informować Jocka o moim spotkaniu z Królem.

– Tak myślałem... – bąknął ponuro. Siedział na skraju kanapy, pochylony, opierając łokcie o kolana.

– A ty gadałeś o tym tylko z kumplami z policji, po czym nagle ktoś mnie napada i zaczyna grozić. Właśnie to cię gryzie, mam rację?

– Bo to nie ma sensu... – Pokręcił głową. – Mógłbym zrozumieć, gdyby ktoś próbował cię ostrzec, żebyś się do tego nie mieszał, bo wielu funkcjonariuszy za wszelką cenę chce dopaść pozostałych członków gangu... Ale żeby od razu wymachiwać spluwą...

– Nie zapędzajmy się, Jock. Absolutnie nie wierzę, żeby to był gliniarz. Każdy medal ma dwie strony. Przecież sam sugerowałeś, że to mogły być moje klientki, Isa i Violet. Może wypaplały gdzieś, że zamierzają wynająć kogoś, kto przyjrzy się historii odkrycia szczątków ich ukochanego tatusia. Mówiły mi, że rozpytywały się o odpowiedniego człowieka, i ktoś im podał moje nazwisko. Może ten ktoś po prostu dodał dwa do dwóch.

– I? – rzucił Ferguson, czytając w moich myślach.

– I Violet ma męża, który wygląda na takiego, co to zna się na rzeczy.

– Nazwisko?

– Robert... – Próbowałem sobie przypomnieć, jakie nazwiska bliźniaczki noszą po mężach. W duchu stale myślałem o nich jako o Isie i Violet Strachan. – Robert McKnight. Coś ci to mówi?

– Nic mi nie przychodzi do głowy. Ale sprawdzę. A tymczasem na twoim miejscu bym się nie wychylał, Lennox.

– Postaram się. A kiedy już zaszyję się przed światem jak Greta Garbo, przydzielisz kogoś, żeby miał oko na panią White? I dasz jej numer, pod który mogłaby zadzwonić w razie...

– Zgoda, Lennox. Coś wymyślę. Może jakiegoś podejrzanego osobnika, jak mówiłeś. Tylko nie próbuj się tu zakradać od tyłu, gdybyś chciał po coś wrócić. Aha, i...

– Tak?

– Naprawdę przesadzasz. Z nadużywaniem mojej uprzejmości. Gdyby odkryli, że zatuszowałem sprawę napaści z bronią w rękę, mógłbym wylecieć z roboty.

– Doceniam to, Jock. Jeżeli wyjdzie z tego coś, co zasługuje na awans, możesz być pewny, że to ty zbierzesz zaszczyty.

Fiona White czekała w korytarzu, z rękami splecionymi pod biustem i ponurą miną.

– Czy to naprawdę konieczne? – spytała, kiedy stawiałem walizki na podłodze.

– Tak będzie bezpieczniej. Nie chcę w to mieszać pani ani pani córek. Nie sądzę, żeby ktoś ośmielił się tu jeszcze pokazać, ale najlepiej będzie, jeśli się wyprowadzę.

– Zatrzymam pokoje dla pana. Zakładam, że to rozwiązanie jest tylko tymczasowe.

– Bardzo bym chciał, droga pani.

Przez chwilę we troje staliśmy w niezręcznej ciszy. W końcu Ferguson wręczył Fionie White wizytówkę, na której zapisał swój numer domowy oraz kontaktowy do komendy głównej przy St Andrew's Square.

– Dopilnuję, żeby zaglądali do pani chłopcy z patrolu – obiecał. – Ale jeśli zauważą pani, że koło domu kręci się ktoś podej-

rzany, proszę natychmiast dzwonić do mnie.

– A ja odezwę się i podam pani numer kontaktowy do siebie, kiedy już gdzieś się ulokuję – dodałem.

Energicznie pokiwała głową, więc razem z Fergusonem wyniosłem walizki do mojego samochodu.

Na dworze wciąż wisiała sakramencka mgła. W piekle pewnie marudzą, że jest tam mglisto jak w Glasgow. Rzuciłem walizki w biurze i siedziałem przy biurku tak długo, aż zrobiło się ciemno i musiałem zapalić lampę. Pozostałe biura powoli się wyludniały. Wypaliłem pół paczki papierosów, nie po raz pierwszy dumając nad tym, w jakie gówno znów wpadłem. Przy najlżejszym dotknięciu czubkiem palca twarz bolała mnie jak skurwysyn, ale jej odbicie w szerokim ostrzu nożyka do listów świadczyło o tym, że jak dotąd nie spuchła. Ból w boku na wysokości krzyża wciąż przyprawiał mnie o mdłości, tyle że nie był to już występ solowy: wszystkie fizyczne pamiątki po utarczce w smogu śpiewały teraz unisono.

Coraz ciemniejszy smog otarł się o okna mojego biura. Zrezygnowałem z dalekiej wyprawy w poszukiwaniu hotelu i zacząłem sobie wyobrażać, z jakim dodatkowym bólem się ocknę, jeśli zasnę na wypastowanej podłodze ciasnego biurowego pokoju. Poza tym nie uśmiechała mi się perspektywa ablucji w toalecie, z której korzystały cztery inne biura, mieszczące się na moim piętrze i niżej.

Zupełnie spontanicznie sięgnąłem po telefon. Zdziwiłem się, że osoba, z którą kazałem się połączyć, podniosła słuchawkę.

– Cześć – odezwałem się głosem, który mimo wszelkich wysiłków zdradzał, że jestem wykończony. – Tu Lennox. Siedzę u siebie w biurze, po drugiej stronie ulicy. Mam prośbę... czy moglibyśmy się spotkać w hotelowym barze za dziesięć minut?

Ku mojemu jeszcze większemu zdziwieniu, zgodziła się.

Leonora Bryson nieco się spóźniła. No i dobrze. W takich sprawach obowiązuje etykieta – kobiety nie powinny czekać

w barze na mężczyzn. To my mamy czekać na nie. A kobieta taka jak Eleonora Bryson wiedziała, że każdy mężczyzna będzie na nią czekał tak długo, jak ona tego zechce.

Wkroczyła do baru hotelu Centralnego w grzecznej spódnicy, zakiecie pod kolor i jasnoniebieskiej bluzce. Większość kobiet wyglądałaby w takim stroju bezbarwnie, ale ona prezentowała się lepiej niż Marilyn Monroe w bikini. Kiedy weszła, skupiła na sobie powszechną uwagę, mógłbym przysiąc, że nawet marmurowe popiersie w rogu jęknęło z zachwytu. Czekałem na nią przy barze, lecz od razu zaproponowałem, żebyśmy się przenieśli do wolnego stolika. Spytałem, czego się napije. Nie zdziwiłem się, że zamówiła daiquiri, za to zdumiało mnie, że barman z Glasgow wiedział, jak je przyrządzić.

– Wygląda pan jak ofiara działań wojennych – powiedziała, ruchem ręki wskazując opatrunek na mojej twarzy; daiquiri zawinowało w kieliszku. W jej głosie nie usłyszałem już tego lodowatego tonu, jednak ciepła również się nie doszukałem.

– A, to? Głupia sprawa... Wpadłem na coś w smogu. – Nie wyjaśniłem, że tym czymś była góra mięśni z pistoletem w garści.

– Tak, rozumiem. – Nagle wyraźnie się ożywiła. – Widywałam smog w San Francisco, ale ten tutaj jest niesamowity. Nie dość, że taki gęsty, to jeszcze ma zielony odcień.

– Farbują go specjalnie na użytek turystów. San Francisco... stamtąd pani pochodzi?

– Nie... Właściwie to ze Wschodniego Wybrzeża. Z Connecticut.

– Czyli wychowywała się pani o wiele bliżej mojego rodzinnego miasta niż Hollywood. Ja jestem z Nowego Brunswicku.

– Naprawdę? – bąknęła z tak mizernym zainteresowaniem, że można by je dostrzec chyba tylko przez największy na świecie teleskop z obserwatorium Palomar. – O czym chciał pan ze mną porozmawiać?

– Muszę się gdzieś przespać...

Jeszcze nie wybrzmiały ostatnie sylaby, a już temperatura spadła o tysiąc stopni.

– Nie, nie... – Uniosłem ręce. – Proszę mnie źle nie zrozu-

mieć... Przez ten smog i w ogóle, pomyślałem, że może mogłaby mi pani załatwić tu rabat. W końcu mam biuro naprzeciwko. Tylko na jedną noc. Normalnie tu jest dla mnie za drogo, ale z konieczności...

Przyglądała mi się lodowato niebieskimi oczami, a ja zabijałem czas rozmyślaniami o tym, co też córy Renu i walkirie wyprawiały w Walhalli. W końcu Leonora podjęła decyzję.

– Tak się składa, że na końcu naszego korytarza mamy wolny pokój – powiedziała. – Wzięliśmy go dla jednego z szefów wytwórni, ale właśnie odleciał do domu wcześniej, niż planował. Zatrzymaliśmy pokój na wypadek, gdyby mógł się przydać. Zdaje się, że dzisiaj nadarza się okazja.

– Oczywiście zapłacę...

– Nie ma potrzeby. – Z wykonanej na zamówienie papierownicy wyjęła papierosa nieznanego mi marki. Gdy przysunęła go do ust, natychmiast podsunąłem jej ogień. Zaciągnęła się i zdawkowo podziękowała mi skinieniem głowy. – I tak jest opłacony, bez względu na to, czy ktoś z niego korzysta, czy nie. A resztą pracuje pan dla pana Macready’ego. Tylko na tę jedną noc?

– Tak.

– Jeszcze coś, panie Lennox? – Popijając daiquiri, zmierzyła mnie takim wzrokiem, jakby moja obecność gruntownie psuła jej rozkosz delektowania się koktajlem.

– Prawdę mówiąc, tak. Czy pani wie, po co zostałem zaangażowany przez wytwórnię? Zna pani sytuację pana Macready’ego?

– Znam – odparła. – Jestem osobistą asystentką pana Macready’ego, dlatego muszę wiedzieć o wszystkim, co się dzieje. O tym, co dobre i co złe. To za moim pośrednictwem pan Macready utrzymuje kontakt z ludźmi i ze światem.

Już miałem powiedzieć, że jeden kontakt dość entuzjastycznie nawiązał na własną rękę, ale ugryzłem się w język.

– Czy znała pani jego... upodobania przed całą tą historią? – spytałem.

– Oczywiście – rzuciła wyzywająco, ale i z urazą w głosie.

– Gdzie pani była, kiedy Macready zabawiał się w domku ze

swoim przyjacielem?

– W hotelu. Nie w tym... na północy. Koło tego wielkiego jeziora. Pojechaliśmy tam na plan zdjęciowy.

– I Macready dał pani wolny wieczór?

– Owszem. Siedział w hotelowym barze, popijając z Iainem.

– Kiedy go o to pytałem, powiedział, że decyzję o wyjeździe do domku podjął pod wpływem chwili.

– Mnie też tak mówił – odparła, przyszpilając mnie lodowato niebieskim spojrzeniem. – Kręciliśmy sceny na terenie posiadłości rodziny Iaina, a on od czasu do czasu korzystał z tego domku. Wie pan, Iain maluje. To artysta. – Ostatnie słowo wypowiedziała z lekceważeniem. – Według pana Macready’ego to Iain zaproponował, żeby się tam przenieśli, by móc popijać dalej.

– Przecież jako gość hotelowy Macready mógł zamawiać drinki już po zamknięciu baru...

Leonora Bryson wzruszyła ramionami.

– Nie sądzę, żeby chodziło im o picie. Zresztą, czy to ważne?

– Widziała pani zdjęcia?

Oburzenie na jej twarzy było widoczne przez ułamek sekundy, po czym burza przeszła.

– Nie, panie Lennox, nie widziałam.

– A ja tak. Musiałem je obejrzeć. Zrobione je z ukrycia. Aparat był schowany w ścianie albo gdzieś indziej. Nie jestem pewny, bo zapowiedziano mi, że druga strona... Iain... nie powinna się dowiedzieć o tej... komplikacji. A to znaczy, że nie mogę zbadać domku. Ale mamy do czynienia z celowo zastawioną pułapką. Co oznacza organizację. Planowanie zawczasu.

– I co nie pasuje do teorii, że wybrali się tam przypadkowo... to mi pan chce powiedzieć?

– Nie inaczej. Nasuwa się jednak wniosek, że jego lordowska... a może książęca... mość, syn i spadkobierca, brał udział w tej pułapce. A to po prostu kompletnie nie ma sensu. On i jego ojciec mają do stracenia nie mniej niż John Macready. Prawdopodobnie znacznie więcej.

– Wobec tego na czym pan stoi?

– Muszę wytropić szantażystę. Paula Downeya. Niech mi

pani wierzy, panno Bryson, w tym mieście bardzo trudno jest się ukryć. A ja mam kontakty, które podpowiedzą mi, gdzie szukać.

– Więc dlaczego nie rozmawia pan z tymi kontaktami? Nie powinien pan wpadać teraz na kolejne tajemnicze obiekty w smogu, zamiast siedzieć tu ze mną?

– To nie takie proste. Szczerze mówiąc, te moje kontakty to przestępcy. Ci ludzie przerabiali wszelkie możliwe metody zarobienia grosza na lewo. W tak delikatnej sprawie jak ta, muszę uważać, co i komu mówię. – Zauważyłem, że dopiła daiquiri i skinęła ręką na kelnera. – Zamówić pani następnego?

– Nie. – Gdy podszedł kelner, nie zważając na moje protesty, kazała mu dopisać drinki do swojego rachunku. – Przekażę recepcji, żeby dali panu klucz do pokoju.

– Świetnie, dzięki. Skoczę po walizki do biura, jeśli tylko trafię w tej mgle.

– Walizki? – Wygięła jedną brew w łuk.

– Trzymam w biurze trochę rzeczy.

Była to marna wymówka, więc od razu mnie przejrzała. Widziałem, jak ponownie lustruje wzrokiem ranę na moim policzku.

– Panie Lennox, mam szczerą nadzieję, że możemy na panu polegać. Przyznam, że byłam przeciwna zatrudnianiu pana. Z tego, co mówił mecenas Fraser, wynika, że ma pan nader barwną przeszłość. Strach pomyśleć, że mogłaby uniemożliwić panu wyplątanie nas z tego bałaganu.

– Nie dojdzie do tego. Jeśli już chce pani wiedzieć, to właśnie ta barwna przeszłość może mnie doprowadzić do Downeya i fotografii. Mogę panią o coś zapytać?

Wzruszyła ramionami.

– Co takiego jest we mnie, że tak bardzo mnie pani nie lubi?

– Nie zastanawiałam się nad panem aż tak szczegółowo. Ale skoro pan naciska, to nie jest tak, że nie podoba mi się w panu coś konkretnego. Chyba najbliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że nic mi się w panu nie podoba.

Uśmiechnąłem się.

– Cudownie proste, a jednocześnie uniwersalne – podsumo-

wałem.

– Moim zdaniem wyobraża pan sobie o Johnie nie wiadomo co. Uważa pan, że z powodu swoich skłonności jest niemęski. No więc powiem panu, że pan nigdy nie będzie równie męski jak John Macready. Na pierwszy rzut oka widzę, jaki pan jest naprawdę. Arogancki, bezczelny, brutalny. Wykorzystuje pan kobiety bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Przystawiał się pan do mnie zaledwie kilka minut po tym, jak się poznaliśmy. Na widok takich jak pan robi mi się niedobrze.

– Rozumiem – powiedziałem, dopiwszy drinka. – Jeśli po zakończeniu sprawy poproszę panią o referencje, czy z bólem serca zgodzi się pani opuścić ten ostatni fragment?

Roześmiała się nieszczerze, z głębokim niesmakiem.

– I uważa pan, że jest pan taki zabawny. I mądry. Oby wystarczyło panu sprytu do uporządkowania tego bałaganu, bo osobiście dopilnuję, żeby do zakończenia całej sprawy nie dostał pan już ani grosza. Dobranoc. – Odwróciła się gwałtownie i sztywno wyszła z baru.

Stałem, boleśnie przeżywając tak dogłębną analizę mojego charakteru.

Co bynajmniej nie przeszkadzało mi w gapieniu się na jej odalającą się pupę.

Przytargałem z biura walizki, a portier zaniósł je na górę do mojego pokoju. Dałem mu zbyt sowy napiwek, jak zawsze kiedy mam do czynienia z glasgowczykami. Oni stale gawędzą i żartują, a ponieważ nie robią tego dla napiwku, tylko dlatego, że tacy już są, nagradzamy ich bardziej niż innych.

Pokój okazał się nieco tylko mniejszą wersją luksusu, jaki widziałem w apartamencie Macready'ego, więc nie po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że stanowczo należałoby zmienić fach. Kiedy zostałem sam, przekręciłem klucz w zamku i założyłem na drzwi gruby łańcuch. Otworzywszy walizki, wyjąłem na łóżko zawiniątko oraz egzemplarz *The Shape of Things to Come*. Wyciągnąłem owiniętego w koszulę i impregnowany brezent webleya kaliber trzydzieści osiem wraz z pudełkiem

amunicji. Załadowałem broń, przesunąłem kciukiem bezpiecznik, z powrotem zawiąłem pistolet w koszulę i brezent, a następnie schowałem go do walizki. Nieco więcej czasu spędziłem nad *chef d'œuvre* H.G. Wellsa. Otworzyłem książkę i sprawdziłem zawartość: w wydrążonych kartkach spoczywały ciasno zwinięte rulony banknotów pięćdziesięciofuntowych oraz mała torebka diamentów.

To był mój Skarb Nibelungów. Zaczęło się od pieniędzy, które zarobiłem w Niemczech. Miałem fart, że udało mi się je wywieźć ze strefy okupacyjnej – żandarmeria wojskowa nie rozumiała ani nie pochwałała mojego ducha przedsiębiorczości i przecierania szlaków w nawiązywaniu powojennych stosunków handlowych z Niemcami. Potem, kiedy już osiadłem w Glasgow, w znaczący sposób powiększyłem swój fundusz powierniczy, a to dzięki temu, że ludzie, dla których pracowałem, nie prowadzili księgowości zbyt skrupulatnie. Wspólnymi siłami zaoszczędziliśmy urzędnikom skarbowki niemało pracy.

Głównym powodem, dla którego zabrałem ze sobą oprawiony w skórę fundusz powierniczy, nie była wyprowadzka z wynajmowanego mieszkania, czasowa czy na stałe. Już od dawna uważałem, że trzymanie księgi w domu nie jest bezpieczne. Nie mogłem wpłacić tego do banku w taki sposób, żeby nie zwrócić uwagi urzędu skarbowego, a noszenie ze sobą w walizce czy trzymanie w biurze również nie wchodziło w rachubę. Jednak kiedy zacząłem ochraniać konwoje z wypłatami, otworzyłem firmowe konto w komercyjnym banku, gdzie wpłacałem gotówkę. Przy okazji wynająłem skrytkę depozytową. Następnego dnia, przed wyruszeniem z konwojem, zamierzałem schować w niej pieniądze i broń.

Chociaż nie wykluczałem, że po robocie wyjmę pistolet z powrotem.

Powiesiłem garnitury, zamknąłem na klucz obie walizki – do jednej włożyłem broń i gotówkę – schowałem je do szafy, po czym zszedłem do baru. Przez półtorej godziny paliłem papierosy, popijałem bourbona – był całkiem niezły, ale nie umywał się do tego, którego zaserwował mi Macready – a także raczyłem barmana na wpół pijackim bełkotem. Jako że i bar, i bar-

man byli z najwyższej półki, starałem się, żeby moje alkoholowe mamrotanie było równie wysokiej klasy, a tamten udatnie udawał, że ciekawi go, o czym truję. Dla barmanów i ich jedy-nych w swoim rodzaju umiejętności żywiłem bezgraniczny podziw.

Zanim zacząłem widzieć podwójnie, wróciłem do pokoju, rozebrałem się do spodni i podkoszulka, ochlapałem wodą twarz, uwalilem się na drogiej pluszowej narzucie i znów zapaliłem papierosa.

Chyba przysnąłem, bo nagle obudziłem się, zalany falą mdłości, jaka ogarnia człowieka zbyt szybko wyrwanego z objęć snu. Usiadłem, zrzuciłem nogi z łóżka, lecz nadal nie wiedziałem, co właściwie mnie obudziło. Łeb mnie napierdalał, miałem obłożony język. I wtedy znów to usłyszałem – pukanie do drzwi. Ci-che, ale bynajmniej nie nieśmiałe.

Przez ułamek sekundy rozważałem, czy nie wyjąć pistoletu z walizki w szafie, zdecydowałem się jednak na pałkę, którą wcześniej wsunąłem pod poduszkę. Nie rozumiałem tylko, jakim cudem mój nowy kumpel ze smogu zdołał mnie namierzyć w tym hotelu.

– Kto tam? – Zdjąłem łańcuch i położyłem jedną rękę na zasuwie; druga, obciążona pałką, zwisała mi po boku.

– To ja. Leonora Bryson.

Otworzyłem drzwi i usunąłem się na bok. Była w szlafroku.

– O co chodzi? – spytałem. – Coś jest nie tak? Czy coś się stało?

Zamknęła za sobą drzwi i bez cienia uśmiechu wepchnęła mnie w głąb pokoju. Podczas gdy stałem jak wryty, rozwiązała pasek i szlafrok zsunął się z jej ramion. Pod spodem była naga. Jako urodzony detektyw domyśliłem się, że nie będziemy ponownie omawiać sprawy. Ciało Leonory Bryson było dziełem sztuki, przy którym dokonania Michała Anioła wychodziły na tandetę. Każda jego część była nieskazitelna, bezbłędnie uformowana. Przyłapałem się na tym, że gapię się na jej doskonałe piersi.

– Nie bardzo rozumiem... – bąknąłem, nadal nie mogąc ode-rwać wzroku i spojrzeć jej w oczy. Pewnie powinienem był

przestać wlepić gały w jej biust, ale skoro mi go zaprezentowała, to nie patrząc, odpłaciłbym jej chamstwem i skrajną niewdzięcznością. To tak, jakby będąc w Kaplicy Sykstyńskiej, nie spojrzeć na sufit.

– Nic nie mów – powiedziała, wciąż bez cienia uśmiechu. – Chcę, żebyś milczał. – Pokonała dzielący nas dystans, przywarła ustami do moich ust i wepchnęła mi język tak, że jej polecenie stało się najzupełniej zbędne. Nie do końca rozumiałem, co się dzieje, ale postanowiłem się nie opierać. Taki już jestem uprzejmy.

Pchnęła mnie na łóżko, po czym gorączkowo zaczęła zdzierać ze mnie ubranie. Jej dzikość okazała się zaraźliwa. Nie była to jedynie zwyczajna żądza – kiedy się kochaliśmy, jej oczy pały nienawiścią; paznokciami rozdzierała mi skórę, szarpała mnie za włosy, gryzła w twarz i w szyję.

Był to dziki, namiętny seks, a jednak nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że równie dobrze mogliśmy to robić pod nadzorem sędziego ringowego i z podręcznikiem zasad markiza Queensberry przy łóżku. Gdy skończyliśmy, z braku soli trzeźwiących i sekundanta w narożniku, który powachlowałby mnie ręcznikiem, zapaliłem po papierosie dla nas obojga. Leonora leżała w milczeniu i paliła, aż nagle zerwała się raptownie, narzuciła szlafrok i wyszła bez słowa.

Nie zrobiłem ani nie powiedziałem nic, żeby ją zatrzymać. Leżąc tak, oszołomiony i skonfundowany, domyśliłem się, że oto zostałem wykorzystany, i chyba wiedziałem dlaczego.

Na myśl o tym poczułem się wredny i podły. I pewnie dlatego nie przestawałem się uśmiechać, dopóki nie zmorzył mnie zasłużony sen.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wchodzenie do banku z bronią w rękę to w Glasgow nieomal tradycja, ale i tak się denerwowałem.

Miałem układ z autokomisem przy Charing Cross Mansions, który co piątek wypożyczał mi ze zniżką furgonetki do przewożenia pieniędzy na wypłaty. Odebrałem furgon z samego rana, zjawiłem się w banku wcześniej niż zwykle i powiedziałem, że chcę skorzystać z mojej skrytki depozytowej.

Konwoje gotówki stanowią potencjalny cel napadów z bronią w rękę, a kasy w tym banku obrabiano już nie raz. Wiedziałem jednak, że tutejsze skrytki depozytowe są najbezpieczniejsze w całym Glasgow. Nie z powodu grubszych ścian, solidniejszych zamków czy lepszej ochrony niż gdzie indziej – powód był o wiele, wiele bardziej przekonujący: swoje skrytki mieli tu przynajmniej dwaj z Trzech Królów. Gdyby ktoś je splądrował, policja byłaby najmniejszym zmartwieniem tego śmiałka.

Włożyłem pistolet oraz wypchany forszą tom Wellsa do skrytki, wróciłem na parter, a tam czekał już na mnie Archie, emerytowany gliniarz, którego zatrudniałem, by wraz ze mną ochraniał konwoje.

Archie stawił się jak zwykle punktualnie, właśnie rozmawiał z głównym kasjerem, MacGregorem. Wyglądał na więcej niż swoje pięćdziesiąt lat i lekko kulał – pamiątka po upadku z dachu fabryki, który zarwał się pod nim, kiedy ścigał złodziei ołowiu. Domyślałem się, że rabusie nie taszczyli ołowiu ze sobą.

Archie był szczupły, wręcz wychudzony. Miał z metr dziewięćdziesiąt wzrostu, ale garbił się tak, że wydawał się o kilka centymetrów niższy. Jego spiczastą, łysą głowę okalała podkwa potarganych czarnych włosów. Miał wielkie zażawione oczy spaniela i umęczoną, wiecznie zbolaną minę. Przez tę minę z początku wahałem się, czy dać mu pracę, bo czasami wyglądał na lenia, który w ogóle nie kontaktuje.

Z zaskoczeniem stwierdziłem, że za tą zbolaną maską kryje się łeb nie od parady, nie jak u przeciętnego gliniarza z Glasgow, a do tego cięte, ponure miejscowe poczucie humoru. Jak obiecywał Jock Ferguson, na Archiem można było polegać w każdym calu. Jock zdradził mi, że przełożeni w policji miejskiej Glasgow mieli nieustające wrażenie, że Archie stale się z nich nabija, nigdy jednak nie mogli go złapać za rękę. Pewnie to, bardziej niż jego pozostałe zalety, przekonało mnie, żeby go zatrudnić.

Początkowo konwojował ze mną gotówkę, żeby dorobić sobie do policyjnej emerytury oraz do tego, co dostawał jako nocny stróż w stoczni, ale wylali go stamtąd, bo związki składały skargi, że czepia się ich członków. Wzdłuż brzegów Clyde panowało powszechne przekonanie, że niemal wszystko da się zwędzić, a doprowadzony łup zazwyczaj opuszczał stocznię pod płaszczem montera albo na taczkach, w tłumie robotników wychodzących z zakładów na koniec zmiany.

Drobne kradzieże były zmorem stoczni. Domy stoczniovców znad Clyde sływały z eklektycznego wystroju – szyk nędznych czynszówek przemieszany z salonem pełnomorskiego statku pasażerskiego i uzupełniony szarością rodem z okrętów wojennych. Archie, były gliniarz, źle pojmował swoje obowiązki nocnego stróża i w rezultacie uniemożliwił wyniesienie ze stoczni drewna, farb oraz mosiężnych okuć wartości setek funtów. Kierownictwo nie wybaczyło mu tak przesadnego przykładania się do pracy i go zwolniło. Od tej pory starałem się podrzucać mu rozmaite dorywcze zlecenia, w tym sporadyczne zeznawanie przed sądem w sprawach rozwodowych, ale piątkowe konwoje były jego stałą robotą.

Gdy wróciłem do głównej sali banku, Archie rozmawiał z MacGregorem, głównym kasjerem, który organizował transporty. MacGregor, stary malutki, jakich nie brakuje wśród pracowników banków – dwudziestopięciolatek usiłujący wyglądać na mężczyznę w średnim wieku – stał się ofiarą Archiego, który przy każdej okazji z lubością zaskakiwał go swoim poczuciem humoru.

Teraz podpisując list przewozowy, Archie spojrział na mnie

oczami Alastaira Sima; z nadgarstka zwisała mu pałka niczym damska torebka.

– Coś tu nie gra, szefie – burknął bez cienia uśmiechu. – Pan MacGregor twierdzi, że ta forsa ma trafić jak zwykle do stoczni, ale pan przecież mówił, że w tym tygodniu lecimy z nią na Barbados.

– Niech go pan nie słucha, panie MacGregor – powiedziałem. – On pana podpuszcza. Z Barbadosem mamy traktat o ekstradycji, lecimy do Hiszpanii.

– Tak poważne pieniądze to nie jest powód do żartów, panie Lennox – zganiał mnie MacGregor, spoglądając ponad opuszczonymi na czubek nosa okularami: kolejna chybiona próba pozowania na mężczyznę w średnim wieku należącego do klasy średniej. – Zadzwoń pan jak zawsze, żeby potwierdzić dostawę?

Obiecałem, że zadzwonię, po czym dałem znak Archiemu, żeby pilnował ulicy, a sam załadowałem worki na tył furgonetki.

Bogu dzięki jazda i tym razem przebiegła bez przygód. Archie siedział smętnie z tyłu, między workami. Wnieśliśmy gotówkę na wypłaty do biura, po czym zadzwoniłem do MacGregora i zawiadomiłem, że przesyłka dotarła na miejsce. W drodze powrotnej Archie siedział już obok mnie.

– Wiem, że utrata pracy jako stróża nieźle cię rąbnęła – powiedziałem. – Ale słuchaj, Archie, interes się rozkręca i przydałby mi się ktoś do pomocy. Nie na pełny etat, przynajmniej nie od razu, natomiast jeśli sprawy dalej będą szły w tym kierunku, może i będę miał dla ciebie więcej roboty. Zainteresowany?

Spojrzał na mnie swoimi wielkimi, pełnymi smutku oczami.

– Czy chodzi o takie rzeczy, jakie robiłem dla ciebie ostatnimi czasy?

– Tak... rozwody, ochrona, szukanie osób zaginionych. Zdzieranie zelówek, chodzenie od drzwi do drzwi i tak dalej.

Szczerze mówiąc i tak już coraz częściej zatrudniałem Archiego do spraw rozwodowych. W sądzie dowody w postępowaniach rozwodowych zawsze wyglądają lepiej, jeśli padają z ust

emerytowanego policjanta, a poza tym wiecznie ponura mina Archiego przydawała wagi jego zeznaniom. Natomiast ja, występując w roli świadka, robiłem się zdecydowanie nerwowy, co skwapliwie wykorzystywali adwokaci. Bałem się, że jakiś młody bystrzacha z adwokatury prędzej czy później podważy moją wiarygodność. A nie zależało mi na grzebaniu ani w mojej reputacji, ani w przeszłości.

– Takie buty... – Archie rozparł się na siedzeniu i w zamyśleniu potarł brodę. – Zastanawiałem się nad przyjęciem posady prezesa ICI... ale chyba dałbym radę pogodzić to z robotą dla ciebie. Dostanę fundusz reprezentacyjny, emeryturę i talony na lunch?

– Dostaniesz dziesięć szylingów za godzinę plus wydatki. O twój fundusz emerytalny zadba ICI...

– Rzecz jasna, będę musiał się skonsultować z radą nadzorczą – odparł, wsadzając kciuki do kieszonek kamizelki. – Ale tymczasem możesz założyć, że się zgadzam.

– Świetnie. Mam teraz na tapecie dwie sprawy, przy których potrzebna mi pomoc. Jedna ma związek z Dzentelmenem Joe Strachanem i kradzieżą na Wystawie Imperium Brytyjskiego. Jock Ferguson mówił, że chyba byłeś wtedy w czynnej służbie.

– Jasne, że byłem. Dobrze to pamiętam. Paskudna sprawa. – Nie do wiary, ale Archie przybrał jeszcze bardziej smętną minę. – Wyjątkowo paskudna.

– Co tam się stało? To znaczy, co ty o tym wiesz?

– Większość z tego, co warto wiedzieć. Znam każdy szczegół, jak wszyscy gliniarze w Glasgow w tamtym czasie. Wbijali nam tę historię do głów raz za razem. Zakładałem, że wiesz wszystko o samej wystawie?

Skinąłem głową.

– Zdaje się, że to była niesamowita impreza.

– Bez dwóch zdań. Wtedy, w trzydziestym ósmym, Wystawa Imperium to było dla Glasgow coś – ciągnął Archie. – Niczego takiego miasto jeszcze nie widziało. Wybrałem się na nią z żoną. Wszystkie tereny wystawowe znajdowały się w parku Bellahouston, ale nie uwierzyłbyś, że jesteś w samym środku Glasgow. Były tam wieże, pawilony, gabinet osobliwości, weso-

łe miasteczko... A, no i kolosalny model Wodospadów Wiktorii, szeroki na sto stóp. Zbudowali nawet całą góralską wioskę, z zamkiem i jeziorem. To dopiero było przedsięwzięcie! Nawet twoi... znaczy się Kanadyjczycy... mieli własny pawilon z policją konną i tak dalej. No i były te babki... tak zwane kobiety żyrafy. Wszyscy chcieli je obejrzyć. Pochodzą z Birmy i mają takie pierścienie na szyjach. Dodają im je po jednym co roku, aż w końcu ich szyje są długie na stopę...

Przerwał i na chwilę zatopił się we wspomnieniach; jego minę żałobnika niosącego trumnę przesłonił niepokojący smutek.

– No – rzuciłem. – Brzmi nieźle.

– To było zaraz po wielkim kryzysie – podjął Archie. – Więc pomyśleli, że Glasgow na takim przedsięwzięciu nieźle skorzysta, ale to miasto i tak by się rozkręciło dzięki wojnie. Zresztą nikogo nie było stać na wstęp do tych pawilonów... w każdym razie nie normalnych ludzi, takich jak my. Za samo przejście przez bramkę brali szylinga. Nawet za dzieciaki kazali bulić sześć pensów. Podobno chodziło o pokazanie przyszłości, ale wyszło na to, że mnie i żony nie będzie na nią stać. Były herbarciarnie i takie tam różne, ale na restaurację Atlantic mogli sobie pozwolić tylko naprawdę dziani goście. No to jak większość ludzi, Mavis i ja głównie chodziliśmy po terenie i oglądaliśmy te pawilony z zewnątrz. Wiesz, że nawet nie mogliśmy se przysiąść? Za leżak liczyli po dwa pensy, a bilet był ważny tylko przez trzy godziny.

Dojechaliśmy do autokomisu przy Charing Cross Mansions, w którym wypożyczyłem furgonetkę. Zaparkowałem na zewnątrz, obok mojego atlantica, i słuchałem, jak Archie kończy opowieść.

– Pogoda była do dupy – mówił. – Najstarsi ludzie nie pamiętali lata, żeby tak lało, a w Glasgow to nie byle co. Wystawę prawie całkiem zmyło, dosłownie. Ale to była klasa, słowo. Mówili, że to przyszłość, że tak wszystko będzie wyglądało. Te fiкуśne chałupy. Jak te, co je mają w Hollywood.

– Art déco.

– Skąd mam wiedzieć? W każdym razie nawet mimo deszczu wystawa przyniosła krocie w żywej gotówce... te wszystkie

atrakcje, restauracje, występy i tak dalej. Pieniądze odwożono do banku w centrum miasta. Takie konwoje jak ten nasz, który właśnie skończyliśmy, tyle że w odwrotną stronę, że tak powiem. No i tamci chłopcy mieli wzmocnione furgony... wiesz, opancerzone. Układ był taki, że opancerzony furgon z wpływami z wystawy odbierał jeszcze forszę z hurtowni tekstyliów przy Glasgow Road w Paisley, a potem zawracał do banku w centrum. Kasjerzy pracowali na nocną zmianę i zamykali szmal w głównym sejfie, żeby nie trzeba go było wrzucać do trezoru.

– Czyli że furgonetka wiozła więcej niż tylko wpływy z wystawy?

– Ano. Pytanie, skąd złodzieje o tym wiedzieli? Ci z kryminalnego uznali, że tamci mieli pomagiera albo informatora. Kogoś w środku. Przesłuchali cały personel, i nic. W każdym razie kiedy zamknęli wystawę na noc i załadowali furgon, doszło do napadu. Pięciu uzbrojonych ludzi. Kierowca i ochroniarz nawet nie próbowali się stawiać, zrozumieli, że to nie żarty, kiedy tamci dali wycisk kierowcy. Ale na terenie wystawy znajdował się posterunek policji. O tej porze powinien być pusty, niestety młodego posterunkowego, który tego dnia miał dyżur, coś tam zatrzymało.

– Gourlaya?

– Tak... Kiedy Charlie Gourlay opuszczał wystawę, wlaź prosto na gości obrabiających furgon. Kierowca zeznał, że najwyższy ze złodziei bez wahania wygarnął do chłopaka z obu luf. Zabójstwo z zimną krwią.

– Brałeś udział w śledztwie?

– Nie... Oddelegowali mnie wtedy na drugi koniec miasta. Ale to była cholernie głośna sprawa. Zabójstwo policjanta potraktowano... zresztą wciąż tak się traktuje... jako atak na całą policję. Jak mówiłem, ściągnęli nas wszystkich i na okrągło wbijali nam do głów wszelkie informacje o kradzieży. Mówię ci, każdy gliniarz w mieście szukał Joego Strachana. Paru gości, którzy odpowiadali jego rysopisowi, dostało niezły łomot.

– I od razu przyjęli, że to był Strachan?

– Ano. Krążyły plotki, że to on obrobił bank Commercial i skasował ten drugi, wcześniej. Ale moim zdaniem chodziło

o coś więcej.

– O co?

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, ktoś komuś dał cynk, że to robota Strachana. Bo wiesz, myśmy nie szukali nikogo innego.

– Przecież Strachan nie miał opinii kogoś, kto strzela do ludzi, prawda?

– Nie, nie miał... Nie... – Archie wzruszył ramionami i zawiesił głos. Kąciki jego ust opadły, przez co smętna mina zmieniła się w pogrzebową. – Ma się rozumieć, nie znam tej sprawy na wylot, byłem wtedy zwyczajnym krawężnikiem, ale o ile wiem, Strachan w ogóle nie był notowany. Nikt niczego nie zdołał mu udowodnić. Facet był skryty i pilnował się, żeby nie przyłgnęło do niego nic obciążającego, więc Bóg jeden wie, co jeszcze ma na sumieniu. Może Gourlay nie był jego pierwszą ofiarą. Nic więcej nie wiem. Musiałbyś pogadać z kimś, kto pracował wtedy w dochodzeniówce. Albo z Williem McNabem.

– Z nadinspektorem McNabem? – Roześmiałem się. – Gdyby usłyszał, że się mieszam do tej sprawy, urwałby mi jaja. Z tego, co wiem, on i Gourlay byli bliskimi przyjaciółmi.

– Naprawdę? – Archie zmarszczył szerokie czoło. – Nie wiedziałem, ale skoro tak mówisz...

– Nie natknąłeś się przypadkiem na gościa, który nazywa się Billy Dunbar?

– Nie sędzę – odpowiedział po namyśle.

– Masz tu jego ostatni znany adres. – Podąłem mu kartkę, którą dostałem od Jocka Fergusona. – To na początek. Sprawdź, czy uda ci się go odszukać.

– To co, już zaczynam? – Uniósł brwi. – A kiedy dostanę prochowiec i rewolwer?

– Zdaje się, że pomylił ci się Humphrey Bogart z Johnem Wayne'em. Tak, to twoja praca. Zapisuj, ile czasu na nią poświęcasz, plus wydatki. Spróbuj go znaleźć. Tylko go nie spłosz. Mam z nim do pogadania, jasne?

– Podejdę go jak pantera w nocy – obiecał Archie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zostawiłem w biurze kluczyki od furgonu i odwiozłem Archiego do domu swoim atlantikiem. Wróciwszy po rzeczy do hotelu Centralnego, wstąpiłem do budki telefonicznej w holu. Była cała z orzecha włoskiego, mosiądzu i wypucowanego szkła i ani trochę nie śmierdziała szczykami. Zadzwoiłem do pani White i zawiadomiłem, że mieszkam w Centralnym, ale jeszcze dziś, a najpóźniej jutro się wyprowadzam. Mój telefon przyjęła z wyraźną ulgą, więc zapytałem, czy wszystko w porządku, na co odparła, że tak, lecz poznałem po głosie, że jest zmęczona. Obiecałem, że się odezwę, i odwiesiłem słuchawkę.

Zadzwoiłem do pokoju Leonory Bryson, lecz nie odebrała. Szczęście dopisało mi dopiero, gdy połączyłem się z apartamentem Johna Macready'ego. Powiedziałem jej, że się wyprowadzam, ale dam znać, jak się posuwa sprawa, a także zapytałem, co Macready będzie porabiał w przyszłym tygodniu, dopóki nie odleci. Jak zwykle mówiła oficjalnym tonem. Żadne z nas nie wspomniało o tym, co się zdarzyło w nocy; ona pewnie dlatego, że nie była w pokoju sama, a ja, bo było to tak dziwaczne, że nabrałem wątpliwości, czy rzeczywiście do czegoś doszło. Może mi się to po prostu przyśniło?

Po pobycie w Centralnym nastawiłem się na rozstanie z luksusami i w pobliżu Gallowgate znalazłem hotel oferujący pokoje w rozsądnej cenie. W zasadzie był to nie tyle hotel, ile pensjonat; wystawiona przed wejściem tablica informowała: ŻADNYCH PSÓW, CZARNUCHÓW ANI IRLANDCZYKÓW. Widywałem już takie tablice w Londynie i na południu, ale w Glasgow zdarzyło mi się to po raz pierwszy. Powitał mnie, a raczej zaczął, niski, okrągły i łysy kłębek wrogości, który przedstawił się jako właściciel. Miał wadę wymowy często spotykaną w Glasgow – sepleniał tak, że wszystkie spółgłoski szczelinowe brzmiały jak zakłócenia fal radiowych. I na swoje nieszczęście

nazywał się Simpson, a może Szimpszon, bo tak się przedstawił.

Zduśliłem chętkę, by otrzeć twarz chusteczką, nie wyrwałem się też z pytaniem, czy mogę trzymać w pokoju Czarnucha, mojego czarnego wilczarza irlandzkiego, i ruszyłem za Simpsonem po schodach. Gdy na pytanie, jak długo się zatrzymam, odparłem, że tydzień, przystanął na schodach, odwrócił się, a jego świńskie czoło zmarszczyło się w przejawie podejrzliwości.

– Pan nie jeszcze Irlandczyk, he?

– Słucham? A, mój akcent... Nie, jestem z Kanady. Nie ma pan nic przeciwko? Chociaż kiedyś spędziłem tydzień w Belfaście...

Moja ironia rozminęła się z jego łysym łbem o milę.

– Nie ma sprawy, szkoro pan nie Irlandczyk...

Pokój, wyposażony tylko w podstawowe sprzęty, okazał się skromny, ale czysty. Miałem do dyspozycji wspólną dla czterech mieszczących się na piętrze pokoi łazienkę i aparat telefoniczny w korytarzu. Jak na tydzień ujdzie, a nawet na dwa, gdyby zaszła taka potrzeba. Zapłaciłem za trzy dni z góry. Simpson bez słowa podziękowania wziął forszę i wyszedł.

Skoro wysłałem Archiego na poszukiwania Billy'ego Dunbara, uznałem, że na mnie spada wytropienie Paula Downeya, pracującego dorywczo fotografa amatora, który tak dobrze się spisał, uwieczniając Johna Macready'ego z jego lepszej strony.

Pierwszy wieczór upłynął mi na sprawdzaniu ulubionych miejsc spotkań pedziów w centrum miasta: Oak Café, baru Royal przy West Nile oraz kilku innych. Chwilowo postanowiłem nie wybierać się do Glasgow Green. Ale gdziekolwiek zaglądałem, wszędzie zderzałem się z ogólną podejrzliwością – najwyraźniej brano mnie za gliniarza wyłapującego homoseksualistów. Pewnie czułbym się mniej urażony, gdyby uważali mnie za jednego ze swoich, który szuka partnera.

Chcąc uwolnić się od podejrzeń, że jestem gliną, zacząłem proponować pieniądze w zamian za informacje, ale to tylko sytuację pogorszyło. Nie miałem im za złe, że się przede mną za-

mykają. Jak mówiłem Macready'emu, obyczajówka w Glasgow, a właściwie cała szkocka policja, ściagała homosiów z biblijnym zapalem, co samo w sobie rozwiewało moje wątpliwości co do tej ukrytej mniejszości. Przede wszystkim nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego homoseksualizm jest nielegalny. Skoro dwoje dorosłych za obopólną zgodą chce się nawzajem atakować przyjaznym orężem i nie odbywa się to na oczach dzieci ani koni, to co policji do tego?

Mimo to odwiedzając bary dla pedziów, wystrzegalem się zagładania do toalety.

Wyszedłszy z Royalu, zdałem sobie sprawę, że ktoś mnie śledzi. Było ciemno, a mgła wróciła, ale już nie tak gęsta jak poprzednio. Podczas otwierania drzwi samochodu człowiek staje się łatwym celem napaści, dlatego minąłem atlantica, przyśpieszyłem i szybko skręciłem w przesmyk łączący West Nile z Buchanan. Zaraz za rogiem przyłgnałem do ściany, czekając, aż tamten pójdzie w ślad za mną. Tym razem tak jak to sobie obiecałem, to ja poprowadzę nasz taniec.

Zauważyłem, że facet zawahał się, po czym skręcił w przesmyk. Dopadłem go jednym susem, złapałem za płaszcz, rozchyliłem poły i ściągnąłem mu go na barki i ramiona, niczym prowizoryczny kaftan bezpieczeństwa. Odwróciłem gościa, cisnąłem go plecami o ścianę, po czym wbiłem przedramię w jego szyję, odcinając mu dopływ powietrza.

Zanim jeszcze spojrzałem na jego twarz, wiedziałem, że to nie ten sam facet, z którym poprzedniego dnia rano miałem przyjemność spotkać się w smogu. Zbyt łatwo mi poszło, a poza tym ten był za mały.

Zza przekrzywionych okularów w rogowej oprawie patrzyły na mnie szeroko otwarte, przerażone oczy.

– Proszę... Proszę nie robić mi krzywdy – wydukał błagalnie.

– Jasny gwint! Pan MacGregor... – Puściłem głównego kasjera banku. – Dlaczego pan mnie śledzi?

– Ja... zauważyłem pana w barze. Wiem, po co pan tam przyszedł. Po prostu wiem.

– Eee... nie, nic pan nie wie – odparłem z naciskiem. – Nie jestem jedną z waszych panienek.

– Ależ skąd, nie... Wiem o tym, panie Lennox. I wiem, że przyszedł pan, żeby mnie obserwować. Dlatego ruszyłem za panem. Obiecuję, że więcej tam już nie zajrzę. Nigdy. Byłem tam pierwszy raz... – W jego wystraszonym głosie zabrzmiała błagalna nuta. – No, drugi, ale na tym koniec. Przysięgam. Daję słowo, że nigdy już tam nie pójdę. Proszę posłuchać, mam pieniądze. Dam je panu. Byle pan nic nie mówił dyrektorowi banku. Wiem, że wynajął pana, żeby mnie pan sprawdził... Albo policja. O mój Boże, wszystko, byle nie policja...

– I dlatego pan mnie śledził? – Naciągnąłem mu płaszcz z powrotem na ramiona.

– Zobaczyłem, że pan wychodzi. Nie zauważyłem pana w środku, ale domyśliłem się, że pan mnie widział. Panie Lennox, proszę nic nie mówić w banku...

Uniosłem rękę, żeby go uspokoić.

– Bez obaw, panie MacGregor. Wcale pana nie szukałem. Nie miałem pojęcia, że jest pan... I nie przyszedłem tam, żeby się zabawić – dorzuciłem, widząc nagłą zmianę jego wyrazu twarzy. – Wyjdźmy stąd, zanim jakiś patrol weźmie nas za parkę.

Cofnął się na West Nile.

– Chodźmy, podrzucę pana do domu – zaproponowałem. Sytuacja była więcej niż niezręczna: MacGregor pracował dla ważnego klienta, a ja nie potrzebowałem dalszych komplikacji. Zaświtało mi jednak, że dobrze jest mieć coś na MacGregora. Podał mi swój adres w Milngavie i wyjechaliśmy z centrum miasta przez Maryhill.

– Więc co pan robił w Royalu? – zapytał w końcu. Wciąż nie dowierzał, że go nie inwigilowałem.

– Szukałem kogoś – odparłem. – Facet nazywa się Downey.

– Paul?

Oderwałem wzrok od szosy i spojrzałem na MacGregora.

– Zna go pan?

– Znam. A raczej znałem. Niezbyt dobrze. Nie widziałem go od tygodni. Czego pan od niego chce?

– Tego nie mogę panu zdradzić. Mówił pan, zdaje się, że był tam dopiero drugi raz...

MacGregor poczerwieniał. Zamierzałem wykorzystać to do

swoich celów.

– Niech pan posłucha. Nie interesuje mnie pańskie życie prywatne, ale byłbym wdzięczny za wskazówki. Naprawdę muszę znaleźć Paula Downeya.

– Bywał w najbardziej popularnych miejscach: w Oak Café, w Good Companions, w tego typu lokalach. Ale jak już mówiłem, nie widziałem go od tygodni. Może spróbuje pan w łaźniach. Obiło mi się o uszy, że przyjaciel Paula pracuje w jednej z łaźni publicznych.

– Zna pan jego nazwisko?

– Niestety nie. Zaraz, chwileczkę... Zdaje się, że ma na imię Frank, ale nie wiem, w której łaźni pracuje. Nic więcej nie jestem w stanie panu powiedzieć. Przykro mi.

– Na początek dobre i to. Dzięki.

Zbliżając się do Milngavie, jechaliśmy przez płaski, odkryty teren. W oddali, na tle jasnoszarej mgły, ujrzałem ciemniejszy szary kształt: długi, przypominający cygaro, podwieszony pod coś, co wyglądało jak wyrzutnia raketowa. Kiedyś już go widziałem, i to wyraźniej. To było coś, z czego Michael Rennie mógłby wsiąść w filmie science fiction, i zawsze zachodziłem w głowę, co to takiego. Postanowiłem skorzystać z tego, że wiozę mieszkańca Milngavie.

– A, to? Pociąg śmigłowy Benniego – rzucił MacGregor w odpowiedzi na moje pytanie. – Stanął tu jeszcze przed wojną. Kiedyś było dużo więcej tych torów, z których zwisa, ale w ramach akcji na potrzeby wojny rozebrali je razem z barierkami i całą resztą.

– Pociąg śmigłowy?

– Tak. Zbudowano go w latach dwudziestych albo trzydziestych. Miał to być transport przyszłości. Rozwijał grubo ponad sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, ma pan pojęcie? Ale nikt nie wsparł projektu, więc nie wyszedł poza etap tego tutaj toru testowego.

Pomyślałem o marzeniach o przyszłości, które nigdy się nie ziściły: Wystawa Imperium z trzydziestego ósmego obiecywała czystsze, jaśniejsze Glasgow, pełne budynków w stylu art déco, i pociąg śmigłowy Benniego, poruszający się między miastami

z nadzwyczajną prędkością. Myślałem o tym, jak mogło być. Choćby o moich wojennych marzeniach o powrocie do Kanady i ułożeniu sobie porządnego życia. Podczas wojny unicestwiono wiele rzeczy. Ideały, wizje, no i pięćdziesiąt milionów ludzi.

Wysadziłem MacGregora przed parterowym domkiem w Milngavie, w którym – jak przyznał z zażenowaniem – wciąż mieszkał z rodzicami. Zanim wysiadł z samochodu, zawahał się.

– Będzie pan milczał, panie Lennox? – zapytał.

– To, co się dziś wydarzyło, zostanie między nami – obiecałem.

– Bardzo panu dziękuję. Jestem pańskim dłużnikiem.

Jasne, wiem, powiedziałem w pustym już samochodzie, odjeżdżając. Wiem o tym.

Z braku dostatecznej liczby łazienek w domach z epoki wiktoriańskiej Glasgow, które gwałtownie rozrastało się pod względem populacji, ale nie obszaru, stało w obliczu poważnego zagrożenia stanu zdrowia społeczeństwa. Było wielkie i niedomyte. Odpowiedzią miasta na ten problem był jedynie wachlarz sadzawek, łaźni publicznych i tureckich, basenów oraz komunalnych „parówek” – wspólnych pralni, zazwyczaj sąsiadujących z łaźniami publicznymi.

Ponieważ w latach pięćdziesiątych prawdziwe słońce pojawiało się nad Glasgow względnie rzadko, można było nawet zażyć kąpieli słonecznych w łaźniach tureckich w Govanhill, Whitevale, Pollokshaws, Shettleston czy w Whiteinch. Kąpiel słoneczna kosztowała dwa szylingi, a w połączeniu z łaźnią turecko-rosyjską – cztery szylingi i sześć pensów.

W łaźniach, otwartych od dziewiątej rano do dziewiątej wieczorem, obowiązywały ściśle przestrzegane zasady. W każdym przybytku jednego dnia wpuszczano mężczyzn, drugiego kobiety.

W co najmniej dwóch z nich o ustalonych godzinach spotykali się dżentelmeni o tych samych skłonnościach, jak podawały nieoficjalne źródła.

Dwa kolejne wieczory spędziłem na objeżdżaniu łaźni i wypytywaniu ludzi, czy pracuje tu niejaki Frank albo czy znają Paula Downeya oraz gdzie mogę go znaleźć. W zależności od miejsca spotykałem się z różnymi reakcjami: od wrogości i podejrzliwości, jak w pedalskich barach, po irytującą gościnność. Nic jednak nie przybliżyło mnie do znalezienia Downeya; nie spotkałem nikogo, kto byłby gotów przyznać, że w ogóle słyszał to nazwisko.

Glasgow, choć tak ciężko doświadczane przez los, to dumne miasto, co nierzadko wymownie podkreśla imponująca architektura widoczna w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach. Najlepszym tego przykładem były Łaźnie Publiczne Govanhill oraz Apartamenty Tureckie przy Calder – z zewnątrz dostojne gmazysko, w środku edwardiańska świątynia ablucji.

Od ratownika dowiedziałem się, że Frank jest jednym z jego kolegów, ale akurat ma dyżur na basenie. Ratownik poradził, żebym zaczekał na balkonie basenu dla panów. Z siedzenia, którego barwa przywodziła na myśl czerwień wozu strażackiego, obserwowałem garstkę pływaków. Każdy rozbryzg wody rozbrzmiewał echem w przesyconej chlorem hali pływackiej, wyłożonej białymi kafelkami kontrastującymi z ciemnoczerwonymi filarami. Można by tu wystawiać opery, i to nie tylko ze względu na akustykę – wystrój tej łaźni publicznej graniczył z królewskim przepychem.

– Chciał pan ze mną rozmawiać?

Obok mnie pojawiła się góra mięśni w białej koszulce tenisowej. Z potężnymi bicepsami, szerokimi barami i jak można się było spodziewać, kwadratową szczęką kontrastowały delikatne, wręcz subtelne rysy twarzy. Facet miał krótką szczecinę na skroniach i z tyłu głowy, ale włosy na czubku jego głowy pozostały gęste i długie; ciemnoblonde kosmyki opadały mu na czoło, przysłaniając jedno oko. Nie wiem, czemu przyszło mi na myśl skrzyżowanie nazistowskiego ideału aryjskiej męskości z Veronicą Lake.

– Szukam Paula – powiedziałem, jakbyśmy się znali.

– Jakiego Paula?

– Dobrze wiesz... Paula Downeya.

– Czego od niego chcesz?
– Tylko pogadać. Wiem, że wiesz, gdzie on jest, Frank. Gdzie go znajdę?

Frank nachylił się, obnażając zęby.

– Zostaw go w spokoju, dobra? Przecież obiecał, że odda forszę.

Ciekawe.

– Może udałoby się załatwić dogodniejsze warunki – odparłem. – Ja tylko chcę z nim pogadać, nic więcej.

– Jeśli masz mu coś do przekazania, możesz to zrobić przeze mnie. Dostaniecie swoje pieniądze. Już niedługo. Zdawało mi się, że twój szef się na to zgodził.

– A kto konkretnie jest moim szefem?

Zaskoczenie na twarzy mięśniaka ustąpiło wściekłości, gdy zorientował się, że nie jestem tym, za kogo mnie wziął.

– No dobra, Frank, będę z tobą szczerzy – powiedziałem. Może i był mięczakiem, ale tak napakowanym, że nie było sensu zaogniać sytuacji. – Nie wiem, o jakich pieniądzach mówisz, w każdym razie domyślam się, że młody Paul wisi forszę niemylącym ludziom. To nie moja sprawa. Nie przyszedłem z żądania-
mi, tylko z ofertą. Wynajęto mnie, żebym odkupił od Paula pewne zdjęcia. Zakładam, że wiesz, o czym mówię?

Wzruszył potężnymi ramionami.

– Posłuchaj, jeżeli wiesz, gdzie jest Paul, przekaz mu, żeby do mnie zadzwonił. – Podąłem mu wizytówkę z numerem telefonu do biura. – I wbij mu do głowy, że dostanie zapłatę, ale rozegramy to po mojemu. Ani nam się śni wysłać taką forszę do skrytki pocztowej przy Wellington tylko na piękne oczy. Byłoby też dobrze, gdybyś mu wyjaśnił, że nie dostanie ani pensa, dopóki nie nabiorę absolutnej pewności, że mam cały majdan: wszystkie odbitki i negatywy.

– Nie wiem, o czym mówisz – burknął, ale wziął wizytówkę.

Frank wyszedł z Łaźni Govanhill mniej więcej o wpół do jedenastej. Przez dobre pięć minut stał na Calder, rozglądając się i sprawdzając, czy nie czekam gdzieś, żeby go śledzić – jasne, że

czekałem – a potem ruszył na przystanek tramwajowy. Miał na sobie tandetny i krzykliwy deszczowiec z paskiem oraz kapełusz nasunięty nisko na czoło. Pomimo luźnego stroju, zwięźnięcie tułowia od barów do talii od razu zdradzało, że jest zapalonym kulturystą.

Na szczęście dla mnie drugą stroną ulicy zajmowały przylegające do siebie czynszówki: czerwony piaskowiec pod warstwą czarnej sadzy. Znalazłem prześwit, jak Szkoci nazywają otwarty z obu stron pasaż, oraz schody do czynszówki i schowałem się tam, obserwując wyjście z łaźni. Z Franka był lepszy cwaniak, więc zacząłem się zastanawiać, czy aby w klubie fotografii amatorskiej Downeya nie odgrywał dużo większej roli niż tylko odstawianie pięknisia.

Wsiadł do tramwaju jadącego na obrzeża miasta, a ja przeszedłem za róg, gdzie zaparkowałem atlantica. Nie musiałem się śpieszyć, znając trasę tramwaju, wiedziałem, że dogonię go przed następnym przystankiem. Zdążyłem w ostatniej chwili, bo Frank wysiadł na najbliższym przystanku i przeszedł na drugą stronę ulicy. Byliśmy na długim łuku pośród kamienic czynszowych, więc gdybym się zatrzymał, zwróciłbym na siebie uwagę, dlatego odjechałem na tyle daleko, że mogłem zawrócić niepostrzeżenie. Zaparkowałem i patrzyłem, jak inny zielonopomarańczowy tramwaj należący do Glasgow Corporation mija mnie w drodze do centrum. Odczekałem nieco i wyjechałem zza rogu w chwili, gdy w oddali Frank wsiadał do tramwaju.

Rzeczywiście, kawał spryciarza.

Jechałem za tramwajem w bezpiecznej odległości, aż Frank wysiadł przy Plantation i skierował się w stronę parku Kinning. Kiedy zostałem jedynym kierowcą na ulicy i stwierdziłem, że jadąc w marszowym tempie, nawet w lekkiej mgłę, i tak zwracam na siebie uwagę, zatrzymałem atlantica i ruszyłem na piechotę. W zamiszonych butach na miękkiej podeszwie śledziłem Franka bezszelestnie, gratulując sobie w duchu, że wziąłem przykład z mojego przyjaciela z zaułka.

Frank doprowadził mnie do rzędu dwupiętrowych czynszówek, po czym skręcił w prześwit. Podbiegłem, by sprawdzić, do którego mieszkania wchodzi, i dotarłem do wylotu prześwitu

w samą porę, by usłyszeć trzask zamykanych drzwi na parterze. Wątpiłem, by Frank i Downey jawnie mieszkali pod jednym dachem. Wobec podejścia w Glasgow do takich wybryków nawet hiszpańska inkwizycja wydawałaby się tolerancyjna. Byłem jednak gotów postawić ostatni grosz na to, że Frank zechce zawiadomić najserdeczniejszego przyjaciela o mojej wizycie w łaźni. Postanowiłem dać im czas na „cześć, skarbie, już jestem”, zanim zapukam do drzwi.

Na rogu ulicy zauważyłem budkę telefoniczną, więc wszedłem do niej i zadzwoniłem do mecenasa Frasera pod numer, pod którym był osiągalny poza godzinami pracy. Powiedziałem mu, gdzie jestem i co robię.

– Stoi pan teraz przed domem? – zapytał. – Czy to pewne, że Downey jest w tym mieszkaniu?

– Wcale nie jestem tego pewny, ale moim zdaniem można założyć, że tak. Na razie potrzebuję od pana decyzji, jak mam to rozegrać. Jeśli tam wejdem, zastanę Downeya, znajdę odbitki i negatywy, czy mam mu obiecać pieniądze i umówić się na wymianę? Czy woli pan, żebym negocjował na swój sposób i od razu zabezpieczył wszystkie materiały?

– Panie Lennox, nie pochwalam szantażu, nawet zawołanego. A już z pewnością jestem przeciwny temu, by szantażysta korzystał materialnie na tym procederze. Jak mówiłem, chciałbym, żeby pan Downey zrozumiał ponad wszelką wątpliwość, jak poważnie traktujemy tę sprawę. Proponuję więc, żeby wykazał się pan inicjatywą i załatwił to po swojemu.

– Rozumiem, mecenasie – powiedziałem i odwiesiłem słuchawkę. Wychodząc z budki, sięgnąłem do kieszeni płaszcza, by się upewnić, że mam ze sobą argument, dzięki któremu załatwię to wedle własnego uznania.

W razie, gdyby Frank się wkurzył, postanowiłem uwinąć się bez zbędnej zwłoki, dlatego pukając do drzwi na parterze czynszówki, miałem już pętlę pałki owiniętą wokół nadgarstka.

Natychmiast rozpoznałem chłopięcą twarz w progu, tę samą, którą widziałem na zdjęciu od Frasera. Chłopak był mały, cheralawy; patrzył na mnie wystraszoną, łagodnym wzrokiem. Nie stanowił zagrożenia.

– Cześć, Paul! – rzuciłem wesoło, przepychając się obok niego do środka i rozglądając w przedpokoju za Frankiem. – Jak się ma klub fotograficzny?

– Frank! – krzyknął w głąb mieszkania, przerażony, na co jego nabity mięśniami chłopak pojawił się w drzwiach korytarza i skoczył na mnie. Był to kawał chłopca, bez dwóch zdań, więc zamachnąłem się pałąką i podręcznikowo trafiłem go w skroń.

Zanim Frank się osunął, jego mięśnie, niczym guma, odbiły się najpierw od jednej, potem od drugiej ściany wąskiego korytarza.

– Miłych snów – rzuciłem, gdy runął na podłogę.

Paul zaczął wrzeszczeć, więc strzeliłem go mocno w pysk, żeby się zamknął. Chwyciłem go za szyję i grzmotnąłem nim o ścianę.

– A teraz się zabawimy, Paul – syknąłem przez zaciśnięte zęby. Kipiałem z wściekłości. Musiałem się wściec, bo nienawidziłem tej roboty: Paul nie miał w sobie ducha walki, z jego oczu wyzierał jedynie zwierzęcy strach. Pomimo tego, kim się stałem, nie zasmakowałem w maltretowaniu słabszych. Ale tu chodziło o interesy.

– No dobra – powiedziałem powoli, złowróżbnym tonem. – Puszczę cię, ale masz być grzeczny i siedzieć cicho jak w czytelnicy. Rozumiemy się?

Gwałtownie pokiwał głową. Rozpaczliwie.

– Bo inaczej obudzisz się na ortopedii. To jak, zgoda między nami?

Zduszonym głosem wycharczał „tak”, więc go puściłem. Frank rzeził głośno przy każdym oddechu. Schyliłem się, zbadalem, w jakim jest stanie, po czym ułożyłem go w pozycji, której nauczono nas w wojsku, i rzeżenie ustało. Przy okazji wyjąłem mu z kieszeni spodni moją wizytówkę, starając się nie myśleć o tym, że gdyby był przytomny, ta rewizja osobista niewątpliwie sprawiłaby mu przyjemność.

– Czy on nie żyje? – zapytał Downey piskliwym, drżącym głosem.

Masz klawą robotę, Lennox, pomyślałem.

– Nie. Nic mu się nie stanie. Może nie będzie już taki bystry jak kiedyś, ale tak to bywa przy uszkodzeniu mózgu. A teraz słuchaj. Na mój gust on się ocknie góra za kilka minut. Jeśli dojdzie do siebie, zanim stąd wyjdę, znów będę musiał go uśpić, rozumiesz? A wtedy przez następne pięćdziesiąt lat może się moczyć w portki i ślinić na koszulę. Dlatego mam dla ciebie dwa zadania, no chyba że nie jesteś glasgowczykiem z krwi i kości i lubisz warzywa. Po pierwsze, masz mi oddać te fotografie, co do jednej: każdą odbitkę, każdy negatyw. Po drugie, a to dużo trudniejsze, musisz mnie przekonać, że dostałem wszystko, co miałem dostać. Bo jeśli mnie nie przekonasz, to się wkurzę na ciebie i tę twoją Veronicę. A jeżeli po wyjściu stąd dowiem się, że nie dostałem kompletu, to znów odnajdę i ciebie, i twojego kochasia, tyle że wtedy wrócę z paroma kumplami i sobie z wami potańcujemy.

Znowu gwałtownie pokiwał głową. Z jego miny wyczytałem, że wypełni moje polecenia co do joty.

– Są tam... – Ruchem głowy wskazał zamknięte drzwi po drugiej stronie korytarza. Złapałem go za koszulę i zawlokłem we wskazanym kierunku; materiał rozdarł mi się w garści. Paul wyciągnął z kieszeni klucze, ale tak się z nimi guzdrał, że mu je odebrałem.

– Który?

– Ten... – Drżącą ręką wskazał właściwy klucz. Ogarnęły mnie złe przeczucia. Paul Downey nie wyglądał na takiego, co mógłby wymyślić tego typu szantaż. Jego chłoptaś zresztą też nie, pomimo swoich mięśni.

Otworzyłem drzwi. Na moje polecenie Downey zapalił światło i mały pokójka zalał czerwony blask. Ciemnia, ale prowizoryczna. Już na pierwszy rzut oka zorientowałem się, że urządzono ją w pośpiechu. Pod ścianą, obok małej szafki na papier fotograficzny i kredensu, stał stół z odczynnikami do wywoływania zdjęć; na sznurze do prania wisiały odbitki.

– No dobra, Paul, dawaj je tu.

Otworzył kredens i wyciągnął puszkę po kruchych ciasteczkach, całą w czerwoną szkocką kratę i ze zdjęciem zamku w Edynburgu; Szkoci to jedyny znany mi naród, który kupuje

własną tandetę dla turystów.

Wytrzymałem zawartość puszki: odbitki zdjęć, które pokazał mi Fraser, plus kilka innych, a do tego niebieską kopertę lotniczą wypchaną paskami błony fotograficznej. Negatywy. Ale znajdowały się tam nie tylko fotografie Macready'ego. Oprócz nich były też dwa inne zestawy zdjęć, z dołączonymi negatywami w niebieskiej kopercie lotniczej. Rozłożyłem je na małej szafce. Na jednym komplecie odbitek widniał szanowany biznesmen z Glasgow, którego poznałem natychmiast, mimo że nie prezentował się na nich ze swojej najlepszej strony. Wybitny członek szkockiego Kościoła prezbiteriańskiego, reklamujący gdzie się da swoje zaangażowanie w działalność charytatywną. Na czarno-białych fotografiach widniało jego blade cielsko wciśnięte między chudego chłopaka, w którym rozpoznałem Paula Downeya, a jeszcze jednego młodziana.

Zaniepokoił mnie jednak trzeci zestaw. Zero seksu, żadnej nielegalnej działalności, nic takiego, co według mnie zasługiwałoby na wypłatę pieniędzy szantażyście. Wszystkie zdjęcia przedstawiały tylko grupkę dobrze ubranych mężczyzn wychodzących z czegoś, co wyglądało na domek na wsi. Zrobiono je z dużej odległości, a kilka fotografii ukazywało zbliżenie twarzy jednego z mężczyzn. Te wykonano przez teleobiektyw i były dosyć ziarniste, lecz z tego, co widziałem, człowiek był po pięćdziesiątce, arystokratyczny w nieokreślony cudzoziemski sposób, z kocią bródką i karnacją nieco ciemniejszą od reszty towarzystwa, co dało się zauważyć nawet na czarno-białych odbitkach.

– Czy to wszystko? – spytałem Downeya.

Skinął głową. Zrobiłem krok w jego kierunku.

– Przysięgam! – wrzasnął.

Jeszcze raz spojrzałem na zdjęcie dobrze ubranego, w nieokreślony cudzoziemski sposób arystokratycznego mężczyzny.

– O co tu chodzi? – zapytałem. – Kto to jest?

– Nie wiem – odparł Downey. Mówił prawdę: poznałem to po drzeniu jego głosu i bijącym od niego strachu, że mu nie uwierzę. – Zapłacono mi, żebym sfotografował tych ludzi. Miałem się ukryć w krzakach. Kazano mi fotografować przede wszyst-

kim mężczyzną z kosią bródką. Nie mam pojęcia, o co w tym chodzi.

– Kto ci zapłacił?

– Niejaki Paisley. Moim zdaniem pracował dla kogoś innego, ale nie wiem dla kogo. I nie mam pojęcia, dlaczego ktoś miałby płacić tyle, ile dostałem, za tego typu zdjęcia.

– Już mu je dostarczyłeś?

Skinął głową.

– Więc co to tu robi? – Wskazałem odbitki i negatywy.

– Uznaliśmy, że może da się na nich zarobić coś na boku. To jasne, że te zdjęcia są ważne, więc pomyśleliśmy, że w przyszłości może jeszcze się trafi okazja, żeby wycisnąć za nie trochę grosza.

– Gdzie je pstryknąłeś? – dopytywałem, chwilowo nie skupiając się na spostrzeżeniu, że za każdym razem, gdy Downey mówił w liczbie mnogiej, odnosiłem wrażenie, że „my” dotyczy kogoś więcej niż tylko jego i Franka.

– W posiadłości księcia. W tym samym miejscu, gdzie sfotografowałem Macready’ego.

Najlepsze zbliżenia schowałem do kieszeni. Downeya dopadł szok, zaczął dygotać gwałtownie. Niektórym potrzeba do tego ostrzału na polu walki, innym wystarczy podniesiony głos i groźba.

W rogu ciemni stało drewniane krzesło; kazałem Paulowi na nim usiąść. Minutę zajęło mi sprawdzenie reszty mieszkania oraz stanu śpiącej królowny w korytarzu. Szczerze mówiąc, trochę się martwiłem o Franka, postanowiłem więc poczekać z wyjściem do chwili, aż się ocknie.

Wróciłem do ciemni ze zwykłą stuwatową żarówką zabraną z łazienki, wkręciłem ją zamiast czerwonej i małe pomieszczenie zalało jasne światło. Wybebeszyłem wszystkie szuflady, szafki z kuwetami i inne kryjówki, jakie znalazłem, badając ich zawartość. Artystyczna pasja Downeya z pewnością nie ograniczała się jedynie do Johna Macready’ego i jego arystokratycznego towarzysza zabaw.

Postanowiłem popracować trochę *pro bono*. Zebrałem wszystkie odbitki i negatywy, jakie udało mi się znaleźć – poza

tymi, które zlecono mi odebrać – położyłem je na emaliowanej tacy do wywoływania zdjęć, dorzuciłem pozostałe dwa zestawy i rozpałem niewielkie ognisko, żeby Downey i jego napakowany mięśniami koleś nie mogli już skubać dzianych glosgowskich biznesmenów ani wyglądających na cudzoziemców arystokratów.

– No dobra, Paul – powiedziałem, kiedy zdjęcia i negatywy spłonęły, a ja znów postawiłem go na nogi. – Resztę zabieram ze sobą i na tym kończymy, chyba że chcesz, żebym tu jeszcze wrócił.

Pokręcił głową.

– Ale zanim wyjdę, chcę usłyszeć, jak to zorganizowałeś. Domek i całą resztę. To była wyrafinowana pułapka. Sam ją obmyśliłeś?

– Potrzebowałem pieniędzy. Mam dług, który muszę zwrócić. A teraz nie dam rady... – Rozpłakał się. – Oni mnie zabijają.

– Kto? Kto cię zabije?

– Wiszę forszę lichwiarzom. Miejscowym twardzielom.

– Więc wymyśliłeś ten plan całkiem sam?

– Nie. To był pomysł Iaina.

– Iaina? Tego samego, który tak posłusznie się wypinał? Iaina, tej osoby z wyższych sfer na zdjęciu? Iaina, syna księcia Strathlorne?

– Kiedyś byliśmy sobie bliscy. Przez chwilę. On potrzebuje pieniędzy prawie tak samo jak ja, więc wymyślił plan. Wpadł na ten pomysł, bo wiedział o Macready.

– A niby po co miałyby tak rozpaczliwie potrzebować pieniędzy? Na litość boską, połowa tego kraju należy do jego rodziny – rzekłem z niedowierzaniem. – Poza tym gdyby to wyszło na jaw, on przecież ma do stracenia nie mniej niż Macready, a nawet więcej. Nazwisko i stosunki jego rodziny...

– Iain mówił, że właśnie dlatego sypną forszą. Wybuchłyby taki skandal, że byliby gotowi zapłacić każdą sumę, byleby do tego nie dopuścić. Zresztą nawet gdyby wszystko się wydało, nie sądzę, żeby Iain się tym przejął. Skandal zniszczyłby tylko jego ojca. A on go nienawidzi.

Przyglądałem się Downeyowi. Podejrzewałem, że choć wy-

chował się w Glasgow, wywodził się z irlandzkich katolików, co stawiało go na samym dole drabiny społecznej. Z kolei Iain, syn księcia, stał na jej szczycie. Nie bardzo sobie wyobrażałem, jakim cudem mogli być sobie bliscy, jak to ujął Downey.

– Nie ma w tym nic niezwykłego – powiedział, odczytując moje myśli. – To inny świat. Powinien pan obejrzeć sobie tych biznesmenów i arystokratów, którzy kręcą się po parkach, szukając przygodnego seksu. Poznałem Iaina na przyjęciu na West Endzie.

– Czy on ma odbitki tych zdjęć? – spytałem, bo nagle zrozumiałem, że chyba czeka mnie dużo bardziej skomplikowane zadanie.

– Nie. – Ruchem głowy wskazał puszkę, którą odstawiłem na stół. – Tu było wszystko.

Przerwał nam Frank, który stanął w progu, próbując skupić na mnie wzrok. Zaszarżował na oślep, więc bez trudu się uchyliłem i wyrznąłem go łokciem w nos, gdy przelatował obok mnie. Zwalił się na stół, a potem runął na podłogę, pociągając za sobą tacę z płonącymi odbitkami i negatywami. Tym razem nie stracił przytomności. Leżał na boku, trzymając się za rozwalony nos, z którego bryzgała krew. Wypadł z gry.

Downey z powrotem zaczął się trząść. Znowu chwyciłem go za koszulę i przyciągnąłem do siebie.

– To jak, panie Downey, ubiliśmy interes? – spytałem.

– Tak – wydukał drżącym głosem. – Więcej pan o mnie nie usłyszysz, przysięgam.

Znów pchnąłem go na ścianę. Skrzywił się, wiedział, że dla nauczki dostanie łomot. Zacisnąłem pięść.

– Postaraj się, twoja w tym głowa – odparłem. Pewnie powinienem go trochę sponiewierać, tak dla zasady, jak to na swój pokretny sposób przekazał mi Fraser. Ale miałem dość. Z zaskoczeniem i przyjemnością stwierdziłem, że zostawiłem chłopaka w spokoju. – Idź, zajmij się swoją dziewczyną.

Spotkaliśmy się w hotelu Centralnym, w prywatnej sali jadalnej, o dwudziestej pierwszej trzydzieści.

Po wyjściu od Downeya skorzystałem z tej samej co poprzednio budki telefonicznej na rogu. Zadzwoiłem do Frasera i Leonory Bryson i przekazałem im, że odzyskałem wszystkie odbitki, negatywy, a także wyłączyłem Downeya oraz jego koleśia z interesu. Postanowiłem nie wspominać na razie o tym, że Iain, arystokrata ze zdjęć, nie oddawał się aktorowi bezinteresownie. Uznałem, że powiem im o tym osobiście, kiedy się spotkamy, dzięki czemu zyskam czas, żeby to sobie gruntownie przemyśleć.

John Macready miał na sobie szary dwurzędowy garnitur w prążki, białą koszulę oraz bordowy jedwabny krawat, które wyglądały, jakby właśnie dostarczył je goniec z Jermyn Street. Facet z klasą, bez dwóch zdań. Siedział i palił papierosa, ale gdy wszedłem, wstał i podał mi rękę. Donald Fraser i Leonora Bryson nie ruszyli tyłków. Przyszedłem w interesach, lecz Leonora miała na sobie niebieską jedwabną suknię, która wyglądała, jakby jedwabniki wsączyły ją prosto w jej skórę. Włosy zaczesła do góry, a jej szyję owijały cztery sznury pereł. Patrzyła na mnie beznamiętnie, z nieukrywaną obojętnością. Nie mogłem przestać myśleć o nocy spędzonej w pokoju na górze; najchętniej podszedłbym i zerwał z niej ten jedwab, podejrzewałem jednak, że kłóciłoby się to z etykietą biznesu.

– Miał pan jakieś kłopoty? – zapytał Fraser, wskazując bandaż na moim policzku.

– Nie... to nie ma związku z naszą sprawą. Wszystko poszło z grubsza po mojej myśli.

– Przyniósł pan te rzeczy? – ciągnął adwokat.

Podaliśmy mu puszkę ze wzorem w szkocką kratę.

– Nie... Pomyślałem, że zamiast tego przyniosę wam kruche ciasteczka. Pamiątka ze Szkocji dla naszych gości z Ameryki.

Spojrzał na mnie beznamiętnie tymi swoimi oczkami adwokata. A że nie miałem pod ręką słownika, żeby wyjaśnić mu, co znaczy poczucie humoru, postanowiłem rozegrać to na serio.

– Są tutaj – powiedziałem, ruchem głowy wskazując puszkę po ciasteczkach.

– Wszystkie? – spytała Leonora.

– Wszystkie – przytaknąłem.

– Jest pan pewny? – naciskał Fraser.

– Owszem. Downey za bardzo się bał, żeby coś ukryć, zresztą osobiście wszystko sprawdziłem. Jest tam komplet negatywów. A na wszelki wypadek spaliłem też resztę klisz fotograficznych, które znalazłem – oznajmiłem i zwróciłem się do aktora: – Już po sprawie, panie Macready. Może pan spać spokojnie.

– Jestem panu bardzo wdzięczny. – Uśmiechnął się do mnie, ale nie był to tym razem uśmiech stuwatowy. – Naprawdę. Mecenasiu, nie sądzi pan, że pan Lennox zasłużył na premię? W końcu wypłatał nas z tego wyjątkowo szybko.

Propozycja kompletnie zaskoczyła adwokata. Wytrącony z równowagi, po chwili wziął się w garść, sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął przyjemnie grubą szarą kopertę.

– Oto pańskie honorarium, panie Lennox. Cztery tysiące funtów. Nieźle jak za kilka dni pracy. Ufam, że rozumie pan, iż te pieniądze to sprawa poufna. Nie wolno panu o nich mówić nigdy i z nikim.

– To oczywiste.

– Płacimy panu w gotówce. Nie ma potrzeby tego księgować. Zresztą wątpię, żeby urzędnik skarbowy uwierzył w takie wynagrodzenie za pracę, która nie zajęła panu nawet tygodnia.

– A zatem nie będę go musiał przekonywać. – Uniosłem kopertę, zanim schowałem ją do wewnętrznej kieszeni marynarki, przy sercu, czyli tam, gdzie pieniądze czują się jak u siebie w domu. – I proszę się nie martwić o premię, panie Macready... Dostałem aż nadto.

Prawdę mówiąc, jeszcze nigdy nie zarobiłem tyle na jednej sprawie. I było to trzy razy więcej, niż skasowałem przez cały ubiegły rok.

Macready wstał i znów podał mi rękę. Spotkanie dobiegło końca.

– Jest jeszcze coś – powiedziałem, nie ruszając się z miejsca.

– Tak?

– Jak już mówiłem panie Bryson, od początku nie pasował mi sposób, w jaki zrobiono te zdjęcia, skoro podobno spontanicznie odwiedził pan Iaina. Kiedy pana o to spytałem oraz o miejsce, w którym mógł się ukryć fotograf, odpowiedział pan,

że to zagadka. Podejrzewał pan, że zdjęcia zrobiono przez okno.

– Tak...

– Moim zdaniem ostrość i jakość odbitek wskazują na to, że ktoś fotografował z wnętrza domku. I rzeczywiście tak było. Wstawiono tam fałszywe lustro. Weneckie. Fotograf z aparatem ukrył się za nim w sąsiednim pokoju.

Macready najpierw zapalił papierosa i zaciągnął się, a dopiero potem zapytał:

– A zatem twierdzi pan, że stał za tym Iain albo ktoś mający dostęp do domku i posiadłości?

– Według Downeya, tak. To był Iain. Wymyślił wszystko po to, żeby zdobyć pieniądze na coś, o czym nie może powiedzieć ojcowskiej książęcej mości. Ktoś na gwałt domaga się forsy od Downeya i możliwe, że Iain jest w tej samej sytuacji. Domyślił się, że zapłacicie każdą sumę, byleby te zdjęcia nie wpadły w niepowołane ręce. Innymi słowy, wszystkie ręce poza pańskimi.

– Ma pan na to jakiś dowód? – spytał Fraser.

– Paul Downey sam się do tego przyznał. Wierzcie mi, ten człowiek nie ma ani dość sprytu, ani jaj, żeby samemu wymyślić coś takiego. Wprawdzie nie mogę sprać na kwaśne jabłko syna członka Izby Lordów, ale jeśli chcecie, żebym pogadał z Iainem, to pogadam. – Poklepałem kopertę w kieszeni. – Macie u mnie mały kredyt.

– Co pan o tym sądzi, panie Macready? – zapytał Fraser.

Widziałem, że amerykański aktor jest głęboko zadumany. Świadomość, że zostaliśmy wrobieni i wykorzystani, nie jest miła.

– A co pan radzi, mecenasie? – spytał w końcu, z lekkim znużeniem.

Fraser zrobił minę adwokata, który chce pokazać klientowi, że myśli, więc nie należy mu przeszkadzać, bo bierze za to swoją normalną stawkę.

– Proponuję, żebyśmy to zostawili, przynajmniej na razie. Ma pan zdjęcia i negatywy, które można już zniszczyć. To powinno zakończyć sprawę. A zważywszy na status i wpływy ojca Iaina, byłoby z tego więcej kłopotów niż korzyści.

– Czyli nie wywoływać wilka z lasu?

– Skłaniałbym się do takiego rozwiązania – rzekł Fraser. – Przynajmniej na razie. Panie Lennox, czy gdybyśmy zmienili zdanie, będziemy mogli skorzystać z pańskich usług w tej sprawie?

– Jak już mówiłem, w każdej chwili.

– Podzielim stanowisko pana Macready’ego, panie Lennox. Uporał się pan z tą sprawą nadzwyczaj szybko i skutecznie. Mam nadzieję, że zechce pan dla mnie pracować w przyszłości, jeśli nadarzy się okazja.

– Z przyjemnością – odparłem, ściskając mu dłoń. Udało mi się nawet nie dodać: „ty moralizujący fiucie”. Uważam, że nie należy obrażać tych, którzy dają nam ciężkie pieniądze, i to w gotówce.

Leonora Bryson także uścisnęła mi rękę, z serdecznością grabarza. Bez dwóch zdań była zdrowo porąbana.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Byłem z siebie bardzo zadowolony. Mając sprawę Macready'ego z głowy, a w kieszeni więcej żywej gotówki, niż przeciętny człowiek pracy mógłby zbierać przez całe życie, nie narzekałem na brak powodów do zadowolenia.

Teraz mogłem się skupić wyłącznie na prośbie Isy i Violet i odszukać człowieka, który przysyłał im coroczną dywidendę. Skoro pieniądze zawsze przychodziły w rocznicę skoku na Wystawę Imperium w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym, z dokładnością do jednego czy dwóch dni, to nie podlegało dyskusji, że darczyńcą jest ich dawno zaginiona głowa rodziny.

A jednak policja była stuprocentowo pewna, że wyłowione z rzeki kości to szkielet Dzentelmena Joego. Przez kilka następných dni, podczas gdy Archie wytrwale sprawdzał kolejne adresy, próbując namierzyć Billy'ego Dunbara, ja zajrzałem do kilku osób i zasięgnąłem języka. Nie liczyłem na to, że dowiem się czegoś istotnego, ale półświatek Glasgow to bardzo zżyta społeczność, wręcz wioska złodziei.

Wiele czytałem. Dużo czasu poświęcałem na zrozumienie mechanizmu, według którego działa ten świat, głównie dlatego że mój udział w tym przedsięwzięciu tylko mącił mi w głowie. Czytanie podsuwa wiele pomysłów, czasem dobrych, czasem złych. I jeszcze więcej głupich.

Kiedyś przeczytałem, że fizycy wierzą, jakoby obserwowanie naprawdę mikroskopijnych cząstek wpływało na ich zachowanie. Nazywają to efektem obserwatora. Postanowiłem zastosować zasadę efektu obserwatora do kręgów przestępczych w Glasgow: zadawać prawidłowe – albo błędne – pytania we właściwych miejscach i czekać, aż coś się wydarzy.

Jak zawsze od naszego krótkiego spotkania w smogu, wypatrywałem faceta, który napadł na mnie z bronią w rękę. Nie odnosiłem wrażenia, żeby ktoś za mną laził, no ale Frank też nie

wyczuł, że śledziłem go w drodze do domu. Komuś, kto potrafi nie rzucać się w oczy, przychodzi to bez trudu. A ja nie miałem złudzeń, że ten facet doskonale wie, co robi.

Kilkaset funtów z honorarium od Frasera wpłaciłem na rachunek firmowy, a resztę zdeponowałem w skrytce bankowej. Moje niespodziewane bogactwo oszołomiło mnie niemal tak samo, jak nagła miłosna, acz potencjalnie śmiertcionośna żądza Leonory Bryson. Tak czy owak, miałem zachomikowane ponad osiem tysięcy funtów, więcej niż potrzeba na kupno za gotówkę domu. Na zakup czterech domów w Glasgow. Mógłbym wpłacić tę forszę na konto i przelać ją do Kanady, zanim brytyjski urząd skarbowy coś by wyniuchał.

Ale nie byłem jeszcze gotowy. Podczas wojny coś się ze mną porobiło; nie podobało mi się to, kim się stałem. Staruszkowie w domu oczekiwali powrotu dzieciaka znad Kennebecasis – pogodnego, pełnego entuzjazmu idealisty, który w obronie imperium ruszył na wojnę. Tymczasem zjawilibym się ja: powojenny, cyniczny Lennox, którego można wynająć, żeby objął po pysku przerażone cioty. A to i tak tylko kiedy miałem lepszy dzień.

W pensjonacie czekała na mnie wiadomość od Jocka Fergusona: prosił o telefon. Kiedy się do niego odezwałem, poinformował mnie, że sprawdził Roberta McKnighta, męża Violet, który robił za szofera bliźniaczek.

– Sprzedaje samochody – oznajmił. – Nie jest notowany.

– Jakże? – spytałem, jakby handlarze konkretnych marek w jakiś istotny sposób różnili się charakterologicznie. – Zniszczone po bombardowaniu czy bentleye dla dżentelmenów?

– Pracuje w autokomisie Mitchella i Lairda w Cowcaddens. Są czyści. Sprzedają nowe albo prawie nowe fordys, ale nie wiem, czy to autoryzowany salon, czy nie. Poza tym mają na składzie mnóstwo wozów z drugiej ręki, tych z wyższej półki.

– Rozumiem – mruknąłem, przypominając sobie kupionego na raty fordę zephyra, zaparkowanego przed moim biurem. – A więc jest czysty?

– Hm... Jest jedna ciekawostka. Autokomis Mitchella i Lairda, wbrew nazwie, należy do firmy handlowej, której prezesem, tak się dziwnie składa, jest niejaki William Sneddon.

No i proszę, oto coś, czego się obawiałem najbardziej: kolejny z Trzech Królów zamieszany w moje śledztwo. W sumie dwóch, jeśli liczyć obecność Michaela Murphy'ego na liście współpracowników ojca bliźniaczek, którą od nich dostałem.

– Sam wiesz, że w dzisiejszych czasach to nic nie znaczy – ciągnął Ferguson. – Willie Sneddon nie przestał być łajdakiem i nadal chcemy się dobrać draniowi do skóry, a z drugiej strony gość czyści swoje interesy. Teraz prowadzi tyle samo legalnych, co trefnych biznesów. Tak się składa, że autokomis Mitchella i Lairda należy do tych pierwszych. I właśnie tam pracuje twój chłopak.

– Tak... Mój chłopak, który przypadkiem jest mężem córki jednej z największych legend glasgowskiego półświatka. Powiedz mi, Jock, czy Williego Sneddona i Joego Strachana kiedykolwiek coś łączyło?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Sneddon pojawił się na scenie znacznie później. Ale już Młot Murphy... moim zdaniem przez pewien czas trzymał ze Strachanem.

– No też tak słyszałem – bąknąłem ponuro. – Dzięki, Jock.

Tuż przed lunchem odwiedził mnie Archie. Zrozumiałem aluzję i postawiłem mu pieroga i kufelek Pod Końskim Łbem. Wychylił browar jednym haustem; przy każdym łyku jego krzaczaste brwi podrygiwały rytmicznie. Potem odwrócił do mnie swoją końską twarz ze zboląłą miną. Dopiero po kilku sekundach zdałem sobie sprawę, że się do mnie uśmiecha.

– Jestem jak ta wasza policja konna, szefie – oświadczył. – Zawsze łapię tego, co trzeba.

– Billy'ego Dunbara?

– A kogóżby innego? Wytropiłem go. – Pogrzebał w kieszeniach płaszcza, wyciągnął jakieś świstki, zmiętą chusteczkę oraz kilka biletów autobusowych i rzucił je na zastawiony kon-tuar przed nami. W końcu znalazł to, czego szukał, i jego brwi znów udowodniły, że nie mają nic wspólnego ze zboląłą twarzą.

– No, już mam. Teraz mieszka tutaj. Zmieniał adres trzy razy. O ile udało mi się zorientować, od czasu ostatniej odsiadki jest

czysty. To dlatego tak często się przenosił... Trudno uciec od takiej przeszłości...

– Mnie to mówisz – mruknąłem bardziej do siebie niż do Archiego. Spojrzałem na adres, jakiś dom w Stirlingshire. – Wyjechał z Glasgow?

– Wiesz, jak to jest, kiedy któryś z tych palantów postanawia wejść na uczciwą drogę. To jak rzucanie gorzały... większość do tego wraca, ale jeśli chcesz być suchy, omijasz bary szerokim łukiem. Na mój gust Dunbar próbował uciec od wszystkich, którzy wiedzieli o jego przeszłości.

– Dobra robota, Archie – pochwaliłem. Jego mina niczego nie zdradzała, za to brwi wydawały się zadowolone. – Wybierzesz się ze mną na przejażdżkę? Zapłacę ci od godziny.

– Nie ma sprawy – zgodził się, marszcząc czoło. – Chociaż tyle świeżego powietrza może się odbić na moim zdrowiu.

– Obiecuję, że nie uchylę okna nawet na chwilę i będziemy palić przez całą drogę. Pasuje?

Archie smętnie pokiwał głową.

– Stawię się w biurze o dziewiątej.

Jak już wspomniałem, Młot Murphy nie dorobił się swojej ksywki dzięki zdolnościom stolarskim. Owszem, z dużą wprawą posługiwał się narzędziami, a zwłaszcza młotkiem, ale na pewno nie w celu montowania półek. Raczej rozwałił nim na krwawą miazgę łby konkurentów w interesach.

Tak czy siak, ze wszystkich Trzech Królów zawsze najbardziej starałem się unikać Młota Murphy'ego. Dokładnie tak, jak wystrzegam się pierogów z mięsem niewiadomego pochodzenia. Murphy miał na peryferiach Glasgow przetwórnnię mięsa i powiadano – nie były to bynajmniej plotki – że przemielił tam kilku swoich konkurentów. Dosłownie. Powszechnie sugerowano też, że wyświadczał takie przysługi Przystojniakowi Jonny'emu Cohenowi i Williemu Sneddonowi.

Zadawałem się z samymi przyjemniaczkami.

Próbowałem nie myśleć o przetwórni mięsa Murphy'ego, ale kiedy rozeszły się pogłoski, że dwóch obiecujących chłopaków,

którzy szczególnie wnerwili Młota, przepuszczono przez maszynkę do mięsa, związanych, lecz wciąż żywych i przytomnych, definitywnie straciłem apetyt na jego towarzystwo. Tak jak na kielbasy.

Pojmujecie, w czym rzecz: Młot Murphy był najbardziej brutalnym, wybuchowym i mściwym z Trzech Królów rządzących światem przestępczym w Glasgow i kimś, kogo za wszelką cenę należało unikać.

Gdy tylko padło nazwisko Murphy'ego, cała ta historia z Dżentelmenem Joe Strachanem przestała mi się podobać. Wyglądało na to, że Strachan miał rozdwojenie jaźni: z jednej strony widziano w nim dżentelmena włamywacza – kogoś w rodzaju tutejszego Arsène'a Lupina, jeśli komuś starcza wyobraźni – a z drugiej, miał opinię zimnego, bezwzględnego, często brutalnego gangstera i zabójcy.

Obecność Murphy'ego na liście współpracowników Strachana, moim zdaniem, potwierdzała tę drugą wersję. Teraz nadarzyła mi się okazja, żeby się wycofać – mógłbym zatrzymać zaliczkę na poczet wydatków i powiedzieć bliźniaczkom, że Strachan nie żyje, a wszystkie tropy prowadzące do nadawcy pieniężnych przesyłek zdechły razem z nim. Miałem przecież nieoczekiwany przyływ gotówki od Macready'ego, którego sprawa okazała się wręcz absurdalnie lukratywna. Instynkt podpowiadał mi więc, by odczepić się od Strachana na dobre i spokojnie chodzić po ulicach, bez obawy że czeka mnie kolejny kontredans w smogu z wyszkolonym partnerem do brutalnego tańca. Niestety, widocznie pogorszył mi się słuch, bo bez względu na to, jak głośno wydzierał się mój instynkt samozachowawczy, ja w ogóle go nie słyszałem.

Tak więc wykonałem telefon, który odkładałem od ponad tygodnia. Po krótkiej rozmowie z przydupasem zostałem połączony z Murphym; po drugiej stronie odezwał się ktoś o ciężkim glosowskim akcencie i głosie bardziej szorstkim niż papier ścierny.

Rozmowa była krótka i nazwijmy to, zwięzła. Nie miałem pojęcia, że „spierdałaj” może służyć za odpowiedź na niemal każde pytanie, a także jako przerywnik, kiedy przestajemy mówić

dla nabrania oddechu. Wzbudziłem ciekawość Murphy'ego dopiero wtedy, gdy wspomniałem, że badam sprawę odkrycia szczątków Dzentelmena Joego Strachana.

– Znasz klub Czarny Kot? – zapytał.

– Znam.

– Bądź tam za pół godziny. Tylko się, kurwa, nie spóźnij.

Murphy rozłączył się, zanim zdążyłem zajrzeć do terminarza. Znałem klub Czarny Kot, a jakże. Byłem tam stałym klientem. Miałem kartę członkowską. Bo był to taki lokal, do którego wchodziło się wyłącznie z kartą członkowską albo z nakazem przeszukania.

Odkryłem Czarnego Kota wkrótce po przyjeździe do Glasgow. Mieścił się na piętrze nijakiego budynku z piaskowca przy Sauchiehall na krańcach West Endu, za Galerią Sztuki Kelvingrove, gdzie numery domów przekraczały liczbę tysiąc. W Wielkiej Brytanii roilo się od klubów, których nazwy zawsze były synonimami unikanego jak ognia słowa „cipka”. Przeważnie charakteryzował je wystrój nieudolnie naśladowujący przepych i wyrafinowanie, a bar okupowali biznesmeni z brzuszkiem, przerażeni, że policja urządzi nalot i ich nazwiska pojawią się w prasie. Rzecz jasna przesiadywali tam, ryzykując życie i dobrą reputację, nie bez powodu: były nim hostessy ubrane w lipnym hollywoodzkim stylu, z dekoltami rekompensującymi silny glasgowski akcent.

Chodziło o to, by hostessy namawiały biznesmenów, żeby się odprężyli i dla kurażu upodlili koktajlami za astronomiczną cenę, za to z mizerną zawartością alkoholu. Zabawne że klienci tych klubów gubili portfele z częstotliwością urągającą wszelkim statystykom. Jeżeli ktoś był na tyle głupi, by zasugerować kradzież, natychmiast szorował pyskiem po chodniku. Dlatego większość trzymała gęby na kłódkę, kombinując, co odpowiedzieć po powrocie do domu zatroskanym żonom, kiedy spytają: „kiedy ostatnio widziałeś swój portfel, kochanie?”

W Glasgow działało kilka takich klubów i nie wątpię, że Czarny Kot zaczynał jako jeden z nich. Jednak w tych przybytkach zachodziły dziwne procesy ewolucyjne. Metamorfoza Czarnego Kota prawdopodobnie zaczęła się od przypadkowego

zatrudnienia pianisty, zespołu albo szansonistki, którzy wystali ponad tradycyjny burdelowy standard. Podejrzywałem, że wieści o tym rozeszły się po mieście i klienci zaczęli przychodzić po to, żeby posłuchać muzyki, a nie testować sprężyny tanych materacy na łózkach z dmuchanymi lalami. Kiedy zyski wzrosły, a naloty policyjne i obowiązkowe łapówki zmalały, szefowie zatrudniali coraz więcej i coraz lepszych jazzmanów.

Oczywiście nadal urzędowały tam hostessy, tyle że ograniczały się do podawania drinków, których ceny, choć wciąż wysokie, nie były wygórowane, a ewentualne kontakty klientów z panienkami odbywały się dyskretnie, na zasadzie pełnej dobrowolności. Nawet ja wdałem się w przelotny flirt z paroma hostessami, ale te relacje miały zdecydowanie niekomercyjny charakter.

Kiedy stanąłem przed skromnymi zielonymi drzwiami z wymalowanym nad judaszem małym czarnym kotem, bramkarz o szerokich na jard barach powitał mnie szorstkim skinieniem głowy. Było to osiągnięcie co się zowie, bo z tego, co widziałem, facet nie miał szyi, a jego wielki, okrągły łeb z fryzurą w stylu *teddy boys* wyrastał wprost z potężnych ramion.

Wszedłem na piętro, gdzie spowiły mnie kłęby niebieskiego dymu papierosów. W klubie jak zwykle panował ruch. Roilo się od luzaków w golfach i z zarostem na czubku brody, usiłujących żyć jak bitnicy, o których przeczytali niedawno w czasopiśmie poświęconych sztuce. Tyle że oni mieszkali w Glasgow, a nie w San Francisco czy na Manhattanie, jak ich pierwowzory. Bawiła się też garstka tradycyjnych podejrzanych w szykowych garniturach i o spojrzeniach, które wyraźnie mówiły, że nawet jeśli ktoś nie łączy ich twarzy ze znanym nazwiskiem, to i tak lepiej na nich uważać i nie rozlewać im drinków. Wciąż zaglądali tu biznesmeni, ale innego rodzaju. Ci słuchali muzyki z równym zapałem jak bitnicy, chociaż Bóg jeden wie, co sobie myśleli na temat tego, kim są, a kim mogli zostać.

Nie zrozumcie mnie źle, wystrój i ogólna atmosfera nadal odzwierciedlały pogląd glasgowskiego malarza i dekoratora na to, jak wygląda kosmopolityczny szyk, a klientela była tylko odrobinę mniej lipna i tandetna niż w zwykłych klubach z panienka-

mi, tyle że muzyka i przygaszone światła tworzyły tu niespodziewanie ambitny wizerunek i nadawały lokalowi nastrój nieosiągalny w świetle i ciszy.

Za barem stała Martha, jedna z hostess, z którą uprawiałem łaskotki i obłapianki. Średniego wzrostu, w typie Gene Tierney, miała ciemne włosy, zielone oczy i imponujący repertuar; zamieniliśmy kilka słów, po czym przekazała mi, że Murphy czeka na mnie w prywatnym pokoju na zapleczu. Mówiąc to, skrzywiła się, jak każdy na myśl, że czeka na niego Młot Murphy. Powiedziała mi, o której kończy zmianę, i spytała, czy nie mam ochoty się zabawić, ale odpowiedziałem, że tego wieczoru nie dam rady. A przecież nie miałem żadnych planów. Z zaskoczeniem przyłapałem się na tym, że myślę o Fionie White, i poważnie zacząłem się obawiać, że jeśli zaangażuję się jeszcze bardziej, to mogę zachorować na nieuleczalną wierność.

W pokoju na zapleczu czekał na mnie garnitur z Savile Row, wypchany mięśniami i utajoną skłonnością do przemocy. Zdziwiłem się, widząc, że Murphy jest sam. Nie dlatego że Michael Młot Murphy nie poradziłby sobie bez ochrony, tylko dlatego że zwykle miał obstawę dwóch psychopatycznych zbirów, ot tak, na pokaz.

– Witam, panie Murphy – odezwałem się. – Dziękuję, że...

– Zamknij, kurwa, drzwi...

Zamknąłem drzwi i usiadłem naprzeciwko niego.

– To jak, kurwa, jebany Strachan odwalił kitę czy nie?

Murphy nie zamierzał rozszerzać swojego słownictwa o kolejne przymiotniki i okoliczniki. Był niewielkiego wzrostu, ale poza tym była od niego gigantyczna złowroga osobowość. Wciąż nosił wąsy *à la* Ronald Coleman, tak jak podczas naszego ostatniego spotkania, a jego nienaganna fryzura wyszła spod ręki drogiego fryzjera. Ale to jedyne elementy wizerunku rodem z Hollywood. Był to kawał brzydala, bez dwóch zdań. Oprócz niego nie spotkałem człowieka, którego twarz wyglądałaby jak śmiercionośna broń. Wielokrotnie złamany nos porzucił wszelkie nadzieje na symetrię i umiejscowienie tam, gdzie powinien się znajdować, a małe oczka były głęboko osadzone w jakby wywątowanym ciełe, świadczącym o częstym kontakcie z pięścią-

mi. Ten człowiek był uosobieniem przemocy, on nią wręcz kłapał. Nawet kiedy siedział, inni czuli się zagrożeni.

– Nie wiem – odparłem. – To prawda. Tych, którzy wierzą, że przeżył skok na Wystawę Imperium, jest równie wielu jak tych którzy uważają, że z dna Clyde wyłowiono jego kości.

– A kto ci, kurwa, płaci za to, żebyś się dowiedział?

– Sam pan wie, jak to jest, panie Murphy. Nie mogę tego wyjawić, naprawdę. Muszę stać na gruncie tajemnicy zawodowej.

– No, jasne... I to w tobie szanuję, Lennox. Szanuję cię, kurwa. Dlatego nie chcę cię, kurwa, stawiać w żenującej sytuacji i nie proszę, żebyś zdradził zaufanie jakiejś głupiej cipy. No więc mam pomysł... każę paru chłopakom rozjechać ci kolana tak, żebyś nie mógł stać na żadnym jebanym gruncie, ani tajemnicy zawodowej, ani na innym kurestwie. – Przerwał, dając mi chwilę na sarkastyczną refleksję, a potem pogroził mi palcem. – Wiesz co? Żeby twój pierdolony honor nie ucierpiał, do kompletu rozpierdolimy ci jeszcze kostki i łokcie.

– Isa i Violet, bliźniaczki i córki Strachana. To one mnie wyjechały. – Ani przez chwilę nie czułem wstydu, że tak szybko uległem. Ojciec powtarzał mi do znudzenia, żebym znalazł coś, w czym jestem dobry, i na tym budował karierę. Powiedzieć, że Murphy jak nikt potrafił grozić użyciem przemocy fizycznej to tak, jakby przyznać, że Rembrandt umiał nieźle rysować.

– A po kiego chuja im ta wiedza?

– Po prostu chcę wiedzieć, czy ich ojciec żyje, czy nie. – Nie wdając się w szczegóły, pomiąłem taki drobiazg jak przekazy pieniężne w każdą rocznicę skoku na Wystawę Imperium. Murphy to nie Einstein, był dobry w agresji i przemocy, ale zaryzykowałem, że łyknie moją półprawdę.

Już miał coś odpowiedzieć, gdy otworzyły się drzwi. Spodziewałem się zakapiorów, więc zaboląły mnie wszystkie stawy. Ale to nie byli oni. Do pokoju wszedł wysoki ciemnowłosy mężczyzna. Miał dołek w podbródku jak Cary Grant i był niemal tak nieprzyzwoicie przystojny jak John Macready. Poznałem go od razu.

– Witaj, Jonny. Jak leci? – powiedziałem, wstając i wymieniając z nim uścisk dłoni.

– Świetnie, Lennox. – Jonny Cohen wszedł w głąb pokoju i usiadł obok Murphy’ego, ale niezbyt blisko. – Po prostu świetnie. A u ciebie?

– Nie narzekam – odparłem, starając się nie okazać po sobie, jaką ulgę sprawiła mi jego obecność. Murphy nie wyglądał na zaskoczonego, domyśliłem się więc, że z góry to ustalili. Miałem jednak wrażenie, że Cohen przyszedł za wcześnie, i nagle wszystko stało się jasne: Murphy chciał mnie nastraszyć i w razie konieczności trochę poturbować, zanim się zjawi Jonny. Wiedział jednak, choć nie miał pojęcia dlaczego, że Jonny i ja się kolegujemy. Nie mogłem tylko pojąć, po co ściągnął go tak szybko.

– Czego się napijesz? – zapytał Cohen.

– Nie jesteśmy tu, kurwa, żeby sobie, kurwa, popijać! – warknął Murphy. – Więc daruj sobie pierdolone drinki i przejdźmy do interesów.

– Do jakich interesów? – zdziwiłem się. – Ja tylko wpadłem zapytać o pańskie związki z Dżentelmanem Joe Strachanem.

– To właśnie te interesy, Lennox – wpadł mi w słowo Jonny Cohen. – W Glasgow Joe Strachan wciąż dużo znaczy. Michael zadzwonił i powiedział mi, że zbierasz informacje na temat Strachana.

Michael... Nie miałem pojęcia, że ci dwaj nagle są w takiej komitywie. Z pozostałych dwóch Królów Cohen zawsze faworyzował Williego Sneddon, a Murphy’ego często traktował tak, że Młot omal nie rozpętał na powrót wojny gangów, którą Trzej Królowie zakończyli, zawierając porozumienie. A teraz katolik i żyd mówili sobie po imieniu.

– Nie bardzo rozumiem – powiedziałem zgodnie z prawdą. – Co ci do tego, Jonny?

– Michael, ja i Willie Sneddon rządzą tym miastem niemal od końca wojny. Jak sam wiesz, różnie między nami bywało, ale nie mieliśmy ze sobą kłopotów od czterdziestego ósmego. Ten pokój dla wszystkich okazał się nader zyskowny.

– No! – prychnął Murphy. – Tyle że jebany Willie Sneddon wyciągnął z tego większe zyski niż my obaj.

I wtedy zobaczyłem, jak Jonny Cohen rzuca ostrzegawcze

spojrzenie swojemu nowemu koleśowi bandziorowi, jak gdyby Murphy naruszył układ, jaki zawarli przed spotkaniem ze mną. Więc dlatego odstawiali starych kumpli. Willie Sneddon, jak zawsze na każdym interesie wychodził najlepiej, a Cohen pilnował, żeby Młot nie dał upustu swojemu niezadowoleniu. Tyle że było to o wiele groźniejsze. Sneddon, król królów, wycofywał się i przechodził na legalne interesy. A przestępczość nie znosi próżni.

– No więc, jak mówiłem, wszyscy trzej dobrze na tym wychodziliśmy – podjął Cohen. – Sprawy układały się po naszej myśli. Ale przez te wszystkie lata ani na chwilę nie przestaliśmy się trząść ze strachu, że Strachan znów się pojawi.

– Chciałeś, żebym ci opowiedział o Dżentelmanie Joe – wtrącił się Młot z drwiącym uśmiechem. A może po prostu się uśmiechał. – No to ci, kurwa, opowiem. Wszyscy mamy swoje sposoby na to, żeby nikt się nie wpierdalał przed innych. Nieźleś się zakolegował z tym pierdolonym gorylem Sneddona... tą cipą z cęgami do metalu...

– Z Pedikiurkiem MacBride'em? Nie powiedziałbym, że się kolegujemy – sprostowałem.

– ...którymi obcina ludziom palce u stóp. Jonny ma Łosia Margolisa, który gotuje pięty. A ja mam... – Murphy zastanowił się. – A ja mam siebie. Zmierzam, kurwa, do tego, że wszyscy odstawiamy niezły pokaz, żeby ludzie na nasz widok srali ze strachu. Dzięki temu każdy pojeb zna swoje miejsce w szeregu. – Nachylił się, oparł łokcie na kolanach i przyszpilił mnie tymi swoimi małymi, bezlitosnymi oczkami. – Za to Dżentelman Joe Strachan nigdy nie bawił się w takie rzeczy. Nic na pokaz, zero szpanu. Ale każdy, kto go obraził, nawet jeśli niechcący, miał przejebane. Strachan nie robił z tego wielkiego halo, a mimo to wszyscy wiedzieli, że ten, co mu nastąpi na odcisk, zniknie z powierzchni ziemi. Jak mówiłem, nic na pokaz. Zero szpanu. I właśnie to, do kurwy nędzy, było najbardziej przerażające, przyjacielu.

Tutaj pałeczkę przejął Jonny Cohen:

– Nikt nic nie wiedział, jakie skoki miał na koncie, kto z nim pracował, gdzie melinował forszę, co planował na przyszłość.

Działał długo przede mną, Lennox, ale już kiedy robiłem swój pierwszy skok, kiedy wszedłem na pierwszy stopień drabiny, wiedziałem wszystko o Dżentelmenie Joe Strachanie i jego armii duchów.

– Jezu, Jonny, na stare lata robisz się liryczny – zadrwiłem.

– Nie. Naprawdę tak ich nazywali. Duchy Strachana.

– I tylko jednego z nich ktokolwiek znał z imienia – wtrącił Murphy. – Jeśli można to uznać za imię...

– Synka? – zapytałem.

Murphy skinął głową.

– A więc o nim słyszałeś. Nazywali go Synkiem, bo wyglądało tak, jakby robił u Strachana za jakiegoś pierdolonego czeladnika. Ten pojebany konus dla Dżentelmena Joego był gotów na wszystko. Zdaje się, że Joe szykował go na swojego następcę.

– Wiecie, jak wyglądał ten cały Synek? Albo jak się nazywał naprawdę i skąd pochodził?

– Gdzie tam – burknął Murphy. – Jakiś facio sprzed tylu lat... Za chuja nie pamiętam, jak mu było. No w każdym razie któregoś dnia jakiś fiut zaczął pierdolić w knajpie, że prawie ma robotę u Dżentelmena Joego, i nawijać coś o tym wrednym konusie, co go nazywali Synkiem. W ten sposób wszyscy się o nim dowiedzieli. Gdyby skurwysyn nie miał pistoletu, nie dowiedzielibyśmy się, kurwa, nawet tego.

– Niech zgadnę, ten, który tak chlapał jęzorem... zniknął?

– Z powierzchni jebanej ziemi – przytaknął Murphy.

– Nie znaleziono jego ciała – dorzucił Jonny Cohen. – Sęk w tym, Lennox, że odkąd wyłowili te kości z rzeki, po raz pierwszy od lat poczuliśmy, że nie musimy się oglądać za siebie w obawie przed Strachanem. Ale jeśli to nie jego szkielet, Bóg jeden raczy wiedzieć, gdzie on jest i co szykuje.

Przez chwilę zastanawiałem się nad tym, co mi powiedzieli.

– Jonny, przecież to było prawie dwadzieścia lat temu. Chyba nie myślisz na serio, że on teraz wrócił? Gdyby pokazał się w Glasgow, za miesiąc dyndałby na stryczku.

– Zapominasz o Synku Strachana – zwrócił mi uwagę Jonny.

– Jego potencjalnym dziedzicu. Jeśli Strachan był w czymś mistrzem, to właśnie w planowaniu z dużym wyprzedzeniem

i czekaniem na właściwy moment.

Pokręciłem głową.

– Wciąż tego nie pojmuję.

– Przecież to, kurwa, proste – rzekł Murphy. – Badasz to dla dziewczyn, które nawiasem mówiąc, mają chuj wie ile przyrodnich braci i siostr po całym tym pierdolonym kraju. No więc pracuj dalej. Nam to wisi i powiewa. Ale od każdego z nas dostaniesz po tysiącku w zamian za nazwisko, adres albo choć rysopis jebanego Synka. Wskażesz nam właściwy kierunek, my się zajmiemy resztą, a ty będziesz o dwa kawałki do przodu.

– Willie Sneddon w to nie gra?

– Coś ci, kurwa, powiem. Sneddon zawsze miał najwięcej do stracenia. Ale teraz chuj go to obchodzi. Za dużo czasu marnuje na to, żeby zostać jebanym człowiekiem jebanego miesiąca jebanej Izby Handlowej.

Uderzyło mnie, że jeśli gdzieś miałyby być jebana Izba Handlowa, to tylko w Glasgow.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie miałbym problemu ze wskazaniem wam tego gościa, kimkolwiek jest, ale wątpię, żeby udało mi się zbliżyć choćby o włos do odkrycia jego tożsamości. – Przerwałem na chwilę.

– Co jest? – zapytał Cohen.

Pokręciłem głową.

– Nie... nic takiego. Tyle że następnego dnia po tym, jak zacząłem się rozpytywać o Strachana, miałem krótkie spotkanie we mgle z mięśniakiem i trzydziestkąósemką. Facet był dobry. Zawodowiec. Chciał mnie nastraszyć, żeby przestał grzebać w zniknięciu Strachana.

– Więc może to ten jego Synek?

– Za młody. Znaczy się, mógłby nim być, gdyby w czasie kradzieży miał jakieś siedemnaście, osiemnaście lat. A to trochę za mało. Zwłaszcza jeśli miał robić za silnorękiego.

– Jak miałem osiemnaście lat, potrafiłem już ożenić kosę każdemu skurwielowi, co mi wszedł w drogę. – W głosie Murphy’ego brzmiała nieklamana duma.

– W to akurat nie wątpię – odparłem. – Bo ja wiem... coś mi tu nie pasuje.

– Ale twierdzisz, że ten facet cię dopadł i próbował nakłonić, żebyś się odczepił od sprawy Joego Strachana? – upewnił się Cohen.

Przemyślałem to sobie. Z tym wiekiem to było trochę naciągane, ale nie przyjrzałem się tamtemu gościowi zbyt dobrze. Mógł mieć z pięć lat więcej. Albo trzy. A to już by wystarczyło.

– Coś wam powiem – oświadczyłem. – Jeżeli to był ten Synek, to z miłą chęcią podam go wam na tacy. – Po czym, żeby uniknąć niejasności, dodałem: – Ale te dwa tysiące i tak wezmę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Stwierdzenie, że Glasgow jest miastem paradoksów, to mniej więcej coś takiego, jak powiedzieć, że na biegunie północnym bywa chłodno. Gdziekolwiek spojrzeć, wszystko w nim przeczy sobie i wszystkiemu dookoła. To miasto tętniące życiem, gęsto zaludnione, zadymione, hałaśliwe, krzykliwe i przemysłowe. A jednak po kwadransie jazdy w dowolnym kierunku trafia się na olbrzymie puste tereny mokradeł, wzgórz i wąwozów. O Glasgow świadczą jego mieszkańcy, ono zaś świadczyło o nich, ale już w niewielkiej odległości od niego tożsamość glasgowczyków ustępowała innemu rodzajowi Szkotów. W kierunku, w którym jechałem z Archiem, z każdą milą przybliżaliśmy się do tożsamości górali.

Majątek ziemski, w którym pracował Billy Dunbar, był ustronny i malowniczy: z górami, pastwiskami i pełnym pstrągów jeziorem. Gdy tylko mogłem, z przyjemnością wyrwałem się z miasta w podobne okolice i często przejeżdżałem obok Loch Lomond, czasami wstępując do herbaciarni nad brzegiem jeziora. Mnie też zdarzały się chwile zadumy: kiedy nie podglądałem niewiernych żon, nie tłukłem ludzi albo nie zadawałem się z gangsterami.

Prowadząc samochód, myślałem o spotkaniu z Przystojniakiem Jonnym Cohenem i Młotem Murphym. Zanim wyszedłem, spytałem Murphy'ego o jego młode lata, kiedy pracował z Dżentelmenem Joe Strachanem. Niewiele miał mi do powiedzenia, a gdyby opuścił wszelkie kurwy i tym podobne, trwałoby to dwa razy krócej. Wyszedłem z wizją Joego Strachana, którego Murphy ani wtedy, ani teraz nie potrafił zrozumieć, jakby żyli w dwóch różnych światach przestępczych. Murphy wykonał dla Strachana kilka robótek, które zawsze miały związek z czymś większym, o czym Murphy nie miał pojęcia. To tak, jakby pracował nad rogiem obrazu, nie widząc całego płótna.

Oczywiście to tylko moja analogia. Murphy sam powiedział o sobie, że wtedy był ciemny jak pierdolona tabaka w rogu i chuj wiedział o tym kurestwie, które odpierdalają.

Żeby dotrzeć do biura posiadłości, musieliśmy z Archiem pytać o drogę na paru ustronnych stacjach benzynowych i w kilku urzędach pocztowych. W biurze zastaliśmy starą pannę o ziemiańskim rodowodzie, która powiedziała nam, że pan Dunbar jest zastępcą głównego leśniczego. Przyglądając nam się z wyraźną podejrzliwością, wynikającą z życia w dziewictwie, zapytała, w jakim celu chcemy się widzieć z panem Dunbarem. Postanowiłem nazywać ją panną Marple.

Odparłem, że jesteśmy agentami ubezpieczeniowymi i przywieźliśmy dla niego papiery do podpisania. Nie miałem bladego pojęcia, jaką polisę moglibyśmy wcisnąć leśniczemu, no może poza ubezpieczeniem od wypadków związanych z bażantami, ale panna Marple łyknęła takie wyjaśnienie. Poinformowała nas, że Dunbar ma tego dnia wolne, lecz zastaniemy go w jego domku na terenie posiadłości, i wyjaśniła, jak tam dotrzeć.

Cieszyłem się, że nie pada, bo – jak wytłumaczyła nam panna Marple – do Dunbara prowadziła długa ścieżka, więc musieliśmy drałować na piechotę. Swego czasu każdy jard kwadratowy Szkocji pokrywał nieprzenikniony dywan drzew: wielki las kaledoński. W odległej przeszłości, na długo zanim historia Szkocji przybrała lepszy obrót i kraj wkroczył w średniowiecze, lasy wycięto, wypalono i ograbiono, by mieć drewno na opał, do budownictwa domów albo tylko po to, by zrobić miejsce na pastwiska dla zwierząt. Trwało to dwa tysiąclecia, lecz starożytnym Szkotom udało się ogołocić większość terytorium i zamienić kraj w torfowisko. Teraz, jak zażartował kiedyś doktor Johnson, drzewo w Szkocji było równie rzadkie jak koń w Wenecji. No, ale od osiemnastego wieku humor znacznie się wysublimował.

A jednak pomimo wysiłków troglodytów z czasów sprzed Glasgow, posiadłość, którą przemierzaliśmy, była naszpikowana gęstymi kępami drzew różnych gatunków, a pod naszymi nogami rozpościerał się pomarańczowo-czerwony jesienny dy-

wan, cętkowany promieniami przedwieczornego słońca. Dokładnie takie widoczki Szkocji ozdabiały puszki kruchych ciasteczek, jak ta, od której uwolniłem Paula Downeya.

Po mniej więcej dziesięciu minutach doszliśmy do domku – małego, kamiennego, ze starannie utrzymanym ogródkiem od frontu i zagrodą dla chrząkających świń z boku. W rogu działki dymiły płonące, zagrabione jesienne liście.

Kiedy podchodziliśmy do domku, wyszedł z niego niski, barczysty mężczyzna. Miał pięćdziesiąt kilka lat, ciemnobrązową marynarkę z tweedu tak szorstkiego, że wyglądał niczym spleciony z gałęzi jeżyn, i wełnianą kraciatą czapkę z daszkiem, niezbyt pasującą do marynarki. Niósł przełamaną strzelbę. Miałem nadzieję, że wybiegnie za nim Tessa d’Urberville, ale się przeliczyłem.

Na nasz widok niski facet zatrzymał się, obserwując nas podejrzliwie.

– Czym mogę panom służyć? – Pomimo sielskiej scenerii i takiegoż stroju glasgowski akcent wylewał się z niego strumieniami.

– Witam, panie Dunbar! – rzuciłem. – Wpadliśmy pogadać z panem o Dżentelmenie Joe Strachanie.

Na chwilę zastygł w miejscu, jakby zderzył się z nazwiskiem z innego życia. Zerknął na domek, sprawdzając, czy nikt nie stoi w progu za jego plecami.

– Wy z policji?

– Nie.

– Nie... – powtórzył, taksując mnie wzrokiem od stóp do głów. – Jesteś pan za dobrze ubrany jak na glińiarza. Ale już pański kompan...

– Jak już koniecznie chcesz pan wiedzieć, kupiłem ten garnitur u Paisleya przy Broomielaw. – Brwi Archiego znowu powędrowały w górę na znak, że czuje się urażony, gdy spoglądał na swój bezkształtny deszczowiec i workowaty garnitur.

– Przepiękna okolica, panie Dunbar – powiedziałem rozbrajającym tonem. – Do kogo należy ta posiadłość?

– To jeden z majątków księcia Strathlorne – odparł z irytacją. – Jeżeli nie jesteście z policji...

– Księcia Strathlorne? – zawtórowałem, zastanawiając się, czy jest w Szkocji coś, co do niego nie należy.

– Jeżeli nie jesteście z policji – powtórzył Dunbar – to o co wam chodzi? Pracujecie dla jednego z Trzech Królów?

– Nie, proszę pana – odparłem, nadal starając się zachować przyjazny ton. Ta serdeczność po części wynikała z tego, w jaki sposób Dunbar trzymał przełamaną strzelbę odtylcową. – Chociaż kilkakrotnie pomagałem panu Sneddonowi. Pan znał pana Snedдона, prawda?

– Ano, znam Williego. Porządny gość, ten Willie Sneddon. Dobrze mu się wiedzie. To on mi załatwił tę pracę.

– Co pan powie? – bąknąłem obojętnie, chociaż bardzo mnie to zaciekawiło: Willie Sneddon twierdził, że nie wie, gdzie się podziewa Dunbar.

– Ano... Poprzedni pomagier łowczego się zmył. Znienacka, nikogo nawet nie uprzedził. Willie się o tym dowiedział i wsadził mnie na jego miejsce.

– To ładnie z jego strony, panie Dunbar. Sam się przekonałem, że pan Sneddon lubi pomagać innym. Przy okazji, nazywam się Lennox. A to jest Archie McClelland. Jesteśmy prywatnymi detektywami. Chcemy panu zadać kilka pytań na temat Strachana.

– Gównu wiem o Strachanie. Przebyliście długą drogę, żeby się gówno dowiedzieć.

– Chcemy tylko z tobą porozmawiać, Billy. W tamtych czasach był z ciebie lepszy kombinator. Może wiesz coś, co by nam pomogło.

– Pomogło w czym?

– Posłuchaj, moglibyśmy... – Ruchem głowy wskazałem domek.

– Nie. Żona jest w środku. Nie wiem gówna i nie mam gówna do powiedzenia. Więc wypierdalajcie.

Postanowiłem nie poprawiać jego gramatyki. Wytykanie podwójnego przeczenia komuś, kto trzyma strzelbę z podwójną lufą, raczej nie jest dobrym pomysłem.

– Wiesz, że znaleziono szczątki Joego Strachana?

Wreszcie uderzyłem go w czułe miejsce, pomyślałem. Dunbar najpierw był zbity z tropu, potem zdeorientowany, a w końcu

znów stał się podejrzliwy i wrogi. Chyba trochę przesadził z tą reakcją.

– Nie, nie wiedziałem. I gównu mnie to obchodzi.

– Nie czytałeś o tym w gazetach? – zdziwił się Archie.

– O, kurwa, to coś mówi... Nie, czegoś nie czytałem.

Znowu kłopoty z przeczeniem, pomyślałem.

– Wyłowiono go z dna Clyde – wyjaśniłem. – Uważają, że leżał w niej od trzydziestego ósmego.

Dunbar uśmiechnął się. Znacząco.

– Tak uważają? Juhu! A niech im, kurwa, będzie. A teraz wybaczcie, robota czeka.

– Zdawało mi się, że masz dzisiaj wolne – powiedziałem.

Zbliżył się do mnie o krok.

– Mam tego potąd. Od czasu ostatniej odsiadki w Barlinnie nie mam z tym szajsem nic wspólnego. Jak mówicie, że Joe Strachan nie żyje, to nie żyje. I co z tego? Od dziesięciu lat nie słyszałem tego nazwiska i nie zamierzam się mieszać do tego, co kombinujecie.

– Niczego nie kombinujemy, szukamy tylko informacji na temat Joego Strachana – odparłem. – Nic wielkiego. Nie zamierzamy wyjaśniać zbrodni stulecia, odzyskiwać skradzionej forsy ani wyrównywać rachunków. Pracujemy dla córek Strachana, które chcą się dowiedzieć, co się stało z ich ojcem. To wszystko.

– No to szukacie nie tam, gdzie trzeba – powiedział. – Słuchajcie, mam za sobą dziesięć lat odsiadki w Barlinnie. Przez dziesięć cholernie ciężkich lat chłostano mnie z byle powodu, opędzałem się od starych pedałów, trzymałem z daleka od rozmaitych pojebów i próbowałem nie stać się takim jak oni. Jak mnie posadzili, miałem dwadzieścia jeden lat. Straciłem swoje najlepsze lata i od pierwszego dnia w pudle wiedziałem, że nie chcę wracać do tego, co było, więc zacząłem uczciwe życie. Wyszedłem w trzydziestym siódmym i nie minęło kilka miesięcy, jak gliniarze znów mnie zwinęli i spuścili mi wpierdol, bo uważali, że brałem udział w skoku na Wystawę Imperium. Złamany nos i szczeka, popękane zebra, cztery złamane palce prawej dłoni. – Spojrzał na rękę, z której zwisała strzelba, jakby badał dawno zagojone rany. – Jeden z nich mi na nią nadepnął. Od

tej pory nie odzyskałem już pełnej sprawności w palcach. Powiedziałem im, że gówno wiem, i wam też to teraz powtarzam.

– Dlaczego upatrzyli sobie ciebie? – zapytał Archie.

– Zginął gliniarz. Nie potrzebowali innych powodów. Zapuszkowali wszystkich, o których słyszeli. Ten sukinsyn, co mi nadepnął na dłoń, był kumplem zabitego gliny.

– McNab? – strzeliłem w ciemno.

– No... – Dunbar był wyraźnie zdziwiony. – Willie McNab. Został potem wielką szychą w kryminalnym. W każdym razie zwinęli mnie też z powodu tej roboty, za którą odsiedziałem dziesięć lat. Podejrzewali, że zaplanował ją Joe Strachan, ale nie potrafili tego udowodnić.

– A rzeczywiście ją zaplanował?

Dunbar spojrział na mnie, jakbym się wyrwał z czymś głupim.

– Gdyby to zrobił, nigdy by mnie nie złapali – oświadczył.

– Pracowałeś ze Strachanem? – spytałem, na co znów skarcił mnie takim samym jak poprzednio spojrzeniem. – Inaczej, czy znałeś Strachana?

– Jasne, że go znałem. Niezbyt dobrze, ale zawsze. Zaczął sobie wyrabiać nazwisko w latach dwudziestych. Już wtedy policja za wszelką cenę chciała go przyskrzynić. Przypisywali mu większość grubszych numerów. Nie tylko kradzieże, również oszustwa, szantaże, włamania do domów. Ale nigdy nie udało im się udowodnić, że to jego robota.

– Jeśli prowadził operacje na taką skalę, to musiał mieć stałą ekipę.

– Ano, pewnie tak. Tylko że nikt nie wiedział, kim oni są. To kolejny powód, dla którego gliny mnie zgarnęły. Dlatego, że po wyjściu z pierdła nie pakowałem się w kłopoty. Mieli taką teorię, że Strachan albo wybierał ludzi bez kryminalnej przeszłości, albo jeżeli byli notowani, zabraniał im robienia czegokolwiek na własną rękę. Kiedy nie pracowali dla niego, mieli siedzieć cicho i trzymać język za zębami. Wiecie, że gliny nie odzyskały ani pensa z hat-tricku? Nie namierzyli ani jednego banknotu z żadnej z tych trzech kradzieży. To oznacza, że Strachan musiał zawczasu przygotować sobie pralnię i kanał dystrybucji pieniędzy. Ale o tym wie pierwszy lepszy palant. Poza tym gów-

no wiem, jak już wam mówiłem. Zmarnowaliście tylko talon.

Dunbar miał na myśli talon na benzynę, który musielibyśmy poświęcić na przejazd z Glasgow. Reglamentacja paliwa skończyła się pięć lat temu, ale powiedzenie na stałe zagościło w języku potocznym.

– Szkoda – mruknąłem z rezygnacją. – Mimo wszystko dzięki za pomoc. – Podałem mu wizytówkę. – To numer do mojego biura, gdyby coś się panu przypomniało.

– Nic mi się nie przypomni.

– W porządku – powiedziałem ze znużeniem. – Mam nadzieję, że nie podejrzewa nas pan o to, że chcieliśmy pana w coś zrobić. Nasze zadanie jest proste: zawiadomić córki, czy zwłoki wyłowione z Clyde to ich ojciec, czy nie. Przepraszam, że zawracaliśmy panu głowę. – Wręczyłem mu banknot pięćofuntowy. – To za pański czas. Przyznam, że w zamian za pomoc dostałby pan więcej.

Uchyliłem kapelusza o cal i odwróciłem się, podczas gdy Dunbar gapił się na banknot w rękę. Archie ruszył za mną; wyglądał na rozczarowanego, co w jego przypadku o niczym nie świadczyło.

– I to by było na tyle – mruknął.

– Niezupełnie. On ma nam coś do powiedzenia. Chce nam o czymś powiedzieć. Chyba wiem, o co chodzi, ale wolałbym to usłyszeć od niego. Dlatego zostawiłem mu swój numer.

– Zaczekajcie!

– Tak, panie Dunbar?

– Mówiłem prawdę. Nie miałem nic wspólnego ze skokiem na Wystawę Imperium ani z żadną inną robotą dla Strachana. I nie widziałem go na długo przed pójściem do pudła.

– Ale?

– Ale mam informację, która będzie was kosztowała dwadzieścia pięć funtów.

– Zależy, co to jest – odparłem, lecz zawróciłem w kierunku Dunbara, ceremonialnie sięgając po portfel.

– Chodzi o tego gościa wyłowionego z Clyde.

– Powie mi pan, kto to jest?

– Nie. Ale mogę powiedzieć, kim nie jest...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dunbar niechętnie przystał na moją prośbę, by jego żona zaparzyła nam herbaty, my natomiast siądziemy sobie i spokojnie obgadamy informacje, które dla nas miał. Nie wyglądał na bożyszcze kobiet, a sądząc ze skromnego wystroju domku, nie śmierdział też groszem, więc spodziewałem się, że i żona nie będzie zbyt atrakcyjna.

Ale i tak czekała mnie niespodzianka. Żonie Dunbara – która, kiedy się przedstawiliśmy, powitała nas wrogim spojrzeniem i chrząknięciem – nawet ekipa najlepszych chirurgów plastycznych oraz kosmetyczek z Hollywood nie zdołałaby nadać choćby najmniejszych pozorów atrakcyjności. Taka brzydota w normalnych okolicznościach wywołałaby litość, lecz poznawszy przelotnie jej charakterek, poczułem się zwolniony z tego przykrego obowiązku. Pojąłem, dlaczego Dunbar wzbraniał się przed wpuszczeniem nas do domu, i obiecałem sobie, że przy następnym wizycie zjawię się z kosą i lśniącą tarczą.

– A więc cóż takiego ma nam pan do powiedzenia? – spytałem, gdy żona wyszła z pokoju; najwyraźniej nie mieliśmy co liczyć na herbatę.

– Najpierw pieniądze.

– Nie, Billy. Zapłacę ci potem. Przecież wiem, co usłyszę: że to nie Dzentelmen Joe spoczywał na dnie Clyde. Poznałem to po twojej reakcji, kiedy na dzień dobry powiedziałem ci o wyłowieniu zwłok. Więc nie masz karty przetargowej, poza tym że chcę usłyszeć, skąd o tym wiesz. Obiecuję, że cię nie orzniemy, więc puść farbę.

– Kiedy wybuchła wojna, zgłosiłem się na ochotnika, ale wojsko mnie nie chciało. Na moją niekorzyść przemawiał wiek i to, że byłem notowany. Więc wylądowałem tutaj, w posiadłości księcia. Tylu mężczyzn poszło na wojnę, że z braku ludzi do pracy wzięłyby każdego.

– Wiem – wtrąciłem. – Piekło wojny... Książę pewnie był śmiertelnie przerażony, że musiał się obyć raptem trzema przyuczającymi się lokajami.

– Proszę nie mówić tak o Jego Książęcej Mości. On też brał udział w wojnie. I był dla mnie dobry. Gdybym tu nie trafił, z braku wyboru jak nie wróciłbym do złodziejstwa.

– W porządku, Billy, nie strzęp języka na próżno. Opowiadaj.

– No więc podczas wojny książę prawie tu nie bywał. Należał do najwyższego dowództwa szkockiej obrony terytorialnej. Wciągnął mnie do niej. Znaczą się, do obrony terytorialnej.

– Pięknie... – skwitowałem. – Więc mogłeś pilnować stacji kolejowych i tak dalej?

– Niezupelnie. – Dunbar spochmurniał, jakby nie chciał się wdawać w to, o czym miał opowiedzieć. – Służył pan na wojnie?

– Tak. Pierwsza Kanadyjska Armia. Kapitan.

– Pierwsza Kanadyjska, co? Nieźle wam się oberwało, nie powiem. Wiem, co pan se pewnie myśli o obronie terytorialnej. Że to jakaś kpina. Starcy z miotłami zamiast karabinów i niezdolni do służby chłopcy strzegący bibliotek i kościelnych krucht?

– Nie, prawdę mówiąc, myślałem zupełnie co innego.

– Tak czy siak, po raz pierwszy w życiu moja kryminalna przeszłość stała się atutem, nie przeszkodą. Książę wezwał mnie do takiego wielkiego domu i przesłuchiwał mnie z trzema innymi oficerami. Powiedzieli mi, że moje szczególne umiejętności mogą się przydać.

– W obronie terytorialnej? – rzuciłem, próbując nie okazać po sobie niedowierzania.

– W oddziałach pomocniczych.

Teraz dopiero mnie zaskoczył. Zmieniłem zdanie na jego temat. Wyglądał na twardziela, więc wcale nie było to takie nieprawdopodobne.

– Co to są oddziały pomocnicze? – zapytał Archie.

– Oficjalnie wchodziły w skład obrony terytorialnej – wyjaśniłem. – Zwłaszcza w takich miejscach jak to, gdzie wielu mężczyzn przywykło do pracy na świeżym powietrzu i znało teren. Ale ci ludzie przeszli specjalne szkolenie i mieli szczególne obo-

wiązki. Ty też, Billy?

– Nazywali nas Pomagierami. Albo Łobuzami. Jak mówił pan Lennox, oficjalnie należeliśmy do sekcji dwieście jeden szkockiej obrony terytorialnej.

– Myślałem, że wszystkie oddziały Łobuzów wysłano na południowe wybrzeże Anglii – wtrąciłem.

– No, większość tak, ale w sumie Łobuzów rozlokowano po całym kraju. Ja należałem do jednostki specjalnej tutaj, na tym terenie. Rozumiecie, tak ogołocili góry z mężczyzn, że obawiali się silnego desantu niemieckich agentów i spadochroniarzy, którzy mogli tu urządzić dywersję, podczas gdy prawdziwa inwazja nastąpiłaby gdzie indziej. Takie Arnheim, tylko na odwrót.

– To były przygotowania do inwazji, do której nigdy nie doszło – wyjaśniłem Archiemu. – Zapomnij wszystko, o czym myślałeś na temat obrony terytorialnej. Tam służyli świetnie wyszkoleni zabójcy i sabotażyści, ale nikt by na to nie wpadł. Rolnicy, lekarze, nauczyciele, listonosze, leśnicy. Gdyby doszło do inwazji i kraj znalazłby się pod okupacją, Łobuzy mieli likwidować wszystkich, którzy mogli sprzyjać Niemcom.

– Do tej pory mamy tu ukryte materiały wybuchowe, amunicję i broń – oznajmił Dunbar. – Mieliśmy siał jak największy chaos. Na wypadek inwazji przewidziano dla nas racje żywnościowe na siedem tygodni. Władze uważały jednak, że po dwóch tygodniach działań i tak wszyscy pójdziemy do piachu.

– Wszystko to jest bardzo interesujące, Billy – powiedziałem. – Ale co to ma wspólnego z Dzentelmenem Joe Strachanem?

– Właśnie do tego zmierzam. Wysłali nas do Lochailort, pierdolonego zadupia na zachodnim wybrzeżu. To tam szkolili wszystkie siły specjalne. Ta główniana górska wiocha była cała obstawiona wozami pancernymi Beaverette i karabinami maszynowymi. Nas szkolono w bazie marynarki wojennej. Nie macie, kurwa, pojęcia, czego nas tam uczyli. Jak podrzynać gardła, tak żeby skurwiele padali, nie wydając dźwięku, jak klecić domowym sposobem bomby, a potem zapalające fugasy.

– Co to jest fugas? – zapytał Archie.

– Wielka pierdolona prowizoryczna mina lądowa. Benzyna

w pięcio- albo dziesięciogalonowych beczkach, zakopywanych w ziemi, czy jakoś tam ukrywanych, z dołączonym zapalnikiem. Największe fugasy miały nawet po pięćdziesiąt galonów. Sprzęt przeciwczołgowy i wymierzony w ciężarówki z transportami żołnierzy. To kurestwo paliło wszystko i wszystkich na popiół. Widziałem, jak kilku naszych chłopców spłonęło na szkoleniu, kiedy takie gówno przypadkiem odpaliło. No w każdym razie przeszliśmy całe szkolenie. Walka wręcz. Defendu. Słyszeliście o tym?

– Defendu... system Fairbairna? Tak. Słyszałem o nim – odparłem. – W armii kanadyjskiej stosowaliśmy bardzo podobny system walki wręcz, zwany arwrology.

– No. Defendu opracował ten sam facet, co wymyślił nóż komandoski. Ale my, z Glasgow, nie musieliśmy się uczyć defendu, mieliśmy już własne „wal się”.

Roześmiał się ze swojego żartu. Zniecierpliwilem się.

– No więc przez sześć tygodni przechodziliśmy tam solidny trening, a potem wróciliśmy na kolejne sześć. Było tam pełno szych ze wszystkich tajnych służb, jakie sobie można wyobrazić. Nami dowodził wyższy oficer z Operacji Specjalnych, ale byli też komandos, SAS, Special Boat Service i inne jednostki, o których nawet nie słyszałem. Podczas drugiej tury w Lochailort zobaczyłem tego oficera, majora, jak rozmawiał z innymi. W skład grupy wchodził Jego Książęca Mość, wtedy w stopniu pułkownika. Oficer, o którym mówię, był jednym z nas... znaczy się, z Operacji Specjalnych. Wszyscy pozostali, w tym Jego Książęca Mość, zajmowali się szkoleniem Łobuzów.

– Joe Strachan?

Dunbar był wyraźnie zaskoczony, że uprzedziłem go i sam doszedłem do tego wniosku.

– Sporo się dowiedziałem o Strachanie – wyjaśniłem. – Sądzisz, że był autentyczny? To znaczy, był prawdziwym oficerem, a nie tylko się za takiego podawał?

– Był pan w wojsku, to sam pan wie, jak wygląda system zabezpieczeń w bazach specjalnych. Jeżeli w tym obozie Joe Strachan nosił mundur majora armii brytyjskiej, to znaczy że nim był, i już.

– Bez jaj – prychnął Archie. – Taki żul z Glasgow jak Strachan był majorem w wojsku? Myślałem, że na oficerów awansowali samych dżentelmenów, a nie meneli...

Podniosłem rękę, żeby go uciszyć. Zamilkł, ale jego brwi protestowały jeszcze przez kilka sekund.

– Czy to możliwe, że się pomyliłeś? – spytałem Dunbara.

– Kto wie? Ale dobrze się draniowi przyjrzałem. Naprawdę dobrze. Wiecie, podobno każdy ma sobowtóra, no nie? Choćaby taki Monty⁵. Więc jeśli to nie był Dżentelmen Joe, to widocznie jego pieprzony bliźniak.

– Ja wcale nie żartuję, może to rzeczywiście był jego bliźniak – rzekł Archie. – Mówiłeś, że córki Strachana to bliźniaczki, a ta cecha przenosi się w rodzinach z pokolenia na pokolenie.

– Nie – zaprzeczył stanowczo Dunbar. – Joe Strachan może i stał się tajemniczą postacią, ale urodził się w Gorbals, a tam nie ma, kurwa, żadnych tajemnic, bo i skąd, jak na każdym pierdolonym piętrze czynszówki gnieźdzą się po cztery rodziny. Strachan miał dwie siostry i brata. Żadnych bliźniaków. Więc powtarzam wam, kurwa, że widziałem Dżentelmena Joego Strachana na własne pierdolone oczy, jak się szlajał z wyższymi oficerami i miał koronę na naramienniku.

– Kiedy to było?

– W czterdziestym drugim. Latem czterdziestego drugiego.

– Mówiłeś o tym komuś jeszcze?

Dunbar spojrzał na mnie pogardliwie.

– Po tym, jak mnie przetrzymywali w celi, bo liczyli na pieprzony łut szczęścia, że chlapnę o czymś albo o kimś i w ten sposób doprowadzę ich do kolejnej osoby, która może wiedzieć więcej na temat Joego Strachana? Nie. Trzymałem gębę na kłódkę. Nikt nie wie o tym, co widziałem. Znaczy się, teraz już wy wiecie.

A więc to tak. Dżentelmen Joe wcale nie spał długim kamiennym snem. Co oczywiście nie oznaczało, że nadal żyje. Skoro dostał przydział do Operacji Specjalnych, równie dobrze mógł spać kamiennym snem na dnie jakiegoś kanału w Holandii

⁵ Bernard Law Montgomery – słynny dowódca brytyjski, marszałek polny.

albo rzeki we Francji. Tyle że ta wersja, że Joe Strachan był członkiem Kierownictwa Operacji Specjalnych, nie miała za grosz sensu.

Dunbar powiedział nam już, co miał do powiedzenia, a że pogaduszki o niczym, nawet ozdobione przekleństwami, nie należały do jego mocnych stron, nadszedł czas, żeby się zbierać. Kiedy wstawałem, ni stąd, ni zowąd wpadłem na pewien pomysł; a może powoli dojrzywał gdzieś w głębi mojego umysłu, podczas gdy rozmawiałem z Dunbarem. Choć raczej był to obraz, nie pomysł. Zdjęcie zrobione przez Paula Downeya.

– Czy wieczorem zwykle siedzisz w domu, Billy? – spytałem.

– Chcę ci pokazać pewną fotografię. Z tego, co mówiłeś, odniosłem wrażenie, że to chyba jedyne istniejące zdjęcie Joego Strachana. Mógłbym wrócić i ci je pokazać?

– Pewnie tak... – zgodził się niechętnie. – Ale jak mam wolne, to zwykle wychodzę wieczorem do baru.

– Wrócę dopiero jutro, pojutrze i zajmę ci tylko parę minut, Billy – obiecałem. – Wynagrodzę ci to. Aha, zanim wyjdę, jest jeszcze jedna rzecz... to nie ma nic wspólnego ze Strachanem, po prostu chcę zaspokoić ciekawość w związku z czymś, co się ostatnio wydarzyło. Znasz syna księcia, Iaina?

– Ano, znam go jak zły szeląg.

– Jaki on jest?

– Kawał gnoja. Ani trochę nie przypomina ojca. W niczym. Pieprzony nierób.

– I?

– I co?

– Daj spokój, Billy, obaj wiemy, że to ciota.

– Słuchajcie, nie powiem nic, co mogłoby zaszkodzić jego ojcu. Bóg mi świadkiem, że Jego Książęca Mość miał przez tego gówniarza dość problemów. Jeżeli szukacie jakichś brudów, ode mnie ich nie dostaniecie.

– W porządku, Billy, powiedz mi tyle, ile możesz. Wierz mi albo nie, ale ja próbuję chronić nazwisko tej rodziny, a nie zniszczyć.

– Iain tak się różni od ojca, że człowiek zaczyna wątpić, czy to w ogóle syn Jego Książęcej Mości. Nie są do siebie podobni, za-

chowują się całkiem inaczej, wyznają różne wartości.

– Z całym szacunkiem, Billy, ale jesteś tu tylko łowczym... Skąd o tym wiesz?

– Wszyscy o tym wiedzą. Tu wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. Jeśli się robi u takiej rodziny i w takim miejscu jak to, nie ma żadnych pieprzonych sekretów.

– Iain ma własny domek na terenie posiadłości, zgadza się?

– Ano. Ten kutafon nazywa go swoją pracownią. Uważa się za jakiegoś pieprzonego Picassa albo co.

– I się w nim zabawia?

– No. – Dunbar łypnął na mnie znacząco. – Zabawia się, jeszcze jak.

– Widziałeś kiedyś, żeby kręcił się tam ktoś dziwny?

– Jaja se, kurwa, robisz, tak? A kiedy nie widziałem tam dziwolągów? Stale się tam kręcą jakieś cudaki i świry. Iain mówi, że to artyści. Tacy z nich artyści jak z koziej dupy trąba!

– Nie, myślałem o kimś innego rodzaju. Z niejednego pieca chleb jadłeś, Billy, i znasz ten typ: kogoś, kto zapowiada kłopoty.

– Nie, takiego raczej nie widziałem. A bo co?

– Junior księcia wpakował się w kabałę, ot co. Próbowałem go z niej wyciągnąć, ze względu na jego ojca, że się tak wyrażę.

– Ja pierdołę! Takie buty... Jakbym mógł w czymś pomóc, daj pan tylko znać.

– Dzięki, Billy. Zapamiętam to sobie. Ale wygląda na to, że jest już po sprawie. – Wstałem od stołu. Wyjąłem portfel i odliczyłem dwadzieścia pięć funtów. Widziałem, jak oczy Billy'ego się zaświeciły, i choć zdawałem sobie sprawę, że to i tak dwa razy więcej, niż się spodziewałem dostać, odliczałem dalej, aż położyłem na stole pięć dych.

Dziel się bogactwem, Lennox. Dziel się bogactwem.

– Wiesz, że prawdopodobnie zrobił cię w konia? – powiedział uprzejmie Archie, kiedy ruszyliśmy z powrotem do Glasgow. – Słuchaj, gdybym tak ci powiedział, że u bukmachera w Niddrie widziałem Adolfa Hitlera, też byś mi dał pięć dych?

– Nie, bo to by było jawne kłamstwo. Hitler prędzej oddałby się w ręce Izraelitów, niż zamieszkał w Niddrie. Zauważyłem, jaką minę zrobił Dunbar, kiedy mu powiedziałem o zwłokach z Clyde. Od razu wiedziałem, że nie wierzy, że to był Strachan.

– Za to ty naprawdę wierzysz, że Strachan zadaje się z wyższymi sferami i dochrapał się w wojsku oficera? „Strachan, chłopie, nie ma sprawy, puśćmy w niepamięć te przykre drobiazgi, jak zamordowanie policjanta i dezercja podczas pierwszej wojny światowej, i skoczmy razem do kasyna oficerskiego na herbatkę i lunch”?

– Sarkazm zostaw mnie, Archie. Wiem, że to nie ma sensu, ale wierzę, że Dunbar naprawdę zobaczył to, co zobaczył.

– Słuchaj, szefie, nie zamierzam cię uczyć twojego fachu...

– Uchowaj Boże, Archie.

– ...ale na dobrą sprawę machałś mu forszą przed nosem. Najwyraźniej czuł, że musi ci coś powiedzieć. Tyle że na poczekaniu nie potrafił wymyślić nic lepszego niż te bzdury, że Strachan był oficerem.

– Nie, Archie. Prędzej by wymyślił, że widział Strachana u tego samego bukmachera w Niddrie, u którego ty go widziałeś, albo na ulicy w Edynburgu czy dworcu kolejowym w Dundee. Wierzę, że mówił prawdę, właśnie dlatego, że to jest tak zupełnie nieprawdopodobne. Po wielokrotnych przesłuchaniach na policji Dunbar nauczył się, że jeśli chce zmyślać, kłamstwo ma być proste i wiarygodne. Sam wiesz.

– Więc na czym stoimy? Co dalej?

– Chcę, żebyś mi sprawdził kilka nazwisk z listy, którą dostałem od Isy i Violet. Ale uważaj, z kim i gdzie rozmawiasz. Ja tymczasem zrobię coś, co od dawna odkładałem, i wybiorę się z wizytą do kilku ludzi.

Umówiłem się z Fioną White w herbaciarni Cranston's. Siadając w sali w stylu art nouveau, zamówiliśmy herbatę i kanapki z łososiem. Fiona miała na sobie elegancki strój, w którym jeszcze jej nie widziałem, i najwyraźniej nowy kapelusz. Zauważyłem też, że pomalowała usta szminką w bardziej krwistym od-

cieniu czerwieni oraz nałożyła mocniejszy makijaż niż zwykle. Poczuję się mile polechtany, że zadała sobie tyle trudu.

– Jak pańskie nowe mieszkanie? – spytała, nieco skrępowana.

– Nadzwyczaj ekskluzywne – odparłem. – Stale muszę uważać, żeby nie szczebrać, nie mówić z irlandzkim akcentem ani za bardzo się nie opalić.

Na jej twarzy odmalowało się zdziwienie. Zdziwiona buzia Fiony była śliczna.

– Nie jest tak źle – dorzuciłem. – Na jakiś czas ujdzie. Jeżeli nie zbliżam się do właściciela, to nawet jestem suchy.

– Rozumiem – mruknęła. – Do mnie nikt nie zaglądał. To znaczy, nikt podejrzany – dodała. – Zauważyłam, że miejscowy posterunkowy nie spuszcza nas z oka, ale naprawdę nie mam powodu do obaw.

– Miło mi to słyszeć. Przepraszam, pani White, że naraziłem panią na tyle kłopotów.

– Fiono... – sprostowała cicho; jej głos załamał się w pół słowa. Odchrząknęła, oblała się rumieńcem. – Niech mnie pan nie nazywa panią White. Proszę mi mówić po imieniu.

– Tylko jeżeli przestanie mi pani mówić „panie Lennox”.

– To jak mam się do pana zwracać?

– Lennox. Jak wszyscy. Przepraszam za wszelkie kłopoty, Fiono.

– To żaden kłopot. Ale dziewczynki się stęskniły, brakuje im ciebie w domu.

– Tylko im?

Przez sekundę wyczuwałem lodowate lekceważenie, do którego już dawno przywykłem. Ale natychmiast znikło.

– Nie, nie tylko. Wróć do swojego mieszkania. Nie sądzę, żeby groziło nam jakieś niebezpieczeństwo.

– Nie widziałas faceta, który mnie napadł. Wokół sprawy Strachana dzieje się coś dziwnego, czego nie rozumiem. Ale mam kilka pomysłów, a każdy z nich mi mówi, że mam do czynienia z wyjątkowo niebezpiecznymi ludźmi. Nie chcę narażać ciebie i dziewczynek na ryzyko.

– Posłuchaj, Lennox, myślałam o tym, co mi powiedziałaś;

o tym, co do mnie czujesz. Wybacz, jeśli wydałam ci się trochę... obojętna. Powiedziałam to, co powiedziałam, bo tak uważałam. A przynajmniej uważałam tak w tamtym momencie. Chodzi o to, że... Bo ja wiem? Po prostu nie należę do kobiet, do jakich przywykłeś. Nie mam doświadczenia z mężczyznami, zupełnie brakuje mi wyrafinowania. Wychodząc za Roberta, myślałam, że to jest to. Zobaczyłam całe swoje przyszłe życie, wiedziałam, jak się potoczy. Wtedy sądziłam, że tego właśnie pragnę. A potem, kiedy go zabili, straciłam nie tylko jego, sama się zagubiłam. Przestałam wiedzieć, czego chcę od życia.

– Wiem, że mi nie uwierzysz, Fiono, ale doskonale cię rozumiem. Podczas wojny wielu z nas się pogubiło, zmieniliśmy się do tego stopnia, że nigdy byśmy się o to nie podejrzewali. Staliśmy się kimś, kim za wszelką cenę nie chcieliśmy się stać. Ale to inni rozdali nam takie karty. A my teraz musimy ugrać nimi, ile się da. Nic nie wróci ci męża, tak samo jak nic nie wymaże rzeczy, które robiłem podczas wojny. Ale trzeba spróbować żyć dalej. Odnaleźć szczęście.

– Uważam, że powinieneś wrócić. – Spojrzała na obrus. – Niczego nie obiecuję, nie powiem, że coś się zmieni. Ale chciałabym, żebyś wrócił.

– Ja też tego chcę, Fiono, ale nie mogę. Jeszcze nie teraz. Spaprałem w życiu mnóstwo rzeczy, ale tego nie zniszczę, choćby nie wiem co. Nie ściągnę za sobą do domu kolejnych kłopotów.

– Przecież z tego, co wiemy, ten, kto cię napadł, wciąż uważa, że u mnie mieszkasz. Z tobą w domu byłybyśmy bezpieczniejsze.

– Nie chodzi tylko o tego faceta, ich jest więcej. To lepsze cwaniaki, wiedzą już, że nie mieszkam u ciebie. Mam tylko nadzieję, że nie wysledzili mojego obecnego lokum.

– A policja?

– Nie pomoże mi. W każdym razie nie oficjalnie. Odnoszę wrażenie, że wycisnąłem z Jocka Fergusona ostatnią kroplę dobrej woli. Słuchaj, niedługo będzie po wszystkim, a wtedy wrócę. – Położyłem rękę na jej dłoni. Spięła się, jakby chciała ją cofnąć, lecz zaraz się rozluźniła. – Wtedy porozmawiamy.

Wstąpiłem do biura, żeby dokończyć kilka spraw przed powrotem do pensjonatu. Właśnie zdejmowałem płaszcz z wieszaka, gdy ktoś bez pukania otworzył drzwi. Odwróciłem się i zamarłem. Nagle zdałem sobie sprawę, że nie wyobrażając sobie gorszego towarzystwa niż Młot Murphy, ujawniłem tylko ograniczenia własnej wyobraźni.

Stojący przede mną facet, po pięćdziesiątce, miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, potężne bary i brutalną, okrutną twarz. Jak podczas każdego naszego spotkania ubrany był starannie, schludnie i kompletnie bez polotu. W tweed. Postanowił ulżyć obutym w półbuty stopom, nie czekając, aż pierwszy mu to zaproponuję. Nadinspektor śledczy Willie McNab nie miał w zwyczaju pukać do drzwi ani czekać na zaproszenie, żeby usiadł.

Uznałem, że też powinienem usiąść. Choć wołałbym, żeby dzieliło mnie od McNaba coś okazałego, na przykład biurko, a jeszcze lepiej kontynent. Patrzyłem na drzwi, czekając, aż za nadinspektorem pojawi się krzepki góral w tandetnym garniturze; do przywilejów wynikających ze stanowiska należał i ten, że nie trzeba było własnoręcznie bić podejrzanych. Ku mojemu zdziwieniu nikt nie wszedł.

– Czemu zawdzięczam zaszczyt? – spytałem.

– Doskonale wiesz, po co tu jestem, więc mnie nie wkurwiał.

– Coś panu powiem, nadinspektorze. Żeby nie było niedomówień, może wywali pan kawę na ławę?

– Wtykałeś nos w sprawę Strachana. Do tej pory powinieneś się nauczyć, że wiem o wszystkim, co dzieje się w tym mieście, a jeśli coś szczególnie mnie interesuje, dowiaduję się o tym od razu. Co odkryłeś?

– Nic, co by interesowało policję – odparłem.

– Dla kogo pracujesz?

– Przykro mi. Tajemnica zawodowa.

– Tajemnica zawodowa, jasne. – McNab mądrze pokiwał głową, jakby rozumiał ten powód. – Wiesz, dlaczego tajemnica zawodowa niczym nie różni się od gówna?

– Na pewno mnie pan oświeci.

McNab rozprostował się na wysokość metra dziewięćdziesięciu i pochylił nad biurkiem, zbliżając twarz do mojej.

– Tajemnica zawodowa i gówno niczym się nie różnią, bo i jedno, i drugie możemy z ciebie wytluc dla dobra komendy przy St Andrew's Square.

Uznałem za ciekawe, że McNab i Młot Murphy, choć stali po dwóch stronach wymiaru sprawiedliwości, mieli taki sam stosunek do mojej etyki zawodowej.

– Wiesz co, McNab? Nie sądzę – odparłem. – Jeszcze rok czy dwa lata temu może by ci się to upiekło, ale ja już nie bawię się w tej samej piaskownicy. Jestem teraz szanowanym biznesmem.

– Tak ci się zdaje?

– Tak mi się zdaje. Ale nie tylko dlatego wątpię, żeby do tego doszło. Zjawiasz się sam, bez nakazu aresztowania, więc gadaj, co naprawdę cię tu sprowadza? Na pewno sprawa Strachana, ale coś mi tu śmierdzi.

Pomimo pewności siebie, z jaką to wygłosiłem, zaskoczyło mnie, że McNab usiadł z powrotem. Wyciągnął paczkę papierosów Navy Cut i zapalił. Po namyśle mnie też poczęstował.

– Nie, dzięki – rzuciłem, głównie dlatego że kompletnie zbił mnie tym z tropu. – Nie mam ochoty stracić głosu z samego rana. Co jest grane, nadinspektorze?

Zdjął filcowy kapelusz i rzucił go na biurko.

– Różnie między nami bywało, Lennox. Nie lubię cię, a ty nie lubisz mnie. Ale zauważyłem, że za każdym razem, kiedy próbowałem wyciągnąć z ciebie jakieś informacje, ryzykowałeś łomot albo odsiadkę, odsyłając mnie sam wiesz gdzie. Podejrzewam więc, że kierujesz się jakimś własnym kodeksem etycznym, nawet jeśli jest popierdolony. Wiesz, że wygrzebałem brudy na twój temat z okresu służby w Niemczech po wojnie. Na przykład ten Szwab, który handlował na czarnym rynku i skończył na dnie portu. Ten sam, którego żandarmeria wojskowa podejrzewała, że robił z tobą interesy...

– Czy ta analiza charakterologiczna do czegoś prowadzi, McNab?

– Mam gdzieś, co się stało w Hamburgu, za to obchodzi mnie, co się dzieje w Glasgow. Joseph Strachan zamordował Charliego Gourlaya. Zastrzelił go z zimną krwią, a ja chcę, żeby zadyndał za to na stryczku.

– Sęk w tym, że on nie żyje, nadinspektorze. Oficjalnie, w świetle prawa, jest martwy.

– Nie wierzysz w te bzdety tak samo jak ja. To nie Joego Strachana wyciągnęli z dna Clyde. Wiem o tym, chociaż nie potrafię tego udowodnić. Strachan był za cwany, żeby dać się złapać, i za mądry, żeby dał się załatwić komuś ze swojej ekipy.

– Więc czyje kości wyłowili?

– Nie wiem. Ale nie Strachana, to pewne. Słuchaj, Lennox, jestem gliną w tym mieście od prawie trzydziestu lat. Miałem do czynienia z najtwardszymi, najbardziej wrednymi skurwielami, jakich nosiła ziemia. Dzięki mnie więcej niż tuzin z nich zawisło na stryczku: od pedofilów po zawodowych zabójców, od psychopatów po oprychów z kosą. Widziałem wszelkiego rodzaju maniaków i potworów, jakich sobie można tylko wyobrazić. Ale Joe Strachan jest klasą samą w sobie.

– Czyżby? – Postanowiłem rznąć głupa. – Słuchając tego steku bzdur o Dżentelmenie Joe i o tym, jak wszystkie męty w Glasgow wynoszą go pod niebiosa, można by sądzić, że to jakiś lokalny bohater.

– A wiesz, że nie mamy choćby jednego zdjęcia Strachana? Ani jego odcisków palców? Przesłuchiwaliśmy go kilkanaście razy, ale nigdy nie został aresztowany, a tym bardziej nie postawiono mu żadnych zarzutów. Wiesz, po co tak uparcie go zwijaaliśmy? Wtedy przestępcom w Glasgow brakowało rozumu i umiejętności. Podstawowy sposób działania polegał na tym, żeby napierdalać kogoś tak długo, aż sypnie forszą. Mieliliśmy do czynienia głównie z żułami z brzytwą albo drobnymi złodziejaskami, którzy wpadali dlatego, że nie starczało im rozumu na zaplanowanie skoku jak należy. To się zmieniło. Teraz mamy tych twoich koleśków, tak zwanych Trzech Królów. Przestępcy się zorganizowali. A wiesz, od kogo się to zaczęło? Kto ich do tego natchnął? Joe Strachan. Tyle że był w tym o niebo lepszy od nich. Nie próbował kontrolować wszystkiego, nie

zmuszał tych, co wyduszają haracz, żeby z kolei płacili jemu za ochronę, tak jak to robią Sneddon, Cohen i Murphy. Strachan oceniał, czy ryzyko mu się opłaci. Jego interesowały tylko wielkie numery, wielka forsa. I do każdej roboty brał wyłącznie najlepszych.

– Niczego nowego mi nie powiedziałeś – wtrąciłem.

– Tak? Ale pewnie nie wiesz o tym, że niektórzy zaczęli sypać: paru niezadowolonych łajdaków, którym Strachan utarł nosa, bo ich nie wybrał. Jeden z nich był zresztą płatnym informatorem. I wszyscy zginęli. A raczej uznano ich za zmarłych. Nie znaleziono zwłok. Żadnych śladów.

– Strachan ich zabił?

– Jego egzekutor. Kolejny nienotowany. Nigdy nie poznaliśmy nazwiska. Od informatora wyciągnęliśmy tylko tyle, że to był młody gość, protegowany Strachana. Strachan mówił na niego Synek. To był jego uczeń. Może i młody, ale trzymał w ryzach wszystkich, którzy robili dla Strachana. Jak mówiłem, to był zimny, zawodowy zabójca. Ze strzępów informacji, które mamy, wychodzi na to, że Strachan traktował go jak syna.

– Młot Murphy jakiś czas pracował dla Strachana... – Dalej rznąłem głupa.

McNab roześmiał się.

– Pudło. Murphy budował swoje małe imperium razem z braćmi. Fakt, pracowali ze Strachanem, ale krótko. Na mój gust Strachan połapał się, że Murphy to psychopata, i zrezygnował z niego, zanim facetowi całkiem odbiło. Czyli zanim przestał nawalać. Jeśli Strachan wymagał czegoś od swoich ludzi, to tego, żeby byli niezawodni. – Przerwał i zaciągnął się głęboko. – Kto cię wynajął, żebyś w tym grzebał, Lennox?

– Ależ nadinspektorze... przecież pan wie, że nic panu nie powiem.

– To leży w twoim dobrze pojętym interesie.

– Niby że co? Uniknę łomotu?

– Nie. Posłuchaj, Lennox, czasami trzeba zapomnieć o tym, co było, i o osobistych sympatiach czy antypatiach. Czasami trzeba współpracować z ludźmi, z którymi nigdy byś sobie tego nie wyobrażał.

– Co pan proponuje?

– Wiem, że wyciągasz informacje z inspektora śledczego Fergusona. A ja mogę ci zakręcić ten kurek raz na zawsze. Ale na razie tego nie zrobię. Ani nie przycę ci ogona przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, żeby znać każdy twój ruch i móc złożyć wizytę wszystkim klientom, z którymi się kontaktujesz.

– To miło z pańskiej strony, nadinspektorze. Domyślam się, że coś za coś?

– Za dwa lata przechodzę na emeryturę, Lennox. Kupiłem chałupę w Helensburghu i po odejściu z pracy przeniosę się tam z żoną, z dala od miasta. Na emeryturze chcę żyć cicho i spokojnie. Ale nie będę miał spokoju, wiedząc, że Joe Strachan wciąż gdzieś tam jest, korzysta z uroków życia i nie zapłaci za zabójstwo Charliego Gourlaya.

– A nie lepiej pogodzić się z tym, że to Strachan leżał na dnie Clyde?

– Nie, bo wiem, że to nie on. I jak mówiłem, ty też o tym wiesz.

Była to zdumiewająca rozmowa. Ale czekało mnie jeszcze większe zdziwienie. McNab wyjął z kieszeni kopertę i rzucił ją na biurko.

– Tu jest czterysta funtów, Lennox. Prawie tyle, ile posterunkowy w Glasgow zarabia przez rok.

Wziąłem kopertę, głównie po to, by się upewnić, że nie mam halucynacji.

– Chce pan mnie wynająć? Czy to z policyjnego funduszu dla kapusiów? – spytałem z niedowierzaniem. Skąd nagle wszystkim wzięła się taka ochota do obsypywania mnie forszą?

– To nie pieniądze dla informatorów. Moje prywatne, nie policyjne. Tak. Chcę cię wynająć. Od prawie dwudziestu lat próbuję postawić Strachana przed obliczem sprawiedliwości. Z niechęcią przyznaję, że potrzebny mi jest ktoś taki jak ty, ktoś, kto nie jest policjantem i może dotrzeć do informacji, do których mnie się nie uda.

Rzuciłem kopertę na blat przed nim.

– Nie mogę.

– Znaczy się, nie chcesz? Posłuchaj, Lennox, pomóż mi w tej sprawie, a już moja w tym głowa, żeby drzwi policji miejskiej Glasgow były dla ciebie otwarte jeszcze długo po tym, jak przejdę na emeryturę.

– Dobra, to teraz ty posłuchaj. Chętnie bym ci pomógł, gdyby nie konflikt interesów.

– Znaczy się z tym, kto już cię wynajął?

– Coś w tym guście. – Westchnąłem. Rzecz była skomplikowana, zagmatwana. Prowadziłem z McNabem rozmowę, o jakiej w życiu by mi się nie śniło. – No dobra, jest tak: wynajął mnie córki Strachana, żebym potwierdził, czy wyłowiono Dzentelmena Joego, czy nie.

– Nie widzę tu konfliktu interesów – odparł McNab. – Powiesz im, jak się sprawy mają, a mnie wskażesz właściwy kierunek. Wiem, że wloką się za tobą brudy z przeszłości, ale wiem też, że nie należysz do tych, którzy siedzą bezczynnie i pozwalają, żeby morderstwo uszło komuś na sucho, bez względu na to, czy chodzi o zabójstwo policjanta, czy nie.

– Nie popełniaj błędu, McNab, i nie przeceniaj mojej szlachetności. Z tego, co słyszałem o Strachanie, nie zmartwiłbym się, gdybyście go złapali. Ale przyświecają nam różne cele, nadinspektorze.

– Daj mi jakiś trop, Lennox.

Znów się zawahałem, rozważając za i przeciw.

– W porządku. Jak mówiłem, badam sprawę zaginięcia Strachana na zlecenie jego córek. Ledwo zacząłem się rozpytywać, ledwo wychyliłem głowę, jakiś facet napadł mnie we mgle w zaułku i kazał mi się od tego odczepić. Ten gość wiedział, co robi, naprawdę znał się na rzeczy. Nie był ulicznym zabijaką, raczej komandosem. Więc tak się zastanawiam. Jeżeli Strachan naprawdę nie żyje, to dlaczego taki profesjonalista radzi mi, żebym się odwalił?

Szeroka twarz McNaba się rozpromieniła. Nareszcie powiedziałem mu to, co chciał usłyszeć. Postanowiłem jednak nie wspominać o tym, że mój partner do tańca przystawił mi do pleców lufę pistoletu.

– A potem... ale nie pytaj, jak na to wpadłem, bo i tak ci nie

powiem... potem zdobyłem zeznanie naocznego świadka, który przysięga, że widział Strachana podczas wojny. Konkretnie latem tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego.

McNab wyglądał jak porażony prądem.

– Wiedziałem! Normalnie, kurde, wiedziałem! Gdzie?

– Nie gorączkuj się tak. – Próbowałem narzucić rozważny ton. – Reszta na pozór nie ma większego sensu, więc mnie wysłuchaj do końca. Ten naoczny świadek, któremu jestem skłonny wierzyć, powiedział, że widział Strachana w mundurze majora w Lochailort. Jego zdaniem Strachan brał udział w szkoleniu oddziałów pomocniczych.

Zobaczyłem, jak elektryczność uchodzi z McNaba.

– To nie mógł być Strachan – oświadczył.

– Z początku też tak myślałem, ale nie skreślaj jeszcze tej możliwości. Dowiedziałem się o niezbyt chlubnej służbie Strachana podczas pierwszej wojny światowej. Na okrągło był na samowolce, nosił mundury oficerskie i tak skutecznie udawał oficera, że aż wstyd. Sam wiesz, że najprawdopodobniej wiarygodnie wcielał się w przedstawiciela klas wyższych, dzięki czemu przed każdą większą kradzieżą przeprowadzał rekonesans na miejscu. Wobec tego to, że ktoś go widział w mundurze oficera, nie jest niczym szczególnym.

– Ale mówiłeś, że był w Lochailort. Nie ma mowy, żeby ktokolwiek mógł się tam dostać na lewo, nawet Strachan. Musiałby mieć stosowne dokumenty, a wszyscy musieliby dokładnie wiedzieć, kim jest i z jakiej jednostki.

– Mnie też to zabiło klina. I dlatego możemy pohandlować. Ja nie dam rady zdobyć dostępu do takich informacji, ale ty tak.

– Bo ja wiem, Lennox? Policja Glasgow nie wydobędzie z wojska zbyt wiele. Zwłaszcza na temat takich baz jak Lochailort, która wciąż objęta jest ustawą o tajemnicy państwowej.

– Ale masz większe szanse niż ja.

– A co dostanę w zamian?

– Telefon. Jeżeli się dowiem, że Strachan żyje, i jeśli odkryję, gdzie się zadekował, wrzucę parę pensów do automatu w budce telefonicznej. Pewnie mi nie uwierzysz, ale uprzedziłem już

moje klientki, że gdyby się okazało, że ich ojciec jest cały i zdrowy, to będą musiał spełnić obywatelski obowiązek.

– Tylko dopilnuj, żeby nikt nie miał nade mną pięciu minut przewagi, Lennox. Inaczej znów przestaniemy się kumplować.

– McNab ceremonialnym gestem dwoma palcami pchnął kopertę po blacie stołu do mnie. Ja pchnąłem ją z powrotem.

– Tak jak mówiłem, McNab. Obowiązek obywatelski. Zatrzymaj te pieniądze.

Zawahał się, jakby mnie oceniał, po czym wzruszył ramionami i wstając, schował kopertę do kieszeni.

– Mogę skorzystać z twojego telefonu? – zapytał, odwracając aparat do siebie i podnosząc słuchawkę. – Nadinspektor McNab – powiedział po chwili. – Schodzę ze służby. Jest coś nowego? Bo idę do domu.

Słuchając odpowiedzi, westchnął, wyciągnął z płaszcza notes i coś sobie zapisał.

– Niegodziwcy nie zaznają spokoju – zacytowałem, kiedy się rozłączył.

– Muszę się zbierać – oświadczył. – Morderstwo. Zabito jakąś ciotkę w Govanhill.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Po wyjściu McNaba bezskutecznie usiłowałem złapać Ferguson. Sierżant dyżurny, który odebrał telefon, poinformował mnie, że Jock jest na służbie, ale wyjechał na wezwanie.

Próbowałem sobie wmawiać, że może to czysty zbieg okoliczności, ale ile ciot, jak ich określił McNab, mogło mieszkać w Govanhill? Poza tym przypadki chodzą trójkami, tak jak jeżdżą autobusy Glasgow Corporation. Może Jocka Ferguson wezwano do czegoś innego, ale nie mogłem zatrzymać filmu, który wciąż przewijał mi się w głowie. Jock Ferguson stoi nad ciałem i nagle, prawdopodobnie w chwili przybycia McNaba, uświadamia sobie, że ofiara przypadkiem nosi jedno z nazwisk, o których sprawdzenie go prosiłem.

Postanowiłem chwycić byka za rogi i pojechać do czynszówki. Po drodze czekało mnie solidne główkowanie, jak wyjaśnić swoje zainteresowanie tym człowiekiem, nie mieszając do tego gwiazd Hollywood ani dalszych członków rodziny królewskiej. Oczywiście mieszkanie nie należało do Paula Downeya, tylko do Franka – nabitego mięśniami ratownika, którego nazwisko widniało na książeczce opłat czynszu. Może to jego zamordowano, co dałoby mi trochę czasu, zanim platfusy wydepczą ścieżkę prowadzącą do Downeya. Ale nawet na piechotę kryminalni w końcu powiążą jednego z drugim, a Jock Ferguson ich obu skojarzy z trzecim.

Choć raz byłem wdzięczny za smog. Zasnął miasto na amen, wobec tego postanowiłem pojechać metrem do parku Kinning, a stamtąd drałować pieszko. Miąłem wylot ulicy, lecz gęsta mgła nie pozwalała mi dojrzeć drugiego końca i sprawdzić, czy przed domem stoją wozy policyjne. Poszedłem dalej, skręciłem w najbliższą przecznicę biegnącą równolegle do ulicy Franka i pokonałem ją niemal całą, zanim skręciłem w przejście między domami, prowadzące na wspólny dziedziniec.

Był to rozległy prostokątny teren, ze wszystkich stron otoczony przez czynszówki i naszpikowany małymi, przysadzistymi pralniami, pojemnikami na odpadki oraz stertami śmieci. Przypadające na każdy dom części placu były oddzielone niskimi płotkami, w większości połamanymi.

W takim miejscu jak to dżuma czułaby się jak u siebie w domu.

Na dziedziniec z dwóch stron wychodziły tyły czynszówek stojących na równoległych ulicach, połączone na obu końcach blokami mieszkalnymi, co w efekcie dawało wydłużony prostokąt. Marny widok, ale też nikt go nie podziwiał, bo i po co – we mgle światła z okien rzucały ledwie nikły blask, skraj placu ginał w kompletnych ciemnościach. Przypuszczałem, że idąc przez dziedziniec i omijając bądź przekraczając kolejne barierki, byłem w zasadzie niewidoczny. Mgliste powietrze niesło obrzydliwy zapach, skupiałem się na tym, by się nie przewrócić na śliskich kocich łbach. Nagle w pół drogi zatrzymał mnie jakiś hałas; na chwilę zamarłem, po czym uświadomiłem sobie, że to tylko kot grasuje w śmietnikach. Ruszyłem dalej. Jeśli się nie kropnąłem w obliczeniach, powinienem wyjść prosto na kamienicę, w której kiedyś wysledziłem Franka. Przystanąłem, nasłuchując, lecz nie dobiegły mnie żadne głosy, uznałem więc, że na tyłach domu Franka nikogo nie ma; wolałem jednak nie ryzykować, że wpadnę na gliniarza, który wyszedł się odlać albo ukradkiem wymknął się na papierosa.

Zbliżając się, mógłbym przysiąc, że powietrze zgęstniało, wyraźnie czuło się swąd spalenizny.

Gdy jako tako mogłem dojrzeć budynki przed sobą, zmieniłem nieco kurs, kierując się na czynszówkę sąsiadującą z domem Franka. Gryzący swąd wzmógł się jeszcze bardziej. Nieco dalej, za kamienicą Franka, dojrzałem niewyraźne zarysy skupiska czarnych przedmiotów. I usłyszałem głosy. Wiele głosów. Podkradłem się bliżej, aż do pierwszego przedmiotu, przypalonego, osmalonego fotela; gdy go dotknąłem, wciąż był gorący, mimo że ugaszono go wodą.

Znalazłem najbliższy, wyłożony porcelanowymi płytkami prześwit między kamienicami i wszedłem w niego ostrożnie.

Przyciskając plecy do kafelków, dotarłem do wylotu i rozejrzałem się, sprawdzając ulicę. Cofnąłem się czym prędzej. Dziesięć stóp ode mnie stał gliniarz pilnujący sąsiedniego prześwitu prowadzącego do domu Franka. W tej jednej krótkiej chwili zauważyłem też zaparkowany od frontu wielki czerwony wóz strażacki marki Bedford; jego załoga stała obok, rozmawiając i paląc papierosy. Na końcu ulicy dostrzegłem również rząd czarnych policyjnych wólseleyów.

Więc jednak McNaba wezwano do morderstwa Franka albo Paula Downeya. Zastanawiałem się, ile czasu potrwa, zanim Jock doda dwa do dwóch. Bo potem ten z kochasiów, który przeżył, może opowiedzieć policji, że ich pobiliśmy i zagroziłem, że wrócę z kumplami na dalszy bal. A wtedy, jeżeli pobiorą ode mnie odciski palców, znajdą ich w mieszkaniu całe mnóstwo.

Zaledwie pół godziny wcześniej McNab rozmawiał ze mną w zaufaniu, co było mniej więcej tak prawdopodobne jak to, że Dwight i Nikita umówią się na męską bibkę. Teraz natomiast groziło mi, że za dzień czy dwa wpakuje mnie do pudła. Pięknie, Lennox, pięknie!

Nie bardzo wiedziałem, co sądzić o obecności straży pożarnej i wyrzuconych meblach. Z drugiej strony, jeśli w mieszkaniu wybuchł pożar, to całkiem możliwe, że nie uda im się zdjąć moich odcisków palców.

Ktoś wyszedł z innego prześwitu między kamienicami i usłyszałem głosy, w tym głos McNaba. Nadinspektor przekazywał podwładnemu różne ustalenia, ale nie zdołałem się zorientować, który z moich przyjaciół nie żyje ani w jaki sposób zginął. Postanowiłem wynieść się stamtąd, żeby nie dodawać do sprawy kolejnej poszlaki świadczącej przeciwko mnie. Szybko i ostrożnie wróciłem na dziedziniec na tyłach. Tym razem przemierzyłem go najkrótszą drogą, chcąc jak najprędzej oddalić się od miejsca zbrodni. Mgła chyba jeszcze bardziej zgęstniała, bo nagle się zgubiłem. W połowie placu nie widziałem już ścian ani jednej czynszówki, lecz szedłem dalej w przekonaniu, że podążając przed siebie, w końcu dotrę na drugą stronę.

Tymczasem wlałem wprost na śmietniki i przewróciłem jeden z nich; pokrywa zagrzechotała na kocich łbach. Brzęk odbił

się echem po dziedzińcu, lecz nie tak głośno, jak się obawiałem – wytłumiła go pierzyna smogu. Przez chwilę stałem bez ruchu. Żadnych głosów, szczekania psów czy policyjnych gwizdków. Podjąłem marsz na oślep przez mgłę i w końcu wyrzuciło mnie na brzeg z osmalonych sadzą murów kamienic po drugiej stronie. Nie dojrzałem przejścia na ulicę, wiedziałem jednak, że idąc wzdłuż budynku w dowolną stronę, wkrótce na jakies trafię. Sęk w tym, że po drodze musiałem minąć okna mieszkań na parterze. Znów ruszyłem jak najszybciej, kucając pod parapetami oświetlonych okien.

Zgubiło mnie okno ciemnego pokoju.

Usłyszałem odgłosy szamotaniny. Ktoś dyszał, z trudem łapiąc powietrze. Przez chwilę nie potrafiłem zlokalizować źródła tego dźwięku, aż w końcu zorientowałem się, że dobiega z dziury w rozbitym oknie. Wstałem i przez brudną szybę zajrzałem w mrok. Był to typowy dla czynszówek pokój z aneksem kuchennym; za całe oświetlenie wystarczał blask z otwartych drzwiczek pieca służącego do ogrzewania i gotowania. Dostrzegłem zarys olbrzymiej baby rozciągniętej na prymitywnym kuchennym stole; podpierała się łokciami. Była stanowczo za gruba i naga do pasa; kolosalne blade kule jej piersi kołysały się, a tłuszcz na ramionach trząsał się po każdym pchnięciu niskiego chudzielca za jej plecami. Facet łyślał, kilka kosmyków czarnych włosów kleiło mu się do bladej czaszki, natomiast pod wąskim nosem przy każdym namiętnym sztychu drgał prostokątny wąs *à la* Groucho Marx.

To tak jakby niechący zobaczyć kogoś, kto pochorował się w miejscu publicznym i wymiotuje na ulicy. Nie chcemy tego oglądać, ale choćby nie wiadomo jak nas odpychało, jeśli już spojrzymy, nie możemy oderwać wzroku. Zamarłem w bezruchu.

Jack Spratt⁶ i jego żona najwyraźniej starali się zachowywać jak najciszej ze względu na dzieci, zapewne śpiące w drugim pokoju. Mimo to grubaska wyjęczała:

– Kochasiu... Och, ty mój kochasiu...

⁶ Jack Spratt – bohater dziecięcej rymowanki i książek fantastycznych Jaspera Fforde'a.

Wsadziłem pięść do ust i ją przygryzłem, ale i tak ramiona podrygiwały mi spazmatycznie.

– Rab, och... Jesteś moim kochasiem...

Rusz się, Lennox, powtarzałem sobie. Na miłość boską, spadaj stąd.

I nagle, w chwili uniesienia, chudzielec jak nie ryknął:

– Senga! Och... Senga!

Pomimo grożącego mi niebezpieczeństwa coś pokonało mój instynkt samozachowawczy oraz wetkniętą do ust pięść i byłem na skraju wybuchu śmiechu, który tak bardzo starałem się zdławić. Z gardła wyrwał mi się piskliwy, zduszony dźwięk.

Na tyle głośny, że gruba baba mnie usłyszała. Zadarła głowę, zobaczyła mnie w oknie, wrzasnęła przeraźliwie i zaplotła ręce na wydatnych piersiach w groteskowej i bezskutecznej próbie zakrycia swojej nagości. Niski facet też mnie zauważył i wysunąwszy się z kobiety, rzucił się do okna, na szczęście naciągając po drodze szelki na ramiona.

– Zboczeniec! – krzyknął wysokim, piskliwym głosem. – Ty zboku jebany! Podglądacz! Podglądacz!

Dałem w długą wzdłuż muru, licząc na to, że znajdę przesmyk na ulicę. Tymczasem kochaś otworzył okno na oścież i darł się na całe gardło, wzywając policję.

Dobra robota, Lennox!

Usłyszałem krzyki i gwizdek, potem odgłos przewracanych śmietników i zobaczyłem, że po drugiej stronie dziedzińca promienie latarek bezskutecznie próbują przebić mgłę. Biegłem dalej z nadzieją, że na nic więcej już się nie napatoczę. Nie przejmowałem się gliniarzami padającymi za mną na ziemię, ale wiedziałem, że jeśli ktoś ma dość rozumu, żeby się zastanowić nad sytuacją, to wyśle samochód na drugą stronę, a wtedy, choćby nawet w tym smogu poruszał się w ślimaczym tempie, i tak mnie dopadnie, kiedy wyjdę z prześwitu na ulicę.

Znalazłem przejście i popędziłem nim na drugą stronę. Uznałem, że o tak późnej porze i w takiej mgłę ruch będzie niewielki, więc wypadłem prosto na jezdnię. Znalazłem tory tramwajowe i próbując przebijać wzrokiem gęste mleko, starałem się trzymać między szynami. Dotarłszy do zakrętu, kątem oka dostrze-

głem ledwo widoczny znak ostrzegawczy informujący o zwężeniu drogi z powodu skręcających w kierunku chodnika torów. Zorientowałem się, że wydostałem się z bocznej uliczki na główną arterię. Nie słyszałem gwizdków ani policyjnych wolsleyów – pościg w takiej mgle był bezcelowy.

Przebiegłem jeszcze sto jardów, po czym zwolniłem do truchtu, potem do tempa spacerowego, aż w końcu się zatrzymałem i zgięty wpół, opierając łokcie na kolanach, próbowałem złapać oddech. Gdy jako tako doszedłem do siebie, wyprostowałem się i stojąc cicho, wytrzymałem słuch. Nic.

Teraz mój jedyny problem polegał na tym, że nie miałem pojęcia, gdzie jestem. Nagle z mgły wychynął kolosalny kształt: potwór z dwoma płonącymi węgielkami zamiast oczu, pędzący na mnie z hurgotem. Uskoczyłem w bok, potknąłem się, przewróciłem i przeturlałem, usuwając się z drogi tramwaju, który minął mnie o włos. Motorniczy obrzucił mnie przez okno stkiem przekleństw, ale nie uruchomił hamulca, by sprawdzić, czy nic mi się nie stało.

Gdy smog znów wchłonął tramwaj, wstałem, otrzepałem ubranie i podniosłem wgnieciony kapelusz.

– Kurwa mać! – mruknąłem. A potem kiedy udało mi się wrócić na chodnik, nagle przypomniałem sobie Sengę oraz jej kochasia i gruchnąłem śmiechem.

Tym razem smog zalegał uparcie. Wisiał przez całą noc, a kiedy się obudziłem następnego dnia rano, napierał na okna mojego pokoju w pensjonacie. Rezultaty przewracania się na ulicy dziarsko akompaniowały ustępującym skutkom siniaków, których nabawiłem się w zaułku. Wcześniej wyruszyłem do biura, znów korzystając z tramwaju, żeby nie ryzykować jazdy samochodem w nieprzeniknionej mgle.

Z biura próbowałem się dodzwonić do Leonory Bryson w hotelu Centralnym, lecz poinformowano mnie, że wraz z panem Macreadym udali się do Edynburga na wywiady dla prasy. Po szczęściu mi się za to z Fraserem, adwokatem. Powiedziałem mu, że musimy się pilnie spotkać. Z jakiegoś powodu wołał nie

umawiać się w swojej kancelarii, więc zaproponowałem Dworzec Centralny za pół godziny.

Mimo że dworzec miałem po drugiej stronie ulicy, Fraserowi udało się dotrzeć tam przede mną. W kafejkach dworcowych obowiązuje pewna etykieta: jeśli ktoś wpada na kawę, bezwzględnie powinien palić papierosa, zgarbiony nad filiżanką i z miną tak markotną, jakby pociąg, na który czeka, miał go zawieźć gdzieś, gdzie jego los zostanie ostatecznie przypieczętowany. Fraser złamał tę etykietę przygnębienia. Siedział wyprostowany, tyłem do kontuaru, wyglądając na perony swoim czujnym, świdrującym wzrokiem. Zauważył, że wchodzę, i zdjął teczkę z sąsiedniego stołka. Zamówiłem kawę u najbardziej ponurego człowieka pod słońcem, wziąłem kubek ze sobą i usiadłem obok Frasera.

– Nie jest to wymarzone miejsce na rozmowę o tym, co mam do powiedzenia – zauważyłem, zerkając na innych ludzi obsługujących bar, którzy mogli nas podsłuchać.

– Sądziłem, panie Lennox, że zakończyliśmy nasze interesy związane z tymi zdjęciami – odparł.

– Ja również. Niedawno złożył mi wizytę policjant. Współpracujemy przy innej sprawie. Przy okazji wymknęło mu się, że prowadzi śledztwo w związku morderstwem w Govanhill.

– Wyobrażam sobie, że nie jest to szczególnie rzadki ani interesujący przypadek... – Fraser zmarszczył czoło.

– Możliwe, tyle że do tego morderstwa doszło w lokalu, w którym odzyskałem zdjęcia.

Adwokat przez chwilę wyglądał na wstrząśniętego, po czym nachylił się i zniżając głos tak, jak ja to zrobiłem, zapytał:

– Paul Downey?

– Tego nie wiem. Mieszkanie wynajmował jego przyjaciel Frank. Być może jeszcze dziś się dowiem, który z nich zginął.

– Mój Boże... – zafrasował się Fraser. Zastanawiał się przez chwilę, po czym spytał konspiracyjnym szeptem: – Czy cokolwiek, choćby najmniejszy drobiazg, może powiązać nas i sprawę Macready’ego z tym adresem?

– Liczę na poznanie tożsamości zabitego jeszcze dzisiaj, między innymi dlatego że spodziewam się wizyty policji. Pytałem

mojego informatora, czy wie coś na temat Paula Downeya. Jeżeli to on został zamordowany, będą chcieli wiedzieć, dlaczego się o niego dopytywałem.

– Ale nie wolno panu tego zdradzić, panie Lennox! – Fraser rozejrzał się po kafejce i zniżył głos. – Wie pan, jak szalenie delikatna jest ta sprawa. Muszę powiedzieć, że pytając o Downeya na policji, postąpił pan wielce nierozważnie.

– To było wykalkulowane ryzyko, mecenasie. Tyle że moje kalkulacje nie przewidywały zabójstwa Downeya albo jego przyjaciela. Gdybym musiał nakreślić policji tło całej tej historii, postaram się nie mieszać w to Macready’ego. Ale policja patrzy na morderstwa krzywym okiem, a moja szyja ma alergię na konopny sznur, więc jeśli mnie przycisną, będziemy musieli im wyjawić co i jak.

– Po tym, co przeszliśmy, panie Lennox, byłoby to wysoce niefortunne. Obawiam się, że musielibyśmy się wyprzeć wszelkiej współpracy z panem. W końcu zapłaciliśmy panu w gotówce. – Świdrujące oczka adwokata za szklami okularów zlodowaciały. – I zapewniam pana, że wszystkie odbitki i negatywy zostały zniszczone. Nie istnieją więc dowody na poparcie twierdzenia, że pan dla nas pracował.

Uśmiechnąłem się.

– Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie, bo wtedy musiałbym wywalić kawę na ławę, w tym także to, że po namierzeniu Paula Downeya dałem jego adres tylko dwóm osobom... panu i Leonorze Bryson. W takim wypadku rzecz sprowadziłaby się do tego, komu policja będzie skłonna uwierzyć. A oni znają moje dokonania. – Nie dodałem, że akurat ta ich wiedza mogłaby świadczyć przeciwko mnie. – No i oczywiście musielibyście zaryzykować i przyjąć, że nie zatrzymałem sobie kilku negatywów jako ubezpieczenia, w razie gdyby doszło do tak niezręcznej sytuacji jak obecna. Do tego nie zapominajmy, że okłamanie policji w sprawie dotyczącej morderstwa wymaga jaj. A bez obrazy, moim zdaniem pan ich nie ma.

– No cóż, jak pan powiedział, miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. – Jeśli zbiłem go z tropu, to wyjątkowo dobrze to ukrywał. – Zresztą nie widzę po temu powodu. Chcę powiedzieć, że

to czysty zbieg okoliczności. Wysoce niefortunny, przyznaję, niemniej zbieg okoliczności. Bądźmy szczerzy, tacy ludzie poruszają się w bardzo mrocznym i niebezpiecznym świecie. Wca-
le bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że jeden z nich zabił drugiego w następstwie kłótni kochanków.

– Niewykluczone. Jednak jeśli chodzi o zbiegi okoliczności, nauczyłem się jednego: mają paskudny zwyczaj wracać i szczy-
pać nas w dupę.

– Cóż więc pan proponuje?

– Chwilowo lepiej się nie wychylać. Jak mówiłem, jeszcze dziś pewnie będę wiedział więcej. A tymczasem zamiast grozić sobie nawzajem, że rzucimy drugiego na pożarcie wilkom, proponuję, żebyśmy wspólnie wymyślili jakiś sposób ograniczenia strat, gdyby policja zaczęła jednak zadawać pytania.

– Jakież pomysły, panie Lennox?

Zrobiłem przerwę, by pociągnąć łyk kawy z kubka, który ob-
racałem w dłoniach, i natychmiast tego pożałowałem. Przyszło mi bowiem do głowy, że zawartość naczynia pochodziła zapewne z tego samego czerpaka pogłębiarki co szkielec.

– Jak panu wiadomo, policjanci to nie geniusze, ale mają tak bogate doświadczenie z łgarzami, że wyczuwają kłamstwo na milę – odezwałem się w końcu. – Nasza najlepsza strategia to wyjawić im prawdę. Tyle że nie całą. Wytwórni zależy na ochronie reputacji pana Macready’ego. Proponuję więc opowiedzieć policji absolutnie o wszystkim, co się wydarzyło, w tym także o zdjęciach, tyle że będziemy się upierać, że przyłapano go *in flagranti* z kobietą. Ewentualny przeciek tylko by umocnił jego reputację kobieciarza.

– A jeśli pytają, kim jest ta kobieta?

– Wtedy powiemy, że wie o tym tylko Macready. Nawet nam nie chciał zdradzić jej tożsamości. W razie gdyby pana naciskali, powie pan, że podobno to żona kogoś bardzo ważnego. Wy, Brytyjczycy, żywicie taki szacunek dla wyższych sfer, że dzięki temu policja może przestanie w to wnikać. Tymczasem Macready w poniedziałek znajdzie się na pokładzie samolotu lecącego do Stanów Zjednoczonych. Policja Glasgow nie wystąpi o ekstradycję tylko po to, żeby podał jej nazwisko. Tak czy siak, poli-

cja świetnie stosuje do wszystkiego zasadę brzytwy Ockhama... zawsze szukają najprostszego wyjaśnienia, głównie dlatego że przeważnie tak jest najłatwiej. Mam nadzieję, że nie będą za bardzo dociekać, jaki miałem w tym udział.

Fraser przemyślał sobie moje słowa, powoli kiwając głową.

– Tak... Tak, to ma sens. Zgadzam się. Muszę pana jednak o coś zapytać, panie Lennox. Mam nadzieję, że rozumie pan, dlaczego to robię...

Proroczo uprzedziłem jego pytanie.

– Odpowiedź brzmi: nie. Zrobiłem to, o co mnie pan prosił na swój pokrętny sposób, i nastraszyłem Downeya. Przyznaję też, że nabiłem jego kochasiowi parę guzów, ale tylko do tego stopnia tak twórczo rozwinąłem pańskie instrukcje. Kiedy od nich wychodziłem, Frank i Downey byli cali i zdrowi.

Zanim opuściłem dworzec, mgła się przerzedziła, została z niej ledwie ziarnista mgielka, która nie przesłaniała miasta, tylko pozbawiała go kolorów, co w przypadku Glasgow nie wymaga wiele zachodu. Przeszedłem na drugą stronę Gordon i ruszyłem po schodach na górę. Zamykając drzwi od ulicy, niemal się spodziewałem, że u stóp schodów zastanę czekającego na mnie Jocka Fergusona, a może nawet McNaba, ale skoro ich nie było, otworzyłem biuro i wszedłem do środka.

I znów wróciłem na wojnę.

Moim zdaniem szybkość myślenia jest absolutnie niewymierna. Większa niż prędkość dźwięku, a nawet niż prędkość światła, choćby nawet Albert twierdził, że to niemożliwe. To, co mi się przydarzyło po wejściu do mojego biura, w mgnieniu oka przeniosło mnie tam, gdzie albo zabija się bez namysłu, albo samemu traci się życie.

Czekał za drzwiami. Gdy przekroczyłem próg, zahaczył mi od tyłu ramię na szyi i wbił palce w oko i policzek, jednocześnie ciągnąc w bok i w dół. Gdybym nie nauczył się kroków tego samego tańca, byłoby już po mnie, ale nie musiałem się zastanawiać, by wiedzieć, że na moją szyję opada z boku nóż. Sparowałem cios, trafiając napastnika w przedramię kantem dłoni.

Uderzenie wystarczyło, by zatrzymać ostrze, ale nic ponad to. Usunąłem się w bok, wbrew instynktowi w kierunku noża, i uwięziłem ramię faceta między swoim barkiem a ścianą. Drugą dłonią wciąż ścisnął moją twarz, próbując kciukiem wyłupić mi oko. Uniosłem wolną rękę, w której nadal trzymałem klucze, i wyrznąłem go w krocze.

Jęknął, a uścisk na mojej twarzy zelżał. Złapałem dłoń ze sztyletem i walnąłem nią w ścianę. Odruchowo zarejestrowałem kształt ostrza: długi, smukły, śmiertcionośny, lecz piękny zarys noża szturmowego Fairbairna-Sykesa. Byłem w opałach. Poważnych opałach. Tylko jeden z nas mógł wyjść z tego żywy. Nie puszczał noża, więc przyciskając jego uzbrojoną rękę swoją lewą, prawym łokciem w ciągu paru sekund pięć czy sześć razy wyrznąłem go w twarz. Zdażyłem mu się przyjrzeć na tyle, by dojrzeć starą szpetną bliznę na czole. Był to ten sam facet, który napadł mnie w zaułku. Tyle że tym razem obyło się bez pogaduszek.

Krew ze złamanego nosa zalewała mu całą twarz, ale nie zwracał na to uwagi. Zawsze miałem trudności z wyjaśnieniem tego ludziom, którzy nie są zaprawieni w tego typu walkach: dużo potrzeba, by zadać komuś ból. Szok i litry adrenaliny blokują zmysły aż do samego końca. Dopiero potem zaczyna boleć.

Wiedziałem, że muszę odebrać mu nóż. Zadałem cios w jego nadgarstek kluczem Yale, moją jedyną bronią, ale tamten narpał kolanem na mój krzyż, odpychając mnie do przodu. Skurczybyk był silny, szkoda gadać. Puściłem jego nadgarstek i okręciłem się na pięcie twarzą do niego. Trzymał nóż w klasyczny sposób: płasko, ostrzem w górę. Zamachnął się. Znowu próbował mnie trafić tak, jak to robią uliczni zabijacy. Chciał jak najszybciej zadać śmiertelny cios: chlasnąć w poprzek uda, szyi albo przedramienia, by przeciąć tętnicę udową, szyjną bądź ramienną. Wtedy wystarczy się cofnąć na bezpieczną odległość i obserwować, jak przeciwnik w ciągu kilku sekund wykrwawia się na śmierć. Podręcznikowa robota.

Przeturlałem się po blacie biurka. Za każdym razem, gdy tamten rzucał się na mnie, uciekałem, zasłaniając się biurkiem i nie tracąc go z oczu, jakbyśmy bawili się w berka. Czując coś

mokrego na dłoni, spojrzałem w dół, na krew zabarwiająca mankiet koszuli i spływającą mi po grzbiecie dłoni. Trafił mnie, ale nie z tej strony ręki co trzeba. Przydałaby mi się jakaś broń. Okrążyłem już biurko, teraz to on znajdował się z tyłu, tam, gdzie zwykle siedziałem. Jedyłą rzeczą, której mogłem użyć, był stojak na kapelusze znajdujący się za moimi plecami. Złapałem go i zacząłem nim dźgać niczym gladiator walczący trójzębem. Facet spróbował obejść biurko, a wtedy pchnąłem podstawą stojaka w kierunku jego twarzy i poczułem wstrząs, gdy trafiłem w kość. Tamten miał jedno oko niemal zamknięte, spuchnięte po ciosie łokciem, więc zdawałem sobie sprawę, że niewiele widzi. Pchnąłem znowu, tym razem z całej siły waląc go w pierś. Mój fotel z podłokietnikami podciął mu nogi. Gość poleciał plecami na okno, tłukąc szybę. Wzmogłem nacisk, wypychając go na zewnątrz. Żeby nie wypaść, musiał się przytrzymać futryny po obu stronach, a przy okazji upuścić nóż.

Spojrzał na mnie, wzrokiem mówiącym „poddaję się”.

Mimo to wciąż napierałem na jego pierś stojakiem na kapelusze.

– No to jak? Dla kogo pracujesz? – zapytałem.

– Opuść sobie, Lennox. Wezwij policję i miejmy to z głowy.

Podobnie jak ja, dyszał ciężko i nie próbował już udawać glasgowskiej gwary. Mówił z angielskim akcentem, pięknie wymodulowanym głosem: wzorcowa wymowa brytyjska. Przyszło mi na myśl, że może BBC zatrudnia elitarną jednostkę spikerów komandosów.

– No proszę. Nazwisko, stopień służbowy i numer identyfikacyjny? – Dźgnąłem go ponownie. Zakrwawione palce jednej dłoni ześlizgnęły się z futryny okna. Rozpaczliwie usiłował odzyskać uchwyt.

– No dobra, komandosie, zapytam cię tylko raz: kto cię wysłał? Joe Strachan? Gdzie on jest?

Roześmiał się na tyle serdecznie, na ile pozwalał mu złamany nos, z którego pociekły krwawe bąbelki.

– Bo co? Zabijesz mnie z zimną krwią?

– Tak, coś w tym stylu. Więc gadaj... gdzie jest Joe Strachan?

– Naprawdę uważasz, że coś ze mnie wyciągniesz? Nic ci nie

powiem, Lennox, i nikt inny też mnie nie zmusi do sypania.

– Nie poznałeś jeszcze Pedikiurka McBride’a – odparłem. – Pracuje ze mną, a nie dorobił się tej ksywki ze względu na talent do tańca. Więc mów, zanim wezwę go tu z jego cęgami do metalu.

Na pokiereszowanej, zakrwawionej twarzy rozlał się uśmiech, który mocno mi się nie spodobał.

– Wiesz co, Lennox? Moim zdaniem nie jesteś w stanie nikogo wezwać. Nie masz ruchu. W Indiach mają takie powiedzenie, że „kto jeździ na tygrysie, nigdy nie zsiada”. Nie dosięgniesz mojego noża, nie puszczając tego stojaka. A jeśli puścisz stojak, ja pierwszy chwycę nóż. Tak czy siak, czeka nas druga runda.

– Poprzedniej nie wygrałeś – przypomniałem mu. – Mimo że twoją przewagą był element zaskoczenia.

– Za to ty krwawisz, Lennox. Da się to załatać, ale tracisz siły. Wątpię, czy zdołasz mnie tu trzymać tym czymś dużo dłużej. Możesz tylko tak stać, wołać o pomoc i liczyć na to, że ktoś cię usłyszy.

– Przyznaję, masz świętą rację. Sytuacja jest patowa, ale wiesz co? Znam rozwiązanie.

– Co ty powiesz? – Z jego twarzy nie schodził arogancki uśmieszek. – A jakie, jeśli można wiedzieć?

– Że to ty będziesz wzywał pomocy... W drodze na dół.

Pchnąłem ze wszystkich sił, jakie mi jeszcze zostały. Uśmiech zniknął, a niespuchnięte oko rozszerzyło się w krwawej miazdze, jaka została z jego twarzy, gdy usiłował się przytrzymać. Pchnąłem jeszcze raz, zakrwawione palce ześliznęły się z futryny i facet wrzeszcząc, wypadł z okna.

Usłyszałem pisk opon i krzyk kobiety. Podszedłem do okna i wyrząłem na Gordon Street, gdzie mój napastnik leżał na mocno wgniecionym dachu taksówki.

Cofając się, by zadzwonić na policję, pomyślałem, że to wcale niezły sposób na łapanie taksówki. W każdym razie skuteczniejszy niż gwizdanie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wypychanie ludzi z okna na trzecim piętrze narusza, zdaje się, jakieś wewnętrzne przepisy korporacji taksówkarskiej w Glasgow i dlatego przez dwa dni większość czasu przebywałem w towarzystwie policjantów.

Pierwszą noc spędziłem w szpitalu Western General, z siedzącym u mojego boku chłopcem w niebieskim mundurze. Jock Ferguson nieszczerze zapewnił mnie, że to w ramach ochrony.

Mimo że spokojnie mogłem chodzić, przywiązali mnie do łóżka, ale nie na oddziale, tylko w separacie. Domyślałem się, że pod naciskiem policji.

Byłem w dobrych rękach. Jeśli zamierzacie dorobić się ran ciętych albo kłutych, serdecznie radzę zorganizować to w Glasgow. Tutejsze szpitale mają niezrównane doświadczenie w szyciu ran od noża, brzytwy czy szyjki butelki. Słyszałem nawet o facecie, którego przyjęli z licznymi obrażeniami zadanymi maczetą. Nie pojmuję, po co mieszkańcowi Glasgow maczeta. Jestem absolutnie pewny, że przez lata pobytu w tym mieście nie musiałem się przedzierać przez gęstwinę dżungli ani lasów deszczowych.

Rana na moim ramieniu była głęboka. Lekarz o aparycji dwunastolatka, który czerwieniał się za każdym razem, kiedy mówiłem mu „synku”, powiedział mi, że trzeba było założyć szwy nie tylko na skórę, ale i na mięśnie. Uprzedził, że muszę się liczyć z uszkodzeniem nerwu, jakby to była moja, wynikająca z głupoty, wina.

Zostałem pouczony o przysługujących mi prawach, po czym złożyłem oficjalne zeznanie Jockowi Fergusonowi, w obecności mojej umundurowanej niańki jako świadka. Idąc za radą, której udzieliłem Fraserowi, podałem policji dokładny przebieg wypadków, opisując, jak walka na śmierć i życie zakończyła się

tym, że napastnik wypadł przez okno. Pomiąłem tylko taki drobiazg, że drań wyfrunął dopiero wtedy, gdy pchnąłem go kilka razy, a także to, że zamieniłem z nim parę słów, zanim złapał taksówkę.

Serce we mnie zamarło, gdy dołączył do nas McNab; przysunął sobie krzesło, szurając jego nogami o szpitalną podłogę. Za nim w progu stanął śledczy o profesjonalnie ponurej aparycji z teczką w ręku. Jak widać, kolejny przywilej wynikający ze stanowiska polegał na tym, że nie trzeba było taszczyć swoich maneli osobiście.

McNab przeczytał podpisane przeze mnie zeznanie, które złożyłem Fergusonowi.

– Zabawne – powiedział, zsuwając kapelusz z czoła, by nie opadał mu na oczy. – Mamy świadka, który twierdzi, że zanim ofiara wypadła z okna, na ulicę posypało się szkło... trochę wcześniej.

Ofiara. Nie podobało mi się to słowo.

– Całkiem możliwe, nadinspektorze. Rozbijaliśmy wszystko jak leci.

– A na futrynach okna zostały krwawe odciski dłoni, jak gdyby ofiara próbowała ratować się przed upadkiem.

No masz! Znów to samo słowo.

– Chwycił za nie, wypadając. Właśnie wtedy upuścił nóż. Ale miał tyle krwi na rękach, że nie zdołał się przytrzymać, no i wyleciał.

– Uhm. Rozumiem. – McNab skinął głową na śledczego za jego plecami, który podał mu białe zawiniątko. Nadinspektor rozwinął materiał, pokazując nóż z przywieszką, jaką oznacza się dowody rzeczowe. I ze śladami krwi. Mojej. Na materiale widniały czerwone plamy.

– To ten nóż?

– Ten sam.

Teraz, gdy po walce uszła ze mnie adrenalina, a wraz z nią resztki energii, na widok ostrza, które zagłębiło się w moje ciało, zrobiło mi się niedobrze.

– Taaak – mruknął McNab z namysłem. – To nóż komandowski, dobrze mówię?

– Owszem, nóż szturmowy Fairbairna-Sykesa – przyznałem.
– Typowe wyposażenie komandosa. W Kanadzie siły specjalne używają jego odmiany, sztyletu V-czterdzieści dwa. To dużo gorsza wersja tego tutaj. – Ruchem głowy wskazałem nóż, czując, że żołądek znów podchodzi mi do gardła. – Ma pan w rękę najlepszy na świecie nóż do walki wręcz. A facet, który mnie napadł, był w tym ekspertem. Swoją drogą, kto to taki?

Jock zerknął na nadinspektora, ale ten na niego nie patrzył.

– Nie wiemy – odparł. – Jeszcze.

– Niech zgadnę, żadnego dowodu tożsamości?

Jock Ferguson pokręcił głową.

– Ani dowodu tożsamości, ani prawa jazdy czy metek na ubraniach, które świadczyłyby o tym, skąd pochodził. Żadnych wizytówek, listów ani książeczki czekowej.

– Masz jakieś pomysły? – zapytał McNab.

– Nie był stąd. Na początku próbował udawać miejscowego, ale to Anglik. Typ oficera. Słuchajcie, walczyłem o życie. To był wóz albo przewóz, naprawdę. Oskarżycie mnie o jego śmierć?

– Zabiłeś człowieka, Lennox. Kiepska sprawa.

– Zabiłem wielu, nadinspektorze, tylko że wtedy nikt nie robił z tego afery.

– No cóż, musimy złożyć raport prokuraturze, będziesz podejrzany. Dowody faktycznie wskazują na działanie w obronie własnej, tak jak mówiłeś. Licz się jednak z tym, że w tej sprawie będziemy mieli na ciebie oko. Zabójstwa w ciemnych zaułkach w ramach gangsterskich porachunków to co innego niż wypychanie dobrze ubranych oficerów przez okno na tak-sówkę na środku Gordon Street. Wiesz, że prasa już się na to rzuciła?

– Wyobrażam sobie. A co mówicie w kwestii tajemniczego nieznanego?

– Nic. Twierdzimy, że zabitego jak dotąd nie zidentyfikowano. – McNab odwrócił się do śledczego w drzwiach. – Idź do stołówki na kawę, Robertson. Pięć minut.

Gdy śledczy wyszedł, zostawiając mnie tylko z McNabem i Fergusonem, podparłem się na łóżku. Kiedy taki glina jak McNab ogranicza liczbę świadków przesłuchania, natychmiast

uruchamiam drzemiące we mnie podejrzliwość i nerwowość.

– Słuchaj, Lennox – rzekł McNab. – Domyślam się, że nie przepadasz za moimi metodami, i wiesz, co sędzę o twoich kon-szachtach z tak zwanymi Trzema Królami, ale to jest najbar-dziej brutalne miasto pod słońcem, więc trzeba się uciekać do brutalnych metod, żeby zaprowadzić tu porządek. Nie mam jednak pojęcia, w coś ty się tak naprawdę wpakował. A nie po-doba mi się, że w moim mieście dzieją się rzeczy, których nie pojmuję. To zwraca uwagę niepożądanych ludzi.

– Na przykład?

– Wydziału specjalnego – odpowiedział mi Ferguson. – To, co zaszło między tobą a tajemniczym denatem, jest podręczni-kowym przykładem walki agenta sił specjalnych albo koman-dosa. Sugerowano nawet, że facet był kimś z wywiadu.

– Wywiad brytyjski przerzucił się na próby mordowania lo-jalnych poddanych Jej Królewskiej Mości? Wątpię. Gdyby tak było, zrobiliby to o wiele dyskretniej.

– Hm, gość był na tyle profesjonalny, że wygląda to na robotę specjalisty – odparł McNab. – Co oznacza, że wydział specjalny depcze mi po piętach. A ja nie lubię, jak ktoś mi skrobie mar-chewki.

– Zakładam, że wyjaśniłeś im, że wszyscy doskonale wiemy, jaki jest wspólny mianownik? Dzentelmen Joe Strachan. Tam-ten gość najpierw ostrzegwał, żebym się odwalił od sprawy Stra-chana, a potem postanowił usunąć mnie raz na zawsze. To ni-jak nie wiąże się ze skokiem na Wystawę Imperium Brytyjskie-go. Chodzi o coś, co wydarzyło się po kradzieży. Podczas wojny.

– Wciąż nie kupuję tej bajeczki, jakoby Strachan był oficerem – odparł McNab. – A Bóg mi świadkiem, chciałbym wierzyć, że to nie jego wyłowiono z dna Clyde. Tyle że to bez sensu. Był ukrywającym się przestępcą. Ściganym za zabójstwo policjanta.

– Wszystko to prawda. Ale Isa i Violet najwyraźniej są prze-konane, że ich ojciec to bohater wojenny, podczas gdy według oficjalnych danych był dezterterem, który podszywał się pod ofi-cera i zdefraudował pieniądze na wypłatę żołdu. Krążą jednak plotki, że przehandlował miejsce przed plutonem egzekucyj-nym w zamian za niebezpieczne wypadki w zwiadzie. Zdaje się,

że regularnie kontaktował się też z Henrym Williamsonem, który raczej nie ma związku z jakąkolwiek działalnością przestępczą w Glasgow.

– Do czego zmierzasz? – spytał McNab.

– Sam nie wiem. Ale coś w tej sprawie nie daje mi spokoju. Bądźmy szczerzy, od czasu wojny nagłówki gazet wielokrotnie podawały, że kradzieży dokonano z wojskową precyzją. Obowiązkowa służba wojskowa przyniosła tylko jeden skutek: taki, że przeciętni hochsztaplerzy nauczyli się dyscypliny i zdobyli umiejętności, dzięki którym dużo sprawniej dokonywali napa-
dów.

– Poczekaj chwilkę... – Ferguson parsknął śmiechem. – W zeszłym tygodniu mieliśmy napad na handlarza diamentów w Argyle Arcades... facet z atrapą pistoletu. Złapali go, bo sądził, że jubiler uruchomił jakąś automatyczną blokadę drzwi. Tak naprawdę to ciągnął za nie, zamiast je popchnąć. Mimo że wisiała na nich wielka tabliczka z wygrawerowanym słowem PCHAĆ. My tu jeszcze nie dorobiliśmy się zatrzęsienia geniuszy zbrodni ani komandosów, Lennox.

– Niech ci będzie – odparłem. – Ale wiecie, o czym mówię. Chodzi mi o to, że skoro Strachan był o niebo lepszy od innych... niewykluczone, że to właśnie pierwsza wojna światowa wyposażyła go w umiejętności, a może też kontakty, dzięki którym dużo lepiej i skuteczniej planował kradzieże i inne zbrodnie.

– Aż do hat-tricka, którego ukoronowaniem było obrobienie Wystawy Imperium Brytyjskiego? – spytał McNab.

– I to jest kolejne pytanie. A jeśli skok na Wystawę Imperium nie był końcem serii, tylko środkiem wiodącym do celu?

– Nie nadążam.

– Jeżeli Strachan miał w planach coś większego i lepiej obmyślanego? Słuchajcie, zawsze patrzyliśmy na to w ten sposób: Strachan dokonuje trzech wielkich kradzieży, chcąc zostać jedynym Królem Glasgow, ale przy okazji ginie gliniarz, więc grunt zaczyna mu się palić pod nogami. Wobec tego bierze kasę, daje w długą i na dobre znika z widoku, tak? Ale odkąd z dna Clyde wyłowili kupę kości w jego ubraniu i z papierośnicą

z jego monogramem, rzecz wygląda całkiem inaczej. Teraz sobie wykombinowaliście, że złodzieje się poprzytkali i któryś ze współników Strachana, albo i wszyscy, zorientował się, że do-tychczas genialny szef założył im stryczek na szyję. Więc ten ktoś, albo i wszyscy, zabija Strachana, zgarnia swoją działkę i wrzuca go do rzeki.

– To ma sens – powiedział McNab obronnym tonem. Dla policjantów myślenie to ciężka harówka, której nienawidzą zwłaszcza wtedy, gdy ktoś niszczy ich wysiłki.

– Jasne, że to ma sens – przytaknąłem. – I wciąż mogłoby mieć, gdyby nie ten świadek, który przysięga, że w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim widział Strachana w Lochailort, w mundurze majora armii.

– Bzdura – rzucił Jock Ferguson. – Nadal uważam, że to bzdety.

– Załóżmy jednak na chwilę, że to prawda. Powiedzmy, że to rzeczywiście był Strachan, całkiem oficjalnie jako major wojska. Jak mogło do tego dojść?

– Nie mogło – odparł McNab.

– Niech pan nie psuje zabawy, nadinspektorze. Przyjmijmy obecność Strachana za niezbity fakt. Jak mógł sobie załatwić coś takiego?

– Hmm – mruknął Ferguson przeciągle, z namysłem. – Wiemy, że miał doświadczenie w udawaniu oficera. I robił to z wielką wprawą.

– Czyli można sobie wyobrazić, że widziano go w przebraniu majora...

– Ale Lochailort była jedną z najlepiej strzeżonych baz wojskowych w całym kraju. Żeby się tam dostać, nie wystarczył sam mundur, kluski w gębie i władczy styl bycia.

– Otóż to.

– I dlatego to wszystko nie trzyma się kupy – orzekł Ferguson.

– Wróćmy do hat-tricku, tych trzech największych kradzieży. A jeśli były tylko środkiem do celu? Z tego, co odkryłem, po każdej z nich Strachan zniknął na kilka miesięcy. Rozpływał się w powietrzu. A jeśli poświęcał te miesiące czy wręcz lata na wy-

robiecie sobie nowej tożsamości gdzieś indziej? Może nawet kilku? Jeżeli jego plan zakładał, że zużyje łupy z hat-tricku na zorganizowanie sobie czegoś innego?

– Na przykład? – zapytał McNab.

– Na przykład nowego życia daleko stąd. Tak wystawnego, na jakie w swoim mniemaniu zasługiwał. Może zainwestował te wpływy w inną robotę, w coś jeszcze większego niż skok na Wystawę Imperium... W pociąg pocztowy z transportem złota albo nawet w cholerne klejnoty koronne. Nie wiem. Nagle jednak wydarzają się dwie rzeczy. Po pierwsze, skok na Wystawę Imperium wymknął się spod kontroli, zginął gliniarz, więc jeśli plan Strachana zakładał użycie tych środków na objęcie tronu w Glasgow, to wszystko wzięło w łeb. Po drugie, Hitler najechał na Polskę i świat stanął na głowie. Cały kraj jest w stanie wojny, więc każdy większy skok staje się dziesięć razy trudniejszy niż zwykle. Podejrzewam jednak, że wydarzyło się coś jeszcze. Nie jestem pewien co, ale przypuszczam, że Strachan odgrywał oficera w ramach tej swojej nowej tożsamości, z czasem fantazja złała się z rzeczywistością i koniec końców faktycznie wylądował w prawdziwej jednostce.

– Wiesz, kto to Frankie Bajarz Wilson? – zapytał McNab ze smutkiem. Pokręciłem głową. – Inspektor Ferguson kiedyś chyba się z nim zetknął, co, Jock? To kawał kompulsywnego drania. Notoryczny złodziej i łgarz. Nazywamy go Frankie Bajarz Wilson, bo stale musi kręcić. Jeśli próbuje się z czegoś wyłgać, potyka się o własne kłamstwa, więc wymyśla kolejne, coraz bardziej absurdalne, żeby ukryć poprzednie. I ani się obejrzysz, jak z kłamliwej odpowiedzi na pytanie, po co mu był łom, robi się epopeja z tak liczną obsadą, że MGM by zbankrutowała. A jednocześnie nie sposób przestać go słuchać, bo jest tak cholernie zabawny. Ale powiem ci, Lennox, że nawet Frankie Bajarz nie wymyśliłby tak niedorzecznej bajeczki jak to, co sugerujesz.

– Może i ma pan rację. – Wzruszyłem ramionami. – Jednak w tej sprawie nie mamy do czynienia z przeciętnym przestępcą z Glasgow. I nie zaprzeczy pan, że facet, który mnie napadł w biurze, nie był pierwszym lepszym zbirem. – Z irytacją po-

kręciłem głową, gdy kolejne rzeczy przychodziły mi na myśl. – Dlaczego nigdzie nie ma choćby jednej fotografii Strachana? Mówię wam, on planował swoje zniknięcie od bardzo, bardzo dawna. To nie bajka, nadinspektorze. To całkiem inna para kaloszy.

Po wyjściu McNaba wypaliłem z Jockiem Fergusonem kilka fajek, do znudzenia wałkując sprawę. Przerwał nam doktor „synek”, który pozwolił mi się wypisać. Na parterze czekał już Archie. Kiedy zeszliliśmy, uścisnął rękę mnie i Jockowi Fergusonowi.

– Pilnuj go. – Ferguson rzucił to niczym rozkaz.

– Nie dopuszczę go w pobliże okna – obiecał smętnie Archie.

Kiedy żegnaliśmy się z Fergusonem, siłąc się na obojętność, nawiązałem do czegoś, co ku mojej nieopisanej uldze nie wyszło jeszcze na jaw.

– A tak przy okazji, Jock, co to było za morderstwo wczoraj wieczorem? McNab chyba mówił, że w Govanhill.

Zadałem pytanie swobodnym tonem, ale i tak wypadło niezręcznie.

– Co ci do tego? – odparł nie bardziej podejrzliwie niż zwykle.

– Nic, po prostu jestem ciekawy.

– Uważamy, że do zabójstwa doszło na tle sprzeczki między ciotami. Ratownik z basenu, niejaki Frank Gibson, najwyraźniej szeroko znany w tych kręgach.

– Jak zginął?

Jock Ferguson przyjrzał mi się podejrzliwie.

– Już mówiłem, po prostu jestem ciekawy – wyjaśniłem.

– Makabryczna ta twoja ciekawość. Poderżnięto mu gardło. Od tyłu. Ten, kto to zrobił, podpalił potem mieszkanie. O mały nie sfajczyła się cała kamienica, ze wszystkimi w środku. Po jaką cholerę podpalał dom, skoro już zabił Gibsona?

Wzruszyłem ramionami na znak, że zaspokoił już moją ciekawość, ale myślałem o spalonych meblach wyrzuconych na dziedziniec. Czuję, że to jest jasne jak słońce: ogień niszczy dowo-

dy. Myślałem również o wszystkich tych innych kopertach z negatywami. Może Downey i Gibson próbowali wywinąć ten sam numer Bóg wie ilu innym ludziom. A poza tym gdzie teraz podziewa się Downey?

W moim fachu niezbędna jest dyskrecja. Nie należy się wychylać. Wypchnięcie mojego gościa z okna zapewniło mi miejsce na pierwszych stronach „Bulletin”, „Daily Herald”, „Daily Record” oraz „Evening Citizen”. „Glasgow Herald” spuścił mnie na czwartą kolumnę. „Bulletin” zamieścił zdjęcie domu, w którym wynajmowałem biuro, z zabitymi deskami oknem oraz strzałką wskazującą trasę, jaką mój gość przebył w drodze na ulicę. To na wypadek, gdyby czytelnicy gazety nie znali prawa grawitacji.

Kiedy Archie po mnie przyjechał, miał w samochodzie całą prasę. Jego wóz był dokładnie taki, jak można się było po nim spodziewać: czarny morris ósemka z czterdziestego siódmego, w którym musiał się składać jak scyzoryk. W drodze przez miasto i dalej, do Gallowgate, prawie nie rozmawialiśmy. Nagle uświadomiłem sobie w pełni, że zabiłem człowieka; że moje działania nie po raz pierwszy zakończyły czyjś żywot. Wmawiałem sobie, że gość nie zostawił mi wielkiego wyboru. Prawda jednak była taka, że miałem kilka wyjść.

Archie widocznie wyczuł, że nie jestem w nastroju do pogaduszek, bo w milczeniu zawiózł mnie do mojego tymczasowego lokum. Zanim zdążyliśmy zapukać, drzwi otworzyły się i powitał nas ponury pan Simpson. Podejrzliwość mojego gospodarza przeszła w jawną wrogość.

– Szytałem w gazetach o tej hisztorii. O wyrzucaniu ludzi przez okno. My tu mamy okna. Pan jeszcze ten Lennoksz, co nie?

– To ja – przyznałem. Zauważyłem moje walizki, spakowane, stojące za nim w korytarzu. – Ale nie popełniłem żadnego przestępstwa. Byłem ofiarą napadu, a nie napastnikiem. Pańskie okna są bezpieczne.

– Nie chcę tu kłopotów. Szadnych kłopotów. Pan się wynosi.

– Czy to coś zmieni, jeśli panu powiem, że facet gadał z irlandzkim akcentem? – walnąłem prosto z mostu. Nie odpowiedział, więc schyliłem się i wziąłem walizki. Wzdrygnął się, gdy się o niego otarłem. Puściłem do niego oko. – Siemanko, chłopie! – rzuciłem jak rodowity Irlandczyk.

– Dokąd teraz, szefie? – spytał Archie, kiedy wróciliśmy do samochodu. Mówił monotonnym tonem, ale w jego wielkich oczach winowajcy błyskały wesołe iskierki.

– Na Great Western Road – powiedziałem. – Ale po drodze zatrzymaj się przy budce telefonicznej, żebym uprzedził moją gospodynię.

Odkąd ostatnio spędziłem noc w swoim mieszkaniu, ziemia obróciła się kilka razy wokół własnej osi, spodziewałem się jednak, że wrócę do tego, co było, a konkretnie do przerwanej rozmowy z Fioną White w herbaciarni. Ale pod moją nieobecność świat poszedł do przodu.

Numer był zajęty, więc nie udało mi się uprzedzić Fiony White, że wracam. Kiedy podjechaliśmy na miejsce, zauważyłem zaparkowane przed domem dwa samochody, których nie rozpoznałem. Pierwszy, ciemnoszary humber, mimo że bez oznakowań policyjnych i z dwoma facetami po cywilnemu w środku, już z daleka wyglądał na należący do glin, jak gdyby miał płatusa. Radość na widok radiowozu przed moim domem była dla mnie zgoła nowym uczuciem – widocznie Ferguson, a może nawet McNab we własnej osobie, załatwił ochronę. Drugim samochodem był czarny trzy- lub czteroletni jovett javelin PE. Zbyt krzykliwy jak na wóz policyjny.

Leżąc w szpitalnym łóżku, oglądałem w wyobraźni film z powrotu do domu: Fiona White oczekuje mnie z nerwowo hamowanym wzburzeniem. Na pewno czytała o upadku z okna na Gordon, a mimo to wyraźnie cieszy się na mój widok, zwłaszcza z tego że jestem cały i zdrowy. Na jej ustach błąka się nerwowy uśmieszek, a mnie ogarnia niepohamowana żądza, by uspokoić go pocałunkiem. Pozwalam jej jednak krzątać się w kuchni i parzyć herbatę dla mnie oraz Archiego.

Po wyjściu Archiego zachowujemy się jak dawniej, stopniowo dryfując w kierunku, w jakim według nas powinny się rozwijać nasze stosunki.

Tymczasem gdy otworzyła nam drzwi, przekonałem się, że mój nagły i niezapowiedziany powrót wyraźnie ją zaniepokoił. Zaskoczona i skrępowana, zawahała się, zanim wpuściła nas do środka.

Facet nie spodobał mi się już na pierwszy rzut oka. Głównie dlatego, że przez sekundę myślałem, że go poznaję, ale zaraz uświadomiłem sobie, że nie może być tym, za kogo go wziąłem, skoro tamten nie żyje. Oczywiście twarz nie była identyczna, wykazywała jednak silne podobieństwo rodzinne z osobą na zdjęciu stojącym na gzymsie kominka. Na fotografii dawno poległego oficera marynarki.

– Pan pewnie jest tym lokatorem... – powiedział bez uśmiechu, wstając, gdy weszliśmy do salonu. Na stoliku stały dwie filiżanki herbaty i najlepsze ciasteczka. Facet był opalony i ubrany zbyt lekko jak na klimat panujący w Glasgow; wyglądał, jakby dopiero co wrócił z zagranicy.

– A pan pewnie jest szwagrem – odparłem beznamiętnie.

– Czytałem wszystko o tych pańskich... wyskokach. Powiem szczerze: niezbyt mi się podoba, że mieszka pan u Fiony. Czy pan wie, że kiedy tu przyjechałem, zaczął mnie policjant?

– Co pan powie? No cóż, kazali im sprawdzać wszystkich podejrzanych i szemranych osobników. A czy wynajmuję mieszkanie od pani White, czy nie, to nie pańska sprawa.

– No cóż, Fiona jest moją szwagierką, a skoro brata nie ma już między nami, czuję się w obowiązku dbać o dobro jej i dziewcząt.

– Rozumiem – mruknąłem. – I czekał pan dziesięć lat, aż to poczucie obowiązku w panu wykielkuje?

– Byłem za granicą. Pracowałem w Indiach. Ale skoro już wróciłem, uważam, że powinien pan wiedzieć, że w tym domu sporo się zmieni.

– Ach tak. Czy nosi pan kapcie w tym samym rozmiarze co brat?

Chyba dotknąłem go do żywego, ale nie miał dość jaj, żeby

coś z tym zrobić.

– Uspokójcie się, obaj – wtrąciła się Fiona. – James, doskonale potrafię sama zadbać o siebie. Panie Lennox, namęczył się pan za wszystkie czasy. Na pewno chce pan odpocząć. Na szóstą przygotuję coś do jedzenia i liczę, że zechce pan do nas dołączyć.

Patrzyłem na nią przez dłuższą chwilę.

– Jasne – odparłem. – Z przyjemnością.

Skinąłem głową na Archiego i poszliśmy do mnie. Byłem zmęczony, wkurzony i korciło mnie jak cholera, żeby rozkwasić ten drwiący uśmieszek zadowolonemu z siebie draniowi na parterze. Chwilowo jednak miałem na głowie ważniejsze sprawy.

– Zdaje się, że twoja gospodyni będzie musiała kupić większy stół – powiedział Archie.

– O czym ty mówisz?

– Bo inaczej wszyscy się przy nim nie pomieścicie.

– Bardzo zabawne.

– Wszystko w porządku, szefie? Jak chcesz, mogę tu trochę zostać.

– Nie, Archie, nie trzeba. Wieczorem przejadę się do Billy’ego Dunbara, pokażę mu zdjęcie, ale załatwię to w pojedynkę. Na dzisiaj masz wolne.

Leżałem na łóżku, obolały, i paliłem papierosy. Mniej więcej po godzinie usłyszałem, że ktoś otwiera frontowe drzwi, i rozległy się jakieś głosy. Podeszedłem do okna. James White szedł do swojego javelina. Odwrócił się, pomachał ręką Fionie, a potem znacząco spojrział na moje okno. Odpowiedziałem równie znaczącym spojrzeniem. Jego widok, stabilizacja gościa z klasy średniej i podobieństwo do dawno zmarłego młodszego oficera marynarki przyprowadziły mnie o złe przeczucia. Wyobraziłem sobie przyszłość Fiony White, ale mimo wszelkich wysiłków jakoś nie widziałem w niej miejsca dla siebie.

Umyłem się i przebrałem. Zmieniłem garnitur, koszulę, bieliznę, wszystko. Nigdy nie potrafiłem pojąć, co szpitale mają w sobie takiego, że kiedy człowiek z nich wychodzi, śmierdzi karbolem, a jednocześnie czuje się brudny. O szóstej zszedłem

na parter i w towarzystwie Fiony oraz jej córek zjadłem rybę z ziemniakami i fasolką. Próbowałem z nimi gawędzić, ale tak naprawdę wciąż byłem nieźle wstrząśnięty tym, co wydarzyło się w moim biurze. Fiona zmarszczyła czoło, widząc, że przy jedzeniu łyknąłem proszki na receptę, ale rękaw koszuli zakrywał bandaż i opatrunek na ramieniu, więc nie zdawała sobie sprawy, że zostałem poważnie ranny; a może w ogóle o tym nie wiedziała. Jednak podczas posiłku spokoju nie dawało mi również pojawienie się tego zadowolonego z siebie brata poległego oficera.

Gdy skończyliśmy, pomogłem Fionie zanieść talerze do kuchni. Kazała mi zostać. Dziewczęta zasiadły przed telewizorem, więc zamknąłem za sobą drzwi.

– Jak się z tym czujesz, Fiono? – zapytałem. – Wiem, że przeżyłaś szok, czytając o tym, co się stało.

Przestała zmywać talerz, oparła się o zlew, zwrócona plecami do mnie, i wyjrzała przez okno na mały ogródek na tyłach domu.

– Ten człowiek... Zabiłeś go? Chodzi mi o to, że to nie był wypadek?

Już miałem odpowiedzieć, że pół na pół, jednak Fiona White miała tę wkurzającą cechę, że wydobywała ze mnie szczerość.

– Tak. Zabiłem go. Ale w obronie własnej. Zaczaił się na mnie w biurze i próbował poderżnąć mi gardło. To ten sam facet, który mnie napadł we mgle.

Odwróciła się do mnie.

– Czyli jeśli tu zostaniesz, będziesz już bezpieczny? – Powiedziała to bardziej w formie stwierdzenia niż pytania.

– To nie jest stuprocentowo pewne – odparłem. – Ani przez chwilę nie sądziłem, że ten człowiek pracował na własną rękę. Ale nie wyobrażam sobie, żeby ten, kto stał za tym napadem, zaryzykował znów coś tak... rzucającego się w oczy. Zresztą wygląda na to, że mamy teraz solidną ochronę policyjną. Za nic jednak nie narażę ciebie i dziewcząt na niebezpieczeństwo. Znajdę sobie jakieś tymczasowe lokum...

– Nie – przerwała mi, ale bez nacisku i tak, jakby najpierw musiała to sobie przemyśleć.

– Nie zawsze tak będzie, Fiono – obiecałem. – Sprawy się trochę skomplikowały. Myślałem, że takie rzeczy mam już za sobą. Jak widać, byłem w błędzie.

– Nie musisz się tłumaczyć – odparła. – Ale wiesz, że nie mogę wejść do takiego świata. Nie wciągnę do niego moich córek.

– Oczywiście – przytaknąłem. – Właśnie próbuję się uwolnić od tego raz na zawsze. Jak mówiłem, wszystko się ułoży.

– Wiem o tym – powiedziała z uśmiechem.

Oboje jednak wiedzieliśmy, że mój los jest przypieczętowany.

Banki wciąż jeszcze były otwarte, więc wracając ze szpitala, kazałem Archiemu podjechać pod jeden z nich. Najwyraźniej tam również dotarły wieści o moich przygodach, bo kiedy wszedłem, przypominało to wkroczenie rewolwerowca z westernu do salonu. Gdy poprosiłem o dostęp do skrytki depozytowej, MacGregor obsługiwał mnie osobiście. Gadał jak najęty, nerwowo, jakby usilnie starał się unikać słowa „okno” i wszelkich wzmianek o łapaniu taksówki. Cieszyłem się, że mam na niego haka, bo inaczej pewnie straciłbym już zlecenie na konwojowanie gotówki dla banku. Inna sprawa, że wiedza o ciemnych stronach jego prywatnego życia na wiele by mi się nie zdała, gdyby to rada nadzorcza postanowiła się mnie pozbyć.

Z drugiej strony, może im się spodobało, że ich pieniędzy pilnuje gość, który ma kogoś na sumieniu.

Wziąłem ze skrytki webleya i wsadziłem za pasek spodni. Wiedziałem, że jeśli McNab dowie się, że paraduję po jego mieście z nielegalną spluwą w gaciach, to niedawne ocieplenie naszych stosunków przeminie jak złudne a przedwczesne nadzieje wiosny. Ale na wypadek gdyby ktoś znów próbował mnie zabić, wołałem mieć w ręku coś więcej niż tylko stojak na kapelusze. Po powrocie do domu i wymianie uprzejmości z Jamesem White'em schowałem webleya pod poduszkę.

Mniej więcej o ósmej trzydzieści włożyłem marynarkę i kapelusz, po czym zszedłem do telefonu w korytarzu na parterze i zadzwoniłem do Isy. Umówiłem się na spotkanie z nią i z Vio-

let na następny dzień.

Zapukawszy do drzwi White'ów, poprosiłem Elspeth, żeby uprzedziła mamę, że wrócę późno. Odjeżdżając, z ulgą przekonałem się, że szary humber nie pojechał za mną, tylko został przed domem. Podejrzywałem jednak, że siedzący w nim gli-niarz odnotuje i zgłosi telefonicznie mój wyjazd.

Zanim skierowałem się na północ, za miasto, zatrzymałem się przy budce telefonicznej i zadzwoniłem do Murphy'ego.

– Słyszał pan o tym, co się wydarzyło? – spytałem.

– Żeś wyrzucił jakiegoś piździelca przez okno? Coś mi się, kurwa, obilo o uszy. A podobno miałeś działać dyskretnie. Co to był za jeden?

– Ten sam, o którym opowiadałem panu i Jonny'emu Cohe-nowi. Ten, który mnie napadł we mgle.

– Chcesz mi powiedzieć, że mam ci teraz wypłacić pierdolony szmal?

– Nie. Może. Ale nie sądzę. Widzi pan, wcale nie jestem prze-konany, że to był tak zwany Synek Strachana. Chyba że Dzen-telmen Joe wysłał go na lekcje wymowy. To był Anglik.

– He? No toś miał, kurwa, dobry powód, żeby go wywalić przez okno.

– Panie Murphy, mógłby pan przekazać to Jonny'emu Cohe-nowi? Ja muszę się teraz zająć czymś innym, dzięki czemu może się dowiemy, czy Strachan żyje, czy nie. Poza tym posta-ram się dowiedzieć, czy ten gość to był Synek.

Odwiesiłem słuchawkę i wyjechałem z Glasgow. Na niebie wi-siały ciężkie ołowiane chmury, a mimo to miło było wyrwać się z miasta na otwartą przestrzeń. Przypuszczałem, że o tej porze w biurze posiadłości nikogo nie zastanę, dzięki czemu uniknę spotkania z aseksualną, ubraną w tweed panną Marple. Jednak kiedy dotarłem na miejsce, zobaczyłem bramę zamkniętą na kłódkę.

Przypomniawszy sobie plan posiadłości, który miałem w gło-wie, pojechałem dalej wąską wstęgą wiejskiej drogi. Po obu stronach ciągnął się wysoki mur ułożony z kamieni, strzegący

granic majątku. W końcu znalazłem alejkę prowadzącą do nieużywanego wejścia, tyle że było zamurowane. Na szczęście po zjechaniu z drogi mój atlantic był względnie dobrze ukryty, postanowiłem więc narazić na szwank zamszowe półbuty oraz garnitur w kurzą stopkę i przeleźć przez mur. Zeskoczyłem po drugiej stronie na stertę dawno opadłych liści oraz mniejszych i większych gałęzi. Przed sobą miałem gęstą ścianę wiecznie zielonych roślin, której nie były w stanie przebić resztki późnowieczornego światła, uznałem jednak, że jeśli pójdę na wprost i uda mi się nie skrócić nogi w kostce, to wyjdę na ścieżkę prowadzącą z biura do domku Dunbara.

Nie uśmiechało mi się przedzieranie przez las. Z duszą na ramieniu nasłuchiwałem wszelkich trzasków, szelestów i ptasich krzyków. Tutaj, w tej posiadłości, oczywiście nie miałem powodu do obaw, ale wielokrotnie laziłem po takich lasach jak ten, tylko że wówczas w ściółce kryły się stworzenia dużo groźniejsze niż wiewiórki czy króliki.

Dziesięć minut później wyszedłem z lasu dokładnie tam, gdzie się spodziewałem, aczkolwiek dopiero po dłuższej chwili zorientowałem się, jaki to odcinek ścieżki. Rozejrzawszy się, zobaczyłem na poboczu spory kamień. Kształtem przypominał zwiniętego w kłębek śpiącego kota, a może tylko sobie to wyobraziłem. Grunt, że był wystarczająco charakterystyczny, bym go później rozpoznał. Przesunąłem go na środek ścieżki. Kiedy go znajdę, wracając, będę musiał skrócić w lewo w las i pójść prosto jak strzała do muru granicznego.

Ściemniało się, nawet po wyjściu zza drzew panował mrok. Sam nie wiem dlaczego wyjąłem webleya zza paska, odciągnąłem kurek i upewniłem się, że bębenek jest pełny, po czym schowałem rewolwer z powrotem, w spodnie. Sięgnąłem też do wewnętrznej kieszeni marynarki, sprawdzając, czy mam ze sobą zdjęcie.

Dotarcie do domku zajęło mi kolejne piętnaście minut. W środku było ciemno, ani śladu życia, uznałem więc, że mam pecha i nikogo nie zastałem. Mimo to podszedłem, zapukałem do drzwi, lecz nikt mi nie otworzył. Przez chwilę stałem tam, zastanawiając się, czy zostawić zdjęcie i kartkę z prośbą, by

Dunbar zadzwonił do mnie, jeśli rozpozna człowieka na fotografii. W końcu doszedłem do wniosku, że to kiepski pomysł. To była moja jedyna odbitka i musiałem na nią uważać – ostatecznie mogła mnie powiązać ze spalonym mieszkaniem w czynszówce i martwą ciotą.

Skłamałem się w duchu za to, że przyjeżdżając tu, tylko zmarnowałem czas, i z rezygnacją cofnąłem się od drzwi. Zanim wróciłem na ścieżkę, podszedłem jednak jeszcze do okna, osłoniłem oczy dłońmi i zajrzałem do domku. W tym momencie przypomniałem sobie, co zobaczyłem, kiedy ostatnim razem zaglądałem przez podobne okno, i uśmiechnąłem się z nadzieją, że tutaj nie przyłapię Dunbara i jego szpetnej żony *in flagranti*.

Uśmiech zamarł mi na ustach.

Wyrwałem webleya z za paska i wróciłem do drzwi. Nie były zamknięte na klucz. Otworzyłem je na oścież, omiatając wzrokiem wnętrze domku, gotów strzelać do wszystkiego, co się rusza. Pomijając to, co zobaczyłem przez okno, pokój był pusty. Przeszedłem do kuchni. Też nikogo. Wróciłem do głównego pomieszczenia.

W zapadającym mroku widoczność była kiepska, ale nie odważyłem się zapalić światła. Nie chciałem, by ktoś mnie zauważył w tym miejscu i w takiej sytuacji. W duchu zmówiłem modlitwę dziękczynną za to, że zostawiłem samochód ukryty, a nie na widoku.

Billy Dunbar leżał na podłodze, przed kanapą. Poderżnięte gardło wyglądało jak uśmiech klauna. W półmroku dostrzegłem ciemnoczerwoną plamę, która rozkwitła na dywanie pod jego głową. Żona leżała z drugiej strony pokoju. W tym samym stanie co mąż.

Stałem w ciszy na środku pokoju, niczego nie dotykając, słuchając, czy ktoś nie nadchodzi ścieżką i próbując wykombinować, co to u licha znaczy i co powinienem z tym zrobić.

Przyszło mi do głowy, żeby wezwać policję, ale znajdowałem się poza obrębem Glasgow i trudno byłoby mi wytłumaczyć mój związek z tą sprawą jakiemuś ćwokowi w mundurze, który nie pojmuje najprostszych rzeczy, na przykład takich, że małżeństwa między przyrodnim rodzeństwem to kiepski pomysł.

Nie miałem pojęcia o życiu towarzyskim leśniczych, ale postanowiłem wynieść się stamtąd byle dalej i jak najszybciej, na wypadek gdyby ktoś z posiadłości postanowił wpaść na kielicha albo wymienić się poradami na temat urody z panią Dunbar.

Wróciwszy do drzwi, wyjąłem chusteczkę i dokładnie wytarłem klamkę, jedyną rzecz, jakiej tu dotykałem. Rozejrzałem się po ścieżce. Nikogo. Dla pewności wytarłem też okno, przez które zaglądałem.

Schowałem rewolwer za pas i pobiegłem ścieżką do ukrytego auta, tą samą drogą, którą tam dotarłem. Kilkaset jardów dalej zwolniłem do truchtu. Zrobiło się naprawdę ciemno i łatwo mogłem się potknąć. Przypomniałem sobie, w którym miejscu jestem – ścieżka gwałtownie skręcała w prawo, co oznaczało że do kota zostało mi pół mili.

Zobaczyłem ich dopiero wtedy, gdy całkiem pokonałem zakręt – grupę trzech mężczyzn. Ten w środku odwrócił się, zobaczył mnie i powiedział coś do pozostałych. Tamci, zamiast ruszyć do mnie ścieżką, natychmiast zeszli z niej i skryli się w lesie, każdy po swojej stronie. Ten w środku stał nieruchomo. Nie spuszczać ze mnie wzroku, sięgnął pod połę krótkiego ciemnego płaszcza. Rzuciłem się w lewo, pod osłonę drzew, starając się wejść jak najgłębiej w las, zanim facet, który zniknął z tej strony, zdąży zająć mnie od tyłu. Hałasowałem straszliwie, ale na tym etapie przede wszystkim liczyło się zwiększenie dystansu i ukrycie się. Wybrałem tę stronę ścieżki, ponieważ w tej części lasu zostawiłem samochód. Gdybym uciekł w przeciwnym kierunku, dłużej pozostawałbym na ich łasce i niełasce.

Pędziłem na oślep, za bardzo ryzykując, że w ciemnościach potknę się o wystający korzeń albo kamień. Wyhamowałem raptownie i stojąc w bezruchu, nasłuchiwałem odgłosów nocy. Nic. Wiedziałem jednak, że tamci trzej są ze mną w tym lesie. I znów gra toczyła się o to, czy zajądą mnie od tyłu. Na pewno domyślili się, że zostawiłem samochód gdzieś przy drodze, więc skierują się do muru wokół posiadłości. Jeszcze przez chwilę nastawiałem uszu. Wciąż nic.

Nie wiem, co takiego było w tych trzech facetach na ścieżce, lecz od razu wiedziałem, że to zabójcy Dunbara. To kolejna

rzecz, którą podłapałem na wojnie, coś, czego nie da się przeanalizować ani wyjaśnić. Człowiek po prostu uczy się poznawać, czy spotkani w terenie ludzie to żołnierze czy cywile, nawet jeśli widziało się ich niewyraźnie, z oddali. Tak jak drapieżnik instynktownie poznaje innego drapieżcę.

A ci trzej byli drapieżcami.

Mało tego, ten w środku miał w sobie coś szczególnego. Był starszy od pozostałych dwóch. Mniej więcej mojego wzrostu. I coś w jego postawie, nawet z oddali, przywodziło mi na myśl cudzoziemskiego arystokratę.

Byłem niemal pewny, że to jego zdjęcie mam w kieszeni.

Wyjąłem rewolwer zza paska, przykucnąłem i czekałem. Nie powiem, byli nieźli, ale nie najlepsi. Usłyszałem jednego daleko po mojej lewej i nieco z przodu. Poruszał się cicho, lecz nocą w lesie trudno jest wytłumić dźwięk choćby ciut głośniejszy od pełzania. Ocenilem, że znajduje się jakieś pięćdziesiąt jardów ode mnie. Domyślałem się, że jego kompana mam w podobnej odległości po prawej stronie. Na mój gust ich szef zaczekał, aż wejdą w las na pięćdziesiąt jardów, a potem ruszył środkiem między nimi. Oblawa metodą triangulacji. Skulony, jak najciszej, przesunąłem się kilka jardów w prawo. Tutaj teren nieco opadał, nie za bardzo, ale ponieważ niecka utworzyła się między zwojami korzeni, udało mi się wczolgać poniżej poziomu posycia lasu.

Gdzieś po mojej prawej rozległ się hałas i nagle ciemność przebiły trzy snopy światła. Latarki skupiły się w tym samym miejscu, na małym jelonku, który czmychnął głębiej w las. Latarki zgasły, ale paliły się dostatecznie długo, bym mógł z grubsza ustalić ich pozycje. Miałem rację co do metody oblawy. Ci goście byli dobrzy. Profesjonaliści. Mój główny problem polegał na tym, że miejsce, z którego padło światło za moimi plecami, wskazywało na to, że ich szef wyjdzie prosto na mnie.

W tym mizernym świetle ogarnęła mnie nostalgia za napażaniem się w smogu Glasgow. Powolutku ruszyłem w głąb lasu, szukając lepszej kryjówki. Podniosłem kamień i cisnąłem go jak najdalej w ciemność. Nie oddalił się ode mnie tak daleko, jak na to liczyłem, bo trafił w pień drzewa. Latarki znowu

rozbłysły, skupiając się w punkcie odległym ode mnie o dziesięć jardów. Nie znalazłszy szkockiego jelenia szlachetnego ani większego kanadyjskiego kretyna tam, gdzie się spodziewali, zaczęli przeczesywać las; promień jednej z latarek przesunął się tuż nade mną. Gdyby nie niecka, w której się skryłem, z pewnością by mnie zauważyli. Dwaj na flankach nie gasili latarek, bez przerwy omiatając nimi teren i zmuszając mnie rozpląszczonego na ziemi do czekania. Tylko facet za mną zgasił swoją latarkę. Domyślałem się, że nadchodzi. W moim kierunku.

Cofnąłem się nieco, aż w końcu znalazłem to, czego szukałem. Płatanina grubych korzeni, pękniętego drzewa, tych włókniстых wąsów oraz grud ziemi tworzyła zasłonę, za którą mogłem się ukryć. Z drugiej strony leżał potężny konar. Nie przejmując się zniszczeniem zamszu czy kurzej stopki, wśliznąłem się pod zwój wyrwanych korzeni i przykucnąłem. Odwiodłem kurek webleya. Ponownie znalazłem się tam, gdzie nie planowałem, ale jeśli miałem wybierać między swoim życiem a życiem kogoś innego, zamierzałem zadbać o to, żeby to ten drugi zginął. Latarka jednego z nich znowu poświeciła tuż nad moją głową, więc skuliłem się jeszcze bardziej. Zebrawszy trochę ziemi z korzenia, poczerńiłem sobie twarz, na wypadek gdybym się znalazł w świetle latarki.

Nie usłyszałem go, dopóki nie pojawił się prawie nade mną. Poruszał się niemal bezszelestnie, znacznie ciszej niż tamci dwaj. Zatrzymał się na skraju rozpadliny, nie dalej niż trzy stopy od mojej głowy. Tak blisko, że nawet nie mogłem się odwrócić, by wziąć go na cel. Wystarczyło, żebym drgnął, a musiałbym go zastrzelić. Jeśliby przesunął latarkę w bok, zobaczyłby mnie przez płataninę korzeni. Wstrzymałem oddech. To jakiś obłąd, dopiero co zabiłem człowieka, a teraz żeby przeżyć, prawdopodobnie będę musiał zabić jeszcze trzech.

Ruszył dalej. Szedł jednak tak cicho, że nie wiedziałem, jak bardzo się oddalił. Trwałem w bezruchu. Oznaczało to, że teraz wszyscy trzej znajdują się za moimi plecami, między mną a murem granicznym i czekającym za nim moim samochodem. Ale wynikało też z tego, że droga powrotna na ścieżkę jest wolna. Powoli obróciłem się w kryjówce i lekko uniosłem, żeby

spojrzeć za siebie. Natychmiast przykucnąłem z powrotem, gdy stwierdziłem, że gapię się na sylwetkę najstarszego z nich, stojącego ode mnie o kilka jardów. Zerkając ponad krawędzią, zobaczyłem, że odwrócił się do mnie bokiem. W ciemnościach nie widziałem go dokładnie, lecz znów odniosłem wrażenie, że patrzę na człowieka, którego zdjęcie miałem w kieszeni.

Patrzyłem na Dżentelmena Joego Strachana. Byłem tego pewny.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Kiedy starszego faceta wchłonęła ciemność, odczekałem dobre pięć minut, zanim ruszyłem z powrotem w kierunku ścieżki. Wkrótce znów zawrócą w moją stronę, to tylko kwestia czasu.

Ledwie poczułem pod nogami ścieżkę, nie bacząc na ryzyko, że się o coś potknę, znowu puściłem się biegiem przed siebie. Zwolniłem dopiero wtedy, gdy uznałem, że jestem blisko miejsca, w którym ustawiłem koci kamień, ale po ciemku wszystko wyglądało inaczej. Maszerując powoli, doszedłem do wniosku, że się zagalopowałem, pobiegłem za daleko. Zawróciłem więc, przeklinając się w duchu za zmarnowanie czasu. Jeśli moi prześladowcy wykombinowali, że zwałem na ścieżkę, to lada chwila mnie dogonią.

Znalazłem go. W ciemności rzeczywiście wyglądał inaczej, w ogóle nie przypominał kota, ale poznałem go dzięki miejscu, w którym go ustawiłem. Znowu zagłębiłem się w las, kierując się na wprost, prostopadle do ścieżki, tak jak to zaplanowałem. Tym razem obawiałem się nie tylko wiewiórek i królików. Szedłem równym tempem, powoli i cicho, na ugiętych kolanach i z rewolwerem w ręku.

Droga, która w tamtą stronę zajęła mi dziesięć minut, teraz trwała pół godziny. W końcu dotarłem do muru i znalazłem stertę liści oraz gałęzi, na której wylądowałem. A zatem mój samochód stał dokładnie po drugiej stronie. Już miałem przeleźć przez mur, ale się powstrzymałem. Tamci byli dobrzy. Naprawdę dobrzy. A jeśli wpadli na to, że przyjechałem samochodem, i wysłali jednego z nich, żeby sprawdził szosę wokół posiadłości? Przyznaję, że mieliby szmat drogi do zbadania, ale wiedzieli przecież, że samochód stoi pewnie niedaleko domku Dunbara.

Przechodząc przez mur, mogłem wpaść w sam środek zasadzki.

Postanowiłem pójść dziesięć jardów dalej wzdłuż muru i dopiero tam przeleźć jak najciszej na drugą stronę. Ze szczytu próbowałem dojrzeć atlantica, ale zbyt dobrze ukryłem go w krzakach. Opuściwszy się na ziemię, znów wyjąłem zza pasa rewolwer. Skradając się w stronę samochodu, po chwili ujrzałem jego tył. Przystanąłem. Miałem rację. Obok wozu tkwił jakiś człowiek, zwrócony plecami do mnie, i obserwował mur przed sobą. W ciągu kilku sekund zorientowałem się, że jest sam. Domyśliłem się, że pozostała dwójka nadal szuka mnie w lesie. Ten był młodszy, szczuplejszy i niższy od starszego kumpla, którego widziałem pośród drzew. Trzymał coś w ręku. Nie broń. Przez chwilę sądziłem, że to duży nóż, lecz kiedy podkradłem się bliżej, zobaczyłem, że to pałka, podobna do policyjnej tonfy. Nie przypuszczali, że będę uzbrojony, a ja nie byłem pewny, czy mam nad nimi przewagę. Mimo to postanowiłem nie ryzykować. Obróciłem rewolwer w garści i trzymając go niczym młotek, od tyłu podszedłem zbira przy moim samochodzie.

Zaprawiłem go mocno w potylicę, a kiedy padał, przyłożyłem mu jeszcze dwa razy, chociaż wcale nie było to konieczne. Runął jak kłoda, ale nabuzowany napięciem i adrenaliną po obławie w lesie, przeturlałem go na plecy i przefasonowałem mu twarz. Przypuszczam, że uderzyłem go nie więcej niż trzy, cztery razy, i nie z całej siły, lecz i tak stracił kilka zębów oraz zmysł powonienia. Chciałem, żeby pozostali znaleźli go i zobaczyli, jak kończą ci, którzy bezskutecznie próbują polować na Lennoxa.

Przeszukałem go i zabrałem mu wszystko, co miał przy sobie. Nie traciłem czasu na sprawdzanie łupu, po prostu schowałem cały ten kram do kieszeni kurtki. Kiedy skończyłem, wsiałem do samochodu. Cały się trząsałem, dygotały mi ręce, nogi. Zawsze tak reaguję. Nie ze strachu, tylko z powodu adrenaliny, testosteronu i licha wie czego jeszcze. Ale nigdy nie dopada mnie to w trakcie akcji, dopiero gdy jest już po wszystkim.

Czułem to teraz, czułem to po walce w moim biurze. Taki sam stan regularnie towarzyszył mi podczas wojny.

W końcu trafiłem kluczykiem do stacyjki i odjechałem.

Do domu wróciłem około dwudziestej pierwszej trzydzieści. Javelin znów stał zaparkowany na ulicy. Mogłem wejść i jakby nigdy nic pójść do siebie na górę albo robić za przyzwoitkę w salonie Fiony, ale nie miałem na to ochoty. Bo kiedy już otworzyłem wrota tamy, z tym zbirem na wiejskiej drodze, stwierdziłem, że stanowczo za bardzo świerzbią mnie ręce i rwę się do bitki. A temu zadowolonemu z siebie gnojtkowi naprawdę chciałem przyłożyć, z całego serca.

Pojechałem więc dalej Byers Road i skręciłem w Sauchiehall. Coś nie dawało mi spokoju: może uparłem się i nie wróciłem do domu dlatego, że w głębi duszy zdawałem sobie sprawę, że Fionie będzie lepiej z Jamesem White'em? Z bratem zmarłego męża, nudnym, ale godnym zaufania, takim statecznym mężusiem, jakim ja nigdy nie będę. Albo prościej: może po prostu nie byłem dla Fiony dość dobry. Chyba nie byłem dość dobry dla nikogo.

Mój nowy znajomek, bramkarz bez szyi, znowu powitał mnie szorstkim skinieniem głowy. Tym razem nie przyszedłem do Czarnego Kota na spotkanie z Młotem Murphym. Wpadłem tu, żeby się znieczulić, więc ochoczo usadowiłem się przy barze. Dziwna sprawa, ale dobry jazz ma w sobie coś takiego, że pije się przy nim wolniej. Usiadłem tyłem do kontuaru, opierając się na nim łokciami jak kowboj, i słuchałem tria grającego akksamitną przeróbkę jakiegoś barokowego kawałka. Pozbawili go matematyki, a zostawili sam rytm. Kiedy skończyli, z powrotem odwróciłem się do baru i niechcący trąciłem gościa, który siedział obok mnie.

– E, uważaj, co robisz! – zaprotestował burkliwie, teatralnie podnosząc szklanekę, jakby chciał pokazać, że mu trochę ubyło, choć tak naprawdę nic się nie rozlało. To był duży facet i zdecydowanie miał już dobrze w czubie, ale na pierwszy rzut oka poznałem, że żaden z niego zabijaka.

– Trąciłem cię niechcący, kolego – odparłem. – Nic się nie stało.

– Rozlałeś mu drinka... – Jeden z jego kumpli postanowił do-

rzucić swoje trzy grosze. Ale nad ramieniem tamtego. – Masz mu postawić kolejkę. To była słodowa whisky.

– Nie, nic mu nie rozlałem. I jak mówiłem, to było niechcący.

– Twierdzisz, że kłamie? – Duży facet, ośmielony wsparciem kolegi, odwrócił się do mnie agresywnie, ale nie odstawił drinka. Westchnąłem, postawiłem swoją szklankę na blacie i też odwróciłem się twarzą do niego.

– Słuchaj, nic ci nie wylałem, a trąciłem cię przypadkowo. Ale skoro chcesz... – Podbiłem mu dłoń i cała zawartość szklanki oblała mu koszulę, marynarkę, a część opryskała twarz. – Dopiero teraz rozlałem ci drinka – powiedziałem takim tonem, jakbym objaśniał zasady arytmetyki pięciolatkowi. – I zrobiłem to celowo. I owszem, twierdzę, że kłamiesz. I uważam też, że twoja matka to ostatnia szmata, która dawała marynarzom za darmo ładować się w dupę. Twoja zresztą też... – Z uśmiechem przechyliłem się w bok, zwracając się do kolegi dużego, jakbym nie chciał go pominąć, bo a nuż poczułby się urażony. – A teraz, cioty, jeśli któryś z was ma dość jaj, żeby mi podskoczyć, w co wątpię, to z miłą chęcią wyślę was obu do szpitala. Wierście mi na słowo, wybraliście sobie kiepski wieczór, żeby ze mną zadzierać.

Glasgowczycy są z natury bladzi jak śmierć, lecz mógłbym przysiąc, że ci dwaj zbledli jeszcze bardziej.

– Jakiś problem, panowie? – Obok mnie stanął bramkarz bez karku. Domyśliłem się, że za kontuarem jest przycisk alarmowy.

– Nie sędzę – odparłem wesoło. – Ci dwaj panowie i ja wybieramy się na spacer. Prawda?

– Słuchaj pan, nie szukam kłopotów... – Duży wyraźnie się wystraszył. Gdybyśmy się przenieśli na zewnątrz, bramkarza nic by nie obchodziło, co się stanie.

– Lennox... – Poczulem delikatny dotyk dłoni na ramieniu i doleciał mnie zapach perfum. Odwróciwszy się, ujrzałem Marthę. Uśmiechała się nerwowo. – Żadnych burd, zgoda? Siądź ze mną, napijemy się. Na koszt firmy. Ci chłopcy nie mieli nic złego na myśli.

Obaj faceci obok mnie stali już odwróceny plecami do baru,

zgodnie z zasadą, że należy unikać wzroku psychola. Bramkarz bez karku trochę się cofnął, więc dałem się zaprowadzić Marcie do stolika. Zauważyłem, że skinęła głową barmanowi, i zaraz pojawiły się nasze drinki.

Usiadłem, jeszcze przez chwilę łypiąc złowrogo na dwóch facetów przy barze. W końcu jednak jazz wsączył się w moją krew i rozluźnił napięcie w mięśniach.

– Uważaj na ten swój choleryczny charakterek, Lennox – powiedziała Martha. – Możesz sobie narobić kłopotów.

– Dla mnie to nie pierwszyna – odparłem, opierając się wygodnie na krześle. Dałem sobie spokój z gapieniem się na tych dwóch przy barze, zwłaszcza że wbrew rachunkowi prawdopodobieństwa ani razu nawet nie zerknęli w moją stronę. Kiedy znów podniosłem wzrok, już ich nie było. – Zresztą nie szukałem zwady. To tamci o mało nie wywołali bójkę.

– Ale sposób, w jaki podchodzisz do ludzi... w jaki tracisz panowanie nad sobą... tak być nie może, Lennox.

– Twoim zdaniem nadaję się już do domu bez klamek?

– Tego nie powiedziałam. Uważam tylko, że powinieneś sobie trochę odpuścić. Bo inaczej ktoś nieźle oberwie.

– To by nie zaszło aż tak daleko – uspokoilem ją, próbując schować w najdalszym zakątku umysłu obraz zbira, którego zostawiłem na wiejskiej drodze z resztką zębów i perspektywą oddychania przez usta do końca życia.

Uśmiechnąłem się do Marthy. Była ładniutka i pomimo swojego fachu naprawdę przyzwoita. Kształtem twarzy oraz wysokimi kośćmi policzkowymi trochę przypominała mi Fionę White.

– Dość tego zrzędzenia – rzuciłem. – Zamówmy następną kolejkę...

Odwożłem Marthę do domu. Zważywszy na to, jakie ilości bourbona pochłonałem, była to nie lada sztuka. Przez prawie całą drogę nie mogłem wyjść ze zdumienia, że w Glasgow jest aż tyle ulic dwukierunkowych, więc rozwiązałem ten problem, prowadząc z zamkniętym jednym okiem. Martha też się wsta-

wiła, ale do mnie było jej daleko. Gdy dotarliśmy do jej mieszkania, podała mi kawę rozpuszczalną zmieszaną z gorącą wodą. Lura smakowała ohydnie, jednak zrobiła swoje.

Martha mieszkała w nowoczesnym budynku ze sklepami na parterze i kwaterami dla lokatorów na piętrach. Jak dotąd migdaliliśmy się tylko w moim samochodzie, po raz pierwszy zaprosiła mnie do siebie. Zaskoczyło mnie, że mieszkanie było urządzone z takim smakiem. Modernistyczne meble pochodziły chyba z Danii, na ścianach wisiało kilka grafik impresjonistów w tandetnych ramkach. Niewielką biblioteczkę zajmowały tanie powieści z klubu książki, które jak się domyślałem, w połączeniu z egzemplarzem „Vogue’a” sprzed dwóch miesięcy, leżącym na podręcznym stoliku, miały sprawiać wrażenie, że Martha jest czytana. Wszystko to składało się na obraz kogoś, kto próbuje wyrwać się z codziennej szarzyzny; pogodne, stylowe i wesołe mieszkanie przygnębiło mnie jak cholera.

Przez pewien czas rozmawialiśmy, a ja wypilem jeszcze więcej kawy, ale gorzała w organizmie zakłócała moją pamięć wzrokową i Martha z każdą chwilą coraz bardziej przypominała mi Fionę White. Wykonawszy pierwszy ruch, o którym oboje wiedzieliśmy, że nastąpi, napotkałem taki brak oporu, że zawstydziłby nawet włoskiego generała. Wylądowaliśmy na podłodze – Martha z kiecką zadartą powyżej talii. To, co nastąpiło potem, nie miało w sobie za grosz czułości, było niemal brutalne; wyhamowałem dopiero wtedy, gdy w jej oczach ujrzałem strach. Zabrałem się do niej delikatniej, zacząłem ją całować, ale z zamkniętymi oczami miałem pod sobą Fionę White, nie Marthę.

Kiedy już było po wszystkim, zapaliliśmy papierosy. Martha leżała bez słowa. Przeprosilem za swoje brutalne zachowanie i zapytałem, czy jeszcze się zobaczymy.

– Bardzo bym chciała – odparła, a ja z rozczarowaniem stwierdziłem, że powiedziała to całkiem serio.

O dziesiątej rano, w towarzystwie Archiego, stawilem się na spotkanie z bliźniaczkami w domu Violet w Milngavie. Zrezy-

gnowałem z omawiania naszej sprawy w biurze, czując, że zabite deskami okno za biurkiem może odstręczać klientów – przypominało o tym, że właśnie dodałem kolejny wariant do arsenału sposobów opuszczenia mojego biura.

Poza tym kiedy z samego rana zajrzałem tam po kilka rzeczy, przed budynkiem kręcił się dziennikarz z „Bulletin”. Na szczęście nie miał ze sobą fotografa i wolno kojarzył. Na pytanie, czy Lennox to ja, odpowiedziałem mu z silnym glasgowskim akcentem, że nie. Przestał obojętnie kiwać głową i nabrał podejrzeń dopiero wtedy, gdy poinformowałem, że jestem z wydziału koncesji miejskiej korporacji taksówkarskiej i przyszedłem w sprawie podwożenia gości na łebka.

Wsiadliśmy z Archiem do mojego austina atlantica i pojechaliśmy do Milngavie. Po drodze znów zauważyłem podobny do cygara profil pociągu śmigłowego Benniego, który opuszczony na polu w oddali, górował nad grupką baraków niczym porzucony rekwizyt z filmu z Buckiem Rogersem.

Powiedziałem Archiemu, na czym stoimy, żeby był na bieżąco; nie pominąłem moich podejrzeń, że człowiek na fotografii to Dzentelmen Joe we własnej osobie i że to on stoi za zamachem na mnie w moim biurze. Archie zapytał, jak mi poszło z Billym Dunbarem, na co odparłem, że nie udało mi się do niego wybrać. W sumie sam nie wiem, dlaczego go okłamałem. Może dlatego że jakkolwiek na to spojrzeć, był emerytowanym gliną. Gliniarzy, czy to emerytowanych, czy pozostających w czynnej służbie, nie informuje się z własnej woli, że właśnie natknęliśmy się na podwójne morderstwo, którego nie zgłosiliśmy, ani że przerobiliśmy na miazgę twarz gangstera, tłukąc go posiadany nielegalnie rewolwerem.

Violet McKnight mieszkała w wolno stojącym parterowym domu z lat trzydziestych, z obowiązkowo przerobionym strychem i równie obowiązkowym małym kwadratem wypielegnowanego ogródka od frontu. Milngavie stanowiło przedmieście Glasgow dla tych, którym nie udało się całkiem wejść do klasy średniej: skupisko identycznych parterowych domków, rozpla-

nowanych z wyobraźnią projektanta warzywniaków.

Zwróciłem uwagę, że na podjeździe stoi ford zephyr, wciąż bijący w oczy nalepką, że został kupiony na raty. Gdy nacisnęliśmy dzwonek, drzwi otworzył Robert McKnight, mąż Violet. Powitał nas promiennym uśmiechem handlarza samochodów, który nieco przygasł, gdy okazało się, że nie jestem sam. McKnight był niższy, niż sądziłem, ale w barach rzeczywiście tak potężny, jak mi się zdawało, gdy obserwowałem go z okna na piętrze. Miał szeroką, nie najbrzydszą twarz, tyle że kiedyś złamano mu nos, który na skutek niefachowego nastawienia odchyłał się w prawo. Rezultat był odpychający: nawet kiedy gość patrzył komuś prosto w oczy, odnosiło się wrażenie, że właśnie się odwraca.

Wprowadził nas do salonu, czyli *lounge*, jak go pewnie nazywano w Milngavie. Wszystko było tam nowe, nieskazitelne, w tak zwanym duńskim stylu. Przygnębiła mnie świadomość, że patrzę na taki sam wystrój, jaki Martha próbowała naśladować w swoim malutkim wynajętym mieszkanku za znacznie mniejsze pieniądze.

Isa i Violet siedziały na kanapie. Zauważyłem, że przyciskają się do siebie tak, jakby kontakt fizyczny zapewniał im poczucie bezpieczeństwa. Przedstawiłem Archiego jako mojego współpracownika, który pomaga mi w prowadzeniu ich sprawy, na co bliźniaczki zaproponowały, żebyśmy usiedli.

– Czytałyśmy o tym...

– ...w gazetach... – zagały.

– To straszne...

– Po prostu okropne...

– Niech pan powie, panie Lennox...

– ...czy miało to coś wspólnego z tym, że próbuje pan się dowiedzieć czegoś o naszym tacie?

Uśmiechnąłem się, rzucając kapelusz na kanapę firmy G-Plan.

– Niestety tak. I muszę paniom wyznać, że moim zdaniem wasz tata miał z tym wiele wspólnego.

– Chce pan powiedzieć...

– ...że tata żyje?

– Tak wynika z informacji, które uzyskałem. W każdym razie według jednego świadka żył w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim. Zwróćcie uwagę, że świadek jest tylko jeden. Ale dodajmy do tego, że dżentelmen, który wyskoczył na główkę z okna mojego biura, próbował mnie ostrzec, żebym nie grzebał w sprawie zaginięcia waszego ojca, a skoro się nie wystraszyłem, usiłował mnie uciszyć na dobre. To oznacza, że ja i Joe Strachan stoimy zdecydowanie po dwóch stronach barykady. Moją dalszą pracę dla was można by poczytać za konflikt interesów. I działałbym na własną szkodę.

Przynajmniej raz Isa i Violet nie odezwały się, tylko siedziały w bliźniaczym milczeniu.

– A więc pan naprawdę sądzi, że Joe wciąż żyje? – zapytał Robert McKnight; uśmiech handlarza znikł z jego ust, ustępując miejsca równie nieszczeremu zatroskaniu.

– Na to wygląda. Dlatego chciałem z paniami porozmawiać. Jak wspominałem, doprowadziłem tę sprawę tak daleko, jak mogłem. Tak daleko, jak gotów byłem się posunąć.

– Doskonale rozumiemy... – powiedziała Violet.

– ...biorąc pod uwagę to, co się stało...

– ...ale chcemy mieć pewność...

– ...że tata wciąż żyje...

– Jedyny sposób, żeby się upewnić, to go odnaleźć – przerwalem im.

– Właśnie o to nam chodzi...

– Czy odnajdzie go pan dla nas, żebyśmy mogły z nim porozmawiać?

– Najkrótsza odpowiedź brzmi: nie. Nie mam cienia wątpliwości, że jeśli uda mi się odnaleźć waszego ojca, to nie pożyję wystarczająco długo, żeby móc wam przekazać tę wiadomość. A nawet gdybym wyszedł ze spotkania z nim żywy, i tak musiałbym zawiadomić policję.

Obie otworzyły usta, by zaprotestować, lecz uciszyłem je, podnosząc rękę.

– Posłuchajcie, moje panie. Od początku uprzedzałem: jeśli odkryję, że wasz ojciec żyje, i dowiem się, gdzie przebywa, to nie będę mógł zataić tych informacji przed policją. Teraz poli-

cja rzuciła się na tę sprawę jak wataha wilków, a nie mam ochoty, żeby przy okazji pożarli i mnie. Gdyby zadali mi w tym momencie pytanie, czy wiem, gdzie jest Joe Strachan, mógłbym z absolutną szczerością odpowiedzieć, że nie mam pojęcia. I że nie jestem pewien, czy w ogóle żyje. Jeśli chcecie skorzystać z mojej rady, sugeruję zostawić sprawę na tym etapie.

– Ale my chcemy z nim porozmawiać... – zaprotestowały jedynym głosem.

– Drogie panie, spójrzmy prawdzie w oczy: od osiemnastu lat przysyła wam pieniądze. Gdyby pragnął się z wami skontaktować, już dawno by to zrobił. Wybaczenie, że powiem to prosto z mostu, ale jeśli chcecie znać moje zdanie, te przekazy wynikają z jego poczucia winy. Myślę, że wasz ojciec już od dawna planował, że zniknie, zostawi was i waszą matkę, i nie miało to nic wspólnego z tym, że podczas skoku na Wystawę Imperium zabiło gliniarza. Sądzę, że żyje i ma zupełnie nową tożsamość w innej części kraju albo nawet świata; tożsamość, którą wyrobił sobie, zanim jeszcze przyszłyście na świat. Jedyne powód, dla którego znowu pojawił się w Glasgow, jest taki, że zacząłem wtykać nos tam, gdzie nie trzeba.

– Więc co mamy zrobić?

– Przyjmijcie do wiadomości, że wasz ojciec żyje, ale nie ma możliwości nawiązania z wami kontaktu. Nadal odbierajcie przekazy od niego i się nie wychylajcie. Taka jest moja rada, i sam też zamierzam z niej skorzystać. A tak przy okazji, myślę, że to również kwestia waszego bezpieczeństwa.

Bliźniaczki się oburzyły.

– Nasz tata...

– ...nigdy by nas nie skrzywdził!

– Pewnie nie, ale według mnie zadał się z wyjątkowo niebezpiecznymi ludźmi. Ta grupa jest lepiej zorganizowana, lepiej wyposażona i groźniejsza od zwyczajnych gangów. I jak się przekonałem na własnej skórze, chronią siebie nawzajem.

– Co to za ludzie? – spytał Robert.

– Wojskowi. Nie, nawet nie wojskowi, raczej grupa partyzancka, z tych, które przed wojną i podczas niej miały za zadanie operować na tyłach wroga. Mieli sabotować działania nazi-

stowskich najeźdźców i tak dalej, ale wielu z nich było szkolonych do rozprawy z komuchami, gdyby wojna przybrała taki obrót.

– To raczej nie w stylu taty... – bąknęła Isa.

– Zupełnie do niego niepodobne – dorzuciła Violet.

– Nie obchodziła go polityka.

– Ale mówiliście, że podczas pierwszej wojny światowej był bohaterem.

– Bo był...

– Dostał medale...

– Przedzierał się za linię wroga i w ogóle.

– A jednak omal nie rozstrzelali go za dezercję, prawda?

– To wierutne kłamstwa...

– Kłamstwa – zawtórowała Violet.

– Posłuchajcie, panie – przerwałem im w miarę możliwości delikatnie. – Nie macie pojęcia, jak łatwo można zrobić bohaterem kogoś, kto zniknął. Z tego, co słyszałem o waszym ojcu, i po tym, co sam przeżyłem, wnioskuję, że był z niego, albo wciąż jest, kawał bezlitosnego łajdaka. Wątpię, żeby zrobił cokolwiek, co nie leżało w jego interesie. Przykro mi, Iso i Violet, ale muszę to sobie odpuścić. Na waszym miejscu postąpiłbym tak samo. Temu darowanemu koniowi nie należy zagłęzać w zęby.

– Czy mogłybyśmy porozmawiać z tym świadkiem, którego pan znalazł?

– To by było trudne – odparłem, nie dodając, że trzeba by zatrudnić w tym celu medium. – Niestety, wyprowadził się. Na zawsze.

Po czym przeszedłem do wielkiego finału.

– Jest jeszcze coś... – Sięgnąłem do kieszeni marynarki po fotografię. – Zdaję sobie sprawę, że to kiepskie zdjęcie, a od czasu, kiedy się widziałyście z ojcem, na pewno się postarzał, ale czy mogłybyście mi powiedzieć, kim jest ten człowiek?

Kładąc fotografię na stole przed bliźniaczkami, poczułem dreszczyk emocji. Bacznie obserwowałem ich twarze, by nie przegapić chwili, gdy uświadomią sobie, że patrzą na ojca, którego ostatni raz widziały, mając po osiem lat.

- O mój Boże... – rzuciła Isa.
- ...oczywiście, że go poznajemy...
- ...nawet po tylu latach...

Wymieniłem z Archiem znaczące spojrzenia. Pewnie wyglądałem na zadowolonego z siebie. Bo faktycznie byłem z siebie zadowolony i czułem, że mam do tego pełne prawo.

- Tak... to bez wątpienia pan Williamson.
- Moje zadowolenie prysnęło jak nożem uciął.
- Przepraszam... co pani powiedziała?
- Pytał pan, czy go poznajemy... – odparła Isa.
- I rozpoznałyśmy go – dodała Violet.
- To Henry Williamson, przyjaciel naszego taty.

Wziąłem zdjęcie i mu się przyjrzałem. Henry Williamson. Praworządny przyjaciel Dzentelmena Joego i jego rzekomy kumpel z czasu pierwszej wojny światowej.

- Jesteście pewne?
- Całkowicie.

Schowałem zdjęcie z powrotem do kieszeni.

Przez kilka minut bliźniaczki próbowały mnie namówić, że-
bym się skontaktował z ich ojcem, a kiedy się nie ugiąłem, przyjęły to z zaskakującym wdziękiem. Powiedziałem, że zatrzymuję połowę tego, co mi zapłaciły, i dałem im kopertę z resztą pieniędzy. Nie przyjęły jej, twierdząc, że naraziły mnie na wielkie niebezpieczeństwo, a w każdym razie na okropne przeżycia, więc ich zdaniem muszę zatrzymać całość. Przekonywaliśmy się nawzajem jeszcze przez chwilę, ale w tej kwestii one były uparte bardziej niż ja. Wychodząc, wciąż miałem przy sobie ich gotówkę.

Robert McKnight odprowadził nas do samochodu.

– Tak przy okazji, panie Lennox, uważam, że ma pan rację – powiedział. – Stale powtarzam dziewczętom, żeby przestały się grzebać w tym szambie. Jak pan mówił, gdyby Joe chciał się skontaktować, dołączyłby do pieniędzy jakiś list. Wiem, że one nie są zachwycone, ale chciałem panu podziękować za to, co pan zrobił. Kiedy to sobie przemyślą, będą szczęśliwe, wiedząc,

że ich ojciec wciąż żyje.

Na widok mojego samochodu jego oczy rozbłysły.

– Pański? – zapytał. – Ten atlantic?

– No.

– Panie Lennox, nie wciskam panu żadnego kitu. Naprawdę chciałbym się jakoś odwdziżyć za to, co pan dla nas zrobił, i za wszystkie kłopoty, jakich panu przysporzyliśmy. Za niewielką dopłatą... a może nawet i bez niej... mogę panu załatwić coś lepszego.

– Dzięki, Robercie, ale atlantic w zupełności mi wystarcza.

– Może i tak, ale te śmieszne reflektory i w ogóle... Jak mówiłem, chcę się odwdziżyć. Naprawdę, bez żadnej ściemy. Załatwię sprawę z szefem, nie będzie miał nic przeciwko. Proszę posłuchać, mam coś w sam raz dla pana... Roczny wolseley cztery-czterdzieści cztery, sedan. Szafirowy. Przebieg prawie żaden. Niemal nówka.

– Już mówiłem, atlantic w zupełności mi wystarcza.

Złapał mnie za ramię i zatrzymał. Spojrzałem na jego rękę, lecz jej nie cofnął.

– Niech pan posłucha, ja mówię serio. Nie wciskam kitu. Tego wolseleya spuszcza się za osiem czterdzieści cztery. A ściśle za osiemset czterdzieści cztery funty, pięć szylingów i dziesięć pensów. W zamian wezmę atlantica, a pan dopłaci tylko dwieście pięćdziesiąt funciaków.

– Ale dlaczego? – Taka transakcja nie miała sensu, chyba że wolseley był trefny albo handlarzom samochodów nagle zachciało się ponosić straty. Albo gryzły ich wyrzuty sumienia.

– Jak mówiłem, w dowód wdzięczności. Dziewczęta... my wszyscy byliśmy wstrząśnięci, kiedy usłyszeliśmy, co się stało... O tym, że ten facet próbował pana zabić. Niech pan to potraktuje jako premię. Już załatwiłem to z szefem. Nie ma w tym żadnych kruczków. – Podał mi wizytówkę z adresem i numerem telefonu autokomisu. – Proszę wpaść i obejrzeć go na miejscu. A na razie nakleję nalepkę, że jest zarezerwowany.

Spojrzałem na wizytówkę, a potem znów na McKnighta. Prostolinijna twarz nie wyrażała żadnych uczuć, a mimo to i tak wyglądała nieszczerze. Byłem ciekaw, który z szefów, kierownik

autokomisu czy Willie Sneddon, dał mu zgodę na tę transakcję, nawet nie sprawdzając stanu mojego atlantica.

– A ile by mi pan dał za morrisa ósemkę z czterdziestego siódmego? – zapytał Archie. McKnight znów przywołał swój zawodowy uśmiech handlarza.

– Niech pan podjedzie do komisju, jakoś się dogadamy.

Archie wzruszył ramionami. Wszyscy trzej wiedzieliśmy, że nie dostałby takiej propozycji, jaką mnie właśnie złożono. Nikt by jej nie dostał. Nie mogłem tylko wykombinować, czym sobie zasłużyłem na taką wdzięczność. W gruncie rzeczy ta hojność innych zaczynała mnie niepokoić, a im bardziej się nią niepokoiłem, tym bardziej skłaniałem się do pójścia za radą, którą dałem bliźniaczkom: darowanemu koniowi nie zagładać w zęby. Tyle że nawet bez pomocy McKnighta mogłem sobie kupić dziesięć takich wolseleyów, bo za wytropienie Paula Downeya i odzyskanie fotografii błyskawicznie zarobiłem kupę szmalu. Nigdy w życiu nie trafiła mi się taka łatwa forsa.

A to niepokoiło mnie niemal tak bardzo jak propozycja McKnighta.

Podrzuciłem Archiego do domu. Spytał, czy wpadnę na herbatę, ale odparłem, że mam robotę. Tak naprawdę musiałem pozbierać do kupy swoje życie, a raczej jego resztki. No i rozmówić się z moimi nowymi kumplami przy St Andrew's Square.

Archie już miał wysiąść z samochodu, lecz go zatrzymałem. Wyjąłem kopertę z kieszeni, odliczyłem stówkę w banknotach dwudziestofuntowych i mu je wręczyłem. Wyraz jego twarzy się nie zmienił, malował się na niej tradycyjny smutek, a kąciki ust jak zawsze opadały, za to brwi wyglądały, jakby wybrały się na wakacje na czubek jego łysiny.

– A to za co?

– Premia. Bardzo mi pomogłeś, Archie. Bez ciebie nie znalazłbym Billy'ego Dunbara.

Mięśnie jego twarzy zadrgały, jakby ktoś przepuścił mu przez policzki prąd zmienny. Uświadomiłem sobie, że próbował się

uśmiechnąć.

– Dzięki, szefie – rzucił.

– Nie ma za co.

Po drodze na komendę główną policji miejskiej w Glasgow przejechałem obok mojego domu. Nie zauważyłem przed nim jowetta javelina.

Zaskoczyło mnie, że tak łatwo dostałem się do nadinspektora śledczego McNaba, chociaż nie byłem umówiony. McNab zaprowadził mnie do nieużywanego gabinetu, a sam poszedł na poszukiwanie Jocka Fergusona. Jeszcze bardziej zdziwiłem się, że kazał młodej i ładnej posterunkowej, co zawsze uważałem za sprzeczność samą w sobie, przynieść tacę z trzema kubkami, garnuszkiem mleka oraz wielkim aluminiowym dzbankiem herbaty. Zawsze leciałem na mundury, więc zrobiłem wszystko, żeby przed powrotem McNaba wywiedzieć się o jej imię i zdobyć numer telefonu, pod którym mógłbym ją złapać.

Scena ocierała się o surrealizm: McNab, Jock Ferguson i ja gawędzimy jak stare baby przy herbacie i dietetycznych ciasteczkach. Głównie to ja gadałem. Wyjawilem im niemal wszystko, co wiedziałem, znowu pomijając szczegóły swojej wycieczki krajoznawczej do lasu. Powiedziałem im za to, że do Billy'ego Dunbara wybrałem się w towarzystwie Archiego, wiarygodnego świadka, który może potwierdzić, że kiedy odjeżdżaliśmy, Billy i jego żona byli cali i zdrowi.

Spodziewałem się, że zarzucą mi możliwy związek ze śmiercią Franka Gibsona, muskularnego *innamorato* Paula Downeya, ale Jock Ferguson albo nie powiązał Downeya z Gibsonem, albo zapomniał, że dopytywałem się o kogoś noszącego takie nazwisko.

Położyłem na biurku fotografię.

– Mógłbym przysiąc, że ten człowiek okaże się Dzentelmem Joe Strachanem, ale nie. To był jego znajomy. A raczej przyjaciel, niejaki Henry Williamson. Z tego, co słyszałem, jest uczciwy, a jednak mam pewność, że gość, który wypadł z mojego okna, pracował dla niego.

Dźgnąłem fotografię palcem. Miałem nadzieję, że ten wymowny gest zniechęci ich do dociekania, dlaczego właściwie podejrzewam człowieka ze zdjęcia o zlecenie napadu na mnie. McNab przyglądał się fotografii z marsową miną. Nabrałem złych przeczuć. Takich, jakie opadają nas, kiedy mąż kobiety, z którą właśnie figlowaliśmy, gapi się na szminkę rozmazaną na kołnierzyku naszej koszuli.

McNab podniósł słuchawkę aparatu telefonicznego na biurku, postukał w widełki, westchnął i bez słowa wyszedł z pokoju. Ferguson spojrział na mnie i wzruszył ramionami.

McNab wrócił, usiadł i znów wlepił wzrok w zdjęcie.

– Co jest, nadinspektorze? – spytał Jock Ferguson.

– Poprosiłem Jimmy’ego Duncana z archiwum, żeby do nas dołączył. Jest zatrudniony na pół etatu jako pracownik cywilny, ale jeszcze trzy lata temu był w czynnej służbie. Kiedy przyszedłem tu na staż, miał już wysoką pozycję. Nie ma takiej twarzy w Glasgow, do której nie potrafiłby dopasować nazwiska.

Przez pięć minut czekaliśmy w milczeniu, aż nagle wszedł zwalisty facet bez marynarki, w brzydkich okularach w rogowej oprawie i z grzywą siwych włosów. Dobiał sześćdziesiątki, lecz wyglądał na kogoś, z kim lepiej nie zadzierać.

– Co jest, Willie? – zapytał emerytowany posterunkowy, a obecnie urzędas od roboty papierkowej. Mówił takim tonem, jakby nadinspektor wciąż był jego praktykantem.

– Nie mamy w aktach ani jednej fotografii Joego Strachana, zgadza się? Ale ty go widziałeś, spotkałeś się z nim twarzą w twarz?

– No, Willie, spotkaliśmy się, ale to było trzydzieści lat temu i widziałem go tylko przez chwilę. Nie rozmawiałem z nim, nic z tych rzeczy...

McNab podał mu zdjęcie.

– Czy jest Joseph Strachan? Czy teraz może tak wyglądać?

Duncan długo wpatrywał się w człowieka na fotografii.

– Bo ja wiem, Willie...? Nie potrafię powiedzieć, naprawdę. Marna ta odbitka, a przez dwadzieścia lat ludzie bardzo się zmieniają.

– Powiedziano mi, że człowiek na tym zdjęciu nazywa się

Henry Williamson – wtrąciłem się. – Czy mówi panu coś to nazwisko?

Duncan spojrział na mnie, jakbym odezwał się do niego po albańsku. McNab skinął głową na znak, że archiwista może mi odpowiedzieć.

– Nie... – Duncan w zadumie pokręcił głową. – Nic mi to nie mówi. W każdym razie nie mamy go w kartotece.

– Jak mam to rozumieć?

– No cóż, niejaki Henry Williamson miał z nami kontakty na początku wojny. Był związany z obroną terytorialną. – Znów spojrział na zdjęcie. – Nie potrafię powiedzieć, czy to na pewno on. Widziałem go tylko raz, w dodatku przelotnie. Musiałem zawieźć nadinspektora Harrisona do Edynburga na konferencję poświęconą obronie terytorialnej. Do Craigiehall... wiecie, kwatery głównej wojska.

– Był z obrony terytorialnej, powiada pan? – włączył się Jock Ferguson. Nie podniósł wzroku znad herbaty; widziałem, że próbuje ukryć ciekawość za zasłoną obojętności. Miałem tylko nadzieję, że McNab nie przejrzał go równie łatwo jak ja.

– Zgadza się – przytaknął Duncan. – Jak mówiłem, nadinspektor Harrison był policyjnym łącznikiem z obroną terytorialną. Oczywiście wtedy był zwykłym inspektorem.

Ferguson zerknął na mnie beznamiętnie, ale zrozumiałem przekaz. Tego dnia, kiedy napadnięto mnie we mgle, tylko Willie Sneddon wiedział, że interesuję się Strachanem, ale on raczej nikomu o tym nie wspomniał, a także policjanci, wśród których Jock Ferguson zasięgnął języka.

A jednym z nich, jak mi powiedział, był nadinspektor Edward Harrison.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Opuszczając rano dom, wpadłem na Fionę White, która w tej samej chwili wyszła ze swojego mieszkania na parterze. Miałem jednak nieodparte wrażenie, że czekała z wyjściem, aż usłyszy na schodach moje kroki.

Odbyliśmy krótką, smutną rozmowę. Wciąż targały mną mieszane uczucia w związku z nią i nagłym pojawieniem się brata jej zmarłego męża, a może jego zamiennika czy kimkolwiek dla niej był. Ona z kolei próbowała wyrazić coś, czego do końca sobie nie przemyślała; podejrzewałem, że chciała mi dodać otuchy, ale oboje mieliśmy mętlik w głowie. W końcu wszystko, co działo się między nami, pozostawało niewypowiedziane, jeśli nie liczyć moich wynurzeń sprzed roku. A to bardziej niż cokolwiek innego sformalizowało nasze stosunki. Powiedziała mi, że James, jako stryjek dziewcząt, zwyczajnie się o nie troszczy, nic więcej. Odparłem, że w sumie to nie moja sprawa, co – jak zauważyłem – wyraźnie ją zabolowało.

Na tym zakończyła się nasza krótka rozmowa na schodach; ruszyłem do mojego atlantica, czując się jak ostatnia łajza. Nie ma co, dobry początek dnia.

Dotarłem do biura w samą porę, by wpuścić stolarza i szklarzy. Przez cały ranek wymieniali okno. Wcześniej nie pozwalało mi się tym zająć, ale kiedy już gliniarze zrobili zdjęcia i zbrali odciski palców, dostałem zgodę na zastąpienie tymczasowych desek nowym oknem. Do końca dnia moje biuro śmierdziało kitem, żywicą oraz uporczywym odorem potu robotników.

Wyjawszy notes, dokonałem szybkich obliczeń, jak stoję z zarobkami, które raczej nie dotrą do wiadomości urzędu skarbowego. Było tego dużo. Bardzo dużo. Za sprawę Johna Macready'ego dostałem absurdalnie wysokie honorarium. Irytowało mnie, że to obsypywanie niedorzecznie wielkimi sumami od

razu uruchamiało podejrzliwą stronę mojego charakteru. Irytowało mnie jak cholera. Ale nic nie mogłem na to poradzić.

Formalnie rzecz biorąc, nie prowadziłem już spraw Macready'ego ani Strachana. O włos uniknąłem długiego snu w płytkim leśnym grobie i miałem aż nadto pieniędzy, by urządzić się w życiu tak, jak tylko będę miał ochotę. Więc powtarzałem sobie: Lennox, czas, żebyś się stąd wyniósł. Sam.

Wyglądało jednak na to, że jestem równie głuchy na głos wewnętrzny jak na to, co podpowiadał mi instykt.

Dowiedziałem się od Donalda Frasera, że nazajutrz Macready i jego świta opuszczają miasto i wracają do Stanów Zjednoczonych. Zadzwoiłem więc do Leonory Bryson i spytałem, czy mogę ją zaprosić na kawę.

– Nie rozumiem, w jakim celu – odparła. – Niech ci się nie zdaje, że to, do czego doszło między nami, cokolwiek znaczy.

– Wierz mi, siostró, dałaś mi to do zrozumienia aż nazbyt jasno. Ale tu chodzi o interesy. Powiedzmy, że to krótki epilog naszego śledztwa.

Po jej głosie poznałem, że nie bardzo wiedziała, co robić, ostatecznie jednak zgodziła się na spotkanie. Ale w moim biurze.

Spóźniła się o kwadrans. Miała na sobie mniej oficjalny strój, podkreślający jej figurę. Domyślałem się, że wszyscy mężczyźni, których minęła podczas krótkiego spaceru z hotelu Centralnego, nosili teraz obroże. Zamiast kapelusza włożyła jedwabną wzorzystą chustkę.

– I cóż takiego chodzi panu po głowie, panie Lennox? – Udało jej się nasaczyć pytanie wyjątkową porcją znudzenia. Dla większego efektu powinna jeszcze zerknąć na zegarek, ale tego nie zrobiła.

– Szczerze mówiąc, chodzi o to, co mi leży na wątrobie. Znam taką jedną Marthę. Miła dziewczyna, ale nie potraktowałem jej zbyt dobrze.

– Próbuje mnie pan zaskoczyć? Czy zaciekawić?

– Owszem, myślę, że powinno cię to zainteresować. Potrakto-

wałem ją źle, bo wykorzystałem ją jako namiastkę kogoś innego. Kogoś, na kim bardzo mi zależy, ale z kim, szczerze mówiąc, nigdy nie będę. Przez telefon mówiłaś, że to, do czego doszło między nami, nic nie znaczyło. Ale znaczyło. I to bardzo wiele. Powiem ci, skarbie, że było w tym mnóstwo agresji.

Leonora Bryson wstała.

– Nie muszę tego wysłuchiwać. Od początku wiedziałam, że nie jesteś dżentelmenem, ale to już...

– Daruj sobie to oburzenie, Leonoro, i siadaj. Bo inaczej zasugeruję policji, żeby nie wpuściła cię jutro na pokład samolotu.

Nie odpowiedziała. Stała dalej, w wyzywającej pozie.

– Będąc z Marthą, uświadomiłem sobie, że ty potraktowałaś mnie w ten sam sposób. Przykro mi, Leonoro, naprawdę... Nie wyobrażam sobie, jak to jest, tak bardzo kochać kogoś, z kim się przebywa dzień w dzień, ze świadomością, że między wami nigdy do niczego nie dojdzie.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Ale usiadła z powrotem.

– Jesteś bezgranicznie, po uszy, do szaleństwa zakochana w Johnie Macready. Bóg mi świadkiem, że każdy mężczyzna pod słońcem padłby na kolana z wdzięczności za to, że zasłużył na uwielbienie takiej kobiety jak ty. Ale spójrzmy prawdzie w oczy, Macready pada na kolana w zupełnie innym celu. Kompletnie nie zwraca uwagi na twoje imponujące atrybuty. Traktuje cię jak powietrze. I nie dostrzega tego, że zrobiłabyś wszystko, byleby go ochronić.

– Z ciebie naprawdę jest łebski gość, Lennox. Obrzydliwy, nikczemny niegodziwiec.

– Zgoda – przyznałem. – Nie jestem odpowiednim człowiekiem, żeby bronić przymiotów swojego charakteru. Ale nie lubię zabijania tych, którzy na to nie zasługują. Na przykład takich jak Frank Gibson. Załatwiłaś tam nie tego faceta co trzeba, prawda? Nie wiem, jakich ludzi wynajęłaś do tej roboty, ale zawiadomiłaś ich zaraz po tym, jak zadzwoniłem do ciebie sprzed mieszkania Gibsona. Nie mogłaś na mnie polegać i wierzyć, że zabrałem absolutnie cały kram. Może mieli gdzieś jeszcze jedną

ciemnię, a w niej więcej negatywów i odbitek? Nie dopuściłabyś do tego, żeby ktoś skrzywdził mężczyznę, którego kochasz. Pozbądź się szantażysty, a pozbędziesz się groźby szantażu. Tyle że kiedy twoi ludzie tam dotarli, zastali tylko Franka. Podejrzewam, że gdy tylko wyszedłem, Paul Downey dał nogę. A ci, których wynajęłaś, pewnie cały czas próbują go wytropić.

– Czego chcesz, Lennox? – zapytała zimno. – Seksu? Więcej pieniędzy?

– Pieniądzy mam pod dostatkiem, dzięki. I chociaż sam nie wierzę w to, co mówię, daruję sobie seks. Co chyba będzie roztropne, dopóki na ostrym dyżurze nie zrobią oddziału dla ofiar wypadków w następstwie stosunku. Tak czy siak, nie masz się czym przejmować. Niczego nie zdołam udowodnić. Może policji by się udało, gdyby miała dość czasu, ale ja nie wyjawię twojego sekretu.

Za wszelką cenę starała się nie okazać po sobie ulgi.

– Wobec tego czego chcesz ode mnie?

– Trzech rzeczy. Nie wyobrażam sobie, żeby tak olśniewająco piękna kobieta jak ty krążyła w półświatku Glasgow w poszukiwaniu płatnych zabójców, więc chcę wiedzieć, kogo wynajęłaś do wyśledzenia i zabójstwa fotografa.

Milczała.

– Po drugie, chcę wiedzieć, czy twoi ludzie znaleźli Downeya, a jeśli tak, to czy nadal przerabia tlen na dwutlenek węgla. Jeżeli wciąż żyje, chcę znać miejsce jego pobytu, a przynajmniej wiedzieć, gdzie urwał się trop.

– A trzecia rzecz?

– Trzecia jest najbardziej osobista i oczekuję szczerzej odpowiedzi. Czy ten gość, który opuścił moje biuro przez okno, działał na twoje zlecenie? Czy zapłaciłaś mu, żeby mnie zabił?

– Nie.

– To by miało sens. Skąd mogłaś wiedzieć, czy nie wypaplam czegoś o Macreadym? A może zatrzymałem sobie kilka negatywów na wszelki wypadek? Przecież jestem świadomy, ile wytwórnia jest gotowa zabulić, żeby ochronić reputację swojego gwiazdora.

– Myślałam o tym, ale nie. Wszyscy wiedzieliśmy, że chociaż

masz na sumieniu różne ciemne sprawy, to nigdy nie oszukał-
byś klienta. Dlatego nie... nie mam nic wspólnego z tym, co tu
się stało.

– W porządku, wierzę ci. A wracając do moich poprzednich
pytań. Kto ci pomógł znaleźć najemnika?

– Fraser, adwokat.

– Fraser? – Nie udało mi się ukryć zdziwienia w głosie. A tak
dobrze mi szło odstawianie wszystkowiedzącego detektywa.
Choć tak naprawdę nie byłem pewny, czy w ogóle cokolwiek
wiem.

– On ma znajomości – powiedziała. – Z czasów wojny.

– Przecież Fraser służył w obronie terytorial... – Słowa za-
marły mi w ustach. Byłem tak głupi, że teraz sam miałem ochotę
wyskoczyć przez okno. – A czy Downey zginął? – spytałem.

– Nie.

– Wiesz, gdzie jest?

Nie odpowiedziała. Wyciągnęła rękę nad biurkiem i przysu-
nęła sobie telefon. Przy okazji mogłem obejrzeć jej wydatne
piersi w dekolcie jedwabnej bluzki. Stwierdziłem, że stanowczo
za szybko odrzucam propozycje i że krótki pobyt na oddziale
nagłych wypadków wcale nie byłby taki straszny.

Rzuciła kilka słów do słuchawki i zapisała coś w leżącym na
moim biurku notatniku. Na koniec kazała odwołać psy.

– Wytropili go pod tym adresem – powiedziała. – Nic złego
mu się nie stanie. Ale gdyby kiedykolwiek próbował sprzedać
zdjęcia Johna, to obiecuję ci, Lennox, że zadzwonię z drugiej
strony Atlantyku i podam moim ludziom dwa nazwiska.

Wstałem, obszedłem biurko i ponad jej ramieniem odczyta-
łem adres. Gdzieś w Bridgeton. Biedny chłop.

Złapałem Leonorę za rękę nad łokciem, poderwałem na nogi,
po czym mocno i szybko przeciągnąłem ją przez pokój tak, że
walnęła plecami o ścianę po drugiej stronie.

– Nie mam w zwyczaju bić kobiet, Leonoro. Ot, kolejne z mo-
ich małych dziwactw. Ale jeśli jeszcze raz spróbujesz mi grozić,
to choćbym musiał zjechać nie wiem ile kontynentów, znajdę
cię i stłukę do nieprzytomności. A potem przekażę policji
wszelkie możliwe dowody i zobaczymy, czy uda im się ciebie

dopaść. Zrozumiałaś?

Kiwnęła głową, lecz w jej oczach nie było cienia strachu. Szkoda gadać, twarda z niej sztuka. Puściłem jej ramię.

– I wyjaśnijmy sobie jeszcze coś. Jeśli usłyszę, że Paula Downeya spotkało coś złego... cokolwiek... to wszystko, co wiem, również trafi na policję – zapowiedziałem. – Może nie wystarczy tego, żeby cię oskarżyć, ale na pewno wybuchnie taki skandal, że cała ta sprawa, którą próbowałaś zatuszować, znajdzie się na czołówkach gazet całego świata.

Cofnąłem się. Niedobrze czułem się z tym, że tak ostro ją potraktowałem, lecz źle reaguję na groźby. Zresztą, zważywszy na poprzednie doświadczenia z Leonorą, prawdopodobnie uznała to za grę wstępną.

– I na koniec jedna drobna rada, panno Bryson – dodałem. – Stanowczo zalecam, żeby wsiadając jutro do samolotu, miała pani bilet w jedną stronę. Nigdy więcej nie waż się pojawić w Wielkiej Brytanii. Zrozumiano?

Zanim odpowiedziała, wyprostowała się, próbując odzyskać godność, choć tak naprawdę ani na chwilę jej nie straciła.

– Wyraziłeś się dostatecznie jasno, Lennox. Bez obaw, nigdy więcej nie zamierzam odwiedzić tego zasranego kraju.

– I jeszcze jedno – rzuciłem, kiedy zmierzała do wyjścia. – Ani słowa Fraserowi. Nie wolno ci go uprzedzić, że wiem o waszym układzie.

W progu odwróciła się do mnie i szybko skinęła głową. A potem znikła.

Siedziałem i gapiłem się przez okno na konstrukcję Dworca Centralnego z czarnego kamienia i żelaza, dumając nad tym, co się właśnie stało i czego się dowiedziałem. Wojna skończyła się dziesięć lat temu, lecz nadal odciskała swe piętno, rzucała cień na wszelkie aspekty życia. Nawet gdy Jock Ferguson zapytał starego emerytowanego glinę o Harrisona, nie pamiętałem, że Fraser służył w obronie terytorialnej.

Zastanawiałem się nad następnym ruchem, gdy ktoś wszedł do mojego biura, tak jak McNab, bez pukania. Może powinienem wywiesić stosowną tabliczkę.

– Witaj, Jock – rzuciłem. – Właśnie o tobie myślałem.

Podszedł i usiadł naprzeciwko mnie. Zauważyłem, że przy okazji zwrócił uwagę na adres zapisany w moim notatniku; z roztargnieniem rzucił na niego okiem, po czym zakrył go kapeluszem.

– Oddaję fotografię. – Podał mi kopertę. Zostawiłem mu i McNabowi zdjęcie Joego Strachana, Henry’ego Williamsona czy kogo tam przedstawiało, pod warunkiem, że po skopiowaniu zwrócą mi oryginał. Z ulgą przyjąłem to, że nie dopytywali się zbyt nachalnie, w jaki sposób wszedłem w jego posiadanie.

– Macie coś na tego faceta ze zdjęcia? – spytałem.

– Nic. Wciąż stanowi dla nas tajemnicę. Ale mam dobre wieści... i wiedz, że jak dotąd nie podzieliłem się nimi z nadinspektorem McNabem. Chyba namierzyłem kogoś, kto mógłby rzucić trochę światła na tę sprawę.

– O? Kto to taki?

– Stewart Provan.

– Chwileczkę... chyba kojarzę to nazwisko. – Pogrzebawszy w szufladzie, znalazłem list od bliźniaczek, z nazwiskami spisanyymi z kartki znalezionej pod meblami. Figurował na nim jako czwarta pozycja od góry. – Jak go znalazłeś?

– Czystym przypadkiem. Teraz występuje jako Stewart Reid. Dokonał prawnej zmiany nazwiska. Ale w przypadku byłych skazańców zawiadamiają nas o tym, tak jak o zmianie adresu. Dostałem namiary od starego Jimmy’ego Duncana, poznałeś go wczoraj. Powiedziałem mu, że chcę znaleźć każdego, kogo podejrzewano o współpracę z Joe Strachanem. Wyrzebał mi Stewarta Provana, co doprowadziło mnie do Stewarta Reida.

– Notowany od końca lat trzydziestych?

– Nie. Wrócił do uczciwego życia, tak samo jak Billy Dunbar.

Pokiwałem głową, nie dodając, że Dunbar na pewno nigdy więcej nie złamie prawa.

– I masz jego adres? – spytałem.

Ferguson z pobłażaniem skinął głową, podając mi kartkę z namiarami na Provana.

– Jestem ci bardzo wdzięczny, Jock.

Wzruszył ramionami.

– Tylko się nie wygadaj przed McNabem, że dałem ci cynk.

A skoro już o nim mowa, w co wy pogrywacie? Wygląda to, jakby cię wciągnął na listę płac. Powiedz, że tak nie jest. Chyba nie płaci ci z funduszu na kapusiów?

– Nie wygłupiaj się, Jock. Powiedzmy, że nadinspektor zaczął doceniać moje przymioty. A co sądzisz o tym związku z obroną terytorialną? Naprawdę wierzysz, że ten cały nadinspektor Harrison mógł puścić parę gościowi, który się na mnie zasadził?

– Nie wiem, Lennox, za to ty wiesz, że w zbiegi okoliczności wyjątkowo trudno jest uwierzyć. Z drugiej strony, nie sądzę, żeby wyższy funkcjonariusz policji miejskiej Glasgow świadomie pakował się w tak bzdurną historię.

Uniosłem brew tak wysoko, że nawet Archie byłby ze mnie dumny.

– Nie wszyscy bierzemy w łapę, nie każdy z nas się sprzedał – rzucił Jock obronnym tonem.

– Na pewno nie wszyscy. No nic, dzięki za adres, Jock. – Wstałem. Chciałem się pozbyć Fergusona. Nie miałem pojęcia, jak długo przerażony Paul Downey będzie pod adresem, który dostałem od Leonory Bryson.

– Nie ma za co. – Po jego tonie poznałem, że jest ciut urażony.

– Przepraszam, Jock... Chodzi o to, że mam coś do załatwienia. To pilne.

Odprowadziłem go na parter i wyszliśmy razem na główną ulicę. Potem skręciłem za róg, gdzie zaparkowałem atlantica i pojechałem do Bridgeton. Na miejscu kilkakrotnie minąłem podany adres, objeżdżając cały kwartał ulic, by się upewnić, że nie ma tu gangsterów, których Bryson nasłała na Downeya. Bo musiałem zapewnić Downeyowi bezpieczny kąć, zanim się zajmę Fraserem.

Chwilowo jednak miałem ważniejszy problem.

Pod adresem, który dostałem, mieściła się czynszówka, a raczej rudera, jak wszystkie okoliczne domy. Pozostawienie atlantica w pobliżu nie wchodziło w rachubę, głównie dlatego że gdybym to zrobił, nie miałbym po co wracać. A poza tym, w tej części miasta rzucił się w oczy na milę, więc szansa wy-

wiezienia Downeya niepostrzeżenie była mniej więcej taka, jakbym wywiesił transparent i bił w bębny. Pojechałem pół mili dalej, aż w końcu znalazłem stację kolejową, zostawiłem wóz na parkingu i wróciłem do czynszówki na piechotę. Trudno było się rozeznąć w numeracji domów, a wolałem nie pukać do drzwi z pytaniem, czy ktoś zna Downeya. Zresztą i tak mijając kolejne czynszówki odnosiłem wrażenie, że słyszę rytmiczny łomot bębnow w dżungli.

Rzecz jasna, mógłbym obserwować dom, ale minęłoby pewnie wiele godzin, zanim wystraszony Downey odważyłby się wystawić nos na zewnątrz. Poza tym, mógł się już stąd wynieść. Stałem na rogu, paląc papierosa i patrząc, jak bose dzieciaki puszczają zrobione z gazet łódki na opalizujących oleście kałużach po deszczu.

Właśnie postanowiłem zaryzykować i zapukać jednak do czyichś drzwi, gdy na końcu ulicy zobaczyłem Downeya taszczącego wielką brązową torbę z zakupami ze sklepu spożywczego. Nie zauważył mnie, więc schowałem się za róg i czekałem, aż do mnie podejdzie.

Było mi autentycznie szkoda tego faceta. Gdy skręcił za węgiel, wyglądał, jakby się nadział na Ponurego Żniwiarza, za którego z pewnością mnie uważał. Przyśpieszył, jak gdyby miał zamiar uciec, lecz złapałem go za ramię i pchnąłem na ścianę. Upuścił torbę z zakupami na bruk.

– Zabiłeś go! – krzyknął. – Zabiłeś Franka! A teraz chcesz zabić mnie!

Dzieciaki przerwały zabawę w rynsztoku i zaczęły się nam przyglądać, lecz ich umiarkowana ciekawość świadczyła o tym, że znają takie rzeczy na pamięć.

– Przestań się drzeć, Paul – powiedziałem cicho i spokojnie. – Bo jeśli nie, będę ci musiał przylać, a nie chcę tego robić. Nic złego ci nie zrobię, tak samo jak nie zrobiłem Frankowi. – Zmarszczyłem czoło. – No, zgoda... może i dałem mu po pysku, ale nie ja go zabiłem. I nic mnie nie łączy z tymi, którzy to zrobili. Dotarło?

Gwałtownie pokiwał głową, ale widać było, że ze strachu wcale mnie nie słuchał.

– Paul... – powiedziałem cierpliwie. – Musisz zrozumieć, co do ciebie mówię. Nie chcę ci zrobić krzywdy. Możesz mi wierzyć lub nie, ale jestem tu, żeby ci pomóc. Zapewnić ci bezpieczeństwo. Rozumiesz?

Znowu pokiwał głową, lecz tym razem moje słowa do niego dotarły. Na jego twarzy odmalowała się podejrzliwość. Puściłem go.

– Chcę ci pomóc, Paul... skończyć z tą krwawą jatką i wyprostować sprawy tak, żebyś nie musiał już uciekać. Ale przede wszystkim chcę z tobą porozmawiać, żeby lepiej zrozumieć, co jest grane. Pójdziemy do ciebie?

– Mieszkam z przyjacielem. Tam nie możemy rozmawiać. – Jego mina i ton znów były pełne podejrzliwości.

– Zgoda... – Pozbierałem i wręczyłem mu jego zakupy. – Zaparkowałem samochód na stacji. Możemy pogadać po drodze.

Dałem Downeyowi jego torbę w charakterze balastu, ewentualnie znaku ostrzegawczego: gdyby ją nagle upuścił, wiedziałbym, że rzuca się do ucieczki. Jednak po drodze słuchał mnie uważnie, gdy opowiadałem o tym, że moja rola miała się ograniczyć do odzyskania negatywów i odbitek zdjęć Johna Macready’ego. Okłamałem go, mówiąc, że o zabójstwo Franka podejrzewam ludzi pracujących dla aktora albo na zlecenie księcia chcącego chronić syna. Oczywiście doskonale wiedziałem, że była to sprawka Leonory Bryson oraz mecenasa Frasera, który zorganizował zabójstwo.

Gdy dotarliśmy do mojego samochodu, kazałem mu wsiąść. Zrobił to, dopiero gdy się uważnie rozejrzył. Sam też rzuciłem okiem na okolicę i zająłem miejsce obok niego. Kiedy tak siedział, mały, wąty, kurczowo ściskając pogniecioną torbę z zakupami, wyglądał jak dziecko, nie mężczyzna.

– Po co się wpakowałeś w tę aferę, Paul? – zapytałem. – Nie nadajesz się do takich rzeczy.

– Najpierw to był pomysł Franka. Potem Iain wymyślił plan, jak oskubać Macready’ego. W życiu bym nie przypuszczał, że ludzie zaczną przez to ginąć. Nie wiedziałem, że Frank...

Urwał i wybuchł płaczem. Odwróciłem wzrok, zażenowany, wyglądając przez okno. Próbowalem się na niego nie wkurzać

za to, że wprowadził mnie w zakłopotanie. Po jakimś czasie przestał chlipać.

– Słuchaj, Paul – powiedziałem. – Nie sądzę, żeby chodziło tu tylko o zdjęcia Macready’ego. Moim zdaniem wszedłeś w posiadanie czegoś cennego i niebezpiecznego, chociaż nie zdajesz sobie z tego sprawy. – Sięgnąłem do kieszeni marynarki po kopertę, którą dostałem od Fergusona. Wyjąłem zdjęcie i podałem Downeyowi. – Pamiętasz je? – spytałem. – Moim zdaniem z powodu tej fotografii grozi ci o wiele większe niebezpieczeństwo niż z powodu afery z Macreadym. Sądzę, że przedstawia kogoś, kto za wszelką cenę stara się, żeby ani jego twarz, ani nic, co go dotyczy, nie zostało nigdzie utrwalone.

– Kto to jest? – zainteresował się Downey.

– W moim najgłębszym przekonaniu ten człowiek nazywa się Joe Strachan, chociaż wszyscy próbują mi wmówić, że to nie on. Chcą, żebym uwierzył, że to niejaki Henry Williamson, nie wiadomo jednak, czy taki ktoś w ogóle istnieje. Nie rozumiem tylko, dlaczego ci ludzie okłamują mnie w tej sprawie. – Pomyślałem o reakcji bliźniaczek, a raczej jej braku, gdy pokazałem im zdjęcie.

– Nazwisko nic mi nie mówi – odparł Downey. – Nic nie wiem o tym człowieku, po prostu podano mi jego rysopis i kazono zrobić mu zdjęcie.

– Wynajął cię ten facet, o którym mówiłeś? Ten, który przedstawił się jako Paisley?

– Tak.

– Jak do ciebie trafił?

Downey wystraszył się. A raczej jeszcze bardziej się przeraził.

– Nie powiedziałem panu wszystkiego – wyznał z taką miną, jakby się spodziewał, że go pobiję.

– W porządku, Paul – uspokoiłem go. – Powiedz mi teraz.

– Pan Paisley pojawił się, kiedy instalowaliśmy aparat fotograficzny w domku. Wie pan, tak jak prosił nas Iain, żebyśmy mogli zrobić zdjęcia jego z Macreadym. Jakimś cudem ten Paisley dowiedział się o tym, co szykujemy. Zagroził, że jeśli nie wykonamy jego rozkazu, to zawiadomi policję o tym, co kombinujemy. Jeszcze powiedział, że wie o moich długach hazardo-

wych i komu wiszę pieniądze. Obiecał, że mnie od tego uwolni, załatwi sprawę z lichwiarzami i nie będzie się domagał zwrotu długu.

– Wychodzi na to, że był świetnie poinformowany.

– Wiedział o wszystkim. Mówił, że daje nam wolną rękę z naszym planem, więc zatrzymamy wszystko dla siebie, bez potrzeby dzielenia się forszą z lichwiarzami.

– A nie chciał doli dla siebie, procentu od transakcji?

Downey roześmiał się.

– Na ile się zorientowałem, dla niego byłyby to marne grosze. Przyjechał olbrzymim bentleyem, a jego ubranie kosztowało krocie.

– Był sam?

– Tak.

– I pojechałeś z nim, tak po prostu?

– Tak. Nawet pomimo tego ubrania i samochodu widać było, że lepiej z nim nie zadzierać. Wyglądał na twardziela. I to niebezpiecznego. Miał bliznę na policzku, taką jak po walce na brzytwy.

– Na prawym czy lewym?

Downey zastanawiał się przez chwilę.

– Na prawym. A poza tym poszliśmy na to, bo zapowiadał się łatwy szmal. I tak już przebywaliśmy na terenie posiadłości, a ten Paisley mówił, że człowiek, którego mam szukać, pojawi się tam w ciągu kilku dni.

– I miałeś tylko zrobić mu zdjęcie?

– Tylko tyle. Najlepsze, jakie zdołam. Paisley zapowiedział, że świetnie nam zapłaci, ale jeżeli komuś o tym powiemy, to już po nas. Myśli pan, że to on zabił Franka?

– Szczerze? Nie, nie sądzę. Powiedz, Paul, czy to możliwe, żeby ten gość, którego sfotografowałeś, jakoś cię zauważył? I wiedział, że zrobiłeś mu zdjęcie?

– Nie. W każdym razie nie przypuszczam.

– Ja też nie – przytaknąłem, przypominając sobie, z jakim trudem wymknąłem się w lesie temu samemu gościowi oraz jego zbirom, i to pomimo lat szkolenia w wojsku i doświadczenia w walce.

– Co teraz? – spytał Downey.

– Na jakiś czas musisz zniknąć. I nie wracać na stare śmieci. Ci, którzy cię ścigają, niedługo by tu dotarli. Znajdziemy ci jakąś kryjówkę za miastem. Ale masz się nie wychylać, czy to jasne?

– Jak słońce.

Largs leżało na wąskim pasku wybrzeża wciśniętym między morze a olbrzymią skalistą, wznoszącą się stromo grań zwaną Haylie Brae. Pogoda była okropna, w lejącym jak z cebra deszczu wszystko lśniło różnymi odcieniami szarości.

Przed ruszeniem w drogę wzdłuż wybrzeża Ayrshire do Largs nigdzie nie zadzwoniłem i nikogo nie poprosiłem o pomoc czy radę. Nawet Archiego. Nie miałem pojęcia, dlaczego zdecydowałem się akurat na Largs. No i dobrze, nikt nie zdołałby logicznie poskładać ciągu wydarzeń, który doprowadził do mojego przypadkowego wyboru. Podejrzewam jednak, że stała za tym jakaś logika. Kołatało mi się po głowie, że nadmorski kurort jest wymarzonym miejscem na anonimowe zakwaterowanie się na krótki, nieokreślony czas, i coś mi mówiło, żeby wybrać jeden z licznych pensjonatów przy promenadzie. Martwiło mnie tylko to, że większość właścicielek pensjonatów w Largs wymagała dyscypliny i stosowania się do przepisów w takim stopniu, że starszy sierżant nadzorujący wojskowy karcer wychodził w porównaniu z nimi na luzaka. A dwóch mężczyzn wynajmujących pokój poza sezonem, zwłaszcza jeśli jednym z nich był Downey, mogło zwrócić na siebie uwagę policji.

Po wojnie wśród Brytyjczyków odrodziła się namiętność do wakacji w przyczepach kempingowych, które zyskały popularność w latach trzydziestych. Teraz przy kurortach nadmorskich i w górskich ośrodkach specjalne pola dla przyczep wyrastały jak grzyby po deszczu. Urlopowicze mogli sobie siedzieć w tłoku i patrzeć na deszcz, zamiast przyglądać się ulewie ze swoich zatłoczonych domów. Na swój sposób chyba ich rozumiałem. Wyjazdy zagraniczne, do których tak wielu obywateli zmuszono w minionej dekadzie, zapewne zabiły w narodzie zamiłowa-

nie do podróży.

Wpadłem na ten pomysł, gdy dojeżdżaliśmy do Largs krętą nadmorską drogą. Na wielkim otwartym terenie między Skelmorlie a Largs, u stóp urwiska, powstał kemping z przyczepami. Podjazd prowadził do domku z napisem „Recepcja”. Połowę pola za nim zajmowało z dziesięć, dwanaście identycznych dwukolorowych klocków, ustawionych w szeregach, wychodzących na morze i mającą w oddali wyspę Arran. Druga połowa, obok identycznych przyczep kempingowych, była w większości pusta, stały na niej tylko dwie, dużo większe przyczepy. Domyśliłem się, że jedna część przeznaczona jest dla gości z własnymi przyczepami, a na drugiej stały te do wynajęcia. Naprzeciwko recepcji królowała spora willa z czerwonego piaskowca.

Kazałem Downeyowi nie ruszać się z samochodu, a sam poszedłem do biura kempingu. Nikogo nie zastałem, ale nad wielkim dzwonkiem, takim, jakimi posługiwali się heroldowie w Starym Świecie, wisiała tablica z napisem: JAK NIE MA NIKOGO, NIE WSKAKUJ NA KOŃ, TYLKO MNIE PODNIEŚ I DZWOŃ.

Tak też zrobiłem.

Po chwili z willi nadeszła kobieta pod czterdziestkę, tak szybko, jak pozwalały jej na to wysokie szpilki i wążutka spódnica. Ta szatynka o jasnoszarych oczach posłała mi uśmiech mówiący, że jestem jej specjalnym gościem. To zawsze ułatwiało sprawy, więc meldując się, poflirtowałem z nią trochę. Wyjaśniłem, że w przyczepie będzie mieszkał głównie mój młody przyjaciel, który zachorował, ale morskie powietrze pomoże mu wrócić do zdrowia.

– Mamy tu wielu takich z Glasgow – odparła, poważnie kiwając głową i przez cały czas patrząc mi prosto w oczy. – A pan, panie Watson, w ogóle tu się zatrzyma? – zapytała, odczytując fałszywe nazwisko, które wpisałem do księgi meldunkowej. – Przy okazji, nazywam się Ethel Davison – dodała.

– Nie miałem tego w planach – powiedziałem z udawanym drapieżnym uśmiechem, ściskając jej wiotką dłoń. – Ale może powinienem doglądać przyjaciela.

– Zajmiemy się nim. Ja przebywam tu przez cały czas, a mąż wtedy, kiedy nie jest w robocie. Pracuje na nocną zmianę – wyjaśniła uprzejmie.

– Nie przejmowałbym się zbyt moim przyjacielem. Ma stertę książek i potrzebuje samotności nie mniej niż morskiego powietrza. Dlatego wybrałem pani kemping. Ma tu pani naprawdę śliczny teren. – Z uznaniem wyjrzałem przez okno na morze, w chwili gdy drogą przejechała z hurgotem ciężarówka z piwem.

Kobieta ucieszyła się, że zapłaciłem za tydzień z góry.

– Gdyby pański przyjaciel miał ochotę zostać dłużej, o tej porze roku nie będzie z tym problemu – zapewniła. – A gdyby również pan chciał przyczepę dla siebie, mogłabym zaproponować specjalną zniżkę.

Uśmiechnąłem się, zapewniłem, że nie jest to konieczne, ale obiecałem, że regularnie będę go odwiedzał. Prawdopodobnie wieczorami.

Pokazała mi, gdzie znajdują się wspólne ubikacje oraz pralnia, a potem zaprowadziła mnie do przyczepy. Podobnie jak pozostałe, ta również była kremowa na górze i czarna na dole, z płaskimi bokami, chociaż wybrzuszała się w części przedniej i tylnej. W środku czysta, nadal pachniała nowością. Z jednej strony stało siedzisko w kształcie podkowy. Ethel pokazała mi, w jaki sposób się rozkłada, tworząc łóżko. Bez trudu mógłbym ją namówić, żeby mi pokazała coś więcej, ale Downey czekał w samochodzie, a ja miałem na głowie mnóstwo spraw.

Kiedy już ulokowałem go w przyczepie, pojechałem do Largs po prowiant i kilka książek w wydaniu kieszonkowym. Ostrzegłem, żeby nie łąził dalej niż do kibla, zapowiedziałem, że będę do niego zaglądał, po czym zostawiłem go samego.

Z poczty w Skelmorlie zadzwoniłem do biura Williego Snedona, gdzie powiedziano mi, że wyszedł i tego dnia już nie wróci. Spróbowałem złapać go w domu, lecz żona poinformowała mnie, że spodziewa się go dopiero późnym wieczorem. Przedstawiłem się jej i obiecałem, że zadzwonię później. Przyszło mi

do głowy, żeby zajrzeć do kilku jego lokali, a nuż gdzieś go zastanę, postanowiłem jednak odłożyć to na później.

Miałem inne sprawy do załatwienia.

Adres, który dostałem od Jocka Fergusona, prowadził do Torrance: ponurej dziury na północ od Glasgow, ze dwie godziny jazdy z Largs. Stewart Provan mieszkał w pozornie drogim, kamiennym parterowym domu, jakich pełno w każdej szkockiej mieścinie. Stanowią one dowód na to, że właściciele są ludźmi materialnie niezależnymi, za to pozbawionymi wyobraźni i ambicji. Była to architektura miernoty. Podejrzewałem, że w przypadku Provana jest to także sposób na zachowanie anonimowości.

Otworzył mi drzwi osobiście. Wyglądał na niewiele ponad pięćdziesiąt lat, ale wiedziałem, że ma co najmniej sześćdziesiątkę. Był ubrany w kraciatą koszulę i granatowy rozpinany sweter, typowy uniform brytyjskiej niższej klasy średniej, ale jego twarz jakoś mi nie pasowała. Żadnych blizn, złamanego nosa czy pokiereszowanych uszu, jedynie twarda mina, mówiąca, że lepiej z nim nie zadzierać. Wydawało mi się, że widząc mnie w progu, lekko się przygarbił, a na jego obliczu pojawił się wyraz rezygnacji. Po raz kolejny odniosłem wrażenie, że ktoś tu się spodziewał mojego przybycia.

– Tak? – bąknął, zerkając na ścieżkę ponad moim ramieniem i obrzucając wzrokiem stojący na ulicy samochód, jakby sprawdzał, czy na pewno jestem sam.

– Pan Provan? Chciałbym zamienić z panem słówko, jeśli można.

– Tutaj czy... – Ruchem głowy wskazał samochód.

– Może być tutaj – uspokoiłem go, zastanawiając się, za kogo mnie wziął, skoro przypuszczał, że zawłokę go do samochodu. Na pewno nie za policjanta. – Zakładam, że wie pan, w jakiej sprawie tu jestem? – Postanowiłem grać tym nieporozumieniem.

– Wiem. Czekałem na pana. Odkąd wyłowili te kości. Niech pan wejdzie. – Odstąpił na bok, jeszcze bardziej garbiąc się z rezygnacją. Minąłem go i wszedłem do holu.

Coś walnęło mnie z taką siłą, że poleciałem do przodu przez

pół korytarza i wylądowałem twarzą na podłodze, przewracając stojak na parasole i rozsypując dookoła jego zawartość.

Po przenikliwym bólu poznałem, że kopnął mnie w krzyż. W mgnieniu oka rzucił się na mnie, przyszpilając mnie do podłogi kolanem i uciskając mi kręgosłup dokładnie w tym miejscu, w które mnie uderzył. Wsunął przedramię pod moją szyję, zgiął i zaczął mnie dusić. Odciął mi dopływ powietrza, tak że zostało mi raptem kilka sekund, zanim światła zgasną. Odszukałem jego dłoń, złapałem go za mały palec i szarpnąłem z całej siły. Wiedziałem, że wybiłem mu go ze stawu, lecz on z kolei wiedział, że za kilka sekund odpłynę, więc nie zwracał uwagi na ból. Dopiero kiedy mocno wykręciłem mu wybity palec, nie mógł dłużej tego znieść. Zmniejszył nieco ucisk i to wystarczyło, żebym zdołał się obrócić i zrzucić go z siebie. Cisnąłem nim o ścianę, potem jeszcze raz, co pozwoliło mi przykleknąć na jedno kolano. Moja ręka opadła na solidną laskę, która wypadła ze stojaka; chwyciłem ją, zamachnąłem się na oślepa i trafiłem w cel. Odwróciłem się i przyłożyłem mu ponownie, tym razem w skroń. Laska była za lekka, żeby pozbawić go przytomności, ale po kilku następnych ciosach gość był dostatecznie ogłuszony, bym zdołał się zerwać na nogi.

Wyrwałem zza paska webleya i wycelowałem w niego. Leżał bezwładnie na podłodze, na wpół oparty o ścianę i gapił się na mnie dziwnym wzrokiem. Z czymś w rodzaju rezygnacji, a jednocześnie pogardliwie i wyzywająco. Uważał, że jestem jego katem.

– Żona? – spytałem. Wiedziałem, że nikogo innego w domu nie ma, bo narobiliśmy takiego rabanu, że wszyscy dawno by się zlecieli.

– Nie żyje. Od siedmiu lat.

– Jesteś sam?

Skinął głową.

– Kończ z tym – powiedział.

– Myślisz, że przysłał mnie Joe Strachan, co? – rzuciłem.

– Duchy nie wysyłają zabójców, no nie? – Roześmiał się cicho, z goryczą. – Myślałem, że załatwi mnie osobiście. Tak jak innych. Wiedziałem, że to była jego robota. Zawsze o tym wie-

działem.

– Nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz – rzekłem.

Zmarszczył czoło, patrząc, jak spuszczam kurek webleya i chowam broń za pasek. Widziałem, że nie bardzo wie, co robić, więc nadal trzymałem rękojeść rewolweru.

– Więc kim jesteś?

– Frajerem. Frajerem, którego wynajęto, żeby odkrył, jak to właściwie jest z Joe Strachanem, chociaż sędzę, że tak naprawdę miałem tylko namącić ludziom w głowach. W każdym razie nie przyjechałem cię zabić ani zabrać na przejażdżkę w bagażniku mojego samochodu, nie jestem też gliną. Więc może spuścimy trochę pary?

Skinął głową, lecz ja nadal nie zdejmowałem ręki z broni. Zażądało mi, że chyba trafiłem na żyłę złota.

– Niebrzydki ten twój domek – powiedziałem. – Pewnie kosztował cię trochę grosza. Zakładam, że kupiłeś go za swoją działkę ze skoku na Wystawę Imperium?

Provan otarł krew z nosa i znów się roześmiał. Z goryczą. Domyśliłem się, że nie potrafi śmiać się inaczej.

– Nie dostałem za tamtą robotę ani pensa – odparł. – Nawet złamanego pensa.

– Ale wchodziłeś w skład ekipy?

– Coś ty za jeden, do kurwy nędzy?

– Lennox. Jak mówiłem, jestem prywatnym detektywem. Dzieciaki Strachana wynajęły mnie, żebym się dowiedział, co się stało z ich ojcem.

– Dzieciaki? Które?

Zmarszczyłem czoło.

– Co znaczy które?

– Dżentelmen Joe żadnej nie przepuścił. Po całym kraju pełno jest bękartów Strachana.

– Te są z prawego łoża. Jego córki bliźniaczki.

Provan popatrzył na mnie, jakby się zastanawiał, ile prawdy jest w moich słowach.

– Czy mogę wstać z podłogi? – zapytał.

– Jasne – zgodziłem się. – Tylko bez żadnych numerów. Nie stanowią dla ciebie zagrożenia i chciałbym, żeby to działało

w obie strony.

– Niech będzie. – Podniósł się. – Nic ci się nie stało? – zapytał, ruchem głowy wskazując moją rękę. Spojrzałem w dół: po grzbiecie dłoni spływała mi krew. Domyśliłem się, że w trakcie szamotaniny pękł mi szew albo dwa na ranie po cięciu nożem. Uznałem, że naprawdę powinienem się zastanowić nad zmianą fachu. Może Bobby McKnight załatwi mi posadę handlarza samochodami z drugiej ręki.

– Przeżyję. Nawiasem mówiąc, to prezent od faceta w typie komandosa, który miał mnie zniechęcić do prowadzenia śledztwa. Przypuszczam, że to jego się spodziewałeś.

– Chodź do kuchni. – Provan ruszył przodem. – Chyba przyda nam się szklaneczka czegoś mocniejszego.

Wychodząc z założenia, że gdzieś na świecie na pewno była już pora na darmowe drinki, zgodziłem się i poszedłem za nim. W kuchni Provan zdjął z półki dwa kubki bardziej nadające się do mleka niż do whisky. Poprosił, żebym usiadł przy stole. Była to typowa kuchnia wdowca: po kawalersku spartańska, ze smutnymi, ledwo widocznymi minionymi śladami kobiecej ręki.

– Może być mieszana whisky? – zapytał, sięgając do kredensu.

– W obecnym stanie ducha i ciała nie pogardzę żadnym alkoholem. – Oparłem niezakrwawioną dłoń na rannym przedramieniu. Będę musiał wrócić do szpitala. Kiedy podniosłem wzrok, patrzyłem prosto w czarne oczy obrzyna. Jak nic Provan zatrzymał go sobie na pamiątkę dawnego życia. Podobno komik Max Bygraves wciąż przechowywał swoje narzędzia stolarskie. Miło mieć zawód, do którego można wrócić.

– No dobra, Lennox, połóż obie ręce płasko na stole. – Provan mówił kategorięcznym tonem, ale bez zbędnego wzburzenia. – Nikomu nic się nie stanie, ale wybij sobie z głowy pomysły, że zawleciesz mnie na policję albo dostarczysz Strachanowi, jeżeli drań naprawdę żyje.

– A dostanę tę whisky czy nie?

Uśmiechnął się, lecz uśmiech nie pasował do jego twarzy, jakby Provan wyszedł z wprawy. Celując we mnie z obrzyna, wolną ręką nalał dwie potężne porcje whisky do kubków.

– Na mój gust grasz uczciwie – oświadczył, wychyliwszy potężny haust; nawet się przy tym nie skrzywił, co było godne podziwu: pierwszy łyk taniej mieszanej whisky przyprawił mnie o skurcz zwieracza. – Czytałem o tobie w prasie. Czy ten gościu... ten, co to skoczył na główkę z twojego okna...?

– To był on. To się musiało tak skończyć. Gdyby nie wyleciał, padłoby na mnie. Nie brał jeńców. Posłuchaj... – Pochyliłem się, a lufa obrzyna podążyła w ślad za mną. Wykonałem taki gest, jakbym go chciał udobruchać. – Spokojnie. Jak mówiłeś, nikomu nic się nie stanie. Właśnie zamierzałem ci powiedzieć, że potrzebna mi twoja pomoc w tej sprawie. Nie mogę cię zmusić do gadania i nie mam jak cię przekonać, że nie powtórzę gli-nom tego, co mi powiesz. Masz na to tylko moje słowo. Ale im więcej się od ciebie dowiem, tym bardziej pomoże mi to doprowadzić sprawę do końca.

Kolejny zgorzkniały śmiech.

– Nie masz najmniejszej szansy, Lennox. Miałeś fart, że przeżyłeś atak za pierwszym razem. Ale przy następnym już ci się tak nie pofarci. A mnie już przy pierwszej próbie dopadnie pech.

– I co zamierzasz z tym zrobić?

– Nie wiem. Z początku myślałem, żeby zwiać. Uciec i gdzieś się zadekować. Wziąć adwokata, żeby sprzedał ten dom w moim imieniu. Potem uznałem, że ucieczka nie ma sensu, bo i tak mnie znajdą. Postanowiłem siedzieć na tyłku i czekać na swój los. Ale kiedy się pojawiłeś, wrócił mi instynkt przeżycia.

– No, zauważyłem – powiedziałem. – Mogę zapalić?

– Tak, tylko żadnych gwałtownych ruchów. Ten gnat ma podpiłowany spust, a nie chce mi się odnawiać kuchni.

Stosując się do polecenia, powoli wyjąłem z kieszeni marynarki paczkę playersów. Poczęstowałem go, ale odmówił ruchem głowy.

– Opowiedz mi, co się wtedy stało – zaproponowałem, gdy przypaliłem papierosa i zgasilem zapalniczkę. – Wszystko, zaczynając od kradzieży.

– Po kiego?

– Bo w ten sposób pomożesz mi, a przy okazji może i sobie.

Dla mnie to sprawa osobista, więc chcę mieć pewność, że jeśli stoi za tym Strachan, a wszystko wskazuje na niego, to dostanie za swoje. A jeżeli oberwie, ciebie nic złego nie spotka, rozumiesz?

– Rozumiem. Co chcesz wiedzieć?

– Wspomniałeś o pozostałych... Kim oni byli? I co się z nimi stało?

– Johnny Bentley, Ronnie McCoy i Mike Murphy. To reszta członków ekipy. Razem odwaliliśmy kradzieże znane jako hat-trick.

– Co? Młot Murphy wchodził w skład gangu?

– Nie, to był inny Michael Murphy. Młot Murphy nie miał za grosz rozumu i finezji, jakiej wymagał od nas Dżentelmen Joe.

– Pojmuję – mruknąłem. Jak widać, niepotrzebnie naraziłem się na nieprzyjemność przebywania w towarzystwie Młota. – I co się z nimi stało?

– Wszyscy nie żyją. Zginęli po kolei, w ciągu kilku lat. Bentley miał kraksę, a McCoya przejechał kierowca, który uciekł z miejsca wypadku. Mike Murphy zaginął tej nocy, kiedy dzieliliśmy łup, więc stawiam ostatni grosz, że on też nie żyje.

– Chcesz powiedzieć, że żaden nie odszedł spokojnie we śnie?

– Policja nie powiązała ich zgonów, bo nie miała pojęcia, że należeli do gangu z wystawy, jak ochrzciła nas prasa. Zresztą ten, kto ich załatwił, wcale się nie śpieszył: śmierci Bentleya i McCoya dzieliło pięć lat, a McCoya i Murphy'ego sześć. Zostałem tylko ja.

– I twoim zdaniem to Strachan załatwił tamtych trzech?

– Niekoniecznie. Nawet nie wiem, czy on wciąż żyje. Widzisz, do gangu należał jeszcze jeden gość.

– Synek?

– Wiesz o nim? – Provan był autentycznie zaskoczony.

– Tyle co wszyscy, czyli niewiele.

– No cóż, jeśli nie Strachan zabił chłopaków, to załatwił ich Synek. – Provan opróżnił już swój kubek kilkoma haustami, ale whisky wyraźnie na niego nie działała. – Chyba powinienem zacząć od tego, co wydarzyło się podczas skoku na Wystawę Imperium...

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Zanosiło się na dłuższą nasiadówkę, a nie lubię, jak ktoś celuje do mnie ze strzelby. To przesąd oparty na tym, że broni palnej zdarza się wystrzelić nawet wtedy, gdy ten, kto ją trzyma, nie zamierza z niej wypalić. Podczas wojny widziałem zbyt wielu żołnierzy postrzelonych przez swoich tylko dlatego, że ktoś zapomniał zablokować bezpiecznik albo nieostrożnie wywijał bronią. Wyjaśniłem swoje obawy Provanowi, przypominając też, że nie uśmiecha mu się perspektywa odnawiania ściany za moimi plecami, na co zgodził się odłożyć obrzyna, pod warunkiem że będę trzymał ręce na widoku. Usiadł naprzeciwko mnie przy stole i zaczął snuć wspomnienia.

– Zakładam, że pamiętasz wystawę?

– To nie moje czasy. Przyjechałem do Glasgow po demobilizacji. Ale zdaje się, że to był grubszy numer.

– No. Jeszcze jaki. Wpakowali w nią tony szmalu. Próbowali tym czegoś dowieść, tylko za diabła nie pojmuję czego. Przez kryzys Glasgow nieźle dostało w dupę, więc może postanowili nas przekonać, że nie wszystko jest do bani i nie spędzimy reszty życia w nędzy. Poza tym, w trzydziestym ósmym każdy wiedział... znaczy się, każdy oprócz Neville'a Chamberlaina... że Hitler będzie mieszał tak długo, aż wybuchnie druga wojna światowa. To wciskanie kitu o chwale imperium... Moim zdaniem próbowali nam wmówić, że będzie lepiej, a jednocześnie wszystko zostanie po staremu. Że zawsze będziemy mieli kolonie i dominia, a Glasgow będzie sercem całego interesu.

Tak czy owak, zbudowali w parku Bellahouston ten cały lipny świat. Większość wyglądała jak z filmu H.G. Wellsa *The Shape of Things to Come*, a reszta jak z pieprzonego *Brigadoon* czy innej szmiry. Taka jakby wymyślona, romantyczna Szkocja z jeziorem, zamkiem i góralską wioską. W każdym razie Joe Strachan przeczytał o tym na samym początku, kiedy rzecz była do-

piero na etapie planowania. Wykombinował, że co tydzień będą wozili grube tysiące na wypłaty dla robotników, a jeszcze więcej spłynie od zwiedzających. To był jego wielki numer, specjalny prezent. On zawsze potrafił przewidzieć, gdzie będzie duża forsa, największe łupy. Nikt nie miał do tego takiej smykałki jak on. Więc zebrał ekipę i namówił nas na hat-trick.

– Ciebie, tego Murphy’ego, Bentleya, McCoya i tak zwanego Synka. Jak on miał na imię?

– Nie wiem. Nie poznałem jego imienia, nie widziałem jego twarzy. A jeśli pytasz, czy Murphy, Bentley i McCoy tam byli, to owszem, podobno tak, chociaż wtedy na ich miejscu mógł być ktokolwiek. Bo nikt nic nie wiedział o pozostałych. Wszyscy mieliśmy pojęcie, jak wygląda Strachan i on też znał nasze twarze, skoro nas zwerbował. Kazał nam się spotkać przy torach pociągu śmigłowego Benniego w Milngavie.

– Dlaczego akurat tam?

– Bo to było porzucone miejsce i każdy wiedział, jak tam trafić. Poza tym, moim zdaniem, Strachan miał skłonność do efekciarstwa. Jeżeli cokolwiek działało na jego niekorzyść, to właśnie to, że lubił się popisywać. W każdym razie był tam już ten nieużywany budynek, część pierwotnej stacji, którą zbudowali. Mieliśmy się stawić po kolei, w piętnastominutowych odstępach. A na miejscu czekał już facet w kominiarce na głowie.

– Synek?

– No. Strachan tak go nam później przedstawił. Był uzbrojony i dał nam po kominiarce, żebyśmy je włożyli przed wejściem do budynku.

– Czyli że on widział wasze twarze?

– Ehe. Ale żaden z nas nie widział ani jego, ani pozostałych. Strachan twierdził, że dzięki temu, gdyby kogoś złapali, żaden z nas nie da rady zidentyfikować nikogo poza nim samym. Tyle że jasno dał nam do zrozumienia, że bez względu na to, w którym więzieniu byśmy wylądowali, ten, kto go zakapuje, nie przeżyje miesiąca.

No więc zebraliśmy się tam w kominiarkach na głowach i każdy z nas dostał ksywkę od jakiegoś zwierzaka. Ja byłem Lisem, a inni to Niedźwiedź, Wilk i Tygrys. Bujda na resorach,

ale Strachan miał takie zasady. Całkiem jak w jakimś pieprzonym wojsku. Zresztą nie narzekaliśmy, bo to działało. Potem Strachan omówił to, co mamy do zrobienia. Zaplanował cztery mniejsze skoki, w ramach ćwiczeń i żeby zdobyć środki na sfinansowanie większych akcji. O tych większych kradzieżach powiedział nam tylko to, że pierwsze dwie będą typowe, tyle że na niespotykaną jak dotąd skalę. Ale trzecia miała być zupełnie inna, coś tak niespodziewanego, że nie połapią się, co im zlecało na łby, a policja nie będzie miała punktu zaczepienia. A o sobie nawzajem wiedzieliśmy jedynie tyle, że nikt z nas nie jest notowany, więc nie trafi na listę podejrzanych.

– Powiedział wam, że chodzi o skok na Wystawę Imperium?

– Nie. Odniosłem wrażenie, że te cztery pierwsze napady miały na celu nie tylko ćwiczenia i zdobycie środków. Myślę, że nas sprawdzał, badał, jak się spisujemy jako zespół... żeby wiedzieć, czy może nam ufać. Dopiero później podał nam szczegóły dotyczące hat-tricka. Ale dziwnych rzeczy było o wiele więcej. Każde spotkanie odbywało się przy pociągu śmigłowym Benniego i za każdym razem musieliśmy przychodzić osobno, o innej porze, żebyśmy nie mogli zobaczyć pozostałych bez masek na twarzach. Nie wyobrażałem sobie, jak można to ciągnąć dalej. Nawet przy tych próbnych robotach siedzieliśmy zamaskowani z tyłu furgonetki. Zapowiedziano nam, że ten, kto zdejmie maskę i pozwoli innym zobaczyć swoją twarz, z miejsca dostanie kulkę. Nikt, kto znał Joego Strachana, nie wątpił, że tak się stanie. I wtedy mnie oświeciło: przejrzałem prawdziwy powód noszenia kominiarek, kryptonimów i zakazu rozmawiania ze sobą. Strachan i Synek trzymali sztamę, oni się znali. A reszta z nas była przydatna, dopóki robiliśmy, co nam kazano. Ale gdybyśmy zaczęli się kontaktować ze sobą, moglibyśmy spróbować ich wykołować. Dziel, kurwa, i rządz, tak to wyglądało.

Mimo to byliśmy szczęśliwi. Każdy dostał niezłą dolę z tych próbnych robót i przekonaliśmy się na własne oczy, że Strachan planuje o wiele lepiej niż którykolwiek z naszych poprzednich szefów. No i wiedzieliśmy, że jeżeli uda nam się odwalić hat-trick, to do końca życia nie będziemy musieli pracować. Ale jak mówiłem, było to dosyć dziwaczne. Przez trzy miesiące spo-

tykaliśmy się co wtorek wieczorem, Strachan wywoził nas na jakieś pieprzone zadupie i kazał nam wszystkim ćwiczyć i trenować sztuki walki. Znowu jak w wojsku. Któregoś wieczoru przeszkodził nam leśniczy, który najwyraźniej wziął nas za grających po nocy kłusowników. Podszedł do nas, wymachując strzelbą, na co Strachan odstawił ten swój cyrk z oficerem i ani się obejrzelśmy, a facet z szacunkiem mówił do niego „sir”. Tyle że kiedy leśniczy gadał ze Strachanem, Synek, który był wtedy na czatach, bezszelestnie zaszedł gościa od tyłu i poderżnął mu, kurwa, gardło. W mgnieniu oka, nie przerywając marszu.

– Rozumiem... – bąknąłem, wracając myślami do innego leśniczego, któremu całkiem niedawno również poderżnięto gardło. – Co się stało z ciałem?

– Wrzuciliśmy je do furgonetki. Nie wiem, co z nim zrobili potem. Na mój gust Strachan i Synek jakoś się go pozbyli. Ale w drodze powrotnej Strachan rozebrał zwłoki, porzucił strzelbę i te części ubrania leśniczego, które nie były zakrwawione, na brzegu rzeki. Tam, gdzie płynęła bystrym nurtem. Powiedziałem mu, że to nie ma sensu: nikt nie uwierzy, że leśniczy wybrał się popływać w tak niebezpiecznym miejscu w nocy i przepadł bez śladu. W końcu rzeka to nie morze, tłumaczyłem mu, topielec zawsze wypływa, prędzej czy później.

A Strachan mi na to, że to nieważne. Im bardziej bezsensowne będzie zniknięcie leśniczego, tym bardziej tajemnicze. Wieśniacy lubują się w takich tajemnicach, powiada mi, więc zaraz wymyślą niestworzone historie o tym, jak to leśniczy uciekł z jakąś babą i tego typu bzdury. Nikt nie wpadnie na to, że go zamordowano, bo natknął się na kogoś w lesie.

Potem zrobiło się nerwowo. Ja i reszta chłopaków byliśmy wstrząśnięci tym, jak Synek z zimną krwią załatwił leśniczego. Zaczęło mi chodzić po głowie, że może lup z tych wielkich skoków zostanie podzielony na dwie części, a reszta z nas skończy na dnie Clyde.

– I coś w związku z tym zrobiłeś? – spytałem.

– Zaraz do tego dojdę – odparł Provan niecierpliwie. – Więc odwalamy pierwsze dwa z tych trzech wielkich skoków

i wszystko przebiega zgodnie z planem. Tylko nie pada ani jedno słowo o podziale łupów. Wmawiają nam, że musimy poczekać do kradzieży na Wystawie Imperium. A wtedy, powiada Strachan, każdy dostanie to, co mu się należy.

Ale któryś z chłopaków podrzucił mi karteczkę. Był na niej adres baru w Maryhill oraz dzień i godzina spotkania. Jednak Strachan to taki pokrętny drań, że zaczynam się martwić, czy to nie jakaś pułapka, żeby sprawdzić naszą lojalność, bezpieczeństwo czy Bóg wie co. Mimo to idę tam. Stoję w tym barze jak ostatni głupek, bo nie wiem, jak wygląda tamten facet, a on też mnie nie zna. Już się zbieram do wyjścia, kiedy podchodzi do mnie jakiś gość i pyta, czy jestem pan Lis. Potwierdzam, że tak, a on się przedstawia jako pan Niedźwiedź. Okazuje się, że to John Bentley. Mówi, że takie same karteczki podrzucił Wilkowi i Tygrysowi, ale nie potrafi się zorientować, czy któryś z nich przyszedł.

Pół godziny później podchodzimy do facia, który siedzi sam i sący kufelek. To Mike Murphy, a jakże. Widząc nas trzech, Ronnie McCoy domyśla się, że jesteśmy jego futerkowymi kumplami z roboty. Wychodzimy z baru i siedząc na przystanku autobusowym, przez dwie godziny obgadujemy sprawę. Okazuje się, że dwaj inni wpadli na to samo co ja i też doszli do wniosku, że Strachan i Synek nas wyrolują.

– Więc postanowiliście wyrolować ich? – wtrąciłem.

– Nie od razu, ale spotkaliśmy się jeszcze kilka razy. Musieliśmy uważać, bo nie wiedzieliśmy, czy Strachan nie kazał Synkowi nas śledzić. Bóg jeden wie, że nigdy byśmy skurwiela nie poznali. Tak czy owak, ustaliśmy, że po skoku na Wystawę Imperium załatwiamy ich obu. Sęk w tym, że nie mamy pojęcia, gdzie i kiedy dojdzie do podziału łupów, podejrzewamy jednak, że znów się spotkamy przy kolei Benniego, więc uzgadniamy, że bez względu na to, jaką porę wyznaczy nam Strachan, przyjdziemy piętnaście minut wcześniej, zaopatrzeni w spluwę.

Z początku zgadzamy się, że jeśli upewnimy się, że dostaniemy uczciwą działkę, tak jak obiecał Strachan, to ich nie ruszymy. Ale musimy zobaczyć twarz Synka, żeby wiedzieć, kogo się wystrzeżać. A wtedy Johnnie Bentley przypomina nam o leśni-

czym i mówi, że Strachan i ta jego małpa w masce za nic nas nie puszcza, skoro mamy na nich haka. Więc ostatecznie ustalamy, że musimy zabić ich obu. To był poważny krok. W przeciwieństwie do tamtych żaden z nas nie parął się mokrą robotą, a to miało być morderstwo. Za takie coś dostaje się czapę. Ale po tym, co Strachan zrobił podczas kradzieży, dyskusja i tak stała się teoretyczna.

– Mówisz o gliniarzu?

Provan pokiwał głową.

– Strachan podał nam wszystkie szczegóły dopiero w dniu skoku na wystawę. Ale nic nie zostawił na ostatnią chwilę, jakimś cudem nas wyszkolił, przygotował do roboty kawałek po kawałku. Poskładał jak elementy puzzli. I cały obrazek pojawia się jak na dłoni, kiedy przedstawia nam, w jaki sposób się to odbędzie. Skurwysyn był dobry, muszę mu to przyznać. Gdyby nie został bandytą, mógłby być z niego świetny generał.

Postanowiłem nie mówić Provanowi o tym, jakoby widziano Strachana podczas wojny w mundurze oficerskim.

– Jedyną łyżką dziegiu w tej beczce miodu było to, że kazał nam się rozdzielić po skoku i zadekować na tydzień, a potem mieliśmy się spotkać przy pociągu śmigłowym. No więc siedzimy z tyłu furgonetki, w kominiarkach i z bronią, ale nie możemy obgadać następnego ruchu, bo jest z nami Synek. Na teren wystawy w Bellahouston dojeżdżamy tuż przed zamknięciem. Jest sobota wieczór, następnego dnia wystawa jest nieczynna, więc pancerny furgon ma zabrać wpływy z całego tygodnia. Wjeżdżamy przez bramę naprzeciwko stadionu Ibrox. Strachan siedzi za kółkiem. Mówi wartownikowi na bramce, że jedzie z pilną dostawą dla firmy Colville's Steel, która miała własny pawilon. Pyskują na siebie, a potem słyszymy, jak Strachan mówi temu na bramce, że nie ma sprawy, może go nie wpuszczać, nic mu do tego, ale musi zapisać jego nazwisko, bo ci z Colville's się wkurzą. Wartownik to stary dziadek w okularach jak denka od butelek, więc chociaż patrzy Strachanowi prosto w twarz, potem nie jest w stanie podać jego rysopisu.

Strachan nawet to zaplanował w najdrobniejszych szczegółach: właśnie dlatego podjechaliśmy do wjazdu naprzeciwko

Ibrox, że dokładnie wiedział, kto i kiedy stoi na jakiej bramce. Bóg wie skąd, ale wiedział. Wjeżdżamy za ogrodzenie i kierujemy się główną aleją wystawy. Trudno opisać, jakie to było niesamowite... wszystkie te futurystyczne budowle, fontanny i wieże. Zupełnie jakbyśmy robili skok w jakimś pieprzonym Egipcie albo na Marsie. W każdym razie o tej porze nie ma tam nikogo poza pracownikami, którzy też już się zbierają. Skręcamy w aleję prowadzącą do restauracji w wesołym miasteczku i parkujemy w cieniu Pałacu Inżynierii, skąd mamy dobry widok na główny trakt. Gasimy reflektory i czekamy. Strachan naciąga kominiarkę, jak wszyscy, i dokładnie o czasie furgonetka pancerna podjeżdża głównym bulwarem pod biuro banku wystawy.

Czekamy, aż załadują forszę i zaczną zbierać się z powrotem. Wtedy Strachan rusza, blokuje im drogę, a my wyskakujemy i otaczamy furgon. Ochroniarze w środku są osłupiali, ale się nie boją, bo siedzą w opancerzonym wozie. A wtedy Strachan pokazuje im, że ma w obu rękach granaty. Każe im wysiadać z furgonetki, bo jak nie, to wrzuci pod nią te ananasy. Tamci wiedzą, że podwozie nie jest opancerzone, więc jeśli nawet uda im się przeżyć, to urwie im nogi lub jaja albo jedno i drugie. Wyskakują. Synek spuszcza kierowcy łomot, szybko, ale fest, na znak że nie żartujemy, a pozostali otwierają nam skarbiec. Otwarcie furgonetki i przeładowanie forsy zajmuje nam pięćdziesiąt sekund, dokładnie tyle, ile wyliczył Strachan.

I wtedy pojawia się ten glina. Jeszcze dzieciak, w za dużym mundurze, ale zasuwa do nas z pałąk w rękę. Rozumiesz, ja mam obrzyna, Murphy ma obrzyna, Johnnie Bentley karabin lee-enfielda, a Strachan i Synek wojskowe rewolwery. A ten gówniarz leci do nas, ściskając piętnaście cali pierdolonego drewna. Więc Strachan wygarnia do niego. Jeden strzał, w sam środek czoła. Bez ostrzeżenia. Nie krzyknął nawet, żeby się zatrzymał. Bo i na chuj? A potem odwraca się do nas jakby nigdy nic i każe nam wsiadać do furgonetki.

Robimy, jak kazał, ale widzimy, że on i Synek stoją nad ochroniarzami, których położyliśmy na ziemi z rozrzuconymi rękami i nogami. Mówią, że będą musieli ich zabić, bo za dużo

widzieli, i celują im w głowy. Tylko udają, ale ochroniarze w to wierzą, a my, w furgonetce, też wierzymy po tym, co właśnie widzieliśmy. W końcu Strachan oświadcza, że zostawi ich przy życiu, ale jeżeli usłyszy, że powiedzieli policji coś konkretnego, to złoży im wizytę. W ciągu dziesięciu minut porzuciliśmy furgonetkę, przenieśliśmy forszę do bagażnika samochodu Strachana i zmyśliśmy się, każdy w inną stronę. Ja wylądowałem w Gal-lowgate. Wsadziłem kominiarkę do kieszeni i oteściały jak skurwysyn, zastanawiałem się, co tak naprawdę się stało.

– I co zrobiłeś?

– Coś kompletnie wbrew rozkazowi Strachana, żeby się nie wychylać... Poszedłem do baru, w którym Johnnie Bentley umówił się ze mną na pierwsze spotkanie, bo liczyłem, że reszta wpadnie na ten sam pomysł.

– I wpadli?

– A jak. Tyle że gdyby wlaż tam jakiś glina, od razu by nas przejrzał na wylot. Czterech facetów białych jak jakaś kurewska ściana, którzy szepczą coś do siebie i wyglądają, jakby się umówili na spotkanie z katem. Ale obgadaliśmy to i owo. Strachan założył nam stryczek na szyję, więc żeby nie zadyndać na Duke, musielibyśmy wystąpić jako świadkowie koronni. Wiedzieliśmy, że on sam już dawno na to wpadł, więc nie mieliśmy wyboru. Mogliśmy pójść prosto na Saint Andrew's Square i wszystko wyśpiewać, dzięki czemu uniknęlibyśmy stryczka, ale każdy odsiedziałby trzydzieści lat w Bar-L, albo zabić Strachana i tego psychola, Synka.

– Innymi słowy, mieliście tylko jedno wyjście.

– Więc zamiast przychodzić jak zawsze, każdy o innej porze, stawiamy się na spotkanie przy pociągu śmigłowym wszyscy razem, godzinę wcześniej. Nie mamy spluw ze skoku na wystawę, bo Strachan chciał je wyrzucić do Clyde po tym, jak się rozdzieliliśmy, ale Johnnie ma lugera z czasu pierwszej wojny światowej, a ja przynoszę własnego obrzyna. Strachan przyjeżdża pół godziny po nas. Mamy nad nim przewagę, tyle że nie przywiózł ze sobą szmalu. Przystawiamy mu lufy do łba, a ten skurkowany się z nas śmieje. Mówi, że to przewidział, więc zamelinował forszę w miejscu, o którym nikt poza nim nie wie. No

i jest pat. Johnnie grozi Strachanowi, że go będzie torturował, że mu odstrzeli najpierw jedno jajo, potem drugie, ale Strachan wie, że my nie jesteśmy z tej samej gliny co on. On byłby zdolny do czegoś takiego, my nie. Mamy przesrane. Nie możemy go zabić, bo wtedy nie odzyskamy naszych pieniędzy, poza tym brak nam zimnej krwi, żeby popełnić morderstwo, z czego on świetnie zdaje sobie sprawę. Ten skurwiol przewidział wszystko.

No więc stoimy tam i wydzieramy się na siebie, bo żaden z nas nie wie, co z tym fantem zrobić, aż nagle uświadamiamy sobie, że lada chwila zjawi się Synek. No to Johnnie, który został jakby naszym przywódcą, wysłał mnie z obrzynem, żebym wypatrywał gnoja. Tu już nie mamy skrupułów. Wszyscy wiemy, że uczeń jest jeszcze groźniejszy niż mistrz, dlatego jestem gotów odstrzelić piździelcowi łeb, gdy tylko się pojawi. Czekam na zewnątrz, nie mam pojęcia, co się dzieje w hangarze, tymczasem na dworze zrobiło się ciemno, a plac nie jest oświetlony. Więc stoję w ciemności z pociągiem śmigłowym Benniego nade mną i tylko czterema gilzami do obrzyna.

Widzę, że od głównej drogi ktoś idzie w moją stronę. Niewyraźny zarys sylwetki, ale po posturze poznaję, że to Synek. Muszę jednak zaczekać, aż się zbliży. Obrzyn jest skuteczny tylko na odległość kilku stóp. Tamten jest jeszcze za daleko, kiedy nagle w hangarze rozpętuje się piekło. Padają strzały, od cholewy strzałów, a potem Johnnie i Ronnie wybiegają i wrzeszczą, żebym zwiewał. Johnnie krzyczy: „Nie żyje, kurwa, on nie żyje!”, ale nie wiem, czy ma na myśli Strachana, czy Mike’a Murphy’ego. Synek też daje w długą, więc puszczam się za nim, waląc do niego raz z jednej, raz z drugiej lufy, jednak tylko na pokaz. Z tej odległości i tak bym go nie trafił; przypuszczam, że gnój nie ma broni, a nie chcę, żeby się rzucił na mnie.

I jak to się skończyło? Czterech facetów ucieka każdy w swoją stronę, bez szans na ponowne spotkanie w przyszłości i nie dostając ani pensa z łupu ze skoku. Trzej z nich już zawsze będą musieli uciekać. A kto zginął w hangarze pociągu Benniego? Może Joe Strachan, może Mike Murphy, a może obaj. Wiem

tylko tyle, co przeczytałem po latach, że najpierw Johnnie Bentley, a później Ronnie McCoy zginęli w tragicznych wypadkach.

– Nigdy więc ich nie spotkałeś?

– Nie. Wszyscy zapadliśmy się pod ziemię. Przez chwilę posługiwałem się nawet fałszywym nazwiskiem, ale po jakimś czasie uznałem, że nic mi już nie grozi, a zresztą poznałem moją późniejszą żonę i ślub musiałem wziąć pod prawdziwym nazwiskiem. Tamci nigdy się do mnie nie odezwali, a ja też ich nie szukałem, więc nadal nie wiem, kto tam zginął. Strachan czy Mike.

– A zwłoki? – spytałem. – Przecież policja znalazła chyba zwłoki?

Provan pokręcił głową.

– Nic mi o tym nie wiadomo. A wierz mi, sprawdzałem. Codziennie, we wszystkich gazetach.

Na chwilę pogrążyliśmy się w milczeniu.

– A skąd wziąłeś pieniądze na to? – Omiotłem ręką dom, w którym siedzieliśmy.

– Zrobiłem kilka skoków na własną rękę. Dwa w Glasgow i jeszcze parę w Edynburgu. Dużo się nauczyłem od Dżentelmana Joego i postanowiłem, że każdy skok to musi być duża robota. Strachan stale powtarzał, że zwędenie pięćdziesięciu funciaków wiąże się z takim samym ryzykiem co rąbniecie pięćdziesięciu tysięcy. A kiedy już miałem dość, żeby się urządzić, wypisałem się z interesu. Zacząłem żyć uczciwie. Nawet się zatrudniłem dla zachowania pozorów i prawdę mówiąc, nieźle mi się powodziło.

– A tej nocy, kiedy Synek podchodził do hangaru... pewnie nie miał kominiarki na twarzy. Przyjrzałeś mu się?

– Nie. W każdym razie nie na tyle dobrze, żeby go rozpoznać. Jak mówiłem, zrobiło się ciemno, a on był za daleko, żeby go przyfilować jak należy. Ale był młody. Młodszy, niż myślałem, i o wiele młodszy ode mnie.

Upiłem jeszcze parę łyków whisky, lecz postanowiłem nie wychylać kubka do dna, bo znów mógłbym widzieć w Glasgow ulice dwukierunkowe.

– I co zamierzasz robić dalej? – spytałem.

– Wierz mi, Lennox, jestem otwarty na propozycje.

– Masz samochód?

– No. W garażu.

– Wobec tego proponuję, żebyś się spakował. Migiem. A potem siadaj za kółko i jedź. Zamknij chałupę, opróżnij konto w banku i jedź. Na południe. Do Anglii. Nie mów mi dokąd, po prostu jedź. I zostań tam przez kilka tygodni, a przynajmniej dopóki nie usłyszysz, że już jest po wszystkim. – Podąłem mu firmową wizytówkę. – Dzwon do mnie w każdy poniedziałek o dziesiątej rano. Będę cię informował, jak się sprawy mają. Przedstawiaj się jako pan French, a jeśli nie usłyszysz w słuchawce mojego głosu, tylko kogoś innego, rozłączaj się. Jasne?

Pokiwał głową, ale miał dziwny wyraz twarzy. Nie podejrzliwy, raczej dezorientowany.

– Dlaczego mi pomagasz? – zapytał.

– Bo jestem skautem, który za drobną opłatą służy ludziom pomocą. Wiesz mi szylinga. Bo ja wiem... Myślę, że poniosłeś już dostateczną karę za udział w kradzieży. Nic ci z niej nie przyszło i od osiemnastu lat stale oglądasz się za siebie. Poza tym jak ci mówiłem, ktokolwiek stoi za tą jatką... Strachan, Synek czy ktoś inny... to dla mnie sprawa osobista.

– No nic, w każdym razie dzięki – odparł Provan. – Przepraszam za... – Wskazał moją zakrwawioną dłoń.

– Nie ma za co. Jeśli nie krwawię i nie mam siniaków, nie czuję się sobą. A zresztą to pamiątka po spotkaniu z moim czyścicielem szyb komandosem. – Ruchem głowy wskazałem zlew. – Mogę się obmyć?

– Jasne. Jakby co, mam podręczną apteczkę.

Zdjąłem marynarkę, podwinąłem rękawy koszuli. Prawy był całkiem przesiąknięty krwią. Odchyliwszy opatrunek, zobaczyłem, że tak jak podejrzewałem, puściły dwa szwy, a rana z jednej strony się rozłazi. Wziąłem od zmartwionego Provana świeży wacik i bandaż i jako tako się opatrzyłem.

Tymczasem Provan spakował dwie torby. Odprowadził mnie do wyjścia, zamknął dom na klucz i podał mi rękę.

– Jeszcze raz dzięki, Lennox – powiedział.

– Na podziękowania jeszcze za wcześniej. Jak mówiłem, nie

zatrzymuj się, aż będziesz jedynym człowiekiem w okolicy ze szkockim akcentem, a potem jedź jeszcze trochę dalej.

– Załatwione. – Pomachał mi ręką i ruszył do pomalowanego na zielono drewnianego garażu.

Przez chwilę siedziałem w atlanticu, zastanawiając się nad następnym posunięciem. Wiedziałem, z kim muszę się zobaczyć. Wiedziałem o tym już od jakiegoś czasu. Podejrzywałem, że jeśli się do niego nie wybiorę, on wybierze się do mnie. No i był jeszcze Fraser, adwokat, z którym miałem rachunki do wyrównania. Uznałem jednak, że przede wszystkim muszę pojechać na ostry dyżur i założyć nowe szwy na ramieniu. A potem zajrzę do malarza sztyldów i każę zmienić napis w oknie mojego biura na „Lennox. Prywatny detektyw i człowiek gobelin”.

Mógłbym przysiąc, że cały samochód przesunął się w bok, uderzony podmuchem. Ogarnął mnie ten sam obezwładniający paraliż, który podczas wojny odczuwałem za każdym razem, gdy w pobliżu wybuchały bomby albo granaty. A jeden wybuchł zbyt blisko mnie, o czym najlepiej świadczyły blizny na mojej twarzy. Skuliłem się i objąłem rękami kolana, kiedy o dach samochodu zabębnił deszcz pomalowanego na zielono drewna. Gdy nawałnica ustała, odwróciłem się i wyjrzałem przez rozbitą boczną szybę. Garaż zniknął, a wraz z nim większa część samochodu Provana. Provan też. Zdawało mi się, że poznaję coś na kształt ludzkich szczątków, płonących razem z wozem.

Zadziałał instynkt – wcisnąłem gaz do dechy i skrzyłem w pierwszą przecznicę z nadzieją, że wybiegający z domów sąsiedzi nie zauważą mojego samochodu ani co gorsza, numerów rejestracyjnych.

Jadąc, kłamię w żywy kamień. Nie bardzo wiedziałem, kogo właściwie przeklinam, ale robiłem to barwnie i soczyście. Gdy znalazłem się na otwartym terenie, zjechałem na pobocze, by sprawdzić, czy atlantic nie doznał szkód. Nie ucierpiał za bardzo, pomijając rozbitą szybę po stronie kierowcy. Strząsnąłem z dachu i maski resztki zielonych kawałków drewna, po czym odjechałem na pełnym gazie. Do Glasgow.

Na ostrym dyżurze w szpitalu Western kazano mi czekać cztery godziny, zanim lekarz łaskawie raczył mnie przyjąć. Cały czas cmokał i wzdychał, a opanował się dopiero wtedy, gdy odpowiednio groźnie łypnąłem na niego spode łba. Potem znów mnie pozszywał, w czym pomogła mu ładna pielęgniarka. Uśmiechałem się do niej, podczas gdy on pracował. Jeden z paradoksów bycia mężczyzną, a może tylko bycia Lennoxem, polega na tym, że nawet jeśli jesteśmy poobijani i krwawimy, nawet jeśli na naszych oczach wysadzono w powietrze i spalono człowieka, a do tego ściga nas zgraja najgroźniejszych przestępców pod słońcem, to i tak znajdziemy czas na przystawianie się do ładnych pielęgniarek.

To jeden z cudów natury, tak jak samobójcze wędrówki łososi na tarło.

Z aparatu telefonicznego w szpitalnym korytarzu zadzwoniłem do Frasera.

– Musimy pogadać – oświadczyłem stanowczo.

– Spodziewałem się telefonu od pana, panie Lennox. Ja również uważam, że musimy porozmawiać. Mam wielką nadzieję, że uda nam się wyjaśnić wszelkie nieporozumienia.

– Skoro tak, to rozumie pan, że chciałbym się spotkać w miejscu publicznym. Prom samochodowy Finnieston, jutro rano, pierwszy kurs o szóstej trzydzieści, jeśli to nie za wcześnie dla prawnika.

– Będę. Przyniosę panu drobną premię, panie Lennox, w dowód dobrej woli. Nie widzę powodu, żebyśmy mieli wypływać na wzburzone wody.

Zastanawiałem się, czy Fraser żartuje sobie z promu, doszedłem jednak do wniosku, że ten typ poczucia humoru jest mu równie obcy co Marsjaninowi. Rozłączyłem się.

W szpitalnej stołówce wypilem kawę, głównie po to, by spłukać smak antybiotyków, którymi mnie nafaszerowano dla zapobieżenia infekcji. Podnosząc kubek, zauważyłem, że drży mi ręka, a przed oczami nieustannie mam obraz płonącego Provana.

Gdy już się trochę uspokoiłem, poszedłem na parking. Przy atlanticu czekało na mnie dwóch mężczyzn. Jednym był żylasty

teddy boy o wyglądzie twardziela. Drugi siedział na błotniku mojego samochodu. Zaniepokoilem się nie na żarty o stan zawieszenia atlantica. Kiedy podszedłem, facet wstał, a wóz zakoleczył się na resorach.

Znałem ich obu.

– Siemanko, panie Lennox – rzucił olbrzym barytonem tak głębokim, że zahaczał o dolną granicę ludzkiego słuchu. – Poprosz-ono nas, żebyśmy zapew-nili panu środek lo-ko-mocji na wizytę u pana Sneddona.

– Spodziewałem się tego, Pedikiurku – odparłem. – Widzę, że masz ze sobą Śpiewaka. Cześć, Śpiewak.

Śpiewak skinął mi głową, bo tylko na tyle było go stać. Korciło mnie, żeby zażartować: „widzę, że czeka mnie kuracja dla niemowy”, ale z powodów, których do końca nie rozumiałem, nigdy nie pozwalałem sobie na żarty z kalectwa Śpiewaka.

Śpiewak był niemową. A także najbardziej wrednym i bestialskim zabójcą pod słońcem. Ale miałem wobec niego dług: kiedyś uratował mi życie i na mój gust darzył mnie swego rodzaju szacunkiem, podobnie jak Pedikiurek. Lubilem Pedikiurka. Niestrudzenie pracował nad sobą, ostatnio rozszerzając swoje słownictwo, głównie dzięki lekturze „Reader’s Digest”. Zabawne, że mimo to jakimś cudem posługiwał się swoim ojczystym angielskim tak, jakby to był jego wyuczony drugi język.

Próbowałem zachować ten jego sympatyczny obraz, kiedy eskortował mnie na tylne siedzenie jaguara zaparkowanego za moim atlantikiem. Bo inna wizja przedstawiałaby psychopatycznego specja od tortur, który wręczał swoim ofiarom po kolei palce ich stóp, jednocześnie deklamując dziecięcą wyliczankę *This Little Piggy*.

Obejrzałem się na mojego atlantica. Przed wejściem na ostry dyżur schowałem do bagażnika rewolwer.

– Chce pan coś zabrać ze sobą, panie Lennox? – zapytał Pedikiurek.

– Nie... – bąknąłem w zadumie. Musiałem grać takimi kartami, jakie mi rozdano. – Nie, wszystko w porządku.

Śpiewak usiadł za kierownicą, a Pedikiurek zajął miejsce z tyłu obok mnie, co oznaczało, że tkwiłem wciśnięty w róg.

– Wciąż masz tyle roboty dla pana Snedдона, Pedikiurku? – rzuciłem swobodnym tonem.

– O-kont-rer... – odparł. – Po francusku to znaczy „wręcz przeciwnie”. Pan Sneddon jest właśnie w trakcie dywersyfikacji interesów. Ale ma dla mnie inne zadania i nadal pracuję na pełny etat.

– To dobrze – mruknąłem z nadzieją, że ta przejażdżka należy do kategorii tych innych zadań. Wyglądałem przez okno. Jechaliśmy do portu. Może do biura korporacji Snedдона, co byłoby dobrym znakiem. Na nabrzeżu skręciliśmy jednak kilkakrotnie i wkrótce otoczyły nas czarne magazyny. Niedobrze.

Pedikiurek przestał się uśmiechać i zamilkł. A więc jest jeszcze gorzej. Zatrzymaliśmy się przed jednym z magazynów. Śpiewak wysiadł, otworzył wrota i wjechaliśmy do środka. Dopiero po jakimś czasie moje oczy przywykły do panującego tam mroku. Teraz wysiadł Pedikiurek, obszedł samochód i wywłókł mnie, trzymając za ramię. Na siłę poprowadzili mnie obaj obok pustych biur, przez dwuskrzydłowe drzwi olbrzymiego głównego magazynu. Był całkowicie pusty, jeśli nie liczyć grubych stalowych łańcuchów zwisających z sufitu niczym tropikalne pnącza oraz stojącego na środku biurowego krzesła ze stalowych rurek.

Na krześle siedział Willie Sneddon, jak zawsze w eleganckim garniturze i z narzuconym na plecy płaszczem z wielbłądziej wełny. Ruchem głowy dał znak Pedikiurkowi, a wtedy w nerki wjechał mi pociąg.

– Przepraszam, panie Lennox – powiedział szczerze Pedikiurek, kiedy zwracałem na podłogę śniadanie. I śledzionę. Przed oczami zatańczyły mi żółte plamki; niejasno uświadomiłem sobie, że wloką mnie po podłodze i krępują mi nadgarstki czymś twardym i zimnym. Nagle uniesiono mnie w górę, moje stopy oderwały się od podłogi. Dopiero po chwili zorientowałem się, że wiszę na jednym z opadających z sufitu łańcuchów. Czulem, jak krew spływa mi po ramieniu na bark. I znów szwy puściły, pomyślałem, zastanawiając się, czy następnym razem nie poprosić o suwak błyskawiczny.

Sneddon zrzucił płaszcz z wielbłądziej wełny, wstał i podszedł

do mnie.

– I to właśnie jest ten szajs, z którym próbowałem skończyć – oznajmił.

– Jeśli mogę panu jakoś w tym pomóc, wystarczy powiedzieć – wycedziłem przez zęby.

– A przez te twoje dowcipasy jesteś upierdliwy jak wrzód na dupie – dorzucił ze znużeniem. Ruchem głowy dał znak komuś stojącemu za moimi plecami, prawdopodobnie Pedikiurkowi. W miękką część pleców walnął mnie kolejny pociąg. A więc jednak Pedikiurek.

– Przez lata dawałem ci mnóstwo zleceń, Lennox. Wiem, że w swoim mniemaniu jesteś za dobry, żeby nadal pracować dla mnie albo Cohena czy Murphy’ego, ale ten twój gówniany interes... bez nas byś go nie rozkręcił. I zawsze byłem wobec ciebie w porządku, zgadza się?

– Ogólnie rzecz biorąc, owszem – przyznałem, próbując skupić wzrok na jego twarzy i złagodzić ból ramion. – Ale zwracam uwagę, że tym dzisiejszym spotkaniem nadweręża pan zarówno nasze stosunki, jak moje ramiona, które zaraz wyrwą mi się ze stawów. Więc może przejdźmy od razu do rzeczy.

– Zgoda – odparł Sneddon. – Wiesz, dlaczego tu jesteś?

– Ja tylko próbuję dojść do tego, jak to było ze Strachanem, nic ponadto. I wiem, że ma pan z tym o wiele więcej wspólnego, niż pan przyznał. Wiem, kim pan jest. A raczej kim pan był...

Sneddon znów spojrzał nad moim ramieniem i wskazał głową w stronę wyjścia.

– Pedikiurku, zaczekaj ze Śpiewakiem za drzwiami – polecił.

– Sie robi – rzucił Pedikiurek za moimi plecami, ze smutkiem w głosie. – Przepraszam, panie Lennox...

– Nie ma sprawy, Pedikiurku – odparłem, wciąż oddychając płytko. – Wiem, że to tylko interesy.

– No dobra... Oświeć mnie – rzekł Sneddon, kiedy zostaliśmy sami.

– Niczego nie potrafię udowodnić... i proszę zrozumieć, że nie chcę niczego udowadniać. Chcę tylko wiedzieć, kto próbował mnie zabić i dlaczego.

– Mów dalej.

Najpierw jęknąłem. Stawy barkowe bolały jak cholera i wciąż mnie mdliło po ciosach Pedikiurka. To, że nie miał ochoty mnie bić, jakoś nie dotarło do jego pięści.

– Cofnijmy się do skoku na Wystawę Imperium Brytyjskiego w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym – powiedziałem. – To była największa kradzież w historii Glasgow. Jedna z trzech rekordowych. Teraz jestem pewny na sto procent, że wszystkich dokonał Dzentelmen Joe. Dzentelmen Joe i jego anonimowa wesoła kompania. Jednak zginął gliniarz i wszystko wzięło w łeb. Czterech członków bandy się spietrało, ale Strachan i jego uczeń, tak zwany Synek, dalej działali zgodnie z planem. Z tego, co ustaliłem, wynika, że głównie Synek zajmował się dla Strachana mokrą robotą, ale podobnie jak cała banda, nikt inny nie znał jego tożsamości.

– Do rzeczy, Lennox.

– Przyjmijmy, że strzelał Strachan. Zabójstwo gliniarza założyło stryczek wszystkim w ekipie. Doszło do kłótni. Stewart Provan powiedział mi przed śmiercią, że po napadzie gang się rozdzielił, wszyscy mieli się spotkać tydzień później w hangarze pociągu śmigłowego Benniego. Tych trzech uważało, że Strachan i Synek chcą ich wykołować, więc postanowili wyrolować szefa. Z powodu morderstwa emocje sięgają zenitu, padają strzały. Strachan albo ktoś z jego ekipy ginie. Zawsze stawiałem na Strachana, bo wyłowione z rzeki kości wskazują na kogoś wysokiego. No więc zasypia długim kamiennym snem na dnie Clyde i nikt nie ma pojęcia, gdzie się podziała forsa. Tyle że to jest bez sensu, bo żona i córki bliźniaczki Strachana w każdą rocznicę skoku na Wystawę Imperium dostają po tysiącku na głowę. Domyślam się więc, że ktoś jednak dobrał się do tych pieniędzy. Zgarnął całą pulę. I zadekował ją gdzieś bezpiecznie na czas wojny.

– A twoim zdaniem kto to mógł być? Z tego, co mówisz, wynika, że miałem rację i Dzentelmen Joe przeżył – wtrącił Sneddon.

– Niekoniecznie. W ekipie, która obrobiła wystawę, był jeszcze bardziej bezlitosny skurwysyn niż Strachan. Ten, którego

nazywali Synkiem. Siedział jak mysz pod miotłą. Może nawet walczył na wojnie, przez cały czas wiedząc, że po demobilizacji dobierze się do kopalni złota. Pieniądzy było wystarczająco dużo, żeby... No właśnie, co można zrobić z taką forszą? Mógłby się urządzić w jakimś dalekim zakątku świata, ale musiałby się stale pilnować, albo mógł zbudować własną organizację, tak potężną, żeby to jego się bali. Żeby to inni musieli się pilnować przed nim. I tak też robi. Zostaje najbogatszym, mającym największą władzę szefem przestępczości w Glasgow. W końcu jest pan królem Królów, prawda, panie Sneddon? Bezlitosny i ambitny był pan zawsze, ale teraz doszedł do tego kapitał obrotowy. To pan jest Synkiem. I doskonale pan wie, że bliźniaczki co roku dostają pieniądze, bo to pan im je wysyła. Mam rację?

Uśmiechnąłem się szeroko. Łebski ze mnie facet. Doszedłem do tego co i jak, musiałem jedynie udowodnić, że sam na to wpadłem. Byłem tak łebski, że swoim gadulstwem wykopałem sobie przedwczesny grób. Sneddon nie wezwał Pedikiurka. Sam chciał mnie załatwić. Bo nikt nie mógł poznać szczegółów tego, co wiedziałem.

– A skąd ta pewność, że właśnie tak to się odbyło? – zapytał cichym, spokojnym głosem.

– Przyszedłem do pana z pytaniem, gdzie mogę znaleźć Billy'ego Dunbara i w trakcie rozmowy zdradziłem, że badam sprawę zaginięcia Joego Strachana. Następnego dnia ktoś napada mnie we mgle w zaułku i każe mi się od tego odczepić. Podejrzywałem, że wystawiła mnie policja, ani przez chwilę nie sądziłem, że to pańska robota. Potem spotykam Billy'ego Dunbara, a ten wciska mi skomplikowaną ciemnotę, która pozornie wygląda na prawdę. Ale przy okazji wygaduje się, że to pan załatwił mu posadę leśniczego, bo wiedział pan, że zwolniło się miejsce. A wiedział pan o tym dlatego, że sam pan załatwił ten wakat, kiedy poprzedni leśniczy nadział się na pana, Strachana i resztę uczestników napadu na Wystawę Imperium.

Sneddon roześmiał się. Dotychczas w mojej obecności nigdy tego nie robił.

– Wiesz, Lennox, z ciebie jest niezły numer. Naprawdę tak ci zależy na przedwczesnym spoczynku w grobie?

– Może tam odnalazłbym spokój – odparłem i nie był to kolejny żart.

– Mów dalej – rozkazał Sneddon.

– Na mój gust, kiedy wróciłeś do hangaru, zabiłeś Strachana i pewnie też Mike’a Murphy’ego. Potem wytropiłeś pozostałych, czego ostatnim akcentem była bomba podłożona dzisiaj pod samochód Stewarta Provana. Ale wracając do Dunbara... Billy Dunbar jest twoim starym kumplem, a że nie ma grosza przy duszy, wymyśliłeś bajeczkę o Strachanie w mundurze oficera. Wiedziałeś, że dowiem się o tym, jak Strachan skutecznie wcielał się w oficera pod koniec pierwszej wojny światowej, i że potrafił udawać każdego i wszędzie. Rzecz była na tyle zwariowana, że ją łyknąłem. Tymczasem pan wynajął komandosa w typie oficera, żeby mnie nastraszył, a kiedy to nie poskutkowało, kazał mu pan mnie zabić.

– I pewnie uważasz się za spryciarza, co, Lennox? – zadrwił Sneddon.

– Właśnie sobie gratulowałem z tego powodu – odparłem blado. Byłem wykończony. I wiedziałem, że zaraz umrę. – Dlaczego wysyłasz dziewczętom pieniądze, Sneddon? – spytałem. – Nie uwierzę, że ruszyło cię sumienie, bo go nie masz. A te przekazy pieniężne cię narażają. Więc dlaczego?

Uśmiechnął się. Nie spodobało mi się to. Ani trochę. Podszedł i stanął za moimi plecami. Czyli że dostanę w kark albo w potylicę. Spojrzałem w górę, na łańcuchy; nic nie mogłem zrobić. Cieszyłem się tylko, że odbędzie się to szybko.

Nagle runąłem na uświnioną podłogę, a zwoje łańcucha spadły na mnie jak wodospad. Sneddon odczepił je od sufitu i mnie uwolnił. Znowu stanął na wprost mnie. Schował broń do kieszeni, usiadł z powrotem na krześle. Przez drzwi wpadł Pedikiurek.

– Wszystko gra, szefie? – rzucił, zerkając na mnie. – Usłyszałem jakąś kakao-fonię.

– Wszystko w porządku, Pedikiurku. Wyjaśniliśmy sobie z panem Lennoxem pewne nieporozumienie. Zaczekaj na zewnątrz, zaraz wyjdziemy.

– Nie rozumiem... – bąknąłem; tym razem nie przyszedł mi

do głowy żaden dowcip. Zrzuciłem łańcuchy z nadgarstków.

– Jasne, że nie rozumiesz, Lennox. Masz rację, to ja byłem Synkiem, a jakże. Joe Strachan nauczył mnie wszystkiego, co potrafię.

– Czyli że brałeś udział w hat-tricku, tych trzech kradzieżach?

– Są pewne rzeczy, do których się nie przyznam. Takie, które na zawsze pozostaną moją tajemnicą. Sam sobie wyciągnij wnioski. Ale wiedz jedno, Lennox. To nie ja zabiłem Joego Strachana. Owszem, wysyłam bliźniaczkom coroczne przekazy. Pytałeś dlaczego, no to ci powiem. Wysyłam im forszę, bo są moimi siostrami przyrodnimi.

– Jesteś synem Strachana?

– Odnalazłem go. Nie mam złudzeń, jestem zaledwie jednym z wielu bękartów, które spłodził. Później dowiedziałem się, że moja mama za młodu była prawdziwą ślicznotką. A Joe Strachan zawsze miał słabość do kobiet. Wdali się w romans i zaszła w ciążę. Porzuciła mnie od razu po porodzie, więc wychowałem się w sierocińcu. Właśnie tam nauczyłem się, że albo, kurwa, rządysz, albo jesteś niczym. Wieki trwało, zanim odnalazłem mamę, a potem Dzentelmena Joego. Na spotkanie z tatusem zabrałem ołowianą gazrurkę, ale wszystko się popieprzyło. Przysięgam, kiedy mu powiedziałem, że jestem jego synem, prawie się rozplakał. Rozumiesz, miał jedynie bliźniaczki, a wyznawał te bzdurne zasady o ciągłości rodu. Że niby trzeba mieć syna, który odziedziczy imperium. Więc tak, byłem Synkiem. Ale nazwał mnie tak nie dlatego, że byłem jego uczniem, tylko dzieckiem. Mówiąc ci, że przejąłem jego małe imperium, wcale nie kłamałem: rzeczywiście tak zrobiłem. Odziedziczyłem majątek ojca – zakończył.

Obolały, dźwignąłem się na nogi, rozcierając nadgarstki.

– Niech zgadnę – mruknąłem. – Zaraz mi powiesz, że we wszystkim innym też się myliłem.

– Skąd wiesz?

– No cóż, na pozór wszystko się zgadza: każesz Dunbarowi zasunąć mi ten głodny kawałek, jakoby widział Strachana podczas wojny... taka zasłona dymna. Potem wynajmujesz byłego komandosa, żeby mnie nastraszył, a kiedy to nie skutkuje, ka-

żesz mu mnie zabić. Ale jest coś, co nijak tu nie pasuje.

– Co takiego?

– Te twoje stare blizny od brzytwy. Cecha charakterystyczna, można by rzec. Jest taki mały lękliwy pedzio, Paul Downey, który specjalizuje się w robieniu szemranych zdjęć. Namówili go na szantaż, żeby mógł spłacić lichwiarza, aż tu nagle pojawia się rycerz na białym koniu, a raczej w wielkim bentleyu i proponuje mu łatwą robotę, na pozór całkiem legalną, za którą obiecuje absurdalnie duże pieniądze. Ten bogaty rycerz przedstawia się jako Paisley i ubiera się krzykliwie, ale ma bliznę od brzytwy na prawym policzku, dokładnie taką jak ty. Swoją drogą, domyślam się, że to po ojcu odziedziczyłeś upodobanie do drogich strojów. Czyli jesteś Synkiem, a jednocześnie Paisleyem?

– To twój występ, Lennox. Mów dalej...

– Te dwa fakty w połączeniu z tym, że wciąż oddycham, oznaczają, że moja teoria bierze w łeb. Po co miałbyś płacić komuś za zrobienie zdjęć faceta, o którym wszyscy sądzimy, że to Strachan, jeżeli wiesz na pewno, że Strachan nie żyje?

Sneddon wyjął złotą papierośnicę i mnie poczęstował. Wziąłem papierosa. Przypalił nam obu.

– No więc jak to teraz widzisz? – zapytał.

– Nie wiem dlaczego, ale koniecznie chcesz się przekonać, czy Joe Strachan żyje, czy nie – odparłem. – Dostajesz cynk, że ma się spotkać z księciem Strathlorne w jego posiadłości, a wiesz, że Downey też tam będzie, bo lichwiarz pracuje dla ciebie, czyli że to, co mu wisi Downey, również jest twoje. Wiedziałeś wszystko o tej historii z szantażowaniem Johna Macready’ego.

Pokręcił głową.

– Kompletnie pojebany pomysł. Za nic by im to nie uszło na sucho. Ale kiedy się dowiedziałem, że korzystają z domku na terenie posiadłości, nie mogłem zmarnować takiej okazji.

– To ty zmusiłeś George’a Meldruma, żeby zarekomendował mnie temu adwokatowi, Fraserowi. Dobrze mówię?

– No. Nie miałem wątpliwości, że załatwisz to migiem, a oni zabalą ci więcej, niż by się należało. Zależało mi, żeby rozwiązać tę sprawę, zanim ktoś inny się dowie o zdjęciach, które ka-

załem zrobić Downeyowi.

– A więc nie zleciłeś tej roboty jeszcze komuś? Nie masz nic wspólnego z zabójstwem przyjaciela Downeya i pożarem kamienicy?

– Nie. Nie mogłem tego zlecić. I nie zależało mi na ich śmierci. To ty prowadziłeś dla mnie tę sprawę, chociaż wtedy jeszcze o tym nie wiedziałeś. Ale potem zadałeś się z bliźniaczkami i chciałeś odkryć, kto wysyła pieniądze. Nie miej pretensji do mnie, Lennox. Sam wpakowałeś się w gówno po uszy.

– Nie mam pretensji. Ale liczę na szczere odpowiedzi.

– Wal.

– Dobra... – Sięgnąłem do kieszeni marynarki po zdjęcie, które dostałem od Downeya. – W takim razie, przysięgając na Boga i wszystkie inne świętości, powiedz mi proszę... czy ten człowiek to twój ojciec, Dzentelmen Joe Strachan?

Sneddon bez pośpiechu zaciągnął się głęboko. Wypuszczając dym, uśmiechnął się złośliwie. Wyraźnie napawał się moją frustracją.

– Tak – potwierdził.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Miałeś rację, że spotykaliśmy się zawsze przy pociągu Beniego – powiedział Sneddon. – I że wszyscy wkurzyli się po śmierci gliniarza. Mieliśmy się nie widywać ani nie gadać ze sobą między spotkaniami. Ale tamci trzej się zmówili i wykombinowali własną gierkę. Uznałem, że chcą nas stuknąć tam, na miejscu, ale stacja Maryhill była obstawiona przez gliniarzy, więc musiałem pojechać okrężną drogą i się spóźniłem.

W hangarze na pewno trzymali Joego na muszce, bo podchodząc, usłyszałem strzelaninę i krzyki. Jeden skurwiel zaczął się na mnie. Chciał mi wygarnąć w twarz z dwururki, ale byłem za daleko. Nie miałem przy sobie broni, więc zwałem. Strzelili do mnie dwa razy, więcej nie mogli ryzykować. Gliny kręciły się po całym Glasgow, poza tym istniało ryzyko, że jakiś leśniczy weźmie nas za kłusowników. Wróciłem do domu, wziąłem gnata i kazałem Billy’emu Dunbarowi jechać ze mną. Kiedy tam dotarliśmy, ich już nie było.

– Wobec tego kto zginął, jeśli nie Strachan? Mike Murphy?

– Właśnie w tym rzecz – rzekł Sneddon. – Spodziewałem się znaleźć zwłoki Joego, ale nic tam nie było. Ani Joego, ani Mike’a Murphy’ego, nikogo. Została tylko krew. Mnóstwo krwi. Ktoś kopnął w kalendarz, bez dwóch zdań.

– Więc w końcu nie dostałeś tych pieniędzy?

– Dostałem, a jakże. Joe przeczuwał, że tamci zwrócą się przeciwko nam. Dostali figę. A ja dostałem pocztówkę. Przyszła pocztą, dasz wiarę? Joe miał jaja, szkoda gadać. Musiał ją nadać w drodze na robotę. Już wtedy wiedział, co i jak. No w każdym razie kartka była nadana w Glasgow, ale przedstawiała Largs, na wybrzeżu.

Próbowałem nie wzdygnąć się na wzmiankę o miejscowości, w której zadekowałem Paula Downeya.

– Poczтівка przedstawiała Ołówek – ciągnął Sneddon. –

Wiesz, ten pomnik upamiętniający bitwę pod Largs, w której dokopaliśmy wikingom czy coś w tym guście. Nic na niej nie napisano, ale wiedziałem, że Joe ma łódź na przystani obok Ołówka. Była zapisana na inne nazwisko, więc gliny nie miały o niej pojęcia i nie mogły jej przeszukać. Tylko ja o niej wiedziałem i znałem nazwisko, na jakie ją kupił.

– Henry Williamson... – zaryzykowałem.

Sneddon spojrzał na mnie ze zdumieniem.

– Miewam przebłycki – wyjaśniłem.

– Powiedzmy – burknął i podjął: – Więc pojechałem na tę łódź i bingo! Pod ławką w środku były dwie walizy pełne pieniędzy. Tyle forsy, że siedziałem tam i cały się trząsałem. Trząsałem się jak jakiś jebany liść na wietrze.

– Było wszystko?

– Połowa. Ale połowa nie tylko ze skoku na Wystawę Imperium, połowa z całego hat-tricku. Siedziałem tam tak długo, aż przeliczyłem co do grosza. Uznałem, że najbezpieczniej będzie to zrobić właśnie tam.

– To była kupa forsy.

– Owszem, tyle, żeby zmienić swoje kurewskie życie raz na zawsze. Wyobrażasz sobie, Lennox, że do tej pory nikt o niej nie miał pojęcia? Ale teraz wiesz już ty, a ja nie mam pomysłu, co z tym zrobić.

– Przed chwilą zmarnowałeś okazję.

– Nadal mogę zamknąć ci gębę na amen. – Sneddon westchnął. – Ty się nie wygadasz. Zdajesz sobie sprawę, że miałyby to dla ciebie fatalne skutki. Ale co ważniejsze, wciąż się uważasz za jakiegoś pierdolonego oficerka z kolonii i dżentelmena. Tarzałeś się w tym gównie jak my wszyscy, tyle że do ciebie jakos nie przyłgnęło. Nie wygadasz się, bo to by było sprzeczne z twoim kodeksem.

– Nie wiedziałem, że mam jakiś kodeks – odparłem. – Jak sądzisz, co się stało z drugą połową?

– Wtedy nie miałem pojęcia. Myślałem, że może Joe zamelił ją gdzieś indziej, żeby rozłożyć ryzyko, i tamci torturami wydusili z niego, gdzie jest, ale mocno w to wątpiłem. Prędzej naplułby im w pysk i łyknął kulkę. Więc założyłem, że dobrze ją

schował i skurwiele jej nie dostali. Jednak z czasem zaczęło mi chodzić po głowie, że może przeżył strzelaninę w hangarze, wziął drugą połowę dla siebie i gdzieś się ukrył.

– Ale tamtych trzech zabiłeś, zgadza się? – spytałem. – Bentleya, McCoya i Provana, którego wysadziłeś dzisiaj.

– Prawdę mówiąc, nie. Mam w dupie, czy mi wierzysz, czy nie, ale to nie ja ich zabiłem. Chciałem. Chciałem ich wytropić, jednego po drugim, i załatwić, tak żeby zdychali powolną śmiercią. Ale musisz pamiętać, że nikt nie wiedział, kim jestem. Mając ten szmal, zacząłem budować własne imperium. Zemsta musiała zejść na dalszy plan. Weź pod uwagę, że nikt nie mógł mnie powiązać z kradzieżą, w trakcie której zginął policjant. Nie mogłem się wychylać.

– Czyli to robota Strachana?

– Kiedy przeczytałem o pierwszej śmierci, a potem o drugiej, wszystko zaczęło mi się składać do kupy. Potem Billy Dunbar powiedział mi, że widział Joego podczas wojny. A także o tym, że widział, jak Joe zadaje się z księciem Strathlorne. Billy nie wspomniał ci, że widział Joego jeszcze dwukrotnie, po wojnie. Za każdym razem w posiadłości, na spotkaniu z księciem. Domyśliłem się, że Joe żyje z połowy łupu z kradzieży i że wyrobił sobie nową tożsamość. Albo ją ukradł, jak wolisz. Jeżeli książe przyjmuje specjalnych gości, zawsze urządza konkurs strzelecki, więc Billy zawczasu wie o ich przyjeździe. Ja z kolei powiedziałem o tym Downeyowi.

– Panie Sneddon, czy pan wie o Dunbarze? – spytałem ostrożnie.

– Czy co wiem?

Opowiedziałem mu o swojej drugiej wizycie u Dunbara, o tym, jak znalazłem go obok żony, o obławie i ucieczce przez las i o tym, że rozpoznałem starszego mężczyznę ze zdjęcia. Joego Strachana.

Wyglądało na to, że Sneddon jest wstrząśnięty tymi wieściami.

– Z Billy’ego był porządny chłop. Dobry przyjaciel.

– Zabił go twój ojciec. Twój ojciec zabił wielu ludzi, często niewinnych, którzy przypadkiem się nawinęli.

– Słuchaj, Lennox. Joe Strachan jest dokładnie taki, jak ci go

opisałem. Mówiłem samą prawdę. Widziałem go w akcji, z bliska. Gdybym z nim został, byłbym teraz taki sam albo i gorszy. Mam na sumieniu wiele rzeczy, z których nie jestem dumny; zabójstwo leśniczego jest jedną z nich. Ale teraz staram się uciec od tego wszystkiego. Joe Strachan nie był dla mnie ojcem. Wykorzystał mnie tak samo, jak wykorzystywał wszystkich innych. Tak jak moją mamę. To przez niego wylądowałem w pierdolonym sierocińcu i przeżyłem to, co mnie tam spotkało. Forsę zostawił mi tylko dlatego, że nie chciał mnie zabijać, dopóki mógł tego uniknąć. Ale gdyby uznał to za konieczne, wpakowałby mi kulkę w łeb tak samo jak każdemu innemu. Mylisz się, jeśli sądzisz, że próbowałem odszukać kochanego starego tatę przez sentyment. Musiałem wiedzieć, czy żyje, czy nie. Żebym nie musiał wciąż się oglądać za siebie.

Pokiwałem głową. Sneddon użył tego samego sformułowania co Provan, tuż przed tym, nim sfajczył się w swoim morrisie minorze.

– Do czego zmierzasz? – spytałem.

– Jeżeli powiesz albo zrobisz coś, co mnie powiąże ze skokiem na Wystawę Imperium, dopilnuję, żebyś nie dożył następnego dnia. Poza tym możesz robić, co chcesz. Jeśli zdołasz załatwić Joego Strachana bez mieszania do tego mojej osoby, to masz moje błogosławieństwo.

Straciłem rachubę, ile razy Pedikiurek przeproszał mnie w drodze powrotnej na szpitalny parking.

– Nie ma sprawy, Pedikiurku. Jak sam mówiłeś, to tylko interesy. Nic osobistego – zapewniłem go, zmagając się z przekonaniem, że we wbijaniu komuś pięści w środek organów wewnętrznych nie ma nic osobistego.

Postanowiłem, że zanim wyjadę ze szpitalnego parkingu, sprawdzę, jak się ma moja rana. Po akrobatyce w magazynie znów trochę krwawiła, ale szwy nie puściły, więc zrezygnowałem z ponownej wizyty na ostrym dyżurze. Zresztą i tak bym nie wiedział, jak wytłumaczyć, że znów uszkodziłem opatrunek w tak krótkim czasie.

Pojechałem do siebie. Jovetta javelina nie było przed domem, a Fiona White wybiegła z mieszkania, gdy tylko usłyszała mnie w progu.

– Jak się pan miewa, panie Lennox? – powitała mnie niezręcznie i oficjalnie. Miała na sobie bluzkę w kolorze lila z drukowanego materiału, wyczułem też bijący z jej szyi zapach lawendy.

– Świetnie, pani White. A pani?

– Doskonale. Uznałam... – Z powagą zmarszczyła czoło. – Uznałam, że powinnam panu coś powiedzieć. Ustaliliśmy, że James będzie przychodził raz albo dwa razy w tygodniu i zabierał dziewczęta do miasta. Doszliśmy do wniosku, że dobrze im to zrobi. No i szczerze mówiąc, dzięki temu będę miała trochę czasu dla siebie. A on jest przecież ich stryjkiem.

– Fiono, już ci mówiłem, że nie musisz się przede mną tłumaczyć – odparłem. – Bylebyście były szczęśliwe, ty i dziewczęta. – Uśmiechnąłem się ze znużeniem. Byłem wykończony. I oboje.

– No tak... – bąknęła. – Ja, eee... Chciałam tylko, żebyś wiedział, jak się sprawy mają. Odniosłam wrażenie, że twoim zdaniem między mną a Jamesem jest coś więcej. Że łączy nas coś na kształt... hm...

– Już dobrze, Fiono. Rozumiem. Dzięki, że przedstawiłaś mi sytuację. To ważne, wiedzieć, na czym się stoi. Masz coś przeciwko temu, żebym wyraził się równie niedwuznacznie?

– Ależ skąd – odparła.

Pchnąłem ją na ścianę bardziej brutalnie, niż zamierzałem. Wydawała się zaskoczona, wręcz przerażona. Bez przekonania próbowała mnie odepchnąć, gdy wpilem jej się w usta i zacząłem całować ją tak, jak o tym marzyłem od dwóch lat. Było miło. Boże, jeszcze jak przyjemnie! A ona odpowiedziała mi pocałunkiem.

Kiedy ją puściłem, opierała się bezwładnie o ścianę, mierząc mnie wzrokiem. Ale mnie nie spoliczkowała, nie krzyczała, nie kazała mi się wynosić.

– Jak mówiłem, to ważne, wiedzieć, na czym się stoi. A teraz, jeśli pani pozwoli, muszę się odświeżyć. Miałem ciężki dzień,

a wieczorem znów wychodzę w interesach. Musi pani jednak wiedzieć, że z największą chęcią wrócę do tej rozmowy, kiedy tylko pani zechce.

Milczała. Zostawiłem ją tam, opartą o ścianę przy schodach, i wszedłem na górę, żeby się doprowadzić do porządku. Usłyszałem, jak jedna z dziewcząt ją woła, a potem trzask zamykanych drzwi, kiedy wróciła do mieszkania.

Po drodze do Largs zatrzymałem się w przydrożnym zajęździe i zjadłem coś, co tak się miało do steku jak Hemingway do literatury. Herbata była tak mocna i czarna, że można było nią malować płoty. Gorący napój trochę postawił mnie na nogi.

Kiedy przyjechałem z wizytą do Paula Downeya, omal nie wyskoczył ze skóry, gdy otworzyłem drzwi przyczepy. Przywiozłem mu trochę jedzenia oraz gazety. Przez jakiś czas siedzieliśmy i gadaliśmy ze sobą tak, jak rozmawiają ludzie, których absolutnie nic nie łączy.

Gdy wyjeżdżałem, z willi z piaskowca wybiegła do mnie właścicielka kempingu. Jej niczym nieskrępowane piersi podskakiwały pod bluzką tak, że wyobraziłem sobie, jak przed wyjściem pośpiesznie ściągnęła stanik i schowała go pod poduszką.

– O, pan Watson – wysapała. – Odwiedzał pan przyjaciela?

– Owszem, proszę pani. Bardzo mu się tu podoba.

– To świetnie. Jakże mi miło. – Kiedy zbliżyła się do mnie, do płuc wleciały mi tanie perfumy, którymi nazbyt obficie się spryskała. – Skoro już pan tu jest, czy da się pan zaprosić na herbatę?

Zerknąłem na willę. Wiedziałem, że jeśli tam wejść, nie będzie żadnego picia herbaty. Ale pani Davison była atrakcyjna, tanie perfumy mnie podnieciły, na ustach wciąż czułem smak Fiony White, poza tym w głowie miałem groch z kapustą, więc pomyślałem: a co mi tam?

– Z największą przyjemnością, proszę pani – odparłem, pozwoliłem się wziąć pod rękę i zaprowadzić do domu.

– Proszę mi mówić Ethel – poprawiła mnie kokieteryjnie.

Czy muszę? – pomyślałem. Czy naprawdę muszę to robić?

Trudno w to uwierzyć, ale promu samochodowego Finnieston wcale nie zaprojektował William Heath Robinson. Gdy zobaczyłem go po raz pierwszy, uznałem, że jest to najbardziej dziwaczny przykład inżynierii nawigacyjnej, jaki widziałem – coś pośredniego między szkieletem tylnokołowca z Missisipi a olbrzymią pływającą klatką dla królików. Ten niecodzienny wygląd wynikał jednak z nadzwyczajnej pomysłowości. Prom mógł pływać za dnia i nocą, podczas odpływu i przypływu, a na tym odcinku Clyde występowały pływy, ponieważ specjalny napęd parowy umożliwiał podnoszenie pokładu dla samochodów, dzięki czemu można go było dopasować idealnie do wysokości kei, do której dobijał, bez względu na aktualny poziom wody.

Kiedy następnego dnia rano stawilem się przy promie, nad miastem nie zalegał już smog, za to nisko nad rzeką wisiała gęsta mgła, która nie wykazywała jednak ochoty do przeniesienia się na brzegi i dalej, nad ulice. Niesamowita konstrukcja na wodzie wydawała się we mgle jeszcze czarniejsza i bardziej gotycka. Tylko ja podjechałem samochodem na pierwszą przeprawę tego dnia, a pieszych pasażerów była ledwie garstka. Fraser wszedł na pokład w ostatniej chwili i dołączył do mnie przy balustradzie, skąd spoglądałem na opary mgły unoszące się nad ciemną powierzchnią Clyde.

– Dosyć ponura ta przeprawa, nie sądzi pan, panie Lennox?

– Czy ja wiem? Chyba lepsza niż przez Styks. No ale pan niewątpliwie wie na ten temat dużo więcej niż ja, prawda, mecenasie? Zdaje się, że przewoźnikowi po tamtej rzece zapłacił pan za transport więcej niż kilku osób.

– Niech pan posłucha, panie Lennox, źle pan zrozumiał całą tę sytuację. Nie jest dobrze. Naprawdę nie jest dobrze. Sprawy zaszły stanowczo za daleko. To wyjątkowo niefortunne.

– Niefortunne? Płaci mi pan absurdalne honorarium, a ja prowadzę pańskich zabójców do kryjówki Paula Downeya, tyle tylko, że pańscy chłopcy nie są tacy dobrzy, jak się panu zdawało, i zabijają nie tę ciotę co trzeba.

– Pan nie rozumie... – Choć raz Fraser nie strugał chojraka. –

Sprawy wymknęły się spod kontroli. Sam nie wiem... uważasz, że znasz ludzi, uważasz, że wiesz, czego się po nich spodziewać. Że łączy was swoista więź. Aż tu nagle pojawia się ktoś inny i świat staje na głowie.

– Mówi pan o Joe Strachanie?

Fraser przestał się gapić na wodę i odwrócił się do mnie.

– Pomóż mi, Lennox. Ochroń mnie. Nie miałem pojęcia, że dojdzie do czegoś takiego. Leonora Bryson spytała mnie, czy znam kogoś, kto mógłby poprowadzić dalej sprawę Downeya, więc skontaktowałem ją z pułkownikiem Williamsonem. Układ był taki, że jeśli znajdzie pan Downeya, ludzie nadani przez Williamsona sprawdzą, czy na pewno odzyskał pan wszystkie negatywy. I prawdopodobnie użyją silniejszych argumentów niż pan, żeby zrozumiał, w czym rzecz. Nie miałem pojęcia, że panna Bryson kazała im się posunąć o wiele dalej.

– Użyłem dostatecznie silnych argumentów. Downey i Gibson nie stanowili zagrożenia dla pana, Leonory Bryson czy Johna Macready’ego – powiedziałem. – Tak naprawdę Williamson, jak go pan nazywa, chętnie spełnił prośbę Leonory, bo miał swoje powody, żeby zabić Downeya. Chciał zyskać pewność, że nie istnieje więcej odbitek tego zdjęcia. – Wyjąłem fotografię, która nieustannie towarzyszyła mi od kilku dni. – To Williamson, zgadza się?

– Owszem.

– Błąd – powiedziałem. – To jest Dzentelmen Joe Strachan, morderca mający na koncie napady z bronią w rękę i kawał sukinsyna z czasów pierwszej wojny światowej.

– Wiem – przyznał Fraser. – Pułkownik Williamson kazał mi za wszelką cenę zmusić pana do rzucenia innych spraw, by mógł się pan skupić wyłącznie na sprawie Macready’ego. Nie trzeba być geniuszem, by się domyślić, że tak naprawdę zależało mu na tym, żeby przestał pan szukać Joego Strachana. No więc zorientowałem się, o co tu chodzi. Z początku nie mogłem w to uwierzyć. Znam pułkownika Williamsona jeszcze z czasów wojny. Ale nie potrafiłem zrozumieć, jakim cudem na podstawie fałszywej tożsamości dostał certyfikat bezpieczeństwa pozwalający mu robić to, czym się wówczas zajmował.

– I jak pan sobie poradził z tą kwadraturą koła?

– Panie Lennox, jeżeli jestem w czymś dobry, to w robocie papierkowej. A życie każdego człowieka zostawia ślad na papierze. Jeśli chodzi o docieranie do dokumentów, jestem jak zawodowy tropiciel.

– Niech zgadnę... Henry Williamson nie jest postacią fikcyjną.

Fraser pokręcił głową.

– Nie. Pochodził z Republiki Południowej Afryki, kształcił się w ekskluzywnej szkole z internatem w Natalu. Oboje rodzice umarli, nie miał rodzeństwa ani dalszej rodziny, zarówno w sensie pokrewieństwa, jak i geograficznym. Jako oficer brał udział w pierwszej wojnie światowej, a potem w jego aktach prawie nic nie ma, poza tym że posiadał udziały w różnych firmach i nabył dwie nieruchomości: kamienicę w Edynburgu oraz wielki majątek w południowo-wschodniej Szkocji. I nagle, tuż przed wybuchem działań wojennych, znowu zaciągnął się do wojska, ale służył w całkiem innym regimencie niż podczas pierwszej wojny światowej.

– Pozwoli pan, że znów zgadnę – wtrąciłem. – Ponownie zaciągnął się do wojska w trzydziestym ósmym? Zaraz po hat-tricku, tych trzech wielkich kradzieżach?

– Dokładnie tak. Musi mi pan uwierzyć, Lennox, wcześniej nie miałem pojęcia, że ktoś, kogo od lat znałem jako pułkownika Williamsona, naprawdę jest kimś innym.

– A kiedy pan go spotkał?

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym. Stacjonował w Edynburgu, na zamku, skąd przeniesiono go do kwatery głównej dowództwa w Craigiehall. W okresie między ponownym wstąpieniem do wojska a rokiem tysiąc dziewięćset czterdziestym awansowano go na pułkownika. Został szefem specjalnego szkolenia starannie wyselekcjonowanych jednostek obrony terytorialnej. Mnie powierzono dowodzenie jednym z oddziałów, więc w rezultacie był moim bezpośrednim przełożonym. Mówię panu, Lennox, wszystko w tym człowieku wydawało się jak najbardziej autentyczne. Niektórzy oficerowie pamiętali nawet, że poznali go we Francji podczas pierwszej wojny światowej. Nie

mam bladego pojęcia, jakim cudem mu się to udało, i wciąż mam z tym pewien kłopot. Po prostu nie mogę pogodzić się z tym, że to oszust.

– To wcale nie było takie trudne – zapewniłem go. – Podczas pierwszej wojny światowej Strachan zdezerterował i udawał oficera, mniej więcej tak samo jak Percy Toplis. Z tego, czego się dowiedziałem, wynika, że cieszył się popularnością w kantine oficerskiej. Na pewno jest więcej takich, którzy go pamiętają, bez względu na to, czy przedstawiał się jako Williamson, czy nie.

Fraser skinął głową.

– Ustaliłem, że między tysiąc dziewięćset osiemnastym a tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym prawdziwy Williamson umarł... pewnie zamordował go ten, który się w niego wcielił i gładko wszedł w jego życie.

– Też tak sądzę – przyznałem. – Przypuszczam, że potem Strachan tylko podtrzymywał swoją tożsamość, ale nie był szczególnie aktywny. Chociaż jego córki powiedziały mi, że zniknął na dłuższy czas. Wróćmy jednak do wojny, czym konkretnie zajmowaliście się pan i Strachan?

– Oficjalnie wszystkie oddziały Łobuzów stacjonowały na południowym wybrzeżu Anglii, gdzie powszechnie spodziewano się niemieckiej inwazji. Ale ustalono, że znaczne siły spadochroniarzy oraz amfibie mogą zostać zrzucone albo wylądować w ustronnych partiach gór i na wybrzeżu Szkocji. Dlatego na dowódcę szkolenia sił specjalnych oddziałów pomocniczej obrony terytorialnej na terenie Szkocji wyznaczono księcia Strathlorne.

– A po wojnie pan, Strachan i księżę trzymaliście się razem w waszym małym klubie oficerów sił specjalnych.

– Mniej więcej. Byłem dumny z tego, czego dokonałem, Lennox. Nie ma pan pojęcia, do czego nas szkolono. W razie inwazji mieliśmy prowadzić akcje sabotażowe i mordować. Eliminacji podlegali wszyscy wyżsi urzędnicy państwowi, którzy kolaborowali z okupantem: politycy, radni, nawet szefowie policji. W całej Szkocji były ukryte arsenały broni i racje żywnościowe pozwalające nam przetrwać siedem tygodni.

– A co mieliście robić po upływie tych siedmiu tygodni?

Fraser parsknął gorzkim śmiechem.

– Układ był taki sam jak z oddziałami Łobuzów na południowym wybrzeżu Anglii. Dali nam racje żywnościowe na siedem tygodni, bo doszli do wniosku, że i tak żaden z nas długo nie pożyje.

– A te arsenały broni... zlikwidowano je wszystkie?

– Nie, nie wszystkie. Ale gdzie się znajdują, to wiedzą wyłącznie członkowie oddziałów. Tak samo jest w całej Europie. Książę utrzymuje kontakty z innymi organizacjami, w tym z Gladio⁷.

– Rozumiem – mruknąłem. Rzeczywiście zaczynałem rozumieć.

– Wciąż grozi nam niebezpieczeństwo, Lennox. Tyle że teraz już nie ze strony hitlerowców, a Ruskich. Rozbili nazistowską maszynę wojenną w drobny mak. Jak myślisz, ile czasu zajmie im inwazja na całą Europę? A my do obrony mamy tylko bomby.

– I tajne organizacje wojskowe – dodałem. – A więc w sumie do tego się to sprowadza. Pan ze swoimi kumplami z obrony terytorialnej nadal bawicie się w żołnierzy. Nie chodzi o to, że Strachan próbuje chronić siebie, chodzi o ochronę księcia. W tym także przed skandalami w rodzaju tego, jaki próbował wywołać jego syn.

– Z grubsza się zgadza – przyznał Fraser.

– A Strachan, czy też pułkownik Williamson, jest odpowiedzialny za bezpieczeństwo, mam rację?

– Coś w tym rodzaju. Rekrutuje ludzi prosto z wojska: komandosów, spadochroniarzy i im podobnych. Świeża krew.

– Tyle to sam odgadłem – mruknąłem, myśląc o rozbryzgach świeżej krwi w moim biurze i na czekającej na ulicy taksówce.

– Ma się rozumieć, jego lojalność wobec księcia to jednak wielka lipa – ciągnął Fraser. – Wszystko, co ten człowiek robi, służy wyłącznie jego celom.

Z mgły wynurzył się ciemny, brudny bok nabrzeża i złowrogi

⁷ Gladio – tajna struktura bojowa utworzona w łonie wojskowych służb specjalnych we Włoszech w latach pięćdziesiątych XX w.

zarys pięćdziesięcotonowego żurawia portowego. Za chwilę prom miał przybić do brzegu.

Fraser sięgnął pod połę płaszcza, więc zrobiłem to samo.

– Spokojnie, Lennox, sięgam tylko po to... – Podał mi grubą kopertę. – Jest tu tysiąc funtów w banknotach po pięćdziesiąt. Proszę je zatrzymać, panie Lennox.

– Jak to jest, że nagle wszyscy obsypują mnie grubą forszą? Co jest grane? Czego ode mnie chcecie?

– Jak mówiłem, chciałbym, żeby mnie pan ochronił. Załatwił, żeby moje nazwisko nie było związane z tym, co się dzieje. Mało tego, nie jestem aż tak naiwny, by nie wiedzieć, że znalazłem się na celowniku, więc postanowiłem zniknąć na jakiś czas. Zabieram ze sobą rodzinę. Wyjedziemy z kraju. Ale zamierzam wrócić. I chcę być wtedy bezpieczny.

– Tego nie mogę zagwarantować – odparłem, ale schowałem kopertę do kieszeni. Przynajmniej tyle mi się od niego należało.

– Zamierzam jednak udupić Strachana, w taki czy inny sposób.

Prom przybił do brzegu.

– Niech pan wsiądzie do mojego samochodu – poleciłem Fraserowi. – Powiem panu, jak to rozegramy.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Miałem aż nadto czasu do zabicia, więc zamiast pojechać do biura, wróciłem do domu. Gdy otworzyłem furtkę i ruszyłem ścieżką, firanka w oknie na parterze poruszyła się, ale Fiona nie wyszła mi na spotkanie, więc udałem się prosto do siebie.

W sypialni wyciągnąłem górną szufladę komody i schowałem do niej webleya. Sięgnąłem pod łóżko, odsunąłem obluzowaną deskę i wyjąłem paczkę naboju do rewolweru oraz skórzany zwijany futerał. Rozwinąwszy go na łóżku, wziąłem nóż myśliwski w pochwie, a także mosiężny kastet i włożyłem je do szuflady obok rewolweru i amunicji. Następnie znalazłem obie moje pałki i dołączyłem je do pozostałej broni. Miały tam czekać aż do wieczora. Kiedy zrzuciłem koszulę, obejrzałem opatrunek na przedramieniu. Był świeży, czysty, ale na wieczór postanowiłem go dodatkowo zabezpieczyć, tak na wszelki wypadek.

Potem usiadłem w salonie przy biurku i napisałem trzy listy. W pierwszym, do Jocka Fergusona, opisałem szczegółowo wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwóch tygodni, oraz dodałem najważniejsze informacje o innych aspektach mojej barwnej kariery. Drugi list, do Archiego, zawierał instrukcje, że ma przejąć mój interes. Trzeci list, krótki, przeznaczony był dla Fiony White. Pieniądze otrzymane od Frasera wsadziłem do koperty dla Archiego. Do listu do Fiony White dołączyłem klucz do skrytki depozytowej w banku oraz instrukcje dla MacGregora, głównego kasjera; informowałem go, że wtajemniczyłem panią White we wszystkie szczegóły związane ze sprawami, które prowadziłem, i że ma ona teraz nieograniczony dostęp do mojej skrytki depozytowej.

Zakleiwszy koperty, włożyłem je do jednej większej, brązowej, na której napisałem: OTWORZYĆ PO MOJEJ ŚMIERCI.

Miewałem już weselsze zajęcia.

Schowałem kopertę do szuflady, ale nie zamknąłem jej na klucz, po czym przeszedłem do sypialni i leżąc na łóżku, paliłem papierosy. Zacząłem myśleć o domu, pewnie dlatego, że nie chciałem zaprzętać sobie głowy tym, co miałem w planach na wieczór. Zwykle starałem się nie dumać zbyt często o Kanadzie, teraz jednak sobie pofolgowałem. Myślałem o dzieciaku znad Kennebecasis, jak nazywałem tego kogoś, kim byłem przed wojną: młodego idealistę, cudownie nieświadomego tego, w jakie gówno pakuje nas życie. I pewnie durnego. Myślałem o tych, których zabiłem, i o tych, których śmierć widziałem na wojnie. A także o tym, jak zmieniło mnie to w kogoś, kto mi się nie podobał.

W sumie nie byłem szczególnie dumny z tego, kim się stałem podczas wojny. I nie byłem szczególnie dumny z tego, kim byłem od tamtej pory. Nie wstydziłem się siebie tak, jak gdybym został handlarzem żywym towarem i sprzedawał dziewice do burdeli, handlował prochami pod szkołą albo grał w hokeja w Montreal Canadians. Mimo to nazbierało mi się różnych grzeszków.

Jednak choć błądziłem, grzeszyłem, cudzołożyłem, chlałem, wszczynałem burdy i wyrzucałem byłych komandosów przez okno z trzeciego piętra, to w porównaniu z Dżentelmanem Joe byłem aniołkiem. Wiedziałem też, że jestem bystry. Miałem rozumu za dwóch, ale i tak pozostawałem w cieniu Strachana. On z olśniewającą łatwością i talentem zrobił karierę na oszukiwaniu, przechytrzeniu, wystawianiu do wiatru, mamieniu i zwodzeniu innych. Jeżeli dowiedziałem się czegoś o życiu i ludziach, to tego, że nie wszyscy jesteśmy tacy sami. Zawsze są manipulanci i manipulowani, osoby wyjątkowe i przeciętne.

Zastanawiałem się więc, czy to prawda, że Sneddon jest nieślubnym synem Strachana, czy może Dżentelman Joe podstępnie wpoił w niego tę wiarę.

Wieczorem może to ja wpadnę na osłep w pułapkę zastawioną przez Strachana.

Ktoś zapukał do moich drzwi.

Nie słyszałem kroków na schodach, więc wyjąłem webleya z szuflady i zarzuciłem na rękę ręcznik, żeby go ukryć. Gdy otworzyłem, w progu stała Fiona, milcząca i zażenowana.

– Fiono... wejź – powiedziałem. – Przepraszam na chwilę...

Poszedłem do sypialni, schowałem rewolwer do komody i włożyłem koszulę. Gdy wróciłem, Fiona stała na środku pokoju, nie mniej zażenowana niż na progu mieszkania.

– Czy coś się stało? – spytałem.

– Dziewczynki poszły do szkoły... – powiedziała takim tonem, jakby dawała mi coś do zrozumienia.

Zrozumiałem.

Spędziliśmy razem cały dzień, głównie w łóżku, aż do powrotu jej córek ze szkoły. W południe zaparzyłem kawę, a ona skończyła do siebie na dół, po zimną pieczeń na lunch. Nigdy nie widziałem, żeby tak się śmiała i żartowała. Było to jeszcze bardziej intymne niż nasz wcześniejszy seks.

Z niepojętego dla mnie – ale czy na pewno? – powodu, wprawiło mnie to w głęboki smutek. Prawdopodobnie nie spodziewałem się, że dożyję ranka, a nawet gdybym go dożył, to i tak wiedziałem, że bez względu na łączące nas uczucie, nasze drogi się rozejdą. Jednak śmiałem się i żartowałem razem z nią, starannie ukrywając inne emocje: smutek, strach, moje nadzieje.

Na odchodne mnie pocałowała. Był to długi, namiętny pocałunek, a potem uśmiechnęła się tak, że zobaczyłem, jaka musiała być za młodu.

Zjadłem z nią i z dziewczętami. Byliśmy jak zawsze rzeczowi, pomijając ukradkowe przeciągłe spojrzenia, które wymienialiśmy za plecami jej córek.

Gdy o ósmej trzydzieści wstałem i powiedziałem, że muszę wyjść, Fiona się naburmuszyła.

– Mam coś do załatwienia – wyjaśniłem. – Muszę doprowadzić pewną sprawę do końca.

Poszedłem do siebie po rzeczy. Przypassałem nóż nad prawą kostką, wsadziłem webleya za pasek, płaską pałkę schowałem

do wewnętrznej kieszeni marynarki, a do bocznych włożyłem tę cięższą oraz mosiężny kastet.

Kiedy żyjemy z przemocy, mamy też taki kłopot, że nasze garnitury szybko szlag trafia.

Zaparkowałem atlantica w centrum miasta i pieszo podrałowałem na nabrzeże. Miałem nadzieję, że jeśli natknę się na policjanta, to rewolwer, nóż, mosiężny kastet i dwie pałki nie wzbudzą jego podejrzeń.

Zanim dotarłem do Doku Królowej, zaczęło się ściemniać. Przy głównej bramie wartownik właśnie obejmował nocną zmianę, więc poszedłem drugą stroną ulicy, omijając kręgi światła pod latarniami. Przed sobą miałem otwarte nabrzeże, na którym mogłem się chować za stertami skrzyń. Byłem o ponad godzinę za wcześnie, bo uznałem, że Strachan też zjawi się na spotkanie z Fraserem przed terminem, choćby po to, żeby sprawdzić teren. Stosowałem tę samą logikę co Provan i jego kumple przed osiemnastu laty. Próbowałem nie myśleć o tym, jak to się dla nich skończyło.

Strachan zajechał lśniącym triumphem mayflowerem. Zaledwie dziesięć minut przed czasem, co zaskoczyło mnie o wiele mniej niż fakt, że był sam.

Zaimponował mi. Oto Joe Strachan, urodzony i wychowany w slumsach Gorbals, zjawia się na ponurym nabrzeżu Glasgow i wygląda jak ktoś z całkiem innej planety. Nie miał w sobie nic z glasgowczyka, był równie wysoki jak ja, a kiedy wysiadł bez płaszcza z samochodu, zobaczyłem, że jest nieskazitelnie ubrany. Jak ziemianin, ale dobrze urodzony. Jego strój nie był siermiężny, bezkształtny i w złym guście jak odzienie typowego brytyjskiego wieśniaka. Podejrzewałem, że sportowa marynarka i flanelowe spodnie wyszły spod ręki włoskiego albo francuskiego krawca, co podkreślało ten nieokreślony wygląd cudzoziemskiego arystokraty, który zwrócił moją uwagę na fotografii. A nie miałem najmniejszych wątpliwości, że to jego przedstawiało tamto zdjęcie.

Strachan pewnie dobiegał sześćdziesiątki, lecz miał posturę

człowieka młodszego o dobre dwadzieścia lat. To nie był staruszek.

Staął na skraju nabrzeża, patrząc na atramentowy, lśniący w mroku nurt Clyde. Obserwując go, zastanawiałem się, czy dumał nad tym, jak by to było, zasnąć długim kamiennym snem na dnie tej rzeki.

Musiałem przykucnąć za skrzyniami, żeby nie oświetliły mnie reflektory skręcającego samochodu. Wóz zaparkował przy wejściu na nabrzeże. Wysiadł z niego Fraser i mijając moją kryjówkę, ruszył wprost do Strachana. Widziałem, jak rozgląda się nerwowo.

Siedząc cicho w swoim kącie, siłą woli próbowałem zmusić go, żeby przestał się rozglądać. Wysłał Strachanowi sygnał tak wyraźny, jakby się darł na cały głos: „Lennox! Lennox! Gdziekolwiek się ukrywasz, wyłaź!”.

Kiedy doszedł do Strachana, podali sobie ręce. Fraser był sztywny, jakby kij połknął. Nie słyszałem, o czym rozmawiają, miałem tylko nadzieję, że adwokat ściśle trzyma się scenariusza, który ustaliliśmy, zjeżdżając z promu Finnieston. Kazałem mu, by powiedział Strachanowi, że przyszedłem do niego i próbowałem się dogadać. Bo chcę się wypisać z tego interesu i żądam gwarancji, że mnie zostawią w spokoju. Fraser miał mu przekazać, że podobno mam na Strachana kompletną teczkę, w tym dane dotyczące jego nowej tożsamości oraz zdjęcie zrobione przez Paula Downeya, więc jeśli cokolwiek mi się stanie, akta automatycznie trafią na policję i tak dalej. A na dodatek mam naoczego świadka, którego dobrze zamelinowałem. Tego, którego próbowali stuknąć.

Poza tym że ukryłem Paula Downeya w przyczepie na kempingu w Largs, był to stek bzdur, z czego Strachan na pewno zdawał sobie sprawę, lecz potrzebowałem pretekstu dla Frase-ra, żeby zagadał Strachana i stworzył mi okazję do ataku. A skoro Dżentelmen Joe przyjechał bez swoich goryli, to gra wprawdzie wciąż była niebezpieczna, jednak o wiele łatwiejsza.

Podczas rozmowy z adwokatem Strachan w skupieniu wbiął wzrok w ziemię i kiwał głową, jakby chłonał każdą sylabę wypowiedzaną przez Frase-ra. Nagle przerwał mu, podnosząc rękę.

Podszedł do mayflowera, uniósł klapę bagażnika, wyciągnął z niego niskiego, wątego mężczyznę o ciemnych włosach i postawił go na nogi.

Paul Downey.

Już chciałem wybiec z kryjówki, ale się powstrzymałem.

– Dobry wieczór, panie Lennox! – zawołał Strachan w noc, jednak nie w moją stronę. – Jak pan widzi, mam pańskiego świadka. – W jego akcencie, podobnie jak w stroju, nie wyczuwało się najmniejszego śladu Glasgow. Mówił krystalicznie czystym, modulowanym głosem, tak samo jak mój kumpel, który wybrał wyjście przez okno. – Kiedy powiedział pan mecenasowi Fraserowi, żebym odwołał poszukiwania Downeya, moi ludzie musieli tylko pana śledzić. Nie jest pan aż tak dobry, jak się panu zdaje. Panie Lennox, niech pan nie nadużywa mojej cierpliwości. Proszę się pokazać. Wiem, że pan tu jest.

I wtedy ich usłyszałem: dwóch pozostałych zbirów. Odwróciwszy się, zobaczyłem, że jeden zaczyna przeszukiwać nabrzeże w oddali, posuwając się od brzegu ku wodzie. Drugiego słyszałem po swojej stronie, nieco z tyłu, blisko miejsca, gdzie Fraser zaparkował swój samochód. Ten przedzierał się przez sterty beczek i skrzyń.

Nie wystawiłem nosa, ale byłem wkurzony. Wkurzony na to, że ci dranie znów na mnie polują. Czuję wzbierający w piersi gniew. Jeśli miałem umrzeć tu i teraz, to na pewno nie sam.

– Panie Lennox... proszę. – Strachan westchnął i puścił Downeya, lecz ten stał zgarbiony, jakby wisiał na niewidocznej linie. Teraz Strachan miał po bokach jego i Frasera. – Czy zna pan tabelę umierania Fairbairna-Sykesa? – Mówił głośno, ale nie krzyczał. Wiedział, że jestem na nabrzeżu. – Musi ją znać każdy komandos i agent sił specjalnych.

Sięgnął pod połę marynarki i wyjął coś zza pasa. Nie był to pistolet.

– Numer jeden... – Podniósł nóż szturmowy F&S, taki sam, jakim się posługiwał facet, który mnie napadł, i przyłożył ostrze ponad zgięciem stawu łokciowego Paula Downeya. – Tętnica ramienna. Głębokość rany zaledwie pół cala. Utrata przytomności po czternastu sekundach. Śmierć w ciągu minuty i trzy-

dziestu sekund.

Słyszałem szlochanie Downeya, widziałem, jak trzęsą się jego barki. Strachan szybko jak błyskawica przesunął nóż do nadgarstka swojego jeńca.

– Numer dwa... tętnica promieniowa. Głębokość rany jedynie ćwierć cala. Śmierć następuje jednak nieco wolniej, a cel jest mniejszy, więc osobiście za tym nie przepadam. Utrata przytomności po trzydziestu sekundach. Zgon w ciągu dwóch minut. – Zamilkł na chwilę. – To jak, panie Lennox, pokaże się pan, czy też kolejny punkt mam zademonstrować bardziej obrazowo?

Nie ruszyłem się z miejsca. Jeśli chciał zabić Downeya, to i tak go zabije. Musiałem wymyślić, w jaki sposób zabrać nas trzech byle dalej stąd. Dobiegł mnie kolejny hałas, tym razem z bliższej odległości niż poprzednio.

Strachan znów westchnął.

– Trudno, panie Lennox. Wie pan, że nawet już nie zliczę, jak często demonstrowałem te ciosy nożem? Przez całą wojnę. Przejdźmy więc do ciosów, po których śmierć następuje naprawdę szybko. Numer trzy... – Ostrze błysnęło i znalazło się z boku szyi Downeya. – Tętnica szyjna. Głębokość rany półtora cala. Utrata przytomności po zaledwie pięciu sekundach. Śmierć w ciągu dwunastu sekund. Panie Lennox?

Ten po mojej prawej był już naprawdę blisko. Wyjąłem webleya zza pasa.

– A teraz przechodzimy do mojego ulubionego ciosu... – Strachan zatoczył ręką łuk w górę, znowu tak szybko, że Downey nawet nie mrugnął, i ostrze komandoskiego noża, skierowane w dół, dotknęło miejsca tuż pod mostkiem chłopaka. – Tętnica podobojczykowa. Cios gladiatora. Głębokość rany dwa i pół cala. Utrata przytomności w dwie sekundy. Śmierć po trzech i pół. Jak mówiłem, mój ulubiony cios.

Co rzekłszy, znów zatoczył ręką łuk; ostrze błysnęło w ciemności. Ale tym razem było daleko od Downeya. Wyglądało to na lekkie klepnięcie w ramię, lecz dostrzegłem, jak klinga wnika głęboko w ciało Frasera i wychodzi w tym samym ułamku sekundy. Prawnik, nie wydając najmniejszego dźwięku, padł na

kłęczki; na jego koszuli wykwitła ciemna plama. I zwałił się twarzą na nabrzeże.

– Pannie Lennox, oddam panu tego chłopca. Daruję mu dzisiaj życie, niech sobie ucieka, ukrywa się i żyje w wiecznym strachu. Ale ceną za niego jest pan, Lennox.

Skupiałem się na gościu przeszukującym nabrzeże po drugiej stronie, a w tym momencie drugi zbir wynurzył się zza sterty skrzyń obok mnie. Miał zabandażowaną głowę, a jego twarz świadczyła niezbitnie, że nie czeka go już kariera modela. Był to ten sam, któremu przefasonowałem facjatę podczas wycieczki krajoznawczej w las.

– Jestem tutaj – powiedziałem cicho, wstając. Wypaliłem zbirowi numer dwa prosto w bandaż. Usłyszałem perkusyjny trzask kuli przelatującej tuż obok mojej głowy i strzeliłem do drugiego bandziora, zanim zdążył wymierzyć dokładniej. Dostał kulkę w brzuch. Skulił się wpół, upuścił broń i zaczął wrzeszczeć.

Wziąłem na cel Strachana, lecz on zasłonił się Downeyem jak tarczą, trzymając nóż F&S przy gardle chłopaka. A jak miałem okazję się przekonać, potrafił się nim posługiwać. W jego ruchach nie było cienia strachu ani popłochu, jedynie czysta ergonomia.

Oprych za moimi plecami wciąż się darł, więc podszedłem do niego i kopniakiem odrzuciłem jego pistolet. Strachan stał bez ruchu, podczas gdy ja sprawdzałem, co z tym drugim. Bandaż na jego głowie zrobił się szkarłatny. Gość raz na zawsze przestał zużywać tlen.

Wróciłem do Strachana, który nadal trzymał Downeya.

– Nic ci się nie stało, Paul? – zapytałem.

– Zlałem się w gacie – wychlipał przez łyzy. – Panie Lennox, niech pan nie pozwoli, żeby mnie zabił. Niech pan coś zrobi.

– I co ty na to, Strachan? Mówiłeś, że puścisz go w zamian za mnie.

– Zważywszy na to, że trzyma pan rewolwer, nie tak miał wyglądać nasz układ, panie Lennox.

– Innego układu nie będzie. Spójrzmy prawdzie w oczy. Jeśli zabijesz Downeya, ja zabiję ciebie. Puść go, porozmawiamy.

– Chce pan rozmawiać czy się targować?

– Do tej pory powinien pan już coś o mnie wiedzieć, panie Strachan. Tak mam się do pana zwracać? Panie Strachan? A może Joe? Albo pułkowniku Williamson?

– Jak pan sobie życzy.

– A więc do tej pory powinieneś już wiedzieć o mnie to, że jestem pragmatyczny. – Spojrzałem na Downeya. – Posłuchaj mnie uważnie, Paul. Jeżeli pan Strachan cię puści, bierz nogi za pas i się nie zatrzymuj. Nie idź na policję. Nie wolno ci mówić nikomu o tym, co tu się wydarzyło, nigdy. Rozumiemy się?

– Tak, panie Lennox.

– Jeżeli chcesz żyć bez wiecznego lęku przed panem Strachanem, musisz go przekonać, że nie stanowisz dla niego zagrożenia. Zapomnij o tym, co tu się stało, wyjedź z Glasgow jak najdalej i nigdy nie wracaj. Czy to jasne?

– Tak. Przysięgam. – Obrócił głowę na tyle, na ile pozwalał mu uchwyt Strachana. – Obiecuję to panu. Słowo honoru.

– Słyszałeś, Strachan. I co ty na to? – powiedziałem.

Puścił Downeya, a ten przez chwilę stał jak skamieniały, nie bardzo wiedząc, co robić.

– Idź, Paul – rzekłem spokojnie, starając się, żeby nie wyglądało na to, że go ponaglęm. – Uciekaj. I pamiętaj, co ci mówiłem. Nikomu ani słowa. Ani o tym, co tu się stało, ani o Frase-rze, Strachanie, a zwłaszcza o mnie.

Gwałtownie pokiwał głową, chwiejnie oddalił się kilka kroków od Strachana, a potem puścił się biegiem.

– Proponuję, żebyśmy uwinęli się z tym migiem – powiedziałem, kiedy zostaliśmy sami. Zbir z przestrzelonym brzuchem za moimi plecami już się nie dał, teraz wydawał ciche, ostre, chrapliwe dźwięki poprzedzające agonię. – Na mój gust ktoś na pewno usłyszał strzały, na przykład nocny wartownik przy bramie.

– A jednak naprawdę chce się pan targować? – zdziwił się Strachan. – Myślałem, że to tylko pic na wodę. No cóż, targujmy się. Zaczniemy od tego, że przydałby mi się ktoś taki jak pan.

– Miałem odkryć, co się z tobą stało. Wynajęły mnie twoje

córki. Ale już dla nich nie pracuję. Wydanie cię w ręce policji to nie moja sprawa. Chociaż muszę powiedzieć, że proponowali mi bardzo godziwą nagrodę.

– Na pewno mogę panu zrekompensować poniesione straty. I to z nawiązką.

– Na to liczyłem. – Uśmiechnąłem się.

– Czy możemy się obejść bez tej artylerii? – Ruchem głowy wskazał webleya.

– Niestety nie. Jeszcze nie teraz. Nie jestem aż tak naiwny.

– Zdażyłem się o tym przekonać, panie Lennox. Ale sam pan powiedział, że czas nagli. Czego pan chce?

– Prawdy. Nic więcej. Uważam, że wszelkie interesy muszą być oparte na zaufaniu. A zatem chcę wiedzieć, jakim cudem udało ci się wywinąć ten numer z pułkownikiem Williamsonem.

– To nie był żaden numer, Lennox. Henry Williamson to ja. Stałem się nim. Żyję w ten sposób od tak dawna, że Joe Strachan i jego prostackie maniery stały mi się obce.

– A prawdziwy Williamson?

– Nie żyje od wielu lat. Coś panu wyjaśnię. Podczas pierwszej wojny światowej przekonałem się, jakie korzyści płyną z przywilejów należnych klasom wyższym. Główna korzyść polega na tym, że zawsze znajdzie się ktoś gotów zrobić dla nas wszystko. Klasy niższe. A w trakcie takiej wojny, jaką była pierwsza wojna światowa, oni dla nas umierali. To był największy przywilej... nie musieliśmy się narażać. Skoro więc nie należałem do klasy wyższej, mogłem tę rolę po prostu odegrać.

– Te twoje samowolki, podczas których udawałeś oficerów?

– Zaczęło się od udawania, z czasem jednak okazało się, że wsiąknę w to aż za dobrze. Grałem tę komedię tak przekonująco, że nie porzuciłem jej nawet podczas procesu. Zabiłem im prawdziwego klina. Łatwo postawić przed plutonem egzekucyjnym kogoś z rysztołów Londynu, Liverpoolu albo faceta gadającego z silnym akcentem z Glasgow, ale stawianie pod murem kogoś, kto mówi jak oficer, to zawsze kiepski pomysł. Wiedzieli, że tylko udaję, ale nie potrafili mnie przejrzeć, nie słyszeli nic takiego, żeby mnie zdemaskować. Więc kiedy spytali,

czy mam coś do powiedzenia przed ogłoszeniem wyroku, odparłem, że nie chcę okryć wstydem rodziny, napiętnowany jako tchórz. Choć w sumie guzik obchodziłem moich starych. Spytałem, czy zamiast rozstrzelać mnie dla przykładu, nie mogliby mnie wysłać z niebezpieczną misją za linię wroga. Z misją, w której i tak nieuchronnie polegnę w akcji.

– I co, zgodzili się?

– Jak mówiłem, nie potrafili przejrzeć mojego akcentu i moich manier. Powiedziałem, że wolę polec w walce za swój kraj, niż dostać kulkę jako tchórz, bo nim nie byłem. Podsunąłem im wygodne wyjście, którego szukali, więc przydzielono mnie do wywiadu w Battlefield. Tam kazano mi się przedrzeć za okopy wroga i zdobyć jak najwięcej informacji o rozmieszczeniu jego sił. Więc to zrobiłem. W rezultacie dostałem za to medal.

– Jak ci się udało przeżyć?

– Przy pierwszych kilku zwiadach wykonałem rozkaz i wróciłem z dokładnymi raportami. Dzięki nim wycelowano naszą artylerię w newralgiczne punkty linii przeciwnika. Dopiero kiedy pierwszy ogień zaporowy nie trafił nie tylko w okopy, które wskazałem, ale w ogóle w żadne stanowiska nieprzyjaciela, uznałem, że nie ma sensu ryzykować życia na darmo. Wysyłali mnie z innym dezenterem, ale on wlaź na minę lądową, więc wszystkie dane wywiadowcze zbierałem sam.

Dowództwo najwyraźniej uznało, że jednego człowieka trudniej jest zauważyć niż dwóch. Więc czołgałem się w ciemności na środek ziemi niczyjej, szukałem dostatecznie głębokiego leju po wybuchu bomby i przesyłałem w nim kilka godzin. A po powrocie składałem zmyślony raport. Wzięty z głowy, chociaż oparty na tym, co naprawdę widziałem w trakcie pierwszych wypadów. Tyle że zmieniałem pozycje, liczebność wojsk, nazwy pułków, tego typu rzeczy.

– I nikt niczego nie podejrzewał?

– Nikt, i to bardzo długo. Aż tu nagle młody kapitan wywiadu zaczął podważać jeden z moich raportów. Twierdził, że nie mogłem dojrzeć odznak pułku, które jakoby widziałem. Wszyscy inni mi wierzyli, ale Williamson uparł się, że będzie mi towarzyszył podczas następnego wypadu. Podeszliśmy aż do linii

Niemców, tą samą trasą, którą obierałem, kiedy naprawdę przechodziłem na drugą stronę. Prowadząc od jednej kryjówki do drugiej, przekonałem go, że naprawdę co noc pokonywałem ten odcinek. Sęk w tym, że uparł się łączyć ze mną na kolejne zwiady. Ten dureń wystawiłby mnie na pewną śmierć. Dzięki temu jednak się zakumplowaliśmy, przynajmniej na tyle, na ile pozwalała dzieląca nas przepaść rangi i klasy społecznej. Wypytałem go dokładnie o pochodzenie. Powiedział, że urodził się w Republice Południowej Afryki i kształcił się w tamtejszej elitarniej szkole. Pogadaliśmy jeszcze trochę i dowiedziałem się, że nie ma żadnej rodziny. Był mniej więcej mojego wzrostu i postury, a nawet przypominał mnie z twarzy, więc postanowiłem go zabić na ziemi niczyjej i zabrać mu dokumenty oraz wszelkie oznaki stopnia wojskowego.

Musiałem przekonać wszystkich, że Henry Williamson żyje, żebym po wojnie mógł skorzystać z jego tożsamości, więc zamierzałem powiadomić dowództwo, że nie zginął, tylko został wzięty do niewoli. Zaplanowałem to w każdym szczególe wcześniej, jednak kiedy weszliśmy na ziemię niczyją, w połowie drogi oświetliła nas flara, którą Niemcy wystrzelili akurat nad nami. Otworzyli ogień i Williamson dostał w nogi.

– Czyli że Niemcy wykonali robotę za ciebie...

– Nie. Bynajmniej. Potrzebowałem Williamsona żywego, więc zaniósłem go do naszych okopów. To było to: nagle przestano widzieć we mnie dezertera, zostałem bohaterem. Zamiast naszpikować mi pierś kulami przed plutonem egzekucyjnym, obwiesili ją medalami. A Williamson... – Z niedowierzaniem pokręcił głową. – Williamson został moim najlepszym kumplem.

– Przeżył wojnę?

– Owszem. Chciał utrzymywać ze mną kontakt, więc sam go do tego zachęcałem. Zjawił się bez zapowiedzi w Glasgow, myśląc, że sprawi miłą niespodziankę staremu druhowi z wojska. Uważałem, że to bardzo dziwne, skoro był oficerem i dżentelmenem, ale on odkrył, że jestem znanym bossem gangu i budzę powszechny postrach. Okazało się, że był bez grosza przy duszy, nie miał szans na robotę, więc poprosił mnie o pożyczkę

i ewentualnie o jakąś pracę. Dałem mu jedno i drugie. Idealnie nadawał się do przekrętów, bo nikt nie podejrzewałby oficera i dżentelmena. Wyszło na to, że prawdziwy Henry Williamson był zepsuty do szpiku kości, tak samo jak ja. Udawało mu się ukrywać to przed światem tylko dzięki przywilejom wynikającym z urodzenia.

– Niech zgadnę. Namówiłeś go, żeby nauczył cię odpowiednich gestów i manier, żebyś mógł się podszywać pod kogoś innego?

– Zaimponowałeś mi, Lennox... znowu. Dokładnie tak zrobiłem. Przez cały czas opowiadał mi wszystkie szczegóły ze swojego życia... i o wychowaniu typowego dżentelmena, ma się rozumieć. Dowiedziałem się, do jakiej szkoły chodził i z kim, kim byli jego nauczyciele, co tylko chcesz. A cały urok tego, że pochodził z Republiki Południowej Afryki polegał na tym, że kształcił się w Michaelhouse w Natalu, ich wersji elitarnej szkoły prywatnej. Dzięki temu zyskałem wiarygodny status społeczny bez obawy, że tu, w Wielkiej Brytanii, natknę się na starych szkolnych kumpli.

– I wtedy go sprzątnąłeś?

– Ze smutkiem przyznaję, że tak. Ale nie w taki sposób, jak to sobie wyobrażasz. Planowałem to, ma się rozumieć, jednak przypadkiem przyłapałem go na tym, że mnie okradał. Na początku były to drobne sumy i przedmioty... jak moja ulubiona złota papierośnica.

– Rany boskie! – Nareszcie przejrzałem na oczy. Aż na samo dno Clyde. – To jego szczątki wyłowiono z rzeki?

– Policja rozminęła się z datami o wiele mil. Strzeliłem mu w kark, owinąłem go łańcuchami i wyrzuciłem na środku rzeki. Ale to było w roku dwudziestym dziewiątym, nie w trzydziestym ósmym. Prawdę mówiąc, źle się z tym czułem, więc zostawiłem mu swoją papierośnicę, na pamiątkę, że się tak wyrażę. Zamówiłem sobie identyczną, u tego samego jubilera. Przyznaję, nigdy nie sądziłem, że kiedyś znajdą starego Henry'ego, a już na pewno nie po tak długim czasie. Jednak skoro wszyscy uznali, że to moje zwłoki, dostałem dodatkową premię. Joe Strachan nie żyje, panie Lennox. A teraz może się oddalimy

z tego godnego pożałowania miejsca, zanim ktoś nas tu znajdzie?

– Ty się nigdzie nie wybierasz, Strachan. Pomimo lipnego akcentu i udawanych wytwornych manier jesteś tylko pospolitym, nędznym glasgowskim oprychem. Żeby nie wiem co, nigdy nie zmyjesz z siebie smrodu Gorbals. Rzuć nóż albo od razu wpakuję ci kulkę.

– Rozczarował mnie pan, panie Lennox – odparł. Nóż F&S ze szczękiem spadł na brukowane nabrzeże. – Nie jest pan tak bystry, jak sądziłem. Niech mi pan powie, co pan właściwie chce zrobić? Nie może mnie pan oddać w ręce policji. Po pierwsze, ja nie żyję. Pamięta pan? Oficjalnie od osiemnastu lat spoczywam na dnie Clyde. Po drugie, jak pan wyjaśni swój związek ze śmiercią Franka Gibsona, Billy’ego Dunbara i tych biedaków, którzy się tu walają na ziemi? Nie, Lennox, pan nie ma wyboru. Zawrzyjmy układ. Wiem, że pan się nie wygada, więc zapłacę panu za milczenie i za swój spokój.

Westchnąłem. Aż się zdziwiłem, jak dobrze to zabrzmiało. Obaj doskonale wiedzieliśmy, do czego to zmierza. Każdy z nas nie wierzył drugiemu jak psu. Wieczór był chłodny, o brzeg uderzyła fala kilwaternu po statku, który już dawno nas minął. Nie spuszczałem wzroku ze Strachana, bo takiego jak on stale trzeba mieć na oku, a jednak rejestrowałem ciemne kształty i dalekie światła pozycyjne statków i holowników sunących cicho za jego plecami, daleko po ciemnej powierzchni Clyde. Każda podróż prędzej czy później dobiega końca, a ta, wyjątkowo męcząca, doprowadziła mnie tutaj, na skraj nabrzeża w Glasgow, w towarzystwo zabójców i zabitych.

Patrzyłem na człowieka przede mną. Strachan na pewno dobiegał sześćdziesiątki, ale wyglądał zupełnie inaczej niż mieszkańcy Glasgow. Sześćdziesięciolatek w Glasgow to starzec. Sponiewierany przez ciężką pracę i jeszcze cięższe życie. Stosunkowo młody wygląd i kondycja fizyczna Strachana świadczyły o egzystencji na innej galaktyce. O egzystencji, do której za wszelką cenę chciał wrócić, bez skazy i bez szwanku po tym, co tu się wydarzyło. Pomyślałem o swoim życiu tutaj, w Glasgow, i o życiu w Kanadzie, jakie zostawiłem, jadąc na wojnę. Rzygać

mi się chciało na taką niesprawiedliwość. Strachan kupił sobie drugą szansę za cenę bólu i przelewu krwi innych.

– Więc zamierzasz odejść, tak po prostu? – odezwał się w końcu. – A co ze śmiercią i z cierpieniem, jakie siałeś po drodze? Myślisz, że pozwolę, żeby ci to uszło na sucho? Że jakby nigdy nie zapomnę o niewinnych ludziach, których zabiłeś tylko po to, żeby podtrzymać złudzenie swojej fikcyjnej egzystencji?

– Jak mówiłem, Lennox, nie masz wyboru. Opuść sobie. Pozwól mi odejść. Uczynię cię bogaczem. Załatwię to za pośrednictwem Williego Sneddona.

– On nawet nie jest pewny, czy rzeczywiście żyjesz. Moim zdaniem ma też wątpliwości, czy naprawdę jest twoim synem.

– Wobec tego pora na pojednanie się ojca i syna, żeby na zawsze rozwiązać jego wątpliwości. Wiesz, że mam rację. Wiesz, że mam rację we wszystkim, co mówię.

– To prawda. – Z szacunkiem pokiwałem głową. – To, co powiedziałeś, to sama prawda. A wiesz, co w tym było najbardziej prawdziwe?

– Co? – Uśmiechał się w przekonaniu, że pokonał mnie logicznym wywodem.

– Najbardziej prawdziwą rzeczą, jaką powiedziałeś, jest to, że nie żyjesz. W powszechnej opinii od osiemnastu lat śpisz długim kamiennym snem na dnie rzeki.

– I co z tego? – zapytał, wciąż uśmiechając się z zadowoleniem.

– To, że to nie jest morderstwo.

Strzeliłem mu w twarz. Dokładnie w środek tego zadowolonego z siebie uśmiešku. Druga i trzecia kula trafiły go w pierś; życie uszło z niego, jeszcze zanim przewrócił się do tyłu i runął z nabrzeża do rzeki.

– Śpij smacznie, Dzentelmenie Joe – powiedziałem.

Chusteczką dokładnie wytarłem webleya, a potem cisnąłem go jak najdalej w ciemność.

Usłyszałem, jak gdzieś daleko wpada z pluskiem do atramentowych wód Clyde.

PODZIĘKOWANIA

Oto ci, którym z całego serca dziękuję za pomoc i wsparcie: Wendy, Jonathan i Sophie; moja redaktorka Jane Wood; Ron Beard, Jenny Ellis, Lucy Ramsey, Robyn Karney; Marco Schneiders, Ruggero Léo, Colin Black, Chris Martin, Larry Sellyn oraz Elaine Dyer.

TAJEMNICA NAPADU STULECIA W GLASGOW
W NOWEJ POWIEŚCI
SZKOCKIEGO CHANDLERA

Craig

VIRTUALO
Księgarnia Internetowa

empik

długi
kamienisty
sen

lesiojot

W
ab
1000